twórczość

maj 1958

Kwitko · Szalom Asz ·
Halpern · Izrael Emiot ·
sław Zieliński · Zbig-
Bieńkowski · Henri
aux · Kazimierz Wy-
· Paweł Jasienica

twórczość

MAJ 1958 ROK

5

twórczość

ROK XIV MAJ 1958 NR 5

SPIS TREŚCI

Lew Kwitko
PIERWSZY RUCH O ŚWICIE WSTAŃ... (spolszczył *Zbigniew Bieńkowski*)
Str. 5

Szalom Asch
SPOJRZENIE WSTECZ (przełożył *Jan Koprowski*)
Str. 7

M. L. Halpern
NASZ OGRÓD (przełożył *Stanisław Jerzy Lec*)
Str. 24

Izrael Emiot
LISTOPAD NIE ZOSTAWIAJ MNIE SAMEGO (przełożył *Jerzy Ficowski*)
Str. 25

Meir Persiko
TEJ ZIMY... TAXODIUM
Str. 27

Salomon Łastik
O TAK ZWANEJ WOJNIE ŻYDOWSKIEJ
Str. 29

Jerzy Miller
JAK MLECZU KWIAT EPITAPHIUM
Str. 45

Stanisław Zieliński
SZEŚCIAN
Str. 47

Jan Czarny
KAZIO AUTOPORTRET STUDIUM Z NATURY
Str. 52

Zbigniew Bieńkowski
MICHAUX — WYOBRAŹNIA PREWENCYJNA
Str. 54

Henri Michaux
NIEJAKI PIÓRKO (przełożył *Jerzy Lisowski*)
Str. 67

Kazimierz Wyka
O DROBNOTOWAROWYCH OBROTACH WYOBRAŹNI
Str. 82

Paweł Jasienica
WSPOMNIENIA EKSCELENCJI
Str. 89

Polemiki

Natalia Modzelewska
CHODZĄ MUCHY, CHODZĄ...
Str. 100

Książka miesiąca

Andrzej Kijowski
PODRÓŻ, KTÓRA BYŁA I KTÓREJ NIE BYŁO
Str. 115

Wśród książek

ŁÓDZKA TEKA POETYCKA — *Anna Kamieńska*
Str. 121

SPÓR O POLSKI JĘZYK LITERACKI — *Wojciech Natanson*
Str. 125

SPOTKANIA Z IDEAMI — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 129

ILEŻ MOŻNA WYCZYTAĆ Z TYCH LISTÓW! — *Wojciech Natanson*
Str. 130

„DORYCKI KRUŻGANEK" — *Wanda Leopold*
Str. 133

DEBIUT POWIEŚCIOWY JANA BRZECHWY — *Włodzimierz Maciąg*
Str. 137

RAKIETA NA WIRAŻU — *Jerzy Kwiatkowski*
Str. 141

Na widnokręgu

KONFRONTACJA — *Jarosław Iwaszkiewicz*
Str. 145

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
Str. 146

„PANORAMA IDEI WSPÓŁCZESNYCH" — *Krzysztof Pomian*
Str. 148

NIETZSCHE SFAŁSZOWANY — *ab*
Str. 153

„NIESPOKOJNE WIOSNY" IVANA GALEBA — *Alija Dukanović*
Str. 158

„CZĘŚCIOWY ŁAD W CAŁKOWITYM CHAOSIE" — *zb*
Str. 161

Noty
Str. 165

Korespondencja
Str. 174

Książki nadesłane
Str. 175

REDAKTOR NACZELNY:
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa"
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.
Adres administracji: Warszawa, Foksal 16, tel. 6-52-21, 6-46-30, 6-46-21
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruch". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty:

kwartalnej	zł 30,—
półrocznej	zł 60,—
rocznej	zł 120,—

Cena prenumeraty za granicą jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr. 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zam. 2077/c z dnia 2.4.1958 r.
Nakład 5619 egz. Druk ukończono w maju 1958 r. A-79.

Lew Kwitko

PIERWSZY RUCH

Pierwszy ruch, pierwszy błysk, pierwszy grom
— Niech będzie pochwalony!
Bo z niego się wyłonił
Świat nowonarodzony:
Pierwszy koń dla pośpiechu,
Pierwszy łan dla kosy,
Pierwszy słoń dla śmiechu,
Pierwsza łąka dla rosy,
Gdy była do miłości i pracy stworzona
Razem z pierwszym mężczyzną jego pierwsza żona.

Zamiast skrzydeł olbrzymich, pazurów żelaznych
Człowiek otrzymał wtedy mózg i umysł własny,
By z siebie samoloty i narzędzia wydał,
Co będą od pazurów silniejsze i skrzydeł.

Patrzcie, świat jest przed wami, weźcie go w swe dłonie,
Dajcie mu piękno, ogrom, przestrzenie i tonie!

Więc za wspólny nasz dom,
Za wszystkie świata strony,
Pierwszy ruch, pierwszy błysk, pierwszy grom
— Niech będzie pochwalony!

O ŚWICIE WSTAŃ...

Czy słyszysz ptaków gwar w dolinie?
O świcie wstań, jak wstają zorze,
Kiedy powietrze zewsząd płynie

Jak nieskończone nieba morze.
Pisklęta przekrzykując wrzawę
Kłócą się trelem i świergotem,
Świt wznosi krzyk jak wulkan lawę,
By echem wrócił z gór z powrotem.
Jest o świtaniu taka chwila,
Gdy milkną rzeczy i istnienia,
I wtedy słychać lot motyla,
Westchnienie kwiata, szept kamienia.
I jeśli chcesz napełnić duszę
Pięknem przestrzeni, pięknem świata,
Wstań, gdy śpiewają chóry wzruszeń,
Byś się nie spóźnił na śpiew kwiata.

Spolszczył
Zbigniew Bieńkowski

Szalom Asz

SPOJRZENIE WSTECZ

W lipcu ub. roku zmarł w Londynie w wieku lat 77, w czasie odwiedzin u swojej rki, największy pisarz żydowski, Szalom Asz.

Urodzony i wychowany w Polsce, żywił głęboki sentyment dla swojej rodzinnej emi.

Autobiografia *Spojrzenie wstecz* nie była publikowana w języku polskim. Szalom sz napisał ją w r. 1930 na zamówienie wiedeńskiego wydawcy jego dzieł, Pawła solnaya, i wydrukował w roczniku tegoż wydawcy *(Jahrbuch Paul Zsolnay Verlag)* 1931 roku. Przekładu dokonano z oryginału niemieckiego.

Skrawek ziemi, na którym się urodziłem, nie odznacza się jakimś szczególym urokiem krajobrazu. Jest to monotonna równina, pracowita jak woły rzące ziemię, pokryta w zimie ciepłym śniegiem, latem — jasnożółtymi kłomi gęstego, dojrzałego zboża. Ziemia tu uboga w lasy, jeszcze uboższa w wo-ę. A jednak noszę w sobie monotonny obraz tej płaskiej równiny, tak samo k poczciwą twarz ojca, i m u s z ę od czasu do czasu odwiedzać to miejsce, także moją matkę, muszę pooddychać tamtym powietrzem. Lecz jedno obejenie pejzażu zupełnie mi wystarcza.

Ten skrawek ziemi leży na Mazowszu — w Polsce. Z jednej strony graniczy osnutymi baśniowością, obramowanymi rzędem posępnych topól torfowymi kami kujawskiej prowincji, z której pochodzi moja matka, z drugiej — styi się z bogatym, złotolśniącym „Księstwem Łowickim", w którym urodził się kże mój ojciec. Po matce, jak już niejeden pisarz przede mną, odziedziczyłem etycką wrażliwość, podarowaną jej przez krajobraz ojczysty, miłość do natury ogromne upodobanie do wody i jabłek. Jeszcze dziś, gdy pojadę do Kutna, odwiedzić osiemdziesięcioletnią staruszkę w jej skromnym domu, którego e chce opuścić, gdyż zmarł tam jej ojciec — słyszę jej słowa: „Wiedziałam, że zyjedziesz, bo dziś o wczesnym ranku przyfrunął do mojego okna ptaszek przyniósł mi tę nowinę". I na każde moje odwiedziny jest przygotowana, jak egdyś w dzieciństwie, miednica z wodą deszczową, a po umyciu czekają na nie dwa czerwone, zimowe jabłka. Stąd moje upodobanie do wody i jabłek...

Po ojcu nie odziedziczyłem żadnych nadzwyczajnych zdolności, ponieważ on m wcale ich nie posiadał. A przecież wszystko mam jemu do zawdzięczenia. stem głęboko przekonany, że jego poczciwa krew płynąca w moich żyłach

uchroniła mnie przed tak licznymi na mej drodze powikłaniami, nie pozwoliła mi runąć w przepaść, czyhającą na każdego człowieka, wydźwignęła mnie z dna upadku i uczyniła ze mnie to, czym jestem.

Mój ojciec nie odznaczał się szczególną pobożnością i nie był uwikłanym w mistykę chasydem, lecz prostym, prymitywnym okazem przeciętnego Żyda toczącego ciężką walkę o utrzymanie swej licznej rodziny. Do późnej starości dźwigał jako święty obowiązek — jarzmo życia i starał się z pomocą wszystkich sił swoich mieć czyste sumienie wobec Boga i ludzi — czyściejsze wobec ludzi niż wobec Boga.

Jego prosty charakter, niezachwiana wiara w boską opatrzność, jego prawdziwie ludzka skromność przypominały patriarchów, a jeszcze bardziej najstarszych aszkenazyjczyków, tj. Żydów, którzy już przed tysiącami lat mieszkali nad brzegami Renu. W literaturze żydowskiej, a przez to samo również w literaturze światowej, mocno przeceniono rolę chasydyzmu w żydowskim życiu; natomiast całkowicie nie zauważone zostaje głęboko moralne i spokojne życie Żyda nie chasydzkiego, misnagida, nie wierzącego w cudowność rabina, lecz wierzącego w Boga, w którym pokłada wszystkie swoje nadzieje. Mam na myśli misnagida nie jako bojownika przeciwko chasydyzmowi, ale jako prostego człowieka, żyjącego Biblią i komentarzami Rasziego, psalmami i midraszem; jest on o wiele silniejszym faktorem moralnym w żydowskim życiu niż chasydyzm. Nie purytański racjonalizm, lecz prawdziwy duch Biblii panuje w tych wysoko etycznych, chciałoby się prawie powiedzieć „europejskich", pojęciach pierwszych aszkenazyjczyków i pojęcia te działają do dziś w codziennym życiu zwykłego, prostego Żyda. I podobnie jak mistycznym chasydyzmem, świat zachwycał się również sefardycznym żydostwem. Typ sefardyjczyków, którzy niegdyś żyli w Hiszpanii i krajach śródziemnomorskich, ceniony jest wyżej niż typ aszkenazyjczyka. Czystość rasy i duch średniowiecznego rycerstwa, zachowywany przez sefardyjczyków, dostarcza poetom okazji do pisania wspaniałych hymnów na ich cześć.

Myślę, że zachodzi tu pomyłka: prawdziwe, niezafałszowane żydostwo, jakie znamy z pokorności patriarchy Jakuba i z zawartej w modlitwach ludzkiej słabości, żyje daleko silniej w aszkenazyjczykach niż w sefardyjczykach. Żydostwo nie jest średniowiecznym rycerstwem — w jego istocie leży korzenie się przed Bogiem i pokorne dźwiganie jarzma życia. Żydostwo odznacza się poczciwo-ludzką bogobojnością i wewnętrzną pobożnością, a nie rycerskimi gestami z mieczem w ręku. Pierwszemu aszkenazyjczykowi zawdzięczamy głęboką ludzką moralność i twarde pojęcia etyczne, żyjące w przeciętnym Żydzie. „Mędrcy znad Renu" wywierają do dziś najsilniejszy wpływ na Żydów w odleglejszych zakątkach ziemi — bowiem żyją oni w surowych zasadach etyki. Istota żydostwa jest nie do pomyślenia bez rabina Gerszona, bez Rasziego, bez Jehudi Hachasid; wzbogacili oni żydostwo europejsko-etycznymi pojęciami.

I jeszcze jedno: Żydzi-aszkenazyjczycy nie wydali żadnych maranów, żadnych niby-chrześcijan. Z okrutną wręcz wytrwałością zadawali sobie w czasie wypraw krzyżowych wzajemnie nawet śmierć, by nie opuścić choćby tylko dla pozoru swojej wiary, jak to się często zdarzało nawet wśród największych i najwybitniejszych Żydów-sefardyjczyków. Źródeł dzisiejszego europejskiego żydostwa należy poszukiwać nad Renem...

Ponieważ jestem synem starego narodu, często jakiś kraj lub jakieś stare miasto, które widzę po raz pierwszy, wydaje mi się dziwnie znajome, jak gdyby dawno minione przeżycie, które wtłoczono w moją starą krew, przez ujrzenie krajobrazu wyłoniło się znów w moim wspomnieniu.

I w żadnym kraju to uczucie nie było tak silne i wyraźne, jak nad brzegami Renu. Kiedy rozpocząłem swoją pierwszą wędrówkę pieszą z Moguncji do Wormacji i zobaczyłem stare żydowskie nagrobki wmurowane w domach przy ulicy, krajobraz ten wydał mi się tak znajomy, jak gdybym tam był już kiedyś. A w synagodze Rasziego w Wormacji doznałem uczucia, że ongi musiałem się tutaj raz modlić...

Mój ojciec był typem takiego prostego Żyda-aszkenazyjczyka. Posiadał jasność Rasziego, słynnego komentatora Biblii, żył w świecie poglądów rabina Gerszona, któremu przede wszystkim zawdzięczamy etyczną odbudowę żydostwa, i każdej chwili gotów był umrzeć za swoją wiarę, podobnie jak to czynił każdy Żyd-aszkenazyjczyk w czasach wypraw krzyżowych.

W okolicy, gdzie znajduje się moje rodzinne miasto, krążą jeszcze dziś legendy o umiłowaniu bliźniego przez mojego ojca i o jego miłosierdziu. Dzielił on ze swoimi sąsiadami dosłownie ostatni kęs chleba. Nie znał przy tym żadnej różnicy między Żydem a chrześcijaninem. Swoim zachowaniem się wobec naszych biednych sąsiadów chrześcijan, otrzymujących u niego pracę, przyczynił się do usunięcia we mnie od najwcześniejszej młodości wszelkich granic, jakie w stosunkach międzyludzkich dzieliły Żydów i chrześcijan.

Kiedy na starość pod ciężarem trosk o liczną rodzinę ojciec mój podupadł i zbiedniał, przyjął swój los ze spokojem i z tą samą oczywistością, z jaką sam rozdzielał jałmużnę, gotów byłby ją wziąć, gdyby okazało się to konieczne.

Bez wzdychania, nie troszcząc się o jutro, sprzedał dom, który sam zbudował, wraz ze wszystkimi urządzeniami; i podobnie jak dziecko pewne jest pomocy ze strony swoich rodziców, tak i on był głęboko przekonany, że w godzinie najskrajniejszego niebezpieczeństwa, gdy już woda zalewa usta, Bóg ześle mu pomoc; a jeśli nie przyjdzie pomoc boska, to przyjdzie ludzka. Nie wstydził się tej pomocy, bowiem wierzył, że wszystko, co człowiek posiada, jest własnością Boga — i nie jest żadną hańbą rozdzielać dobra boskie. Wybacz, drogi czytelniku, że tak długo zatrzymałem się przy moim ojcu — ale jestem pewien, że wszystko, co w sensie zarówno ogólnoludzkim, jak i żydowskim, jest we mnie wartościowego, mam do zawdzięczenia mojemu ojcu. Chylę nisko głowę przed jego cieniem. Cześć jego pamięci!

Próbowałem opisać go w moich patriarchalnych opowiadaniach *Miasteczko* i *Szlojme Nogid* — ale mi się to nie udało.

Urodziłem się w Kutnie, w Polsce, jako dziesiąte dziecko mojego ojca i piąte mojej matki. Było to w 1880 r. dnia... — właśnie na ten temat istnieją sprzeczne zdania pomiędzy matką i moją żoną. Moja matka wydała — nieproszona, jak mówią Żydzi — tyle dzieci na świat, że rzeczywiście niemożliwością było zapamiętać dzień urodzenia każdego z nich. Na okładce starego egzemplarza *Psalmów* ojciec mój odnotował daty urodzin każdego dziecka, przypadkowo zapomniano wpisać mnie, co w rodzinie uznane zostało za zły omen. W księgach metrykalnych miasta datę urodzenia dzieci podawano — ze względów „strategicznych" — nieprawidłowo. Tak więc musiałem przez dwadzieścia cztery lata chodzić po świecie bez urodzin — ale nic mi to nie szkodziło. Dopiero po ślubie

żona moja podarowała mi „urodziny". Wybrała 1 listopada, prawdopodobnie dlatego, że dzień ten bliski jest końca roku. I na tym pozostało...

W sumie było nas dziewięciu braci i pięć sióstr. Mój najstarszy brat ma dziś ponad siedemdziesiąt lat i jest bogobojnym człowiekiem: najpierw był kupcem, później robotnikiem. Mój najmłodszy brat jest inwalidą z wojny światowej. Obaj żyją w Ameryce.

Jako dziecko niewiele, niestety, doznałem ojcowskiej opieki i nie byłem zanadto rozpieszczany przez czułość matczyną. Moi rodzice nie mieli po prostu na to czasu. Ojciec cały tydzień był w podróży, ponieważ po okolicznych miasteczkach i wsiach skupywał bydło i owce, którymi handlował. Jedyny jego dzień, spędzany wraz z rodziną, to był sabat — stąd też dzień ten jest jedynym jasnym promieniem w mrokach mojego dzieciństwa. Matka była bez reszty zatrudniona prowadzeniem gospodarstwa, oczekiwaniem dzieci i ich rodzeniem. Lubiła nas niejako *en gros* — na czułość indywidualną nie mogła sobie pozwolić po prostu dlatego, że na to nie miała wcale czasu. Byłem więc, jak i pozostałe dzieci, oddany pod opiekę nauczyciela w chederze (tradycyjna szkoła biblijna) i ulicy...

Małe miasteczko, w którym ujrzałem światło dzienne, liczyło niewielu chrześcijan. A i ci mieli się znacznie gorzej niż Żydzi, u których służyli. Dozorca naszego domu, zwany w Polsce stróżem, był takim właśnie biednym chrześcijaninem, zamieszkiwał ze swoją liczną rodziną piwnicę pod naszą izbą. Gdy padał deszcz, woda z ulicy spływała do piwnicy. Jeśli było w naszym domu coś do zrobienia, stukaliśmy laską w podłogę i w ten sposób zawiadamialiśmy stróżkę — żonę dozorcy. Sam myślałem, że wszyscy chrześcijanie są biedniejsi i pozostają na niższym stopniu życia dlatego, że właśnie nie wierzą w żydowskiego Boga. Z tego też względu bardzo im współczułem i nie mogłem absolutnie zrozumieć, dlaczego właśnie Bóg oprócz Żydów stworzył innych jeszcze ludzi, którzy tak się muszą męczyć na ziemi.

Najbardziej żal mi było chrześcijan z tego powodu, że Bóg nie podarował im żadnego „sabatu". Sabat był pierwszym silnym wrażeniem mojego życia. Ze względu na sposób, w jaki — przy blasku świec w lśniących lichtarzach — był w naszym domu obchodzony sabat, wydał mi się on nie dniem ziemskiego życia, lecz jednym z owych dni, które czekają nas w zaświatach. I jeślim zobaczył stróża zamiatającego podwórze w czasie, gdy siedzieliśmy przy nakrytym, lśniącym od białości stole, wybuchałem często płaczem, że Bóg stworzył tak nieszczęśliwych ludzi, jakimi są „goje". Ale na moje pytanie, dlaczego są „Żydzi" i „goje", wciąż zajęta matka odpowiadała: „Przestań mnie zamęczać, mam inne sprawy na głowie!".

Pierwszym wrażeniem mojego życia były pola i owce. Bydło i owce, które ojciec mój zakupywał w okolicy, przewoził następnie na targowisko do Łodzi lub na granicę, gdzie odbierał je niemiecki handlarz.

Podwórze naszego domu pełne było zawsze owiec i lubiłem przeciskać się między nimi i głaskać je po grzbiecie. Ale świadomość, że będą zaprowadzone do szlachtuza, budziła we mnie bolesne uczucia i mąciła moją radość z tych biednych stworzeń, które czekała śmierć. Ich beczenie brzmiało w moich uszach jak krzyk bólu.

Do najwcześniejszych wspomnień mojego dzieciństwa należy słowo „Ameryka". Nasze miasteczko leżało tuż nad granicą pruską i przez jego ulice prze-

taczała się fala żydowskiej emigracji do Ameryki, emigracji, która nastąpiła po pogromach w latach osiemdziesiątych w Rosji. Wychodźcy musieli przekradać się przez niemiecką granicę — i jeszcze dziś widzę, jak gromadzili się po zagrodach woźniców w naszym sąsiedztwie, służących im za kryjówki. Do tobołków mieli przymocowane blaszane dzbanki na herbatę. Ciągle miałem przeczucie, że również i na nas przyjdzie kiedyś kolej. I rzeczywiście jedno odgałęzienie naszego rodu bardzo wcześnie wyruszyło w podróż do Ameryki. Także w naszym domu często wymawiano to słowo i ja próbowałem w swej dziecinnej fantazji wyobrazić sobie, gdzie się ta „Ameryka" znajduje. Byłem przekonany, że leży ona poza granicami naszego doczesnego żywota.

Gorącym życzeniem mojego ojca było, aby jeden z synów został rabinem. Nie udało mu się to z moimi starszymi braćmi. Synowie z pierwszej jego żony byli wprawdzie chasydami, ale i na tym się kończyło. Z synów, które powiła mu moja matka, niewiele miał radości: najstarszy z mojej matki utrzymywał stosunki z chrześcijanami, lubił konie i wybudował sobie na dachu gołębnik, co ojciec uważał za coś najgorszego. Również i inni okazywali małe zamiłowanie do nauk religijnych. Tak więc los padł na mnie. Jako chłopiec byłem pobożny i wierzący, modliłem się dużo i żarliwie, przestrzegałem troskliwie wszelkich przykazań i przepisów i bardzo chciałem się uczyć. Toteż zaangażowano najlepszych nauczycieli do studiowania ze mną Talmudu. Nie mogę powiedzieć, aby mnie Talmud zachwycił. Jego scholastyczne dysputy (to jest w Talmudzie metoda dominująca, zwana „pulpilem") wydawały mi się nudne i bez pożytku.

Znacznie bardziej pociągała mnie recytatorska melodia Nigun — stosowana przy nauczaniu. Jednakże od najwcześniejszego dzieciństwa rozpaliła moją fantazję Biblia — ziemię Haran i ziemię Kanaan widziałem przed sobą jak coś wręcz rzeczywistego. Rzeczułkę płynącą obok naszego domu nazwałem Jordanem, a lesiste wzniesienie w pobliżu dworu za miastem było dla mnie górą Karmel. Biblijni patriarchowie byli mi tak bliscy, że zdawało mi się, iż Jakuba i jego dwunastu synów znam osobiście. A króla Dawida widziałem siedzącego w naszej świątyni i wprost słyszałem, jak wraz z obecnymi tam mężczyznami śpiewa swoje psalmy. Ale, niestety, nie dawano mi zbyt wiele czasu na czytanie Biblii. Także na studiowanie Haggadah, owej części żydowskiego piśmiennictwa, objaśniającej prawa przez porównania i przypowieści, pozwalano mi bardzo rzadko. Uważano to bowiem nie za studium, lecz za rozrywkę. Studium — to był jedynie suchy Talmud, dla mnie — muszę to wyznać — obcy i nieinteresujący. Ale moja bogobojność nie pozwoliła mi wątpić o tym, że droga, którą przeznaczali mi rodzice, jest słuszna, chociaż zarówno moja młodość, jak i miłość życia buntowały się przeciw temu, chociaż wszystko we mnie tęskniło do pól i lasów, i strumieni, do świata bożego rozprzestrzeniającego się za oknami...

I bardzo wcześnie poczęły hałasować w mojej głowie kacerskie myśli, a najboleśniejszą z nich była: „Dlaczego Bóg podzielił ludzi na Żydów i chrześcijan?". W owym czasie wiedziałem już, że nie chrześcijanie, lecz Żydzi byli kozłem ofiarnym całego świata, bowiem na każdym kroku odczuwałem wrogie nastawienie chrześcijańskich dzieci, zarówno podczas kąpieli w rzece, jak też na spacerach za miastem.

Poza tym od najwcześniejszego dzieciństwa Wielki Czwartek wzbudzał w nas zagadkowy lęk. Gdy ulicami ciągnęła procesja, matka chowała nas w pokoju

pod ławkę, abyśmy się nie ważyli wyglądać przez okno. Byłem głęboko przeświadczony, że chrześcijanie, jako władcy na ziemi, stracili zaświaty i że nic innego ich nie czeka prócz piekła. I zapytywałem samego siebie: „Czemu Bóg tak ich unieszczęśliwił stwarzając ich chrześcijanami? I ja mogłem — uchowaj Boże — urodzić się chrześcijaninem i nie byłoby w tym wcale mojej winy!".

Studiowanie Talmudu stawało się dla mnie coraz nudniejsze i uciążliwsze. Przed oknami szkoły rozpościerał się świat pełen tajemnic. Chciałem je poznać i nie mogłem. Przede wszystkim nie znałem języka, dzięki któremu mógłbym przynajmniej z książek dowiedzieć się czegoś o świecie. Nawet alfabet chrześcijański był mi nieznany i uchodził za „trefny". Dostępna mi mowa i książki opowiadały o rzeczach martwych, które wydarzyły się w obcych krajach i w obcym życiu i nie miały żadnego związku z teraźniejszością! Wiedzy, jakiej pożądałem, nie mogła mi dać żadna z tych książek. O, jakże zazdrościłem wówczas rówieśnikom, mogącym chodzić do jedynej szkoły w mieście — prywatnego instytutu, prowadzonego przez niemieckiego pastora! Ja również uczęszczałem do tej szkoły przez trzy dni, lecz jedynie dzięki przypadkowi, którego opisanie zajęłoby wszakże zbyt dużo miejsca. To były jedyne trzy dni w moim życiu spędzone w prawdziwej szkole; w ciągu tych trzech dni poznałem alfabet polski i niemiecki...

Okres od siódmego do szesnastego roku życia, dla każdego innego dziecka najszczęśliwszy, był dla mnie najcięższy i najbardziej ponury. Jedyne, co mi wówczas dodawało otuchy, to moja pobożność. W długich, gorących modlitwach obnażałem przed Bogiem swoją duszę. Wiele godzin spędzałem na długich modłach, błagając Boga o pomoc, o rozproszenie moich wątpliwości, czy nie znajduję się na manowcach. Z tego okresu pochodzą moje pierwsze próby literackie.

Usiłowałem wyrazić mój nastrój w wierszach, pisząc na szkolnych egzemplarzach Talmudu według rytmu i miar wiersza psalmicznego, fałszywą hebrajszczyzną, pomieszaną z chaldejskimi wyrazami z Talmudu. Kiedym w późniejszych latach przebywał w moim rodzinnym mieście, poszukiwałem w bóżnicy starych egzemplarzy Talmudu i chciałem sporządzać odpisy z „psalmów" mojej młodości. Jednakże na miejsca z moimi wierszami wpisano już inne, stworzone przez młodzież uczęszczającą z kolei do bóżnicy...

Psalmom biblijnym zawdzięczam w każdym razie to, że mogłem później czytać niemieckich klasyków w oryginale. Wśród niewielu książek, znajdujących się w szklanej szafie w naszym kochanym domu, odkryłem pewnego dnia wydanie psalmów w oryginalnej hebrajszczyźnie z jednoczesnym tłumaczeniem niemieckim Mozesa Mendelssohna (tekst niemiecki wydrukowano hebrajskimi czcionkami).

W jaki sposób trafiła do nas ta zabroniona, „trefna" książka? W miasteczku Łęczyca żył wuj ze strony matki, który popadł w „sidła" ruchu oświecenia (w ogóle rodzina mojej matki dumna była ze swego wykształcenia i grała chętnie rolę „duchowej arystokracji" wobec krewnych ojca). Od tego nie żyjącego już wuja pochodziła owa książka. Miałem wrażenie, jakby to było posłannictwo, przesłane mi przez niego z zaświatów. Ponieważ tekst hebrajski znałem bardzo dokładnie, mogłem bez trudu rozumieć niemieckie tłumaczenie — i wiele godzin poświęciłem na to, by „niemieckiego" wyuczyć się na pamięć. Przypadek

chciał, że właśnie w tym czasie zawarłem przyjaźń z moim kolegą ze studiów — Awrejmlem. Jego ojciec, zaliczany do najbogatszych ludzi miasta, był skrytym zwolennikiem ruchu oświecenia, czyli tzw. maskilem. Miał w swoim domu całą bibliotekę niemieckich klasyków w tanich wydaniach. Dzięki pośrednictwu mojego przyjaciela, Awrejmla, mogłem wypożyczać cienkie, oprawne niebiesko książki kieszonkowego formatu. Rzuciłem się na nie jak człowiek bardzo czegoś spragniony. Ojciec mojego przyjaciela, wielki miłośnik Heinego, jak każdy „oświecony" Żyd, dał mi jako pierwszą lekturę *Księgę pieśni*. Muszę wyznać, że nie wywarła ona na mnie wielkiego wrażenia. Nie znałem jeszcze wówczas utrapień miłosnych i wydawało mi się, że są rzeczy ważniejsze jeszcze niż miłość, o których chciałbym się czegoś dowiedzieć. Nadto nie podobał mi się ironiczny ton Heinego. Biblia i Talmud przyzwyczaiły mnie, by każde drukowane słowo uważać za prawdę, świętość i drogowskaz; lekkiego, żartobliwego rodzaju, którym posługiwał się w swej twórczości poeta, nie mogłem zrozumieć. Również w późniejszym czasie nigdy mnie lektura Heinego — rzecz to szczególna — nie porywała. Duch zaprzeczenia i cynizmu jest charakterystyczny dla żydostwa dekadenckiego, twórczość żydostwa, podobnie jak twórczość Aryjczyków, charakteryzuje duch afirmacji. W osiągnięciu pełnej przyjemności z poezji Heinego przeszkadzała mi także pewna fragmentaryczność jego twórczości, która i dla niego samego była przekleństwem. Natomiast ogromne wrażenie wywarł na mnie Goethe. Jego liryka dostarczyła mi wiele światłości i pociechy. Również Schiller mną zawładnął, chociaż trudniej mi było wniknąć w jego twórczość. Jednakże lektura ta — rzecz osobliwa — nie wpłynęła na to, bym sam zaczął pisać wiersze, i muszę z dumą podkreślić, żem nigdy na obszarze liryki niczym nie zgrzeszył. Forma ta była dla mnie czymś obcym i niepojętym. Mój stosunek do słowa drukowanego przeniknięty był, zgodnie z całym moim wychowaniem — religijnym wprost pietyzmem i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczegóż to koniecznie trzeba pisać wierszem. Czy można sobie wyobrazić rymowaną Biblię?...

Natomiast dramaty niemieckich klasyków, którem czytał po wierszach, wywierały na mnie bardzo głęboki i poważny wpływ. Przynosiły mi religijne treści, tak poszukiwane przeze mnie w nowej Torze. Najsilniejsze wrażenie odebrałem z pierwszej części *Fausta* Goethego. Chociaż wielu rzeczy nie zrozumiałem, to jednak wzruszyła mnie treść wielu partii utworu, w szczególności głęboko ludzki los Małgorzaty. W wierszach dramatu wyczuwałem religijną powagę, przenikającą je bez reszty. Do dziś książka ta stanowi moją „świętą" lekturę i w chwilach poważnych sięgam po nią tak samo, jak po Biblię. Tłumaczy się to tym, że powaga tego dzieła budziła we mnie ogromny szacunek.

Do dnia dzisiejszego nie potrafię nawiązać kontaktu z dziełem, które — choćby było nie wiem jak genialne — nie przedstawia świata i ludzi z religijną powagą... Również *Zbójcy* i *Dziewica Orleańska* Schillera zrobiły na mnie silne wrażenie, natomiast *Natan Mędrzec* Lessinga podziałał dziwnie chłodno. Miałem uczucie, że taki Żyd nigdy nie istniał, i fantastyczna postać przez poetę stworzona wcale mnie nie porwała. O wiele bardziej pociągał mnie Kleist (chociaż nie rozumiałem go całkowicie) swoim mistycyzmem i głęboką powagą. Także Hebbel silnie na mnie oddziaływał, wszakże bardziej swoimi realistycznymi niż historycznymi dramatami, bowiem w ogóle od wczesnej młodości więcej związany byłem z realnym życiem niż z fantazją. Każda scena realnego

życia mogła wywrzeć na mnie niesłychane wrażenie, fantazja i deklamatorstwo wywoływały chłód i obojętność.

Dopiero w owym czasie obudziło się we mnie pragnienie pisania. Byłem przekonany w swej naiwności, że rymów wprawdzie układać nie potrafię, ale potrafię — dramaty. Lecz w jakim języku? Wiedziałem, że język, którego używam w codziennym życiu i który wokół mnie rozbrzmiewa, to „żargon" i nie nadaje się do tego, by wyrażać w nim „wyższe wartości". Hebrajski, który studiowałem wówczas pilnie z kolegami, nie odpowiadał mi, gdyż dla treści, jakie pragnąłem opisać, wydawał się za zwięzły, za lapidarny.

Myślałem naturalnie w języku *yidisch* i z trudem musiałem szukać hebrajskich słów, by przetłumaczyć moje myśli. I hebrajszczyzna, wywierająca na mnie taki czar podczas czytania w Biblii o życiu patriarchów, od razu wydała mi się pusta, sztuczna i fałszywa, gdym próbował dopasować ją do uczuć i obrazów mających związek z życiem w mojej okolicy. Tak więc zdecydowałem się — bowiem i tak pisałem wyłącznie dla siebie samego — komponować moje dramaty w „języku niemieckim", który znałem z czytania, używając jednakże alfabetu hebrajskiego. Nie trudno zgadnąć, co to była za „niemczyzna". W moich dramatach roiło się wprost od słowa „występek", poznanego z przekładu psalmów Mendelssohna. Tematów dostarczały mi: moje własne życie, moje młode cierpienia, moje pragnienia i tęsknoty do wielkiego świata, przy czym mieszały się z sobą fantazja i rzeczywistość. Z ochotą i radością smarowałem swoje hieroglify na niezliczonych arkuszach papieru a faktazja prowadziła mnie w cudowne światy, gdziem przydzielał sobie najwspanialsze role, byłem człowiekiem, który wybawił naród żydowski z niewoli i zawiódł go na powrót do jego własnego kraju — więcej jeszcze: byłem tym, który zbawia świat cały, naprawia wszelkie krzywdy i usuwa zło bezpowrotnie i na zawsze.

Ale niedługo mogłem cieszyć się swoim szczęściem, wnet bowiem tak się stało, że zamiast studiować Talmud, czytałem potajemnie pod stołem książki „gojów" i moje żarliwe „kiwania" poświęcone były tym zabronionym pismom, nie zaś komentarzom Talmudu. Można sobie wyobrazić, jakie wywołało wzburzenie to odkrycie nie tylko u moich nauczycieli, lecz także u moich najbliższych! Ojca, jak już wspomniałem, nie było cały tydzień w domu, matkę pochłaniało całkowicie gospodarstwo domowe. Tak więc nadzór nad moim wychowaniem przejęli moi najstarsi bracia. Przeszukali tedy moje kieszenie, czy nie ma w nich książek i innych ukrytych rzeczy — znaleźli przy tym nie tylko owe małe tomiki w niebieskiej oprawie, ale również moją własną produkcję literacką. Jedno i drugie skazano, wzorem Inkwizycji, na śmierć w płomieniach i dostąpiłem zaszczytu, że moje własne pisma spłonęły w tym samym ogniu, co niemieccy klasycy. Na tych naszych „duchowych dzieciach" ugotowała matka garnek kartofli. Ja sam ze względu na swój zawód, jak wielu już pisarzy przede mną, musiałem znosić haniebną egzekucję na swojej własnej skórze...

Widziałem tylko dwie możliwości przed sobą: albo odebrać sobie życie, albo pójść w świat.

Ponieważ nie miałem żadnej ochoty na to, by pozbawiać się życia, wybrałem tę drugą możliwość. Jednakże brakło mi odwagi, by pójść gdzieś dalej. Tak więc wybrałem posadę „nauczyciela", którą zaofiarował mi krewny. Zaproponował mi, bym zamieszkał u niego w pobliskiej wsi, gdzie prowadził mleczarnię, i nauczył jego dzieci Biblii oraz przynależnych do niej komentarzy Raszi'ego.

Jeden pełny rok spędziłem na wsi. Niestety, nie miałem żadnych książek, gdyż ów oświeceniowiec z Kutna, po stratach, jakich doznał przeze mnie, nie chciał niczego więcej pożyczyć. Ale że spragniony byłem wiedzy, za pieniądze, którem zarobił moim nauczaniem i które pierwotnie przeznaczyłem na moją planowaną podróż do wielkiego miasta — sprowadziłem sobie książki. Niewiele otrzymałem książek za swą nędzną pensję, posiadłem natomiast inną księgę, z której piłem pełnymi haustami: naturę, która mi tutaj na wsi objawiła się po raz pierwszy. Wykorzystywałem każdą wolną chwilę na włóczęgę po lasach i polach, śledziłem tajemnicę skał i zagajników.

Las zimą wywierał na mnie znacznie większy urok niż latem. Również pokryte śniegiem pola wywoływały swoiście cudowne wrażenia. Właziłem do chłopskich zagród, poznawałem ich mieszkańców i wiejskie życie. Owego roku na wsi o wiele lepiej poznałem — tak myślę — przyrodę i ludzi niż później z książek.

Odtąd odczuwałem namiętną wprost potrzebę uważnego obserwowania ludzi i poznawania życia we wszystkich jego przejawach. To przysparzało mi nieraz cięgów — ale nie mogłem inaczej. Gdziem zobaczył coś, co mnie interesowało, przystawałem. Podsłuchiwałem kłótnie małżeńskie, uczestniczyłem w każdym zbiegowisku ulicznym, latem odwiedzałem każdy odpust wiejski. Cięgi za to zbierane były zazwyczaj podwójne: od chłopów i od Żydów; lecz moja namiętność obserwowania ludzi i poznawania życia nie zmniejszyła się.

Po roku pobytu na wsi obudziła się we mnie tęsknota do miasta i powędrowałem do Włocławka, większego grodu prowincjonalnego w pobliżu granicy niemieckiej. Ciągnęło mnie tam, ponieważ Włocławek słynął z tego, że był kulturalniejszy i bardziej oświecony niż moje rodzinne miasto. Miałem tam również większą możliwość otrzymywania książek, dzięki którym podjąłem dzieło samokształcenia. Ale otrzymać lekcje było ciężko, gdyż we Włocławku mieszkali lepsi i bardziej ode mnie wykształceni nauczyciele. Wobec czego zacząłem zarabiać na swoje utrzymanie jako pisarz listów.

Do pracy tej doszło w sposób następujący: jednego dnia przyszedł do mnie pewien rymarz z prośbą, aby do jego narzeczonej (czy też ukochanej) napisać list. Poprosiłem go tylko o jej imię, wszystko inne zrobiłem sam. Naturalnie napisałem gorący list miłosny, który wywołał na odbiorczyni ogromne wrażenie. Tym sposobem ugruntowałem swój zawód pisarza listów i wkrótce znało mnie już całe miasto. I oto zaczęli przychodzić do mnie żądni kochania młodzieńcy, zdradzone narzeczone, które gorącymi słowami listu pragnęły rozpalić na nowo wygasły ogień miłości u swych uwodzicieli, zjawiały się również leciwe matrony, pragnące obudzić w swoich dzieciach za Oceanem współczucie dla ich starości. Ale zamawiano u mnie także i inne rodzaje listów. Tak np. zaprowadzono mnie kiedyś tajemnym wejściem do kilku dziewcząt, które jako „żywy towar'" handlarze wywieźli następnie do Argentyny.

Moja praca pisarza listów dała mi sposobność wniknięcia w najskrytsze tajemnice ludzkiego życia. Dowiedziałem się rzeczy intymnych, o których nie miałem pojęcia, i poznałem najtajniejsze wydarzenia życiowe. Temu okresowi zawdzięczam również pomysł swojego dramatu *Bóg zemsty*.

Rok na wsi, gdziem poznał przyrodę, był moją szkołą podstawową — ale czas, kiedy w prowincjonalnym mieście Włocławku pisałem listy, był — jak mówi Gorki — „moim uniwersytetem".

Uczyłem się mało, czytałem bardzo wiele — od powieści brukowych do dzieł filozoficznych, wszystko, co mi wpadło w ręce. Największe wrażenie wywarli na mnie Lew Tołstoj, Gerhart Hauptmann i polski pisarz, Bolesław Prus. Zarażony nastrojami nacjonalistycznymi, które wówczas — po powstaniu syjonizmu — panowały w żydowskim getcie, stałem się, recz jasna, zapalonym syjonistą, marzyłem o nowej Palestynie, pisałem na tematy narodowe, ugniatając przy tym w pocie czoła moje myśli i obrazy w języku, którym nie władałem w pełni i który daleki był od przedstawionego przeze mnie życia. Zrozumiałem rychło, że moja próba zastosowania — dla opisu życia, które mnie otaczało — starych form hebrajskiego języka, musiała doprowadzić do jednego z dwojga: albo do tego, że język skarłowacieje, albo że moim myślom i obrazom zostaną poobcinane skrzydła. Tak więc hebrajszczyzna, w której pisałem, była dla mnie czymś w rodzaju łoża prokrustowego — jednakże nie przyszło mi na myśl, bym, jako Żyd, pisał w innym języku. O istnieniu literatury żydowskiej nie miałem wtedy zielonego pojęcia.

I oto wpadły mi do rąk przypadkowo w czasie pewnego zgromadzenia socjalistycznego — akurat wówczas poczęły się tworzyć takie grupy w żydowskich miasteczkach — opowiadania J. L. Pereca, *Sztrajmel* i *Boncie Milczek*, jak również kilka numerów pierwszego żydowskiego tygodnika, *Der Jid*, który również wtedy zaczął się ukazywać. Uczucia, jakie te pisma we mnie obudziły, nie da się opisać. Miałem wrażenie, jakby ktoś zdjął z moich rąk kajdany: mocny Boże, toż ja mogę pisać tak, jak mówię, o życiu, które widzę, w którym uczestniczę! Nie muszę wchodzić na szczudła sztucznego dla mnie języka, nie muszę znosić motywów z „Góry Syjonu". Mimo to nie śmiałem pisać po żydowsku — gdyż wydawało mi się to za proste, za łatwe.

Latem 1899 roku pojechałem do Warszawy, aby na własne oczy zobaczyć wielkiego czarodzieja Pereca, który uwolnił moje ręce od kajdan. Z bijącym sercem zapukałem do jego drzwi. Naturalnie mówiłem do niego po hebrajsku — jakże inaczej śmiałbym mówić do tak wielkiego człowieka! Przedłożyłem mu obrazek nastrojowy, napisany przeze mnie w języku hebrajskim. Przejrzał to i wydał wyrok: „Pan chce coś powiedzieć, ale pan nosi gorset. Wracaj pan do domu, napisz pan tam to, co chcesz powiedzieć, po żydowsku i przyślij mi".

U Pereca spotkałem wówczas znanego później żydowskiego nowelistę i eseistę, Nomberga. Czytał Perecowi swoje opowiadanie *Oczy*. Słuchałem z ciekawością, pełen podziwu, że coś takiego można wyrazić po żydowsku. Nomberg zabrał mnie do swego mieszkania i tam poznałem drugiego przyjaciela mojego życia, wielce potem sławnego poetę ludowego, Abrahama Rajzena. Obaj zajęli się mną po przyjacielsku i namawiali, abym porzucił sztuczną hebrajszczyznę i spróbował pisać w mowie żydowskiego ludu, w języku *yidisch*. Tego dnia zawarliśmy we trzech przymierze na całe życie.

Powróciłem do swego miasteczka i zabrałem się na serio do pisania w języku żydowskim. Nowy świat otworzył się przede mną. Pojawiały się obrazy oblekające się w moich oczach w wyraźne kształty, słowa spływały bez trudu z mojego pióra. Gotowe szkice posłałem Perecowi, ale nie otrzymałem odeń żadnej odpowiedzi. W „miasteczku" nie mogłem dłużej wytrzymać — ciągnęło mnie do nowych znajomych w Warszawie: do Nomberga i Rajzena. W końcu stulecia pojechałem do rodziców, by się z nimi pożegnać, i wkrótce potem przesiedliłem

dę, na los szczęścia, do Warszawy. Pewnego sobotniego popołudnia stanąłem nowu z bijącym sercem przed Perecem. Tym razem przeczytałem mu historię dziecięcą napisaną po żydowsku. Podobała mu się i polecił ją redaktorowi jedynego żydowskiego tygodnika *Der Jid*. Dostałem pierwsze honorarium, siedem ubli (które natychmiast podzieliłem między siebie i moich nowych przyjaciół) — i stałem się pisarzem.

Cała literatura żydowska rozporządzała wówczas jednym jedynym tygodniem. Ponieważ w kraju carów zabroniono wydawać w druku dzieła żydowskie, pismo ukazywało się w należącym do Austrii Krakowie. Wielcy pisarze, jak Mendele Mocher Sforim, Szolem Alejchem, Perec, genialny liryk Morris Rozenfeld, publikowali swoje utwory po „żydowsku"; oczywiście dla młodych początkujących autorów niewiele pozostawało miejsca. W pierwszym roku mojego warszawskiego pobytu nie wydrukowałem nic więcej prócz wymienionego opowiadania, moje całkowite dochody z honorariów wynosiły siedem rubli — dawno je przejadłem. Teraz zaczęły się lata głodu i biedy. Mieszkaliśmy razem z Abrahamem Rajzenem w warsztacie u biednego stolarza, który pozwolił nam wstawiać na noc łóżko. W dzień wałęsaliśmy się obaj po ulicach, jak dwa głodniałe wilki. Jedynym, który w naszym trójprzymierzu trochę zarabiał, był Nomberg, gdyż miał posadę prywatnego nauczyciela. Ze wzruszającą wiernością koleżeńską dzielił się on z nami każdego wieczoru odrobiną swego chleba i herbatą. Lecz wkrótce i on stracił swoją posadę — i wtedy byliśmy zmuszeni radować się najrozmaitszych rzeczy, o których lepiej nie wspominać.

...jadaliśmy w kuchniach ludowych lub nie jadaliśmy wcale, często spaliśmy pod gołym niebem. Od czasu do czasu udawało się jednakże wydrukować jakieś hebrajskie opowiadanie w hebrajskim dzienniku *Hacefirah*. Ale niemożliwością było zdetronizować literaturę żydowską. A my byliśmy już wtedy zdecydowanymi zwolennikami języka ludu i uważaliśmy się za jego szermierzy. Tu muszę z miłością wspomnieć ludzi, którzy nam w tych ciężkich czasach pomagali: wydawcę Litzkiego, popierającego zawsze język żydowski, i właściciela restauracji mlecznej, Jechiela Kotika, udzielającego nam długotrwałego kredytu na spożywane o niego posiłki. Opisałem go w mojej powieści *Warszawa*.

W tych latach głodu i biedy poznałem nędzę we wszystkich jej przejawach. To była moja najlepsza mistrzyni. Myślę, iż każdy, kto chce być pisarzem i odwarzać losy ludzkie, sam musi przejść szkołę głodu... Lata głodu bardziej mnie wzbogaciły niż lata sytości. Im zawdzięczam pomysły utworów *Motke złodziej*, *Bóg zemsty* i książki *Warszawa*.

Wszyscy trzej mieliśmy jedno jedyne święto w tygodniu. To było popołudnie w dzień sabatu, gdy zbieraliśmy się w skromnym mieszkaniu naszego mistrza, I. L. Pereca. Podczas tych odwiedzin były zawsze ciastka i kawa, ale dużo więcej było strawy duchowej. Czytaliśmy Perecowi nasze utwory, a później w owym małym pokoiku poddawano je pod osąd kolegów (nie posiadaliśmy innej opinii publicznej). I tam zapadały decyzje: dobrze lub źle. Perec zachęcił nas również wtedy do zajmowania się folklorem i tak oto każdej soboty jeden przynosił ze sobą ludową piosenkę, zasłyszaną przypadkowo na ulicy lub w jakimś warsztacie, drugi jakąś starą gadkę lub legendę. Mistrz zbierał te wszystkie rzeczy. Wiele jego słynnych „opowieści ludowych" pochodzi z tego materiału, z którego później czerpał również znany pisarz, Anski, autor *Dybuka*. Popołud-

nia w dzień sabatu u Pereca były w okresach mojego głodu jasnymi promie
niami życia.

W tym czasie ojciec mój był zmuszony, w tak późnym wieku swego życia, sprzedać dom, który sam wybudował dla swoich dzieci; wywędrował wraz z całą liczną rodziną do Ameryki. W kraju pozostali tylko dwaj ożenieni bracia i — ja, który zapuściłem tutaj korzenie. Przez przypadek poznałem wówczas mojego przyszłego teścia, Szpirę. Moja teściowa stała się dla mnie czymś więcej niż matką. Zakończył się okres głodu i bezdomności.

Nie będę opisywać jeszcze raz domu mojego teścia, zrobiłem to obszernie w mojej powieści *Warszawa*. Wielu bezdomnych studentów, którzy w tym mieszkaniu znaleźli ciepło rodzinne, a w mojej teściowej — matkę, może poświadczyć, że o bezgranicznej dobroci tej rzadkiej kobiety powiedziałem nie za wiele, lecz raczej — z uwagi na powściągliwość w opisywaniu spraw rodzinnych — za mało.

Moja żona była tak samo młoda i niedoświadczona jak ja. Wychowywaliśmy się wzajemnie. Prawie trzydzieści lat trwa nasze szczęście. Z naszego małżeństwa narodziło się czworo dzieci: najstarszy syn Nathan, utalentowany młody pisarz amerykański, który ostatnio zdobył sobie uznanie również w Niemczech, drugi, Mozes, studiował radiotechnikę i pracuje w Ameryce w swoim fachu, Johanan, trzeci syn, ukończył w Ameryce szkołę rolniczą i pracuje w swoim zawodzie w Palestynie; nasza najmłodsza córka, Ruth, jest przy nas. O mojej żonie pisać nie mogę, gdyż sądzę, że na nas sprawdza się zdanie z Biblii: „Jedną staliśmy się duszą".

W rok po naszym ślubie przyszedł na świat syn. Moi teściowie byli to ludzie pracowici, ale biedni. Moje dochody nie powiększyły się przez ożenek. Teść pragnął, abym studiował. Moja żona, nauczycielka z zawodu, przyjęła posadę w prowincjonalnym polskim miasteczku. W rok po urodzeniu naszego pierwszego dziecka, musieliśmy się rozdzielić: moja żona udała się z dzieckiem na prowincję, aby objąć posadę nauczycielki, ja — do Krakowa na studia.

W Krakowie poznałem prawdziwie wspaniałą osobistość, polskiego krytyka Stanisława Witkiewicza, jako też słynnego już wtedy polskiego pisarza, Stefana Żeromskiego. Obaj bardzo mnie popierali, nie z żadnych innych względów jak tylko z czystej miłości bliźniego. Nie namawiali mnie, abym przeszedł na pisanie po polsku, przeciwnie — zachęcali do pisania w języku mojego narodu. W Witkiewiczu znalazłem nauczyciela i przewodnika, a od Żeromskiego nauczyłem się pojmować poważnie swój zawód i służyć bez reszty mojemu narodowi. W owym czasie, gdym miał szczęście być razem z tymi dwoma ludźmi stałem się znacznie dojrzalszy. W ich kręgu napisałem też moje pierwsze dramaty: *Nawrócony* i *Grzech*. Pani Witkiewiczowa przetłumaczyła pierwszą ze sztuk, pod moim dyktandem, na polski. Witkiewicz i Żeromski robili starania aby mój pierwszy dramat przyjął Polski Teatr Narodowy w Krakowie (co z uwagi na stosunki między Polakami i Żydami, stanowiłoby wówczas wydarzenie). I rzeczywiście ujrzałem wkrótce mój pierwszy dramat na scenie. Tutaj muszę wtrącić uwagę: znam bardzo dobrze cierpienia, które moi bracia musieli znosić z powodu antysemityzmu na całym świecie. Ale ja osobiście nie odczułem antysemityzmu, przeciwnie, moi koledzy-chrześcijanie wciąż mnie popierali i w środowiskach chrześcijańskich spotykały mnie zawsze — mimo iż, rzecz jasna, dźwigam na sobie cechy mojej rasy i narodu — ciepło i braterską miłość.

kuję Bogu za to, ponieważ uchroniło mnie to od rozgoryczeń i pozwoliło dpłacać moim chrześcijańskim bliźnim pięknym za nadobne...

wystawieniu mojej pierwszej sztuki poprawiła się nieco nasza sytuacja erialna. Udało się wreszcie — po rewolucji 1905 roku — uzyskać od rządu kiego zezwolenie na wydawanie pierwszego żydowskiego dziennika *Der nd.* To stworzyło nam możliwości częstszego publikowania prac literac- . Ponadto pod wpływem rewolucji ujawniło się w żydowsko-demokratycz- kręgach Polski i Rosji większe zainteresowanie żydowskim językiem. lniłem więc moją żonę od wykonywanego przez nią zawodu i mogliśmy zno- yć razem. Obecność żony i dziecka wpływała owocnie na moją twórczość. iknej, położonej nad Wisłą miejscowości, gdzie prowadziliśmy skromne e, ukończyłem wówczas mój pierwszy utwór epicki, *Miasteczko*, który umoc- noje znaczenie w literaturze żydowskiej i uczynił mnie sławnym. *Miasteczest* do dziś jedną z ulubieńszych książek mas żydowskich, przetłumaczono a wiele języków i włączono do lektury szkolnej.

dnocześnie kontynuowałem twórczość dramatyczną. Moją trzyaktówkę *y Mesjasza,* przetłumaczoną na język rosyjski, wprowadziła na scenę rka rosyjska Komissarżewskaja. Dzięki tej sztuce moje nazwisko weszło do atury rosyjskiej. Życzliwie przyjęto ją również na scenach żydowsko-ameańskich i polskich.

kces *Czasów Mesjasza* na scenie rosyjskiej umożliwił nam pierwszy wy- za granicę. Nasza mała rodzina — w międzyczasie urodził się drugi syn — siedliła się do Kolonii. Ciągnęło mnie tam już od dawna, gdyż działał na e czarodziejski urok legend żydowskich na temat miejsc i okolic zamieszanych przez pierwszych aszkenazyjczyków. W czasie podróży zrobiliśmy y postój w Berlinie i tam zobaczyłem po raz pierwszy w moim życiu — Reindta i Schildkrauta.

einhadtowskie przedstawienie *Kupca weneckiego,* oglądane z ostatnich sc na galerii, zrobiło na mnie ogromne wrażenie, którego nie podobna opi- Wydawało mi się, że przeniesiono mnie w świat baśni. Niebo, krajobraz wa na scenie, wesoła, świeża filuterność dziewcząt i wreszcie — Schildkraut Shylok! Prosty Żyd o szerokiej naturze, stojący twardo jak kolumna i upoający się o swoje prawa. Jedynie realistyczne niuanse, np. branie noża do trochę mi przeszkadzały. Oczywiście moja fantazja wywołała natychmiast tną wizję — ujrzeć na scenie własną sztukę z Schildkrautem w roli głów- Chciałem pobiec za kulisy, by podziękować Schildkrautowi. Ale — czymże estem? Zabrakło mi odwagi.

Moja fantazja nie dawała mi spokoju. Widziałem wciąż przedstawienie einhardta i rolę dla Schildkrauta. W atmosferze tych wizji napisałem w Koi zimą 1906 roku dramat *Bóg zemsty.* Ale jak znaleźć drogę do Reinhardta? śmiałem nawet o tym marzyć.

atem pojechałem do Polski, aby mistrzowi Perecowi przeczytać swoją nosztukę. Z moich wcześniejszych utworów dramatycznych nie był Perec zaolony. Tłumaczył mi, że nie jestem dramatopisarzem i trwonię jedynie czas ąc utwory teatralne. Sztuką *Bóg zemsty* chciałem poprawić jego o mnie nię. I oto, Boże drogi, cóż usłyszałem po jej przeczytaniu! Wszyscy obecni edzy wyśmiali mnie, a mistrz radził całkiem serio, bym sztukę zniszczył, ż unicestwię nią swoją tak pięknie rozpoczętą karierę.

Wówczas powiedziałem sobie: „Każdy odkrywca odkrywa tylko s a m e g
s i e b i e" — i powziąłem mocne postanowienie nigdy nie być nauczycielem
Opuściłem Polskę i uniezależniłem się od mojego mistrza.

Już dawniej zwrócił na mnie w Ameryce uwagę słynny żydowski przywódc
robotniczy i pisarz angielski, Ab Kahane. Przed kilku laty objął on w Nowyr
Jorku redakcję socjalistycznej żydowskiej gazety *Naprzód*, czyniąc z nie
jedno z największych pism świata. Kahane jeszcze w okresie moich początkó
napisał o mnie kilka artykułów i stał się później moim przyjacielem i długole
nim redaktorem. Z nim i z jego gazetą jestem związany głęboko po dziś dzie
Właśnie wtedy polecił mnie on znanemu żydowsko-amerykańskiemu aktorow
Jakubowi Adlerowi, odbywającemu akurat podróż po Europie w poszukiwani
sztuk dla swego repertuaru; spotkaliśmy się z Adlerem w Karlovych Varac
Kahane przedstawił mnie jako młodego, uzdolnionego dramatopisarza i prze
czytałem Adlerowi *Boga zemsty*.

— I pan chce, bym grał tę sztukę przed żydowskimi kobietami? Nigdy! —
tak brzmiała decyzja Adlera.

Byłem zrozpaczony, jednakże nie przestałem wierzyć w swój utwór.

Sukces *Czasów Mesjasza* na rosyjskiej scenie zwrócił na mnie uwagę tłuma
cza sztuki Gorkiego *Na dnie* — pana Schulze, i pewnego dnia otrzymałem o
niego list wraz z wycinkiem artykułu, jaki ogłosił o mnie w *Berliner Tage
blatt;* zapytywał jednocześnie, czy nie mam czegoś nowego. W początkach zi
my pojechałem do Berlina i odszukałem pana Schulze. Zaprowadził mnie d
Reinhardta.

— Mam tylko żydowski oryginał sztuki — powiedziałem.

— Chciałbym posłuchać, jak to brzmi w oryginale — usłyszałem w odpo
wiedzi głos Reinhardta.

Tego samego wieczoru odbyło się czytanie. Obecni byli Reinhardt, Herman
Bahr, Kahane i Feliks Hollaender. Reinhardt rozumiał wszystko, Kahane tylk
pojedyncze sceny, Bahr i Hollaender nie rozumieli nic. Reinhardt objaśnił im
o co chodzi...

Następnego dnia mogłem donieść żonie telegraficznie tak ważną dla nas de
cyzję: sztuka przyjęta!

Również na scenie rosyjskiej *Bóg zemsty* miał ogromne powodzenie. Poje
chałem do Petersburga na premierę. Muszę tutaj, pełen wdzięczności, przy
pomnieć przyjaźń i braterską miłość, jaką okazali mi pisarze rosyjscy, a nad
wszystko słynny już wówczas Leonid Andrejew. To on sprawił, że w almana
chu *Szipownik*, z którym współpracował, ukazały się moje opowiadania. Takż
Gorki okazał mi później swoją przyjaźń, drukując moje prace w redagowanym
przez siebie piśmie *Znanije*, które — podobnie jak wymieniony almanach —
znane było szeroko w całej Rosji.

W Niemczech, jako pierwszy, przedstawił moje utwory niemieckiej publicz
ności wydawca S. Fischer; składam mu na tym miejscu najgłębsze dzięki.

Po sukcesie *Boga zemsty* odbyłem swoją pierwszą podróż do Egiptu i Pale
styny. Ziemia moich ojców wycisnęła na mej twórczości niezatarte piętno. P
owej podróży przez dłuższy czas znajdowałem się pod „terrorem" biblijnyc
motywów, poświęcając im bez większego powodzenia kilka lat mojej pracy
Chociaż właściwie stoję z dala od syjonistycznej ideologii, a nawet pewne je
formy uważam za szkodliwe, to jednak od chwili ujrzenia Palestyny jesten

tuzjastą użyźnienia tej spustoszonej ziemi przez produktywną pracę żydow-
ą. Krajobraz i żydowski idealizm, który wszędzie dawał o sobie znać w spo-
b tak wyraźny, uczyniły ze mnie zwolennika żydowskiej kolonizacji, wszela-
bez owej ideologii lub inspiracji do „żydowskiego państwa". Zagadnieniu
mu poświęciłem wiele artykułów i przemówień. Później odbyłem jeszcze
vie podróże do tego kraju. Niedawno wybrano mnie również na członka
Jewish Agency".

Następną podróż odbyłem do Ameryki, aby odwiedzić tam swoich rodziców
odzeństwo. Ojciec mój już wówczas nie żył. Na krótko przed śmiercią przed-
ęwziął uciążliwą podróż do Polski, ponieważ nie chciał umrzeć w żadnym in-
m kraju, jak tylko w tym, gdzie się urodził, i pragnął być pochowany tam,
dzie spoczywali jego rodzice. Również matkę moją przewiozłem z Ameryki do
olski; mieszka ona w naszym rodzinnym mieście — Kutnie.

W Ameryce zetknąłem się po raz pierwszy z życiem żydowskich robotników,
ich dążeniami i nadziejami. Odtąd jestem im bliski i wszystkie moje siły
oświęcam żydowskiej demokracji. Już wówczas nawiązałem ścisły kontakt
pismem, w którym wszystkie moje dotychczasowe utwory ujrzały po raz
erwszy światło dzienne. Literatura żydowska rozporządza bardzo małą ilo-
ią specyficznie żydowskich czasopism. Zastępuje się je dziennikami, w któ-
ch wielcy pisarze żydowscy, jak Mendele, Szalem Alejchem, Perec i inni
ukowali po raz pierwszy swoje utwory. Wzorowałem się na nich, w Ame-
ce ukazały się moje prace najpierw w *Naprzodzie*, w Polsce w znanym
dowskim dzienniku *Der Najer Hajnt*.

Bóg zemsty był moim błogosławieństwem, ale także moim przekleństwem —
atego: strzeżcie się młodzieńczych sukcesów!

Odtąd przypominano mi na każdym kroku *Boga zemsty*. Ani *Przymierze sła-
ych*, wystawione w Teatrze Kameralnym przez Reinhardta, ani grana w Wied-
u komedia, *Rodzina Grossglueck*, nie miały powodzenia.

Zacząłem się lękać teatru; obawiałem się, by nie podzielić losu wielu pisa-
y — których połknął wilk zwany „teatrem". Przestałem więc pisać dramaty.
tegoż samego powodu nie zamieszkałem w Berlinie, lecz w Paryżu. Wiednia
szcze wtedy nie znałem. Wciąż jednak miałem słabość do malarstwa; jest to
dyna bliska mi i zrozumiała sztuka.

Po wybuchu wojny w roku 1914 wywędrowałem — nie chcąc brać udziału
morderczym szaleństwie, które objęło świat — wraz z rodziną — mieliśmy
ówczas czworo dzieci — do Ameryki, gdzie rodzice i bracia utorowali mi już
zedtem drogę. Ja i moi bracia staliśmy się amerykańskimi obywatelami.

W Ameryce zacieśniłem jeszcze bardziej istniejącą już ścisłą łączność z *Na-
zodem*. Pismo wyznaczyło mi skromną pensję nie narzucając jednakże
dnych innych zobowiązań prócz tego, że opublikuję najpierw w nim wszy-
kie swoje nowopowstałe utwory. To stworzyło mi możliwość spokojnej pracy,
mojej rodzinie zapewniło skromną egzystencję. Pod wrażeniem wojny napi-
łem wtedy książkę *Motke złodziej*. Ponadto powstały w Ameryce: powieść
ujek Mozes, jak również — napisane pod wpływem okrutnych prześladowań
dów w czasie wojny — nowele historyczne *Męczeństwo wierzących* i *Cza-
wnica z Kastylii*. Później powstało jeszcze kilka tomów opowiadań.

Wszelako podczas pobytu w Ameryce nie ograniczyłem się jedynie do pisar-
wa. W czasie wojny czułem się, jak każdy człowiek, żołnierzem — ale nie żoł-

nierzem zniszczenia, lecz żołnierzem gojenia ran. Uczestniczyłem w komitecie pomocy amerykańskich Żydów dla ich cierpiących braci i próbowałem z całych sił budzić współczucie nie tylko dla nieszczęśliwych współplemieńców lecz i dla całej krwawiącej Europy. W tym celu objechałem dwakroć cały kraj wygłaszając w miastach odczyty. Stałem się członkiem wielkiej organizacji pomocy „American Joint Distribution Committee" a po zawieszeniu broni wysłano mnie w delegacji do umęczonej Europy. Jako delegat amerykańskiego komitetu pomocy przybyłem wkrótce po zakończeniu wojny do Berlina i zobaczyłem to ogromne miasto w dniach wielkiej biedy. Niestety, nie mogłem z pewnych względów, pojechać do mojej ojczyzny — do Polski. Natomiast narażając życie przewiozłem przez front polsko-litewski pomoc pieniężną z Kowna do Wilna wkrótce po zajęciu tego miasta przez Polaków. Piszę o tym wszystkim dlatego, że z mojej działalności w czasie wojny jestem tak samo dumny, jak z moich pisarskich osiągnięć.

Gdym z wyczerpującej podróży europejskiej powrócił do Ameryki, doznałem ogólnego załamania systemu nerwowego. Lekarze wysłali mnie na powrót do Europy. Moim zagrożonym nerwom potrzebny był spokój i wobec tego zamieszkałem w małym miasteczku nad Renem. Tam powstała powieść *Matka*. Potem w Paryżu napisałem *Elektryczne krzesło* i *Powrót Chaima Lederera*.

Już od dawna nosiłem się z myślą stworzenia jakiegoś większego utworu, który by odzwierciedlił idee i prądy oraz środowisko społeczne mojego czasu. Można pisać jedynie to, o czym się wie; napisać utwór zawierający wszystko, co wiem, com przeżył w tych burzliwych latach, co było sądzone naszemu pokoleniu — oto noszone we mnie od lat pragnienie. Aby je urzeczywistnić, przedsięwziąłem w r. 1928 podróż do Rosji Sowieckiej. Rosyjskie wydawnictwo państwowe „Fabrika i Ziemlja" nabyło ode mnie prawo wydawania moich ważniejszych utworów w języku rosyjskim.

W Ameryce i Anglii ukazało się wiele moich książek w angielskim tłumaczeniu, a obecnie wydawca amerykański Liveright przygotowuje wydanie moich dzieł zebranych. Wydanie hebrajskie ukazało się nakładem hebrajskiej firmy „Dwir" w Tel-Avivie (Palestyna), którym to wydawnictwem kieruje słynny pisarz Bialik. Francuskie i polskie przekłady moich utworów są w opracowaniu.

W Niemczech popadłem od czasu wojny w całkowite prawie zapomnienie. Chociaż książki moje wydano nakładem różnych firm (nadto od kilku lat w znakomitym przekładzie mojego „niemieckiego tłumacza" i przyjaciela, Siegfrieda Schmitza, zajmującego się tak wiernie moimi pracami), nie zaskarbiły sobie one większego uznania i tylko niewielu ludzi wie o ich istnieniu. Starsze pokolenie przypomniało sobie właśnie moje imię w związku z sukcesem, jaki niegdyś odniósł *Bóg zemsty*, co zawdzięczam profesorowi Reinhardtowi. Szalom Asz — mówią — aha, to ten, co napisał *Boga zemsty!* Jak gdybym od tamtego czasu nie stworzył nic więcej... Trwało tak do chwili, gdym spotkał sławnego pisarza, Franciszka Werfla, którego entuzjastą byłem już od dawna. Zrozumieliśmy się natychmiast, jak gdyby dusze nasze wytrysnęły z jednego źródła i rychło połączyły nas braterskie więzy. Werfel zaprowadził mnie do Pawła Zsolnaya, który okazał mi serdeczne zainteresowanie i pozyskał całe ciepło mojej przyjaźni. Zsolnay nabył prawa na moje książki od różnych wydawców i przypomniał mnie na powrót niemieckim czytelnikom. Na

jego wezwanie i za namową Stefana Zweiga zdecydowałem się napisać niniejsze chełpliwe wspomnienia — na owe pięćdziesiąte „urodziny", które podarowała mi moja żona...

Gdy dziś oglądam się wstecz na moje życie i moją pracę i zapytuję siebie, skąd czerpałem siły, by wydźwignąć się z nizin i zostać tym, czym jestem — to muszę tak odpowiedzieć: wszystko zawdzięczam ludzkiej dobroci i ludzkiej miłości, które okazywano mi na każdym kroku mojego życia. To wycisnęło na moim charakterze i mojej twórczości niezatarte piętno. Jestem do głębi przeniknięty wiarą w człowieczeństwo i w trosce o tę wiarę — w człowieczeństwie widzę ratunek ludzkości — podnoszę głos w każdym moim utworze. Do tego dochodzi pozostawione mi przez ojca dziedzictwo — jego siła moralna i fizyczna. Dalej podtrzymywał mnie przy życiu jednostajny, pracowity, tkwiący głęboko w moim sercu krajobraz rodzinnego miasta, który noszę w sobie tak samo, jak czcigodne oblicze mojego ojca. I wreszcie — jak sądzę — oddziaływała owa wsparta o wiarę w Boga i w ludzi siła etyczna, tak silnie zakorzeniona w każdym Żydzie. Ta pierwotna siła jest dziedzictwem krwi po naszych ojcach; ona wytworzyła typ Żydów słabych w swych ludzkich cechach, lecz mocnych w wierze boskiej, jakimi byli nasi przodkowie.

Przełożył
Jan Koprowski

M. L. Halpern

NASZ OGRÓD

(Z CYKLU „NOWY JORK")

Taki ogród, gdzie na drzewie
wisi siedem listków ledwie
i wydaje się, że wzdycha:
„Kto mnie rzucił tu do licha!"
Taki ogród, taki ogród,
gdzie przez szkło powiększające
trawki szukałbyś na łączce.
Czy to ogród nasz, myślicie,
taki właśnie jest o świcie?
Pewnie, że nasz ogród,
a co, nie nasz ogród?
Taki ptak, co nie pamięta,
że w swym gniazdku ma pisklęta,
dla ich brzuszków się nie trudzi
rano piosnką ich nie budzi.
Taki ptak, taki ptak, co nie wzbija się do chmurek,
nie próbuje wcale piórek.
Czy to nasz ptak, jak myślicie,
taki właśnie jest o świcie?
Pewnie, że nasz ptak,
a co, nie nasz ptak?
Taki strażnik, strach, gdy wspomnę,
z kijem jak na psy bezdomne.
Ludzi, co na trawie spali,
budzi i precz goni dalej.
Taki strażnik, taki strażnik,
co za kołnierz bierze tego,
który nic nie zrobił złego.
Czy to strażnik nasz, myślicie,
taki właśnie jest o świcie?
Pewnie, że nasz strażnik,
a co, nie nasz strażnik?

Przełożył
Stanisław Jerzy Lec

Izrael Emiot

LISTOPAD

Nie czekaj, ja proszę, nie czekaj, już pora,
nie zwlekaj, bo właśnie czas nadszedł.
Więc zagraj nam, smutku, żałobny swój chorał
po liściach opadłych na zawsze.

Staniemy milczący, by zdjąć kapelusze —
zdejmiemy je z dusz naszych własnych.
Bo w nich się uchował i w ciemność ich uszedł
i popłoch, i szelest liściasty.

Te liście przed chwilą wznosiły się górą,
aż wiatr je w dół strącił i zamilkł.
Och, jakże się one kłóciły z wichurą
i ze wszystkimi bogami!

Gdy giną bogowie, świat woła i krzyczy:
Bogowie umarli! O, biada!
Lecz wierz mi, że nie mniej jest w świecie goryczy,
gdy liść do rynsztoka opada.

NIE ZOSTAWIAJ MNIE SAMEGO

Dla mnie przecina się noc
na cztery czarne zwierciadła.
Ze świata taki idzie płacz,
jak z kołysek, gdy ciemność zapadła.
Nie zostawiaj mnie samego.

Wszystko uciekło ode mnie
jak od nędzarza
bogaty krewny ucieka.
Umyka ode mnie las,
odbiega rzeka.

Jest jeszcze muzyka piękna,
lecz i ona nocy się zlękła.
Nie zostawiaj mnie samego...

Ktoś uczynił ze mnie
stróża nocy ciemnej;
ciężko mi obejść jej obszary.
Ból dnia rozkruszył się jak szkło,
mój krok w jego ostrza się zarył.

Cisza, cisza, cisza.
Jej kroki mojej nocy strzegą.
Nie zostawiaj mnie samego.

Przełożył
Jerzy Ficowski

Meir Persiko

TEJ ZIMY...

Tej zimy, jednej tylko zimy, dwakroć umierałem.
Ziemia stała schylona, jakby nie wiedziała,
W którą stronę odwrócić sztylet swego cienia,
Który księżycem idąc w słońce się zamieniał,
Dwa razy wiatr w ogrodzie zakwilił mi córką
I karmił mnie mgieł drętwych rozmoczoną bułką.
To była pierwsza śmierć moja lepka i wodnista,
Trup rzucony w jesienią przepalone liście.
Bom się zakrztusił mgłami i pogodą błota,
Które mi w usta pchała zimy ręka bosa.
Zmartwychwstałem odwilżą, otrzepałem palto,
By nie zostać na zimy dnie naturą martwą.
Nogi chlapały w niebie farbą dni grudniowych,
Mnąc kolory po schodach
tłuści numerowi
Tętniąc zwalali w pociągi chmury na przystankach,
Chlipiąc kawę parzącą z zadymionych dzbanków.
Smarowali w maź rozmów dom mej drugiej śmierci,
Która znowu podobnie oślizgła jak pierwsza
Była w nagość zimową roślin przyodziana.
Biegłem z przystanku, gdzie czekałem w noc do rana
I kiedy dom mijałem — budę lada jaką —
Pożarł mnie bramą pustą, mlaskał moje smaki
Okien wnękami, co po nim jak rosole oczy
Płynęły jęzorami szklanych zmarzłych plwocin.

Luty 1958

TAXODIUM

Sadziłem taxodium nad brzegiem strumyka
Wśród wierzb i oleandrów waleriany dzikiej
I kolącego pierwowzoru jeżyn,
Wśród których nie ma ni dróg ani ścieżek;

Taxodium lub po prostu cyprys błotny jest taki,
Że ho-ho! ponad wszystkie i drzewa, i krzaki
Wychyli się ku niebu i nawet topola
Kanadyjska i zwykła nie dotrzyma mu pola.

Trzony smukłe i rozcapierzone gałęzie,
A z całego drzewa chyba najpiękniejsze
Igły miękkie, pachnące terpentyną i słońcem.
Lubię oba zapachy jednakowo kojące.

Lecz tymczasem szczep ledwo drzewo napomina
Nad brzegami w dolinie biegnącego strumienia,
Więc go miłośnie chronię od zalewu roślin,
Które wiatrem sadzone od dawna tu rosły.

Dół wyścieliłem ziemią, bo grunt kamienisty,
I, by słońca dać trochę, gałązki i listki
Krzewów okolicznych przyciąłem jak trzeba,
Aby mógł się mój cyprys piąć prosto do nieba.

Przyjdę tu za lat dziesięć albo za dwadzieścia:
Wówczas się na mój widok igły rozszeleszczą,
Razem z wiatrem przywita mnie wiecznie zielone
Taxodium nad strumykiem przeze mnie sadzone.

Luty, 1958

Meir Persiko

Salomon Łastik

O TAK ZWANEJ WOJNIE ŻYDOWSKIEJ

Po powstaniu listopadowym restrykcje władz carskich miały na celu zniszczenie polskiego przemysłu. Wysokie cło odbierało szanse zbycia towarów konkurencyjnych. Pozostawała jedna możliwość: produkowanie towarów bardzo wysokiej jakości albo też towarów w ogóle w Rosji nie produkowanych. Pamiętamy, że Polska za przegrane powstanie miała płacić kontrybucję w wysokości 22 milionów rubli w złocie. Ponadto miała utrzymać stutysięczną armię carską. Toteż pieniądz jest w owym czasie rzeczą najbardziej rentowną. Rosną więc instytucje bankowe. W roku 1840 Warszawa liczy dziesięć wielkich banków żydowskich, 166 mniejszych domów bankowych i 27 tzw. wekslarzy. W roku 1847 na 20 banków w Warszawie 17 było żydowskich, a w 1850 roku Warszawa liczy już 41 większych i mniejszych żydowskich przedsiębiorstw bankowych. Pieniądz w owym czasie jest tak drogi, że Żydzi nie kwapią się z zakupywaniem posesji. Ciekawe, że w 1840 roku ludność żydowska Warszawy wynosiła 24% ogółu mieszkańców, a właścicieli posesji było tylko 11%. Rozkwita przemysł finansowany przez Żydów, powstają żydowskie przedsiębiorstwa przemysłowe. Natomiast wśród kupiectwa stanowią Żydzi niepełne 64% ogółu czynnych w handlu przedsiębiorców. Złudzeniem byłoby mniemanie, że odsetek bogaczy żydowskich jest wtedy bardzo wysoki. Według statystyki z r. 1843—44 tylko 4% wszystkich gospodarczo aktywnych Żydów należało do świata wielkiej burżuazji, trzecia część żyła (często bardziej niż skromnie) z handlu, około 2% nie miało żadnego zajęcia, reszta trudniła się rzemiosłem i pracą najemną.

Burżuazja pierwszej generacji dąży do pełnego równouprawnienia, posługując się najrozmaitszą argumentacją. Na przykład Majer Berson (ojciec słynnego Mathiasa Bersona) prosi o pozwolenie nabycia majątku ziemskiego (r. 1834), gdyż nie tylko jest uczciwym człowiekiem, lecz od swych współbraci różni się wyglądem. Jeśli zostanie obszarnikiem, nie będzie różnił się niczym od chrześcijańskiego obszarnika. Ponadto dodaje, że jest ofiarą powstania listopadowego, jak to czyniono wówczas, by się Paskiewiczowi przypodobać... Abraham Winawer prosi (1836 r.), by pozwolono mu zamieszkać w Warszawie, bo jest fabrykantem wódki i wpłaca do kasy rządowej 34 000 zł rocznego podatku. Rząd od razu przychylił się do jego prośby, aczkolwiek Winawer należał do „misnagdów" * i nosił się tradycyjnie.

* Misnaged (opozycjonista) — przeciwnik chasydów, zwolennik tradycyjnego rabinizmu.

Paskiewicz obdarzał przywilejami Żydów posiadających wielkie fortuny i takich, którzy mogli wykazać się społecznie pożyteczną, filantropijną działalnością. Uważał bowiem, że protegując bogatych przedsiębiorców żydowskich wywoła zazdrość Polaków, którzy też wezmą się do przemysłu i handlu, zamiast zaprzątać sobie głowy walką narodowo-wyzwoleńczą...

Lata między listopadowym a styczniowym powstaniem są okresem najbardziej bujnego uprzemysłowienia kraju. W związku z tym warstwa uprzywilejowanej, ba — protegowanej przez Paskiewicza — burżuazji żydowskiej jest już wówczas dość znaczna.

Jaśnieją wtedy na firmamencie wielkiego kapitału przemysłowego firmy Kronenbergów, Epsteinów, Rosenów, którzy budują drogi żelazne, cukrownie, papiernie, modernizują urządzenia fabryczne i zdobywają dla polskiego towaru rynki rosyjskie. W owych też czasach wielu potentatów finansowych i przemysłowych tak dalece wyobcowało się ze spraw żydowskich, że przyjmują chrzest. W latach 1832 — 50 na wiarę ewangelicko-augsburską przeważnie przechodzi czterdziestu dziewięciu bankierów, przemysłowców, fabrykantów, wielkich kupców, drukarzy i urzędników. Gorączka złota ogarnęła wówczas zarówno wybitne rody magnackie, jak i wybitnych przedsiębiorców żydowskich i zatarła między nimi różnice pochodzenia. By jednak nie było absolutnie żadnych różnic, burżua żydowski zmienia wiarę. Nie było to zasadniczo objawem karierowiczostwa. Żyd, aktywny ekonomicznie, mógł i bez tego prowadzić swe interesy; jego apostazja była spowodowana raczej względami salonowo-towarzyskimi...

W okresie 1851 roku władza carska zwolniła od cła towary polskie importowane do Rosji. W rok później Żydzi, przybywający do Polski, byli zwolnieni od opłat. Stworzyło to jeszcze bardziej sprzyjające warunki dla handlu z zagranicą. Szczególną hossę przeżywa Warszawa w latach wojny krymskiej, kiedy Rosja z powodu blokady została odcięta od zachodniej Europy i nie mogła stamtąd importować towarów. Warszawa dostaje dużo zamówień dla wojska, co w rezultacie wywołuje ożywienie w handlu i przemyśle. Warszawa nie mogła jeszcze wtedy zaspokoić w pełni potrzeb armii rosyjskiej, ale dostawami materiałów i szybkim dostosowaniem się do potrzeb rynku rosyjskiego walnie pomogła Rosji w wojnie.

Jest to więc okres korzystny dla żydowskiego kapitału, dla przemysłowców, kupców i liwerantów żydowskich. Stare żydowskie domy bankowe zlewają się w jeden wielki bank, przeprowadzający olbrzymie i różnorodne transakcje, powstaje 16 nowych prywatnych banków żydowskich. W latach 1856 — 60 ludność żydowska stolicy z 24 wzrasta do 26% ogółu mieszkańców. Pojawiają się nowi potentaci finansowi, którzy, pozostawiając daleko w tyle starą elitę bankową, wysuwają się na czoło życia ekonomicznego w kraju. Na przykład Natansonowie w bardzo krótkim czasie osiągnęli pozycję najpoważniejszej rodziny bankierskiej i przemysłowej. Założyciel tej „dynastii", Zelig Natanson (1795—1879), był nabożnym Żydem, biegłym w Piśmie Świętym i Talmudzie. W domu swoim na Nalewkach miał własną bóżnicę. Ale interesy prowadził z wielkim rozmachem. Na początku handlował towarami łokciowymi, później założył fabrykę mydła, a jednocześnie stał się właścicielem cukrowni. Równolegle do tych zajęć prowadził transakcje bankowe, chociaż jego bank został zalegalizowany dopiero w roku 1866 przez synów. Miał Zelig Natanson siedmiu

ynów, z których czterej dobrze się zasłużyli kulturze polskiej jako uczeni wydawcy (o nich nieco później).

W roku 1854 jeden z młodych Epsteinów, Mieczysław, otwiera bank wraz przedsiębiorstwem importowo-eksportowym. Herman Epstein w roku 1856 rzejmuje dzierżawę Warszawsko-Wiedeńskiej Kolei Żelaznej. Mathias Rosen, pok swego bankowego przedsiębiorstwa, jest wspólnikiem Kronenberga Monopolu Tytoniowym. Do tej samej kategorii kupców-bankierów dołącza ę rychło Hersz Wawelberg, ojciec słynnych mecenasów żydowskich i polskich, ipolita i Henryka Wawelbergów, którzy już wtedy zaczynają działać na łasną rękę. Szczególnie rozległa jest działalność gospodarcza Leopolda Kroenberga, którego syn, Stanisław, jest wówczas wybitnym działaczem finanowo-przemysłowym. Jan Gottlieb Bloch z Radomia przyjeżdża do Warszawy zakłada Dom Bankowy; w latach pięćdziesiątych słynie jako fenomen finanowy, w 1866 buduje kolej Fabryczno-Łódzką.

Henryk Toeplitz stoi na czele firmy ekspedycyjno-towarowo-bankierskiej Franciszka Toeplitza Sukcesorowie". Należy do najznakomitszych przedstawieli kupiectwa warszawskiego połowy XIX wieku. W roku 1855 zostaje wyrany do Komitetu, wyłonionego przez Zgromadzenie Kupców w celu wyprawania ustawy dla giełdy warszawskiej. Włada ponadto celnie piórem, jest nany jako meloman. W jego salonie przy ulicy Daniłłowiczowskiej koncerują: młody geniusz muzyczny, Antoni Rubinsztein, Glinka. Henryk Teoplitz oresponduje, zwłaszcza w sprawach muzycznych, z Kraszewskim, a gdy w ru 1859 wybucha — jak ją nazywają endecy — „wojna żydowska", wraz Ignacym Natansonem jest autorem ostrych listów i wystąpień, zaś dom je- — sztabem walki. Henryk Toeplitz wyróżnił się także jako najbardziej ężny, stanowczy i bezwzględny bojownik o honor żydowskiej młodzieży, poądzanej o brak patriotyzmu.

Synowie Natansona, oprócz uczestnictwa we wspomnianym banku, który rzetrwał do roku 1932, prowadzą wtedy na wielką skalę własne interesy. gnacy, Szymon i Henryk-Salezy pracują w cukrownictwie, administrują farykami cukru w Sannikach i Guzowie. Józef i Szymon Natansonowie są onadto właścicielami fabryki kosmetyków w Warszawie, udziałowcami fabryi papieru w Mirkowie, należą do Towarzystwa Ubezpieczeń i Banku Handlowego.

Z wybitnych kupców lat pięćdziesiątych wymienić należy Aleksandra Goldtama, Mikołaja Gutmana, Samuela Konica, Lessera Levy'ego, Michała Lande, udwika Zelta i inż. Maksymiliana Fajansa (późniejszego właściciela Towazystwa Żeglugi Parowej na Wiśle. Założył on na Solcu warsztaty dla budowy tatków osobowych i towarowych).

Dr Ignacy Schipper w swojej wyczerpującej pracy pt. *Dzieje handlu żydowskiego na ziemiach polskich* (Warszawa, 1937) wymienia ogółem około 50 wielich bankierów, przemysłowców i kupców warszawskich o pionierskich załugach i wielkich fortunach.

Było to, jak już powiedziałem, przeważnie drugie pokolenie burżuazji żyowskiej, która, świadoma swej ekonomicznej wartości i dokonań w dziele przemysłowienia i wzrostu bogactwa kraju, żądna była uznania, tym barziej że ani pod względem językowym i kulturalnym, ani pod względem fiarności (pieniężnej) nie różniła się od polskich potentatów. Tym też trzeba

tłumaczyć ostrą reakcję tej grupy na każdy objaw lekceważenia czy też posądzania o brak patriotyzmu.

Trzeba także pamiętać, że Żydzi wysunęli się na czoło życia kulturalnego i naukowego. W owych latach osłabło zainteresowanie literaturą piękną i przeważała raczej tendencja dorównania Zachodowi w dziedzinie nauk przyrodniczych. W warunkach wielko-kapitalistycznego budownictwa rodzi się kult dla nauk ścisłych. „Biblioteka Warszawska", której mecenasami byli Mathias Rosen i Leopold Kronenberg, należy do najbardziej reprezentatywnych organów, poświęcających większość swych szpalt naukom przyrodniczym.

Redagowany przez 25-letniego dr. Ludwika Natansona *Tygodnik Lekarski* należy w latach pięćdziesiątych do najpoważniejszych wydawnictw lekarskich w Polsce. W latach ciężkiej reakcji w kraju pismo to podnosi godność polskiej medycyny.

Trzeba przy tym zaznaczyć, że *Tygodnik Lekarski* nie był przedsięwzięciem dochodowym i że w ciągu 30 lat jego istnienia Natanson dołożył do niego grube krocie.

Jakub Natanson jest chemikiem światowej sławy, później profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. W „Bibliotece Warszawskiej" drukuje rozprawy filozoficzne o prawach życia organicznego. Młodzież polska, z zainteresowaniem czytając te artykuły, rozszyfrowała doskonale tezę o „organiczności" jako synonim życia narodowego i państwowego, podczas gdy cenzura chwaliła je jako źródło „realnego poznania".

Również Henryk Natanson stał się słynny jako wybitny działacz kulturalny. Jego wydawnictwo należało w Warszawie do największych. U Natansona ukazały się fundamentalne dzieła medyczne i przyrodnicze. Przedsiębiorstwo Natansona przy Krakowskim Przedmieściu nr 17 było ponadto w latach 50-tych i 60-tych klubem żydowskich maskilów *, czujących się Polakami. Można tam było nabyć publikacje judaistyczne z całego świata i we wszystkich językach. W latach 1861—63 mieściła się tam ekspedycja polsko-żydowskiego czesopisma *Jutrzenka,* redagowanego przez Daniela Neufelda. U Natansona można było również nabyć wydawnictwa emigracyjne. Fakt ten świadczy raczej o idealizmie i ofiarności niż komercjalizmie, bo za wykrycie „kramoły" groziły represje ze strony władz carskich.

Księgarnia Samuela Orgelbrandta, który od roku 1836 został wydawcą, była także oazą polskiej kultury. Przez pewien czas ten uczony maskil był wspólnikiem Henryka Natansona, później podjął się kapitalnego dzieła o ogromnym znaczeniu: wydania *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej,* która zatrudniła najwybitniejszych pisarzy i naukowców ówczesnych. Warto przy tym zaznaczyć, że Orgelbrandt i Merzbach jako wydawcy płacili fantastyczne honoraria za poezję (pół rubla od linijki!). W wydawnictwie Orgelbrandta ukazał się też i Talmud — dzieło wielotomowe.

W owym czasie popularność zdobywa malarz historyczny, Aleksander Lesser. H. Merzbach trudni się krytyką, pisze wiersze, zajmuje się pracą wydawniczą.

Bibliografia polska notuje wówczas szereg nazwisk pisarzy, naukowców i artystów polskich pochodzenia żydowskiego. Są to: europejskiej sławy chi-

---

* Maskil — racjonalista, zwolennik Oświecenia,

urg, Hirszfeld, który obejmuje później katedrę w warszawskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej, słynny aktor Bogumił Dawidson, muzycy Wieniawscy, isarze Paprocki, Buchner, Amszejewicz, Elsenberg i inni.

Rzecz jasna, oświeceni Żydzi uważali, iż za ich działalność gospodarczą, naukową i kulturalną należy im się tylko uznanie i poklask sfer polskich. Co prawda nie szczędzono im honorów, ale wśród szlachty i mieszczaństwa nie brakło i takich, których gorszyła „żydowska inwazja", którzy na żydowskich rzemysłowców i nową inteligencję patrzyli jak na intruzów...

Oto charakterystyczny głos „zbankrutowanego szlachcica", który zamiast „narzekać na najazd moskiewski lub własne marnotrawstwo" — jak pisze emigracyjny *Demokrata Polski* — przyczynę upadku kraju widzi „w chciwości żydowskiej". W korespondencji zamieszczonej w paryskim *Przeglądzie Rzeczy Polskich* * pisze ów szlachetka:

Kraj cały ubogi, ale u Żydów pieniądze. My stare naszych ojców łatamy suknie; oni toną w jedwabiach i błyszczą złotem; my chodzimy piechotą, oni w karetach się rozwalają; my żebracy i dzienni robotnicy, oni panowie i biesadnicy uczt sardanapalskich! Zgroza!

Korespondent warszawski stwierdza:

W dziejach ludzkości wieje teraz jakiś wiatr materyalizmu; przemysł, handel, złoto to bożyszcze świata. W tym kierunku widać biec musi dziś człowiek — do celów nieznanych; materyalizm ma być łącznikiem narodów i ogniem topiącym przesądy i rozdział. W naszym narodzie brak przemysłowej i handlowej żyłki: ani łokieć, ani kwarta nie przypadają do naszych zdolności; umiemy tylko pałaszem rąbać, prawić na sejmikach i palestrze lub marzyć górnolotnie. Może dlatego, że Izrael rozsiadł się na ziemi naszej, aby nam udzielić cząstkę tego, na czym nam zbywa, aby nas popchnąć na drogę wiru dziejowego, dać nam krwi swojej, zrobić kupcami i bankierami. Nie poprzestają oni już teraz na naszych pieniądzach — biorą nam siostry, córki, kochanki — a my, głupcy, synów naszych w Żydów zamieniamy! *

Korespondencja w *Przeglądzie* nie była odosobnionym głosem, wrogim uprzemysłowieniu, kapitalizmowi. Takich głosów, może bardziej inteligentnych i mniej żydożerczych, było więcej.

Kraszewski również nie może pogodzić się ze wzrastającymi prądami pozytywistycznymi. W tym czasie reprezentuje on warstwę, która wśród nowych prądów miejsca dla siebie nie znalazła, w nowych warunkach narastającego kapitalizmu — zagubiła się. Zresztą jest to okres, kiedy idee romantyczne odnoszą triumf, a apoteoza ofiary krwi nabiera ciała. Hasła postępu ekonomicznego w oczach epigonów romantyzmu wyglądają zbyt przyziemnie i traktowane są przez nich jak pokorne bicie czołem przed „bałwanem", któremu na imię „interes". W owym czasie rodzimi romantycy, jak Wincenty Pol, Władysław Syrokomla i dużo niższego polotu Rzewuski i Chodźko idealizują przeszłość, tworzą urojone obrazy pięknej idylli czy też sarmackiej krzepy, zawsze pełnej doskonałości i harmonii, przeciwstawiając „sielsko-anielską" Polskę

* *Przegląd Rzeczy Polskich*, Paryż, 12. VII. 1858 r. *Demokrata Polski*, Paryż, 31. VIII. 1858 r. Duży, zasadniczy artykuł pisany przez A. Żabickiego.

zmaterializowanemu, jak byśmy dziś powiedzieli, „zgniłemu Zachodowi". Siłą faktu „każdy komin fabryczny, każda lokomotywa staje się kolubryną, wymierzoną w jakieś *sui generis* Okopy Świętej Trójcy, poza którymi w pochylonych dworkach, w chatkach słomą krytych tulą się tradycyjne praojców cnoty"... (M. Dynowska: *J. I Kraszewski, L. Kronenberg.* Kraków, 1929, str. VII — VIII).

Kraszewski, autor *Starej baśni,* piewca piastowskiej przeszłości, widzi w dążeniu do kapitalizmu, w nowych tendencjach ekonomicznych jakieś odstępstwo od przeszłości. Zresztą właściwie trudno mówić o jakimś konsekwentnym stosunku pisarza do tego problemu. Kraszewski kierował się nastrojami, był człowiekiem żyjącym na przełomie dwóch epok — epoki schyłku Polski feudalnej i epoki rodzenia się kapitalizmu — i oscylował pomiędzy obiema. Raz przyznawał zdobyczom technicznym i nowym wynalazkom rolę burzyciela zasad moralnych, szerzącego jeszcze większą nędzę wśród mas (*Asmodeusz,* 1837 r.), to znów chwalił panów, którzy zabrali się do przemysłu i handlu (*Latarnia czarnoksięska,* 1843), by w dwa lata później opublikować w *Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych* powieść *Choroby wieku,* a w *Gazecie Warszawskiej* — *Listy,* w których mówi:

Wolałbym dawne ubóstwo nasze, nawet trochę starego nieładu, a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a silniejsze uczucia.

Lub:

...widok tych dóbr pocyrklowanych i zmienionych w ogród warzywny uderzał ją (bohaterkę powieści) czemś tak nie naszem, jakąś smutną, niewolniczą regularnością...

I dalej:

...Poznać nie było można w tych zniemczałych chłopkach i szlachcie wesołych kmieci i zamaszystych czynszowników naszych a panów braci. Wszystko to po żydowsku mówiło tylko o groszu, pędziło za zyskiem, śniło o zarobku... ...Przerobi się świat na wielki kantor gospodarsko-industrialno-komercyjny, ludzi na komisantów, książki na rejestra, życie na rachubę podwójną przez *habet* i *debet* i... komuś z tem będzie dobrze... powiadają, że tak już jest wszędzie na Zachodzie... czas więc i nam zostać ludźmi rozsądnymi, zimnymi, praktycznymi...

Woła rozpaczliwie:

Nie! to coś okropnego! Ten ich świat naszym być nie może... czegoś więcej trzeba człowiekowi nad strawę bydlęcą i grosz żydowski.

Chleb będzie, ale serc nie stanie... A nam najpilniej naśladować tych, których charakter, losy, posłannictwo całe od naszych są różne... Po co my z Zachodem szaleć mamy...

Zyszcze kraj na gospodarstwie i przemyśle, ale my dla tej odrobiny zarobku wyrzeczem się siebie i za lat sto nikt nas od Żydów, od Niemców i od całej rzeszy handlowej kosmopolitów nie pozna!...

W *Listach* do *Gazety Warszawskiej* negację kapitalistycznego rozwoju osiągnięć techniki posuwa aż do twierdzenia, że podróże za granicę straciły i wartości kształcącej z powodu wprowadzenia kolei „wybornej dla towarów bydła, ale nie dla człowieka...".

Kolej i telegraf jednej łzy, jednego krzyku z głębi duszy nie zapłacą... Sto ich wynalazków nie warte jest naszego uczucia szczerego, naszych popędów szlachetnych dziecinnych...

Mogłoby to wszystko być anegdotycznym materiałem, cechującym romantyczną ślepotę Kraszewskiego z pewnego okresu jego twórczości. Niestety, myśli te znalazły serdeczny oddźwięk u wielkiej części szlachty, przez nowe stosunki ekonomiczne wysadzonej z siodła i kurczowo trzymającej się dawnych, dobrych czasów feudalnych. Niedołęstwo i nieróbstwo, brak inicjatywy przyprojone w piórka „posłannictwa" i wyższości nad zmaterializowanym Zachodem i nad Żydami-rzecznikami uprzemysłowienia — bardzo im przypadły do gustu.

Rozmyślania Kraszewskiego wynikały z nastroju, który, jak wiadomo, prędko minął. Ale zasymilowana generacja młodzieży żydowskiej, którą zaskoczył nieprzychylny ton rozważań, stawiający pod znakiem zapytania jej polskość, poczuła się mocno dotknięta. Przecież tyle środków pieniężnych ofiarowują na działalność kulturalną i patriotyczną, przecież szczycą się swym pionierstwem przemysłowym, swą pracą na „niwie polskiej kultury!".

Najenergiczniejsi, najbardziej wpływowi wśród młodej generacji zasymilowanych Żydów — Henryk Toeplitz i Natansonowie — wstąpili w szranki. Henryk Toeplitz w latach 1842 — 46 studiował i ukończył słynny Instytut Agronomiczny w Marymoncie. W latach 50-tych był już poważnym przemysłowcem, właścicielem majątku, uważał więc wystąpienia pomniejszające patriotyczną wartość ich wysiłków za zniewagę, na którą niesposób zamykać oczu, i postanowił publicznie odparować zarzuty. Wtedy właśnie otrzymał list od Kraszewskiego z podziękowaniem „za szczere przyjęcie" młodego wiodącego czelisty, Meyera. Nawiązując do tego listu na łamach *Gazety Codziennej* dał Kraszewskiemu jednocześnie odpowiedź na jego rozważania w *Chorobach wieku* i na *Listy* w *Gazecie Warszawskiej*. Oświadczył, że w wypowiedziach Kraszewskiego widzi „nieszczęśliwe tendencje" i „zachętę do próżniactwa".

Analizując zaś ustępy dotyczące Żydów, powiada:

Drogi Panie, wcale a wcale Żydów nie znasz. Rzuceni obłędnym prześladowaniem chrześcijan na drogę czysto handlową, w walce ciągłej o istnienie, o życie, o wolność, prawo oddychania tym samym powietrzem, wyrobili w sobie tę przebiegłość, która jest bronią słabych. Przecież takowe w walkach do dziś jest dozwolonym, często rodziwianym środkiem.

Toeplitz powiada dalej:

...jeżeli wejrzysz w życie Żydów jak współbraci — okiem przyjaciela, jak przystoi na twój duch i twoje serce, znajdziesz w nich cudowne, wielkie cnoty, nie tylko praktyczność.

Znajdziesz przywiązanie wielkie i prawdziwe, dobroczynność, wdzięczność, trzeź wość, duchowość, chęć nauki, miłość do poezji, czułość familijną, litość — jednym słowem znajdziesz wielu, bardzo wielu lepszych Ewangelii uczniów, jak tysiąc chrześcijan, uczących się tejże nauki.

Czy ta apologia dotyczy wszystkich Żydów? Henryk Toeplitz reprezentuje konsekwentnie swoją klasę, postępowców tylko. Powiada:

Jeżeli w opisach krajowych karcisz szachrajskiego karczmarza lub faktora, Żyd z tobą śmiać się będzie — gdyż przywary niewykształconych Żydów są nam równie przykre, ale z boleścią widzimy malowane bez żadnego celu same tylko ujemne Żyda strony. Bez celu — gdyż ten biedak nie czyta, a dla chrześcijan jest to podniecanie i tak smutnych przesądów, wiodących do prześladowania i ucisków (podkreślenie — *SŁ*).

Toeplitz pyta:

Czyż rola podniecającego nienawiść i wzgardę jest godziwa dla poety, dla ucznia Chrystusa? Tysiącletnie tragedie mąk ludu Izraela, największe może tragedie w historii, powinny inaczej natchnąć poetę. Byron czuł boleści szczepu Izraela, Mickiewicz znalazł typ szlachetny w Janklu...

W końcowej części listu, gdzie Toeplitz oświadcza, że pisze „z duszą pełną miłości dla kraju i postępu", spotykamy taki dumny i odważny *passus:*

Zdaje mi się, szanowny Panie, że w obu kwestiach, których dotknąć pozwoliłem sobie (próżniaczej szlachty i tragedii Izraela — *SŁ*) odbijają się się krańcowe pojęcia, które wielu w naszej literaturze z tobą, Panie, dzieli. W jednej jest chrześcijanizm nadludzki, w drugiej — chrześcijanizm nieludzki, a wieki czekają na prawdziwe pojęcie chęci Chrystusa, na ludzki chrześcijanizm...

Jeśli na rozmyślania Kraszewskiego zareagował Toeplitz, to na korespondencję z Warszawy w *Paryskim Przeglądzie Rzeczy Polskich* odpowiedział Ludwik Ozjasz Lubliner, który swoją broszurkę podpisał: „Żyd z religii, wychodziec polityczny, były podchorąży w pułku grenadyerów byłego wojska polskiego" (Bruksela, 1858, str. 7).

O Lublinerze pisze K. Bartoszewicz w swojej rozprawie pt. *Wojna żydowska:* „Urodzony w Warszawie w roku 1809 prawo do wystąpienia, jako Polak, nabył krwią przelaną w 1831 r. Znany był później jako przyjaciel Lelewela i jako autor licznych artykułów politycznych i prawniczych wydanych w języku francuskim a dotyczących spraw polskich i żydowskich. Wszędzie zaznaczał swój patriotyzm polski i chlubił się nazwą Żyda-Polaka. Zabolała go „okropna filipika na Żydów zamieszkałych w Polsce".*

Niestety, nie udało mi się odszukać broszury Lublinera i zmuszony jestem cytować ją według spreparowanej relacji K. Bartoszewicza.

Lubliner nie pojmuje, jak organ emigracji mógł wydrukować artykuł, „gdzie śmieszność spiera się o pierwszeństwo z fanatyczną złośliwością". Korespon-

* Kazimierz Bartoszewicz: *Wojna żydowska w r. 1859, Przegląd Narodowy.* z. XI, R. VI, 1913 r. Nr 1—3, Warszawa.

:ntowi z Warszawy nie podoba się udział Żydów w publicznych zebraniach — yżby chciał, aby siedzieli w domu za piecem i śpiewali Haleluja i Majufes?".

Dawniej szydzono z Żydów, że karmią się cebulą i czosnkiem, a tylko w szabas ęstują się kuglem i rybami — teraz znów sarkają na nich, że zjadają kuropatwy bażanty; dawniej szydzono, że noszą łachmany, że są łapserdakami — teraz wy-ucają im powozy, gdy tymczasem Zamoyscy, Potoccy, Radziwiłłowie po błocie echotą chodzą...

Lubliner określa korespondencję jako „nienawistną i jezuicką", malującą hydną „postać drapieżnego wilka pod maską baranka" i pyta: „Jak to można isać o plemieniu wzgardzonym w czasopiśmie ukazującym się we Francji, dzie Żydzi bywają naczelnikami rządu: co na to powiedzą Crémieux, Goud-naud, byli rządcy Francji i przyjaciele Polski?"

Kraszewski na „list" Toeplitza bezpośrednio nie odpowiedział, ale pośrednio ał odpowiedź w swojej powieści *Metamorfozy*, która wówczas szła w odcin-ach *Gazety Warszawskiej*, podtrzymując swą tezę o „destruktywnej mate-ializacji", której szerzycielami są Żydzi. Wszyscy ocenili tę powieść jako dpowiedź Henrykowi Toeplitzowi. Nie rozporządzając w celach polemicznych łasną trybuną, Henryk Toeplitz zorganizował zasymilowaną inteligencję ży-owską, zgodną z nim jeśli idzie o zapatrywania, i zaczął wydawać litografo-vane pamflety na oszczerców. Dom jego przy ulicy Daniłłowiczowskiej stał ię sztabem bojowym. Do grupy Toeplitza należeli: Ignacy, Jakub, Józef, ıdam, Ludwik i Henryk Natansonowie, Stanisław Kronenberg, Aleksander esser, Mikołaj Epstein, Jan Berson, Maksymilian Fajans, Zygmunt Berenson, Henryk Lange i inni, ogółem 23 przedstawicieli przeważnie najbogatszych ro-zin żydowskich, którzy obozowi konserwy nie szczędzili satyrycznych strzał.

Wojna rozpoczęła się na dobre w ostatnich dniach grudnia 1858 roku, przy-zyną zaś wojny był... koncert skrzypcowy.

Było to tak: w Warszawie wystąpił z koncertem Reichert, skrzypek pocho-dzenia żydowskiego. Sala była pełna melomanów żydowskich, natomiast pol-kiej inteligencji prawie że nie było. Gdy zaraz po tym koncercie przyjechały do Warszawy dwie czeskie siostry Neruda, żydowscy wielbiciele muzyki skrzypcowej, znający dobrze walory artystyczne koncertantek (wspomniałem już, że np. Henryk Epstein i Henryk Toeplitz byli nie tylko melomanami, ale mecenasami muzyki), na koncert ten się nie kwapili, aczkolwiek słowianofil-stwo było wtedy bardzo modne. Cóż, uważali, że na koncerty chodzi się dla zadowolenia duchowego, a nie dla popierania „sióstr słowiańskich", toteż sala świeciła pustkami. Wyprowadziło to z równowagi autora przydługich rozwa-żań na tematy artystyczne, Keniga z *Gazety Warszawskiej*, redagowanej przez Antoniego Lesznowskiego. Lesznowski znalazł wymarzoną okazję, by pałnąć wysoce „patriotyczny" artykuł antyżydowski. Zaakcentował on w arty-kule wstępnym, że liczna publiczność reprezentowana na koncertach Reicherta przez samych baumów, bergów i sohnów, nie zjawiła się na koncercie panien Neruda, co jest dowodem odrębności żydowskiej, wyrazem protegowania swoich, uchylania się od popierania innowierców, dowodem braku poczucia obowiązków obywatelskich. Żydzi w ogóle nie dbają o dobro kraju, mają tylko osobisty interes na oku i tak dalej w dobrze znanym duchu.

Grupa Ignacego Natansona i Henryka Teoplitza od razu z pasją zareagował
Napisała list protestacyjny z żądaniem zamieszczenia go w ciągu ośmiu d
Z dumą i gryzącą ironią autorzy listu przypomnieli, że szlachta nic nie zrobi
dla ekonomicznego rozwoju kraju, natomiast nie dopuszcza, by inni to robi
Oświadczyli, że polscy Żydzi uważają się za integralną część narodu polskieg
za pierwszych pionierów uprzemysłowienia kraju. Zazdrośnicy zaś w „swoi
zgniłym konserwatyzmie" nie mogą tego znieść. Po krótkim zarysie roli Ż
dów w polskim przemyśle i handlu autorzy listu zażądali od Lesznowskieg
bezzwłocznego, publicznego odwołania oszczerczego artykułu, zaznaczają
że „kto pod płaszczykiem przywiązania do kraju wznieca nienawiść międ
mieszkańcami jednej ziemi, jest podły".

Grupa I. Natansona i H. Toeplitza była gotowa na wszelką ewentualnoś
Jeśli Lesznowski tego zażąda, każdy z podpisanych stanie do „honorowej s
tysfakcji" (tj. do pojedynku).

I stała się rzecz ciekawa: grupa Toeplitza, ta „niepatriotyczna", „obca po
skości" grupa inteligentów i bogaczy żydowskich nie zwróciła się do władz
carskiej. Natomiast uczynił to redaktor *Gazety Warszawskiej*, pod pr
tekstem otrzymania zezwolenia na wydrukowanie listu od sławetneg
Dyrektora Spraw Wewnętrznych, Muchanowa. Muchanow od razu zwęszył p
lityczną sensację, która była bardzo na rękę władzy carskiej. Były to prz
cież lata wzrostu rewolucyjnej fali w kraju, lata działalności Jurgensa i szereg
kółek patriotycznych. Muchanow schwycił okazję do skierowania ogóln
uwagi w wygodne łożysko antysemityzmu. Zezwolił na opublikowanie list
grupy żydowskiej wraz z odpowiedzią, lecz nie w gazecie, a oddzielnie, z wia
domością dla publiczności, że każdy może zgłosić się do redakcji po egzemplar
Lesznowski nie zdobył się na opublikowanie całego listu, dał tylko wyjąt
i zamieścił obszerną, oszczerczą odpowiedź w formie ulotki, w której prosił Ż
dów, by przestali wzbogacać naród polski, natomiast zainteresowali się bi
dotą żydowską. Ulotka została rozrzucona po mieście.

By jeszcze bardziej zaognić walkę i dać Lesznowskiemu wolną rękę w pro
wadzeniu hecy antysemickiej, Muchanow zarządził, że nie wolno Leszno
skiego atakować... Przebiegły Muchanow cel swój osiągnął. Incydent ten st
się obiektem gorących dyskusji w kraju i za granicą. Walka była nierówn
Lesznowski miał w ręku najbardziej rozpowszechnioną wówczas gaze
(7 500 abonentów), zaś grupa Toeplitza nie rozporządzała żadną trybuną. Ja
wynika ze wspomnień Alkara (Aleksandra Krauzhara), podówczas uczni
„realnego gimnazjum", nauczyciel jego tak oto skomentował incydent:

— Patrzcie, do czego już doszło! Oni mają czelność zarzucać nam, że je
steśmy próchnem.

Podobne komentarze ukazały się w Galicji i we Francji. W Warszawie po
jawiły się anonimowe plakaty antyżydowskie, nawołujące do bojkotowani
Żydów. Walka zaostrzyła się. Grupa Toeplitza wykorzystała swe powiązani
z zagranicą i zaczęła zamieszczać komunikaty w największych gazetach europe
skich. To ze swej strony oburzyło część prasy emigracyjnej, która napadła n
grupę Toeplitza za szkalowanie Polski w momencie, gdy naród przygotowuj
się do walki o niepodległość narodową. Niektórzy zarzucali żydowskim boga
czom, że są politycznymi oportunistami i nie chcą popierać polskiego ruch
narodowego. Prasa zaś krajowa zarzucała Żydom, że chcą „zmaterializowa

kraj", że trwonią za granicą zarobione w Polsce pieniądze i że ani naród polski, ani masy żydowskie nic z ich bogactwa nie mają. Słowem incydent en stał się motorem rozgrywek politycznych i — co prawda na krótką me- ę — piorunochronem dla władz okupacyjnych. W swoim zacietrzewieniu nie auważyły tego ani grupa Toeplitza, ani siły wsteczne prasy polskiej. Rozgory- ona młodzież żydowska, nie znalazłszy należytego rezonansu, postanowiła rzekazać skargę sądowi obywatelskiemu. Postępowcy żydowcy omijali bo- iem sąd carski. Natomiast Lesznowski, dotknięty atakami osobistymi, skie- ował sprawę do sądu rosyjskiego. Nie bacząc na to, że w skład sądu wchodzili ami Polacy, zapadł wyrok skazujący, a motywacja była majstersztykiem ka- uistyki prawniczej. Zacytuję fragmenty protokołu sądowego, wypożyczonego ni przez K. T. Toeplitza.

Sąd Policji Poprawczej pow. Warszawskiego, Wydziału I-go...

Zważywszy, że Redaktor *Gazety Warszawskiej*, Antoni Lesznowski, skargą dn. 28 stycznia domagał się ukarania 23 Starozakonnych, którzy za artykuł w jego azecie (nr 4) z rb. (1859 r. — *S.Ł.*) w sprawozdaniu z ruchu miejskiego zamieszczony, dzie pisząc o koncertach pp. Neruda, dotknął kwestii, iż Żydzi w naszym kraju spierają artystów z ich plemienia pochodzących i że kastowe uprzedzenia rządzą iemi we wszystkim sferach działalności, przysłali mu list datowany 16 stycznia rb., którym 23-ej podpisani przybierając charakter reprezentacyjny całego ple- ienia żydowskiego wyrządziło mu rozmyślną obelgę, nazywając go podłym złowiekiem szukającym egoistycznego zysku w zdradzaniu ogółu i działają- ym wpływem swej gazety na rozszerzanie nieuzasadnionych co do Żydów, wedle ch mniemania, wiadomości wynikających ze złej jego wiary — przepisując mu w końcu w wynormowanej formie odwołanie rzeczonego artykułu. Że prócz tego eszcze przed listem podpisami opatrzonym otrzymał skarżący dwa listy bezimienne dresowane: pierwszy do redakcji *Gazety Warszawskiej*, a drugi do współre- aktora tejże gazety, Józefa Keniga, z których zwłaszcza 1-szy, tchnący kastową nie- awiścią przeciwko wszystkim chrześcijanom w kraju zamieszkałym, zawiera zda- ia obrażające ludność kraju naszego, mianowicie: że religia i inteligencja żydowska dały chrześcijanom Boga, którego jeszcze pojmować nie zaczęli — i że Żydzi mają powołanie odrodzić imię chrześcijanina i Polaka — a oba te listy są przepełnione agrożeniami zemsty i brudnymi zniewagami w celu zohydzenia Redaktora *Gazety Warszawskiej* i jego współredaktora — za twórców których to listów skar- ący uważa tychże Żydów na liście z dn. 16 Stycznia rb. podpisanych — nadto że obwinionych Mikołaj Epstein dn. 28 Stycznia rb. w Restauracji Dąbrowskich od- rażał się wyrządzeniem Redaktorowi *Gazety Warszawskiej* czynnej zniewagi...

Wydaje mi się, że już sposób relacjonowania w pierwszym „zważywszy" aje dobitnie obraz myślowy sędziów i uwidacznia zamiary agitacyjne. Toteż est rzeczą naturalną, że w jednym z kolejnych „zważywszy" sędziowie nie idzą w enuncjacjach *Gazety Warszawskiej* w ogóle żadnych cech obraźli- ych. A gazeta ta przecież zapoczątkowała całą hecę. Wystarczy przytoczyć nu- ery 295, 301, 315, 331 z roku 1857, numer 240 i następne z roku 1858, by się rzekonać, że napaść ze stycznia 1859 r. była tylko wydatnym ogniwem w łań- uszku antysemickim.

Sędziowie polscy powiadają:

Zważywszy że artykuł w nr 4 *Gazety Warszawskiej* znajdujący się lubo w pewnym względzie może być obraźliwym, skoro opisuje żartobliwym sposobem wzajemną i łączną admirację i poplecznictwo współwyznawców wiary izraelskiej, gdy jednak w wyrazach przyzwoitych i przez cenzurę przepuszczonych wykazuje tylko śmieszną stronę tej solidarności żydowskiej — i w artykule tym nie podobna dopatrzyć myśli ubliżającej pewnemu ściśle dającemu się oznaczyć towarzystwu, a tem mniej jakiejkolwiek obrazy osobistej, to tem samem za obelżywy nigdy uważać się nie da i na zastosowanie uwagi pod art. 1018 KKG i P znajdujące się wpływu mieć nie może — którą to okoliczność obrońca Łącki przywiódł i o uwzględnienie czego upraszał.

Tak oto ocenili hecę *Gazety Warszawskiej* i uzasadnili nieskazitelną czystość redaktorów Lesznowskiego i Keniga sędziowie Warylkiewicz (sędzia prezydujący), asesorowie Jeziorkowski i Kosiński oraz prokurator Dąbski. Dla nich motywem wystarczającym do uzasadnienia przyzwoitości wystąpień był fakt, że cenzura Muchanowa na druk antysemickiego artykułu pozwoliła...

Mocą wyroku wszyscy dostali po 3 miesiące aresztu, a Ignacy Natanson, jako „główny redaktor" i jako ten, w którego mieszkaniu zbierano się do „zmowy", dostał jako dodatek 3 dni więcej.

Posłuchajmy jeszcze w wersji protokolarnej wynurzenia dr Ignacego Natansona:

16 stycznia zebrali się do niego bracia i przeczytawszy artykuł w nr 4 *G. W.* uważali go za płaski, aby artykułem odpowiadać można, zamierzył zatem napisać list do red. Lesznowskiego z upomnieniem się, że, jakkolwiek kwestia co do Żydów może mieć wiele zasady do wyrzeczenia się ujemnego — chciał wszakże wspomnieć, że są już pomiędzy Żydami i tacy, choć może w małej liczbie, którzy dążą do zyskania szacunku w kraju i już go posiadać zaczęli — oburzyła go forma rzeczonego artykułu — gdyż się odnosiła do ludzi, którzy na tego rodzaju wymówki już przestali zasługiwać. Napisał list, który bracia zaakceptowali i podpisali — co do podpisów innych prócz braci utrzymuje się, że się to stało przypadkowo — gdyż ci go wtedy odwiedzili... Co do obelgi do red. Lesznowskiego odnoszącej się w piśmie tem zamieszczonej objaśnia — że kto podobnie postępuje, zasługuje na podobną nazwę...

Opinia demokratyczna w kraju, a szczególnie za granicą, na wyrok sądu carskiego zareagowała ostro. Sprawa stała się głośna i odbiła się echem w prasie zagranicznej. Z oburzeniem pisał Aleksander Hercen w *Kołokole* o fakcie zwrócenia się przez polskiego redaktora po ochronę i sprawiedliwość do sądu policji poprawczej carskiej, o krzywdzącym wyroku. Zareagowała także prasa petersburska, paryska, belgijska i angielska. Z błahej przyczyny powstał skandal na miarę międzynarodową...

Nie będę przytaczał głosów i opinii piętnujących redaktorów *Gazety Warszawskiej*. Zacytuję tylko obszerniej niezmiernie ciekawy dokument, od wielu dziesiątków lat nigdzie nie wspominany. Jest nim *List Joachima Lelewela z powodu sprawy Żydów z Lesznowskim*, opublikowany (rzecz charakterystyczna!) właśnie na łamach *Przeglądu Rzeczy Polskich* 16 listopada 1859 roku. Aczkolwiek w owym czasie redaktor Lesznowski, tknięty apopleksją z powodu swej nadmiernej tuszy (nie mieścił się na normalnym krześle i potrzebował specjalnego fotela), nie znajdował się wśród żyjących, Lelewel rozprawia się

i z nim, i z sędziami, i z ich wyrokiem. I, jak zwykle, wypowiada kilka myśli niezmiernie ciekawych, wartych poznania.

List swój adresuje do „pana Mer... (zbacha), który do niego o wypowiedź się zwrócił. Lelewel pisze na wstępie:

Stroskani o obecność, o przyszłość niespokojni, zgłaszacie się do mnie i wzywacie, abym się zajął skreśleniem historii Żydów albo kwestii żydowskiej. Macie, jak widzę, dobre o mej możebności mniemanie; dzięki.

Powiada dalej:

Bądźcie spokojni, nie tak to straszne rzeczy, jak niekiedy chwilowe wzruszenie wystawia. Nie jątrzyć się: cierpliwości trocha: czas łagodzi, koi dolegliwości; złość i namiętności wstydem okrywa, larwą ohydy powleka.

Po strzale wymierzonym w szerzycieli „złości i namiętności" Lelewel wskazuje, że sami Żydzi polscy powinni, tak jak to czynią Żydzi niemieccy, o sobie i swojej historii w języku kraju pisać, dzieła swe, bogactwa duchowe odsłonić, bo, jak twierdzą, jest rzeczą wręcz niemożliwą dla nie-Żyda w specyfice spraw żydowskich rzetelnie się rozeznać. Opowiada przy tym, że Carmoly, współpracownik *Revue de l'Orient*, któremu umożliwił wraz z Beniaminem z Tudeli „po Palestynie podróżować", „zanotował do trzech tysięcy pisarzy hebrajskich z Polski" i zapytuje, dlaczego nic z dorobku pisarskiego nie tłumaczy się na język polski, uważa przy tym, że i Talmud powinien być przetłumaczony.

Przechodząc do meritum sporu i sposobu reagowania grupy żydowskiej na artykuł Lesznowskiego, powiada, że jest stanowczym przeciwnikiem całej tej hecy i wypowiada się przeciwko pojedynkom. „Drwiny odeprzyj drwinami; złość sarkazmami; fałsz, oszczerstwo gromką prawdą lub milczącą wzgardą. Na to są pióro i druk..."

Niestety „stało się inaczej: z małej chmury ulewa, deszcz i nawałnica".

Następuje charakterystyczna powiastka Lelewelowska:

Mieszkał w Turcji w Dinopoli czy blisko w Eskibaba z przodków zasiedziały, pono Wyrwa, z kilku towarzyszami. Dość spokojnie. Choć czasem Turek im dopiekł, znosili przeciwności cierpliwie. Jednego razu usłyszeli Turka dla swej zabawy chrześcijan lżącego. Oburzeni pozwolili sobie Turka strofować, ufni w tolerancję wyznań, jaką się rząd turecki szczyci. Turek, strofowaniem drażniety, pozwał wszystkich do sądu, skarżąc, że go rozmyślnie i zmownie obelżyli, odgróżkami zagrażają bezpieczeństwu jego dostojnej osoby, powodowani niechęcią do kasty, na cześć islama zawziętej.

Przed Kadym obżałowani odpierają srogie zarzuty, wyjaśniają swe położenie — Kady słucha: Prą się strony. Kady słucha. Turek uderzył mu w sedno, mydli i wikła. Obżałowani usiłują wydobyć się z matni. Nie do myśli to Kademu. Zniecierpliwiony skargą i obroną, jak nie krzyknie: a, wy psy niewierne, od 800 lat płodami ziemi naszej żywicie się, bogacicie. Masy wasze szachrują, zajmują się tym, czym my się nie trudnimy; szwargoczą przyniesioną mową, nieprzystępną dla cywilizacji Wschodu. Zamiast wybrnąć z przestarzałych przesądów waszych, wolicie haracz

płacić aniżeli korzystać z dobrodziejstwa, jakie wam prawo Mahometa otwiera. Moglibyście wynieść się na baszów, wezyrów, nawet na sułtanów, gdybyście islama przyjęli, obrzezać się dali. Najwyższe zaszczyty buńczucznego szlachectwa, bratnią ręką wam podawane, ze wzgardą odrzucacie. Niewdzięczni, zakamieniali w złości, łżycie wiernych, odgróżkami miotacie. W dyby, w dyby, bastonadą w pięty. Prawo przepisuje od 30 do 60: złagodzić do 31. — Wyrwa, zdziwiony argumentami, logiką i rozsądkiem Kadego, dziwił się jego znajomości historii, biegłości w prawie i w zastosowaniu do praktyki — odwołał się do sądu muftiego czy sułtana, których aby rozsądek natchnął...

Nie bacząc na przejrzystą aluzję tej „wschodniej", azjatyckiej powiastki, Lelewel na tym nie poprzestaje. Zmieniając polsko-żydowski incydent na konflikt pomiędzy wyznawcami islamu a chrześcijanami, czyniąc właśnie mahometan Polakami, chce ukazać w sposób odwrócony potworność oskarżenia i wyroku Kadego. W tego rodzaju rozprawach i w takiej sprawiedliwości widzi przede wszystkim własne cele i zainteresowania rządu carskiego. Kontynuuje:

Kubek w kubek coś podobnego zaszło w Warszawie, gdzie zapadł sąd i wyrok nie rady sądu policji poprawczej.

Lelewel określa akt sądowy jako „sądową satyrę na sprawiedliwość" i powiada: „Wszędzie nadużycia policji są głośne, w sądach policji poprawczej nie braknie ich; ale podobnego dziwactwa trzeba by chyba w ciemni zeszłych wieków wyszukiwać". Referując wszystkie „zważywszy" aktu sądowego, wskazując, że akta sądowe są obiektem drwin prawników zachodnich, Lelewel powiada:

Akt tedy ten zawiera nie tylko wyrok, ale relację procesu w formach niezwykłych, dlatego zapewne, żeby o biegu procesu publiczność jako tako dowiedziała się, gdyż takowy toczył się przy drzwiach zamkniętych.

I oto rozprawa merytoryczna:

Zawadza to sądowi, że Żydzi lat 800 płodami ziemi polskiej żyją. Żyją — powiada — Lelewel — płodami powszechnej rodu ludzkiego żywicielki, nie ogłodziwszy innych tej ziemi mieszkańców; żyli płodami, jakie nabywali za grosz własnego zarobku. Odziewali się własnym trudem. Kontusze, żupany, obuwie, fraczki, katanki szlachcie przyrządzali; stroili ich jubilerką; herby im na sygnetach wyrzynali i liczne w ich ekonomię, jakich nie obliczam, usługi czynili: kiedy bieda, to do Żyda.

Szczególnie ostro rozprawia się Lelewel z pojęciem „przybysza". Gdy Niemiec czy Francuz zamieszka w kraju od niedawna, staje się krajowcem, a Żydzi zamieszkali na ziemiach polskich od wieków są jeszcze uważani za przybyszów. Żydzi są „krajowcami", a nie żadnymi przybyszami... Oburza się również na twierdzenie, jakoby „pojęcia ludności polskiej stały na zawadzie uznaniu Żydów za krajowców", i powiada: „Stoją na zawadzie kierownicy sprawy publicznej; ci, co się czepiają jej steru; stoją na zawadzie złośliwe bigoty, z wy-

żyn swoich ludzkość obrażające; a za nimi trwożone ciemnych umysłów zawierzenia. Niecne indywiduów wykrzyki, poczytające się za reprezentantów bądź pojęć ludu, bądź obywatelskiego; rzucające wobec świata plamę na polski naród".

Lelewel czytał chyba dokładnie wynurzenia Kraszewskiego, w których ten z żółcią mówi o kapitalistach i monopolistach kapitałowych. Toteż przy okazji porusza i ten problem.

„Potęga kapitału potworne sprawiła wrażenie". I pyta: „a bez niego co by było?" I dodaje: „Ta potęga waży losami świata, utrzymuje mocarstwa albo bytem ich chwieje. Są to operacje pieniężne, do których trzeba ludzi zdolnych, od innych zatrudnień wolnych. W Turcji, w Persji, w Azji powodują tym Ormianie, w Europie głównie Żydzi, z którymi mieszają się inni. Być może, że u nas wyłącznie oni sami, nieszczęściem za coś obcego poczytywani; kiedy w innych krajach są krajowcami, obywatelami".

I oto wzruszający koniec pięknego dokumentu trzeźwości umysłu sędziwego patrioty i wielkiego humanisty:

Wezwaliście mnie, panie Mer...(zbach) do pisania, przyjmijcież myślą pogodną i dobrym sercem, com nakreślił. W mroku życia, z dala od wspólnej ojczyzny naszej, miłując tę wspólną matkę naszą, pragnąłbym ujrzeć wątek jej przyszłości nawinięty na wrzeciono odrodzenia i błogości.

A tymczasem powtarzam dzieciom Izraela: dajcie się poznać mowie polskiej, jak jesteście w sobie. Wstydem zapłoną najprzesądniejsi. Umilkną. Otworzy się księga obywatelska. Siła wieku, światło wieku przełamie zawziętości i przesądy. Zostanie szlachta przy swych zaszczytach, przy drogich wspomnieniach zeszłych zasług. Przybyszami będzie od wczora przybyły, a jakiegokolwiek wyznania krajowiec, wedle woli swej zapisze się w obywatelską księgę, aby użył pełnych praw cywilnych i politycznych, jakich dziś obywatel polski pozbawiony.

Opinia polskiej i niepolskiej prasy zagranicznej, potępiająca fakt zwrócenia się o sprawiedliwość do kata narodu polskiego, zmusiła reakcjonistów do opamiętania się. Postanowili nie dopuścić, by odbyła się rozprawa apelacyjna. Wymogli na sukcesorach Lesznowskiego i na współredaktorze Kenigu odwołanie skargi i zrzeczenie się dalszego dochodzenia. Wobec takiej zmiany Sąd apelacyjny uchylił wyrok pierwszej instancji i podsądnych od kary uwolnił.

Co w konflikcie tym jest najważniejsze? Zupełnie odmienna postawa drugiej generacji Żydów oświeconych. Ich dumne stawianie czoła, poczucie własnej wartości i... szok spowodowany brakiem uznania dla ich działalności.

Wydaje mi się, że zamieszczony w *Jutrzence* (w numerze 18-tym z 1-go listopada 1861 r.) wyjątek z dzieła Rabi Majera Aldali: *Szewile Emunah (Drogi wiary)* z 1860 r., w swojej sentencji sięga dalej, ma wymowę bardziej aktualną:

RECEPTA NA CHOROBY DUCHOWE

Opowiadają o pewnym mędrcu, iż udał się do bardzo biegłego, pobożnego i bezinteresownego lekarza, do którego zaniósł prośbę w następujących słowach:

„Jeżeli znalazłem łaskę w oczach twoich, to zechciej mi przepisać miksturę, która

by oczyściła duszę moją z grzechów, gdyż — mówił pacjent — czuję, iż jestem duchowo chory." Lekarz milczał; zastanawiał się, podczas gdy pacjent stał bojaźliwie czekając na skutek swego żądania.

„O! mój pacyencie — odrzekł lekarz — ty, który cierpisz na chorobę grzechów, która zasmuca i pognębia umysł,

w e ź: korzeń wiary z liściami nadziei i pociechy,

d o d a j: lilii szlachetną prostotę z różami wiedzy,

w ł ó ż: w moździerz skruchy i sproszkuj tłuczkiem miłości i przywiązania,

z m i e s z a j: ze łzami poważania,

w ł ó ż: do naczynia i z g o t u j: przy żarze wdzięczności,

z a c h o w a j: pod pokrywadłem rozumu,

p r z e c e d ź: przez sito prawdy i wiary i

p i j: w kubku cierpliwości i rezygnacji.

Tak nigdy nie wpadniesz w bezbożność, winę i szyderstwo, i będziesz wyleczonym z wszelkiego zła."

Otóż zalecenie to jest charakterystyczne: miksturę, uzdrawiającą chorobę ducha, pić „w kubku cierpliwości i rezygnacji..." Niejeden i w latach poprzednich, a szczególnie w latach późniejszych, pił z tego kubka. Czy został wobec tego wyleczony? Niestety, trudno na to dać potwierdzającą odpowiedź.

Nawet gdy Żydzi krew swoją chcieli ofiarować ojczyźnie, musieli przełamywać opór. Gdy na przykład w przededniu powstania listopadowego setki Żydów zgłosiły się do wojska, minister wojny, Morawski, odezwał się z patosem: „Jak możemy pozwolić, ażeby krew Żydów z szlachetną krwią Polaków się mieszała, a co Europa powie, że my, by wywalczyć niepodległość, bez ramion żydowskich obejść się nie możemy". Żydzi, jak wiadomo, uczestniczyli tylko w Gwardii Narodowej, przy tym zaszczyt ten musieli okupić zmianą ubioru, ogoleniem brody i pejsów...

W roku 1863, po reformie Wielopolskiego zmierzającej do utworzenia z Żydów klasy mieszczańskiej i zrównania ich w prawach, sprawa już kształtowała się inaczej i wystarczyło lekkiego wiewu przyjaźni, by Żydzi z pospólstwa, Żydzi — ortodoksi i chasydzi nie żałowali swojej krwi dla sprawy niepodległości ojczyzny...

Kubek cierpliwości i rezygnacji musiał być jednak bardzo duży i głęboki, gdyż nieraz jeszcze wypadło z niego pić...

Salomon Łastik

Rozdział z książki *Z dziejów oświecenia żydowskiego — Ludzie i fakty.*

Jerzy Miller

JAK MLECZU KWIAT

Westchnienia, których nie posłyszy nikt,
stały się moją specjalnością. Warstwą korka,
puszystych dywanów i tłumliwych dykt
chronię się przed szaleństwem atomowych piekieł —
Ja, który nie potrafię zreperować korka,
czyż to możliwe, bym jak Einstein był człowiekiem?

Zostawcie mi zwyczajne jazdy
pociągiem, końmi, łodzią.
Na swoim miejscu gwiazdy
niech wschodzą i zachodzą.

Atolu Eniwetook parasolka biała
jak mleczu kwiat na wietrze się rozwiała.
Palmy Paula Gauguina zamienione w tęcze
odrosły od ziemi w sfery napowietrzne.
I zapanował taszyzm — chaos krech i plam
podobnych do wszystkiego, oprócz właśnie palm.

Tam się nie płaci czynszu.
Gdzie? — Tam! Gdzie nie ma okien,
drzwi i gzymsów.
Lokatorzy lepianek z powietrza
z ulicy szerokiej
i widnej na przestrzał —
dobrej nocy! Już proszek o skomplikowanej nazwie jak perfuma zwietrzał
i oto się zbliża i zaczyna
jak przedtem i jak zawsze muzyką
dzień wtóry sprężony jak sprężyna.

EPITAPHIUM

Co się zrodziło — wyjawcie!
toć się nie skradam z mieczem
jak Herodowi oprawcy
po judzkim Nazarecie.

W roli się ojców postawcie,
niespokojnych o zdrowie —
czy nic się nie stało matce
i nic noworodkowi?

Te głosy za ścianą z korka
czyimi są głosami?
Pozwólcie mi wejść do środka
sal białych jak pergamin.

To nie są pienia aniołków
na chórze barokowym,
skąd Bacha koncert o zmroku
wypłasza śpiące sowy.

Stałbym i słuchał, dopóty
nie nazwę dźwięków, które
przyprowadziły mnie tutaj
z radości na torturę.

Bezradnie, jak ptak bez skrzydeł,
prawdzie spoglądam w oczy,
lecz nic nie widzę prócz sideł,
w których gasną prorocy.

Jerzy Miller

Stanisław Zieliński

SZEŚCIAN

Zabrakło wody. Skończyły się konserwy. Została figa z makiem. Wyszedłem na powierzchnię ściskając pod pachą ostatnią puszkę — kompot z gruszek. Spodziewałem się zmian. Zastałem zmiany ogromne. Porównywanie z tym, co było tutaj dawniej, nie miało najmniejszego sensu.

— Wszystko inne. Trzeba pogodzić się z innością i działać możliwie rozsądnie.

Postanowiłem iść w kierunku szosy. Dostałem się tam stosunkowo łatwo. Było zupełnie cicho. Nad horyzontem, jak w słońcu śniegi, iskrzyły się obłoki. Patrzyłem z przyjemnością: prawdziwe, naturalne. Mimo niesamowitych spiętrzeń i wybrzuszeń, widok obłoków działał uspokajająco.

Pod obłokami falowały wzgórza. Szosa przecinała równinę, pokonywała wzniesienia i biegła dalej ku innym równinom i pagórkom. To d a l e j było celem. Tam chciałem wrócić. Znałem drogę, lecz nie ruszałem z miejsca, bo za wzgórkami odezwały się motory. Warkot silników stawał się coraz wyraźniejszy. Dwa samochody wjechały na wzniesienie, postały chwilę i powoli zaczęły zsuwać się w dolinę.

— Na szczęście nie żołnierze. Na szczęście zbliżają się z właściwej strony.

Wyszedłem na szosę i podniosłem rękę. Numery rejestracyjne uspokoiły mnie do reszty. Pierwszy samochód zatrzymał się przed moim nosem. Pasażerowie patrzyli ze zdziwieniem.

— Hurra — powiedziałem — wygraliśmy wojnę.

Rumiany cywil otworzył drzwiczki.

— Niech się pan nie wygłupia. Mamy kłopot. Mapa nie zgadza się z terenem. Błądzimy.

— A to już, panie, robi się południe — dodał drugi, maleńki, chudy, bardzo stary, ze srebrną cygarniczką w zębach.

— Nic się nie zgadza z niczym. Zrozumiałe, powodów było dosyć — odpowiedziałem rumianemu.

— Mów pan grzeczniej — pouczył szofer — to prawie minister!

— Potrzebny nam przewodnik. Czy zna pan okolicę? Właśnie, skąd pan się tutaj wziął? Do licha, kim pan jest?

Opowiedziałem pokrótce przygody i koleje losu. Rumiany słuchał podejrzliwie. Trochę się krzywił, kręcił nosem.

— Wprost nieprawdopodobne szczęście. Sprawdzimy w swoim czasie. Ej, co pan tam kryje za plecami?

— Kompot. Gruszki.

— Gruszki są bardzo dobre — staruszek westchnął i oblizał wargi.

— Na trzy osoby trochę mało.

— Panie ministrze, na cztery! — krzyknąłem. Chciałem się cofnąć, lecz rumiany okazał się zręczniejszy. Wyrwał mi puszkę i ukrył w samochodzie.

— Niech pan siada obok szofera. Będzie pan pokazywał drogę.

— Wolałbym jechać drugim wozem.

— Grymasy? O gruszki?

— Panie ministrze, tam mogą być miny.

— A, to co innego — rumiany dał znak. Drugi samochód wyminął nas i zatrzymał się o kilkadziesiąt kroków. — Jazda, śmiało! Na najbliższym skrzyżowaniu podam dokładną marszrutę. Jazda!

Ruszyliśmy i my. Wypytywałem szofera, czego szukają na pustkowiu? Hałaśliwy motor umożliwiał dyskretną rozmowę.

— Zbieramy „pożytki wojenne". Zabezpieczyliśmy już cztery serwisy, każdy na dwanaście osób. Porcelana bardzo poszła w cenę! Porcelana i fachowcy. Dlatego wozimy starego ze sobą. Jeden z nielicznych, którzy ocaleli po atakach w pierwszej fazie walki.

Szofer gwałtownie zahamował. Powiedział „przepraszam" i wyskoczył z wozu.

— A tam co takiego? — krzyknął rumiany.

— Nocnik, panie ministrze. Bardzo mi się przyda. Małe dziecko w domu... — Szofer pokazał niebieskie, emaliowane cacko. — A niech cię!... Przestrzelony!

— Głupstwo, drobiazg. Raz, dwa się załata. Niech pan weźmie — poradził staruszek spec.

— Prędzej, prędzej!... — Irytował się dyrektor z widokami na ministra. — Szukamy czegoś poważniejszego! Mam pewną wiadomość, że gdzieś w tym rejonie — pokazał kółeczko na mapie — zostały ogromne nieprzyjacielskie składy.

— Dużo tam tego? Pytałem pana o to samo przedtem, ale zapomniałem. Już mi się liczby nie trzymają głowy — ziewnął staruszek.

— Cztery miliony — powiedział rumiany z naciskiem. — Cztery!

— Czego? Cztery miliony czego? — zapytałem.

— Widelczyków do ostryg. Wróg nie zdążył ewakuować magazynów. Cztery miliony widelczyków dostały się w nasze ręce!

Pomyślałem sobie: a to ładna historia!... Wpadłem między pomyleńców. Musiało się im coś przytrafić. Może zwariowali ze strachu? Może ich czymś posypano w pierwszej fazie walki i jeszcze nie przyszli do siebie?

— Coś pan taki kwaśny? — przyczepił się rumiany. — Jedzie się wygodnie!

— Tak, ale w przeciwną stronę.

— Zabezpieczymy widelczyki i zaraz wracamy.

— Na widelczykach wisi ministerialna teka — zaśmiał się staruszek. — Ja to, panie, wszystko doskonale znam. Najpierw pakuje się w wojnę, co tylko wpakować się da, a potem zbieramy resztki i nad każdym ogryzkiem cmokamy z zachwytem. Generałowie śpią, a my... — machnął ręką.

— Czy zdobyliśmy również skład ostryg? Nigdy nie jadłem, chętnie bym spróbował.

— Zdobyczne widelczyki przerobimy na normalne łyżki. Sytuacja ogólna bardzo dobra, ale brak łyżek daje się we znaki. Ostryg, jak wiadomo, od dawna nie ma na świecie.

Domyśliłem się, że rumiany dyrektor całą nadzieję pokłada w widelczykach. W tym momencie jadący przed nami samochód natrafił na przeszkodę nie do pokonania. Zniszczony most uniemożliwiał przekroczenie rzeki. Skręciliśmy więc w bok, klnąc objazd znacznie wydłużający drogę. Po kilku minutach wjechaliśmy na równinę, za którą siniał spalony las. Dziesiątki czarnych czołgów stało po obu stronach szosy. Zwęgleni dowódcy zwisali z wieżyczek, w otwartych włazach tkwili kierowcy i strzelcy. Było tam, na tym polu, wiele innego sprzętu, armaty wielkie, średnie i maleńkie, lecz widok spalonych czołgów najbardziej chwytał za serce. Dziwacznie poskręcane lufy, pancerze rozsadzone żarem czyniły obraz jeszcze bardziej niesamowitym i jeszcze groźniejszym.

— Ciężkie walki na broń konwencjonalną. — Broniąc się przed wzruszeniem, użyłem słów komunikatu wojennego.

— Okropne. Dobrze, że tę wojnę nazwano ostatnią — powiedział szofer.

— Można tak gadać, dopóki generałowie śpią dłużej... — mruknął stary spec. — Ja to, panie, znam.

— Miliony ton! — Dyrektor zacierał dłonie. — Kolorowe metale, szlachetna stal! Prawda, inżynierze? Pan się przecież zna!

— Pewnie, pewnie... — potakiwał staruszek i ssał pustą cygarniczkę. — Może by jechać prędzej? Upał robi swoje. Strasznie te czołgi już czuć.

Kierowca przyśpieszył, lecz wkrótce, ledwie minęliśmy pole bitwy, znowu musiał zwolnić. Przewrócona ciężarówka tarasowała szosę. Pierwszy samochód ominął ją i ostrożnie pojechał dalej. Nasz szofer miał bystrzejsze oko.

— Patrzcie! — zatrzymał wóz i zgasił silnik.

Wysiedliśmy z pośpiechem. Drewniana skrzynia leżała w rowie. Szofer znacząco poklepał ją dłonią.

— Bardzo starannie wypolerowane ściany. Ładnie dobrane klepki. Przypominają parkiet w porządnym mieszkaniu — powiedziałem wyciągając rękę.

Dyrektor odepchnął mnie łokciem.

— Spadła z ciężarówki. Bardzo możliwe, że zrzucił ją podmuch. Wróg chciał skrzynię ewakuować, ale już nie zdążył. Nasze szczęście, jego pech. No, dobrze, ale co to właściwie jest?

Inżynier oglądał skrzynię przymrużywszy oko.

— Sześcian, panie dyrektorze. Sześcian o krawędzi jednego metra — spec wyjął calówkę, przyłożył i z zadowoleniem kiwnął głową. — Metr, ani milimetra więcej.

Dyrektor wybuchnął śmiechem.

— Pytam, co w środku?

— Coś bardzo ciężkiego. No, panie!... — szofer krzyknął na mnie, żebym pomógł obrócić skrzynię na drugi bok.

— Wstyd! Mógłby się pan sam domyślić — szepnął dyrektor. — Musimy sobie pomagać. Jak razem, to razem.

Przeturlaliśmy sześcian z rowu na skraj szosy. Pudło, jak kamień ciężkie, ze wszystkich stron było jednakowe. Ani śladu zamknięcia, ani zawiasów, ani żadnego znaku, który pozwoliłby odróżnić, gdzie góra, gdzie spód.

— Chciałbym przed odjazdem dowiedzieć się, co tam jest w środku? — powiedział dyrektor ocierając spocone czoło. — Do licha, coś być musi!

— Kiedy, panie dyrektorze, pracowałem w Azji, to złoto z naszej kopalni odsyłaliśmy na kolej tylko w zimie. Droga daleka, po drodze rozbójnicy, nie pomagała najsilniejsza eskorta. Aż ktoś wpadł na pomysł, żeby wysyłać złoto w wydrążonym pniu. Pień na płozy i hajda w drogę! Bywało, banda wypadła z zasadzki. Patrzą zbóje — kloc jedzie za klocem. Nie widać eskorty ani skrzyń ze złotem. Popatrzą, spluną, wracają, skąd przyszli.

— Mówi pan, inżynierze, że w skrzyni jest złoto? — dyrektor uśmiechnął się i nagle spoważniał. — Metr sześcienny złota?!

— Ja nie twierdzę, że złoto. Tam może być coś innego. Różne mogą być rzeczy, diamenty, szmaragdy. Może być platyna... Skąd ja mogę wiedzieć?

— Nóż, scyzoryk!... — zawołał dyrektor.

— Proszę... — inżynier otworzył nożyk i podał dyrektorowi. — Ostrożnie, dębina twarda, a stal bardzo krucha.

Dyrektor spróbował podważyć klepkę. Ostrze złamało się z trzaskiem. Inżynier westchnął.

— Takiej stali już się nie doczekam. Tak, to dąb albo buk.

Szofer otworzył schowek i gorączkowo przerzucał narzędzia szukając „wielkiego młotka" i „dużego majzla".

— Teraz puści! Musi być gdzieś luz!

— Bij w szczelinę, szukaj szpary! Mocno!

Nigdzie nie było luzu. Po każdym uderzeniu odskakiwały drzazgi nie większe od zapałki. Sześcian trzymał się, nie dawał dostępu do złota.

— Daj! — dyrektor zrzucił marynarkę i chwycił młotek. Wziął zamach i wolno opuścił ramię.

Pierwszy samochód, o którym nikt nie pamiętał, wracał pełnym gazem.

— Jeden znajdzie, wszyscy wyciągają ręce — szofer zaklął.

Dyrektor uśmiechnął się krzywo.

— Sześcian na sześciu, pasuje jak ulał...

Chrząknąłem parę razy, lecz na moje znaki nawet inżynier nie zwrócił uwagi. Usiadłem więc na kamieniu i podparłem brodę. Z pierwszego samochodu wysiedli dwaj uzbrojeni urzędnicy i naburmuszony szofer.

— Defekt?

— Podobno złoto...

— W tej skrzyni?

— Przydałby się saperski ładunek albo mechaniczna piła.

Po krótkiej naradzie zaczęli kuć na dwa młoty.

— A pan co? — huknął dyrektor cały zlany potem.

— Nic, myślę.

— A cóż to za ohydny typ... — uzbrojony strażnik pogroził mi pistoletem. — Może by tak prędzej?

Waliłem młotem w klin. Odpoczywałem i znów męczyłem się jak głupi. Po cichu klnąłem: „O świńtuchy, czy to tak się robi? Praca na siedmiu, a złoto na sześciu?" Stary inżynier, żeby nie stracić udziału, też dłubał,

awał, że pomaga. Po godzinie puściła jedna klepka. Szybko zerwano pierwą warstwę. Zaczęło się wściekłe rozbijanie drugiej. Pod drugą odkryto ecią. Rozbito trzecią, aby zobaczyć czwartą złożoną z takich samych klepek.
— Drewna coraz więcej, złota coraz mniej — powiedział szofer pierwszego nochodu.
— A jeżeli w środku nie ma nic?
— Coś musi być.
— Byle czego nie chowa się w tak kosztownej skrzyni!
Uwaga dyrektora dodała sił i zachęciła do wytrwałej pracy. O zmierzchu acono ostatnią nadzieję. Nad okaleczonym sześcianem pochylił się stary ec. Mierzył calówką, sprawdzał, kalkulował. Ciężko dysząc czekaliśmy wyrok.
— To nie skrzynia. To same klepki — ogłosił rozkładając ręce.
Dyrektor wciągnął koszulę i nałożył marynarkę. Krawat wetknął w kień. Młotek i „majzel" oddał szoferowi.
— Do samochodów — zarządził śmiesznym, piskliwym głosem.
— Metr sześcienny złota przeszedł koło nosa — westchnął uzbrojony urzędr.
Stanęliśmy w pół drogi między samochodami i sześcianem. Trudno było godzić się ze smutną prawdą. Odjazd przekreślał nadzieje, pozbawiał wielej, może jedynej szansy. Dyrektor krzyknął ochryple. Zawrócił, podbiegł sześcianu i z całej siły kopnął przeklęte klepki. Po tym akcie rozpaczy iedliśmy do samochodów. Warknęły silniki. Ruszyliśmy w dalszą drogę. chaliśmy wolno, paląc wszystkie światła.
Stary inżynier zasnął momentalnie. Wtulony w kąt, sapał i charczał jakby duszono. Potem ucichł. Klekotał zdezelowany motor. Dyrektor dmuchał pokryte bąblami dłonie. Szofer wytrzeszczał oczy. W smudze reflektorów jawiały się co chwila zupełnie nieoczekiwane przeszkody.
— Ciekawe, co to mogło być? — zapytał szofer. W rozmowie szukał unku przed snem.
— Przypuszczam, że na sześcianie stał jakiś precyzyjny silnik — odpoedziałem ostrożnie — lub inna maszyna wrażliwa na wstrząsy...
— Dopiero teraz pan to mówi!
— Dopiero teraz przyszło mi to na myśl! — kłamałem, udając święte urzenie.
W tej chwili usłyszałem metaliczny brzęk.
— Coś się urwało z naszej limuzyny.
— Pan dyrektor wyrzucił pustą puszkę. Po kompocie — powiedział szofer wyraźną satysfakcją.
Dyrektor chichotał przez sen. Na najbliższym postoju opuściłem poszukiczy wojennych pożytków. Pod osłoną bezksiężycowej nocy pobiegłem powrotem.

Stanisław Zieliński

Jan Czarny

KAZIO

Jest noc, marcowa noc.
Wiosnę wyprowadzono za kołnierz,
weszła nielegalnie.
Nagle wyłania się jak z magicznej strzelnicy
słońce zlepione z kolorowych skrawków.
Zmienia się nagle w ręczny zegarek,
który mi Kazio przywiózł z Konina.
O tym zegarku mógłbym napisać powieść
z kocim cyferblatem, fosforyzującymi wąsami,
o Kaziu, o Kaziu, o Kaziu,
który mi z Paryża przysyłał pocztówki Van Gogha,
o tym, jak on z żoną swego...
Wiszą nad moim biurkiem żółte słoneczniki Van Gogha,
a nad nimi Kazio w żółtych kalesonach,
z błękitnymi skrzydełkami, z pięknym napisem
„umarłem w Paryżu".
Takie błękitne skrzydełka miały ważki nad Prosną,
a Kazio miał piękne falujące włosy,
a jego ojciec, a jego matka, a w ich kredensie,
a na ich fortepianie...
Precz zjawy przedmiotów i dusze umarłych —
jestem człowiekiem poważnym.

Luty, 1957

AUTOPORTRET

Dziwny pan
narysowany ołówkiem
ściera sam siebie
szkolną gumką
Już starł nogi
ręce i tułów
Zostały tylko
dwa palce
(trzymające gumkę)
i wypukłe oko.

Grudzień, 1957

STUDIUM Z NATURY

O, śmieszna anatomio splecionych ciał.
Jedyny widok z lotu ptaka
przypominający obrazy Boscha.
Gdzież się podziała tkliwość zapachów,
od której kicha wieczność
i trzęsą się góry.

Maj, 1957

Jan Czarny

Zbigniew Bieńkowski

MICHAUX
WYOBRAŹNIA PREWENCYJNA

Wyobraźnia nie musi być w opozycji wobec świata, oczywiście, że nie musi. Może być także sprzymierzeńcem świata, oczywiście, że może. Z tego przymierza wyobraźni ze światem powstało wiele, bardzo wiele pięknych dzieł, którymi świat pyszni się poprzez wieki. Cóż byśmy zresztą wiedzieli o świecie, gdyby nie wyobraźnia poetów? To ona ukazała dopiero i wymiary i piękno, i grozę rzeczywistości. Pomyśleć tylko: gdyby nas tak zostawić jedynie z własnym nosem, okiem, uchem, dłonią — daleko byśmy zaszli w eksploracji świata! Każdy by miał w swoim widnokręgu roboty na całe życie; składać barwy, dźwięki, komponować przestrzeń, bo to, co istnieje przecież dopiero w naszej świadomości, w naszym odczuciu przez porównanie z jakimś idealnym wzorcem przeżycia zyskuje proporcję i harmonię umożliwiające wzruszenie. Cóż z tego, świecie, że jesteś, że ci nie grozi żadna już nigdy detronizacja z bytu, żaden zamach idealizmu, jeśliś w istocie swojej bezkształtny, bezbarwny, bezwonny? Pysznisz się swoją materialną niezależnością, ale w istocie, a więc w pojmowaniu moralnym, w odczuwaniu estetycznym jesteś całkowicie zdany na nasze możliwości. Bez naszego poczucia proporcji i wartości zaledwieś olbrzymią grudą ziemi zapędzoną dookoła słońca.

Jakże to już nieaktualna pochwała i jakże nieaktualna deprecjacja! Pojęcie dobra i zła, piękna i brzydoty tyle razy bankrutowało, odradzało się, bankrutowało i odradzało się znowu, że przestaliśmy wiązać z nim sens rzeczywistości. Świat coraz bardziej oddalał się od naszego o nim wyobrażenia, cóż z tego, zły czy dobry, piękny czy szpetny. formował sobie własne kryteria istnienia. I dzisiaj, kiedy grozi, to grozi nie wyobrażeniem potęgi, ale nią samą, stu możliwościami rzeczywistości. Schowaj się, wyobraźnio, ze swoimi prymitywnymi narządami. Cóż możesz intuicją w epoce radaru? Jakżeś zmarniało, przeczucie, wobec nagłości zjawisk, co się nawet nie śniły! Wyobraźnia, to centrum wyobrażeń o świecie dzisiaj (a jutro?) jak polny kwiatuszek wzrusza naiwną banalnością, jak nie przymierzając — ale dalekośmy zaszli! — stylizacja zamierzchłych baśni.

Tak w lapidarnym skrócie wygląda sytuacja poezji współczesnej w dzisiejszym świecie. Świat rzeczywisty posiadł takie środki wyrażania bezpośrednio swoich żywiołów, że bledną przy nich metaforyczne transkrypcje mocy i grozy.

Wyobraźnia znalazła się w pozycji biernej, a więc niemożliwej dla niej i nie pasującej do niej. Prekursor rzeczywistości ma w najlepszym wypadku pełnić funkcje popularyzatora wynalazków materii? Niedoczekanie. Już lepsza abdykacja.

Nie jest sprawą przypadku, że regres, abdykacja wyobraźni, a co za tym idzie gatunkowe przeobrażenie poezji wystąpiło najwcześniej i najradykalniej w tej części świata, gdzie atak rzeczywistości był najgwałtowniejszy, w krajach anglosaskich więc, w Stanach Zjednoczonych przede wszystkim. Jest to zjawisko tym bardziej jaskrawe, że właśnie tam wyobraźniowe widzenie świata osiągnęło w poezji Withmana swoje *apogeum*. Współczesna poezja anglosaska, a współczesność ogarnia wszystko, co się zjawiło w niej od Eliota poprzez Ezrę Pounda, Dylana Thomasa do dnia dzisiejszego, reprezentuje z pewnością całkowicie nową odmianę i nową propozycję poetyckiego przeżycia. Wyobraźnia, wyobraźniowe widzenie, odczuwanie, wyobraźniowe poznawanie świata i organizowanie jego wizji, a więc to, co w poezji europejskiej jest od Rimbauda kanonem — tutaj niemal że się nie liczy. Przeciwstawienie ja — świat odbywa się nie poprzez doznania, a więc nie w ramach wrażenia. Tutaj świat nie występuje bezpośrednio z pychą swojej materii, aparaturą żywiołów, ale jest już wartością moralną, intelektualną, psychologiczną. Tu świat nie jest żywiołem, ale wszystkim, co go definiuje, określa, obrysowuje, ogranicza, a więc cywilizacją, kulturą, tradycją i marzeniem, przepowiednią i muzeum. Poezja anglosaska jest więc pełna aluzji, przypomnień, napomknięć, oddziałuje bagażem, który dźwiga na swoich frazach, bogactwem świadomych, umyślnych zapożyczeń. Powstała w związku z tym opinia o jej niedostępności, ultraintelektualizmie. Z pewnością opinia ta jest uzasadniona, ale nie wydaje mi się, aby ta niedostępność i ta intelektualność wyznaczały jej rangę; one jej wyznaczają zasięg oddziaływania. Niedostępność formują po prostu granice strefy kulturalnej, gdyż aluzyjność tej poezji obraca się w kręgu anglosaskich doświadczeń kulturalnych. (Tego typu poezja powstająca w Polsce czy we Francji będzie operowała aluzjami swojego znowuż obszaru.) Trzeba powiedzieć i to także, że każda aluzyjność skazana jest z założenia na niepełne, a w każdym razie na niejednakowe odczytanie przez wszystkich. Dlatego też wymaga komentarza i autorskiej interpretacji. I przez to utwór poetycki pozbawia się z góry, już samym założeniem formalnym, autonomii przeżycia. Staje się ogniwem w ogólnym łańcuchu humanistyki, tracąc i samoistność, i powszechność. Bo te — może zapewnić tylko wyobraźnia, nieograniczona żadnym obszarem kultury, odwołująca się do pierwotnych, a więc powszechnych żywiołów myślenia i odczuwania. (To są, rzecz prosta, konsekwencje formalne gatunku, a nie poszczególnych przedsięwzięć; w ramach każdego gatunku możliwe są arcydzieła.)

Czy anglosaska koncepcja poezji jest jedynym wyjściem z tego rozdarcia, które powstało między rzeczywistością a jej wyobrażeniem? To znaczy, czy poezja wyobraźniowa straciła wszystkie szanse (nie bytu, oczywiście, bo bytować może zawsze, ale tworzenia, rozwoju) wobec rozmachu świata rzeczywistego? W rywalizacji z możliwościami świata wyobraźnia ma istotnie niewiele, a będzie miała jeszcze mniej, do zdziałania. Ale wszystko ma do zrobienia przeciwko światu, w walce ze światem.

Przymierze wyobraźni ze światem ma olbrzymią tradycję. Ale nie mniej

bogatą tradycję ma także walka. Poezja bywała pochwałą świata i urody życia. Ale bywała także anatemą, przekleństwem, płaczem i zgrzytaniem zębów. Towarzyszyła Mojżeszowi, Salomonowi. Ale także Hiobowi i Jeremiaszowi. Wyobraźnia poetów umiała z ziarnka piasku, z grudki ziemi, z kropli rosy wywieść części i strony wspaniałego świata, zapewne. Ale potrafiła także zwalić w proch wielkość rzeczywistości i na nicości świata wznosić zręby wizji własnej, czarnej, wyklętej — wizji Baudelaire'a np.

W dzisiejszym świecie, świecie zwycięskiej i rozpanoszonej materii, wyobraźnia ma olbrzymią rolę do odegrania. Tylko ona potrafi, bo tylko ona ma środki, przeciwstawić się grozie fizycznego unicestwienia. Gdy nauki, techniki, a nawet filozofie muszą wchodzić w układy, muszą liczyć się ze stanem faktycznym, ze ślepą i głuchą mocą, tylko ona, wyobraźnia, może bez poczucia winy, bez świadomości błędu, a więc bez więzów oportunizmu, schodzić do piekieł i ocalać idee, wartości, moralne przede wszystkim. Tylko ona, wyobraźnia, zdolna jest dzisiaj wynieść ze świata jak z pożaru ocaloną wiarę w potęgę ludzkiego ducha.

Mimo onieśmielającej przewagi możliwości świata rzeczywistego rola wyobraźni jest w poezji niezmieniona, a więc dominująca. Anglosaska koncepcja poezji jest i należytą, i szczęśliwą reakcją na bezsilność wrażenia. Dzisiaj poezja wrażeniowa wyrażająca zachwycenie i przerażenie światem nie spełnia funkcji zdobywczych, prekursorskich. To pewne. Ale przecież rola wyobraźni nie ogranicza się do egzaltacji realnych możliwości świata. Niemożliwe także wchodzi w zakres jej działania. Eksplorować to, co jest poza zasięgiem zmysłów, a więc poza oczywistością, co istnieje przez analogię, przez porównanie, przez zaprzeczenie, a więc, co istnieje jako czysty byt wyobraźniowy! Tu jest prawdziwe przedpole świata, tu, gdzie realność i nierealność mają jednakowe szanse, autonomiczna dziedzina wyobraźni. Stąd poezja może atakować, oblegać i podbijać świat rzeczywisty. Stąd wymierzone metafory idą wprost do celu: do samego sensu istnienia. Tutaj już nie ma przenośni, porównań, alegorii bezinteresownych, tutaj każde słowo poezji ma sens ostateczny.

Tę miejsce-punkt-pozycję dającą wyobraźni rację i niezachwianą przewagę nad każdym, nawet najbardziej rozbuchanym światem — poeta musi wywalczyć, wyćwiczyć i jednocześnie wyegzekwować od losu. Nie ma poety, który by tego nie pragnął, zanim nie zrezygnował. Nadrealizm wpisał to nawet do swojego programu. I to był chyba najsensowniejszy punkt tego programu. Znaleźć punkt widzenia, skąd (widziane) „sprzeczności nie są już sprzecznościami", a „piękno i brzydota są nie przeciwieństwem", ale dopowiedzeniem, a więc znaleźć jakiś punkt teoretyczny, zerowy, gdzie rzeczywistość i wyobraźnia mają równe szanse — to ambicja poezji absolutna. Tylko nadrealiści robili właśnie wszystko, ażeby tego punktu nie znaleźć. Oni tylko pozornie wyzwolili wyobraźnię ze służebnego stosunku wobec świata. Pozornie, cóż bowiem mogła dać technika asocjacyjna, jeśli nie zlepek reliktów rzeczywistości? Bo prawdziwe wyzwolenie daje wyobraźni dopiero potępienie przez świat, dopiero wygnanie z rzeczywistości.

Jest do napisania historia poezji, w której obowiązującym kryterium nie będzie doskonałość wzruszenia (taką układają trafniej lub błędniej, ale nieustannie historycy literatury), ale wyzwolenie wyobraźni. Szkicem, propozycją takiej historii poezji jest znakomite studium Wiktora Hugo

Szekspirze. Ale należałoby pójść dalej, gdyż Hugo jako kryterium zastosował ogrom wyobraźni, gdy trzeba by było — jej lot najwyższy. Poezja nowoytna wskazuje nam przykładowo szczyty niebotyczne, na które po raz ierwszy wtargnęła myśl poety. Te chociażby: Słowacki, Lermontow, Baudelaire, Rimbaud, Lautréamont i za Lautréamontem powtórzę: Krasiński *Irydiona*. Widać je z każdego miejsca czasu i przestrzeni. Wznoszą się nad wiatem, wyżej — nad pojęciem świata, jak Baudelaire'owskie sygnały, ygnały samotności. Są nie do naśladowania. Są tym, czym są. Są. Wyobraźnie bsolutnię wyzwolone.

A bliższe nam? A w dzisiejszym świecie?

Jak poznać je? Jak odróżnić od mistyfikacji? Skąd pewność, że ta ciemość świecąca nie jest jeszcze jedną sztuczką jakiegoś Cocteau? Znakiem ozpoznawczym jest zawsze samotność. Samotności autentycznych nie ma nowu tak wiele.

Jedną z tych niewielu jest Henri Michaux.

Michaux nie jest poetą odruchów, refleksów. Dlatego nie zerwał związków e światem albo inaczej: nie przestał się liczyć z rzeczywistością od pierwszej ienawiści czy od pierwszego nieszczęścia. Nieakceptacja, dezaprobata świata ędzie u niego narastać, będzie się wyłaniać z tysięcy przeczuć, tych przesłaek wyobraźni. Świat będzie przeciwko sobie argumentował precyzyjnie dowód, oskarżenie, wreszcie oderwanie się wyobraźni będzie czymś nieniknionym, nieodwołalnym, koniecznym.

W początkach jego poetyckiej drogi tylko świat dzisiejszy, zastany był wiatem złym, niemożliwym, niegodnym. Istniał jednak przecież idealny świat rzyszłości.

Wieki przyszłe,
mój prawdziwy czasie teraźniejszy,
skazana na mnie obsesjo...
Wy, którzy będziecie znali ultra-wyznaczniki myśli i charakteru człowieka,
superhigienę i system nerwowy wielkich mgławic,
którzy nawiążecie kontakt z istotami doskonalszymi od człowieka, jeśli one stnieją,
i będziecie żyli, poruszali się w przestrzeniach międzyplanetarnych —
nigdy, nigdy, przenigdy, cokolwiek byście zrobili, nigdy nie będziecie zdolni dać sobie sprawy z tego, jak nędznym przedmieściem była ziemia, jak my byliśmy ędzni i spragnieni wielkości pod jakąkolwiek postacią.
Jak w więzieniu czuliśmy się w przestrzeni, przysięgam.

Z takich pozycji można jeszcze było pójść wszędzie. W lewo, w prawo, na ewolucyjne barykady, do wszystkich fideizmów świata, do naiwnego kultu ywilizacji, do nadrealizmu, wszędzie. Michaux poszedł przed siebie. To znazy skazał się na samotność. Bo przed siebie nie idzie się gromadnie. Iść przed iebie to w konsekwencji nie zatrzymać się nigdzie, usiłować zawsze być gdzie indziej, a więc nie mieć ani realnie, ani w perspektywie miejsca na iemi.

Bez miejsca na ziemi, maksymalny stan poezji jakżeż niewielu poetom

dany. Oszałamiające uczucie wolności, wyzwolenia z wszystkich rygorów, obowiązków, przywilejów i ideałów. Być tylko z własną samotnością, być poetą wyklętym, „wygnańcem ptaków"! Marzenie wszystkich poetów świata jakże rzadko realizowane! Ileż przeszkód po drodze, ileż satysfakcji wiążących i więżących! Niewola zmysłów, mitologia wrażenia, Kirke wyobraźni za rozkosze odkrywania nowej róży, nowego tonu słowiczego trelu krępuje wolność wzruszenia i nosem, uchem, okiem zatyka strony świata uniemożliwiając lot najwyższy. Na początku swojej drogi poeta poddaje się bez oporu. Tyle czasu jeszcze, tyle przestrzeni, tyle możliwości ma przed sobą. Ileż jeszcze lądów do odkrycia, nowe jest niewyczerpane, niechże się więc wyobraźnia ćwiczy, niech próbuje krótkich lotów od kwiata do kwiata, od wrażenia do wrażenia. A rzeczywistość z każdym nowym doznaniem coraz bardziej się liczy. Nadejdzie chwila, kiedy stanie się brzemieniem, cóż z tego, że ze szczerego złota wschodów i zachodów, jeśli nie pozwoli już oderwać się od ziemi. Wtedy poeta broni się przekonaniem — cóż z tego, że głębokie, jeśli zapożyczone od ideologii — o niewartości wszystkiego, co nie jest sprawdzalne.

Szczęściem wyobraźni Michaux jest jej niezdolność do adaptacji. Jemu także jak każdemu poecie groziło ograniczenie, upojenie światem, Kirke wrażenia. Po niego także wyciągały swoje uroki oceany, pejzaże, miłości. Lecz gdy w jednej z rozpaczy swojego życia woła o pomoc, to zwraca się po nią nie do rzeczywistości, nie do ideologii, ale w stronę niemożliwego, skąd nadejść może tylko zamiast pociechy utwierdzenie w rozpaczy:

...prosiłem was tylko o maleńki, najmniejszy cud, wy tam, kupo nierobów, bogowie, archaniołowie, wybrańcy, czarodziejki, filozofowie, i wy, koleżkowie genialni,
których tak kochałem, Ruysbrock, i ty, Lautréamoncie...

Idąc przed siebie Michaux swoją wolność wypróbowuje, to znaczy ponawia próby osiedlania się i zrywania więzów, znajdowania miejsca na ziemi i opuszczania go. Może mało który z dzisiejszych poetów w świecie tak świadomie robi próby z rzeczywistością, jak Michaux. Dobrowolnie poddawał się jej władzy, nadstawiał się na jej uroki, szedł w niewolę wrażenia. Ale jednocześnie świadomość wolności Michaux była tak wielka, że każde wrażenie w chwili rodzenia się było już — aktem wyobraźni — zneutralizowane, odarte ze złudzenia, rozbrojone. A więc martwe? U Michaux istotnie mechanizm wyobraźni działa w sposób zabójczy, niszczący, rozkładowy. Może dlatego, że Michaux chce za wiele. Jego wrażenie występuje jednocześnie w postaci konkretnej i ogólnej, jest sobą i symbolem, sobą i reprezentantem świata. W tym mieści się i siła, i słabość tej wyobraźni. Zdolna do olbrzymich syntez, nie potrafi jednak wyhodować jednej róży. Może dlatego właśnie nie dała się zaadaptować do rzeczywistości i jej ostateczne zwycięstwo, lot najwyższy jest wynikiem poniesionej klęski. I kto wie, czy poczucie klęski właśnie nie jest podstawą konfliktu Michaux ze światem. A poczucie klęski jest całkowite.

Moje posiadłości to goła płaszczyzna bez ruchu, bez życia. Jeśli kształt jakiś pojawi się tu czy tam, skądże nań światło pada? Bo nigdzie najmniejszego cienia.

Bywa, kiedy mam czas, wpatruję się wstrzymując oddech, czyham i gdy zobaczę, że cokolwiek wyłania się, pędzę, skaczę jak piłka, rzucam się, ale głowa, gdyż to zazwyczaj jest głowa, znika wessana przez bagno. Pośpiesznie czerpię, czerpię, ale wydobywam tylko błoto, tylko błoto najzwyczajniejsze albo piach, piach...

Moje posiadłości, o nie, nie wychodzą na piękne niebo. Chociaż wydaje się, że nic nie ma nad głową, trzeba iść ze zgiętym grzbietem jak w niskim tunelu.

Ale te moje posiadłości są jedynymi moimi posiadłościami, zamieszkuję je od dzieciństwa i mam prawo powiedzieć, że mało kto posiada uboższe.

Niejeden raz miałem zamiar rozplanować piękne aleje, założyłbym park rozległy...

Nawet nie to, żebym się lubował w parkach, ale...

Albo (mam tę manię nieustępliwą, odradzającą się po każdym niepowodzeniu) kiedy zobaczę gdzieś w świecie albo w magazynie ilustrowanym jakiegoś zwierzaka i gdy mi się spodoba, białą czaplę np., wtedy od razu myślę: To byłoby niezłe dla moich posiadłości, mogłoby się rozmnożyć. I od razu robię notatki, zbieram informacje o wszystkim, co dotyczy życia zwierzęcia. Dokumentacja rozrasta mi się nieskończenie. Ale kiedy usiłuję przenieść zwierzaka do moich posiadłości, zawsze mu brak jednego z najbardziej niezbędnych narządów. Robię, co mogę, czuję, że znów, jak zawsze, nic z tego nie będzie, bo jeśli idzie o rozmnażanie się, to w moich posiadłościach nic się nie rozmnaża, nigdy, wiem o tym aż nazbyt dobrze. Zabiegam o pożywienie dla przybysza, o powietrze, sadzę drzewa, zasiewam trawę, ale takie już są te moje niegodziwe posiadłości, że kiedy odwrócę oczy albo ktoś na chwilę odwoła mnie na zewnątrz, po powrocie nie ma już nic, nic lub najwyżej warstewka popiołu, w którym w ostateczności można by się doszukać zwęglonego źdźbła mchu, w ostateczności (...)

Ale niekiedy to tchnie, mało tchnie, wibruje życiem. I to już jest widoczne, to już jest niewątpliwe. Zawsze miałem przeczucie, że coś jednak z tego będzie, jestem pełen werwy. Ale wtedy właśnie z zewnątrz przybywa kobieta i obrzuca mnie rozkoszami nieobliczalnymi, ale tak błyskawicznie następującymi po sobie, że to wszystko trwa zaledwie chwilę, tę jedną chwilę, w której unosi mnie z sobą nie raz, nie dwa, ale wielokrotnie, wielokrotnie dookoła świata... Trudno. Wytrącony z równowagi przez tyle podróży, których nie pojmuję zupełnie, które były dla mnie zaledwie jakimś powiewem zapachu, uciekam od niej przeklinając kobiety po raz któryś i całkowicie zagubiony na planecie płaczę po moich posiadłościach, co nie będąc niczym są jednak jakimś terenem mi bliskim, znanym i nie dają mi tego poczucia absurdu, jakie mam wszędzie.

Między poczuciem rzeczywistości, poczuciem związków z rzeczywistością, coraz niklejszych, coraz bardziej bezinteresownych, a poczuciem absurdu, coraz potężniejszym, coraz bardziej zachłannym, wyobraźnia Michaux zaczęła się usamodzielniać, stawać się centrum świata autonomicznego, liczyć tylko na samą siebie. Pragnienia odrywały się od bazy realności, rozrastały się do rozmiarów już nie kosmicznych, ale niepojętych, były same dla siebie, nie czekały realizacji z zewnątrz, wzbudzenie ich było jednocześnie ich realizacją. W jednym z ostatnich swoich zapisków Michaux notuje jakby mimochodem, jakby chodziło o rzecz oczywistą: „To, co było niegdyś porywem, stało się urzeczywistnieniem, czyli po prostu niczym" (*Passages*). Dla wy-

obraźni, która wypracowała sobie własną hierarchię wartości, niezależną od hierarchii świata, czymże była rzeczywistość, jeśli nie zubożeniem, zawężeniem do jednej formy bytu tego, co miało nieograniczone możliwości istnienia?

Ten etap konfliktu świat—wyobraźnia nie przesądzał dalszej ewolucji Michaux. Michaux nie był pierwszym poetą, który stawał na takich pozycjach. Prymat wyobraźni to historia stara jak świat. Iluż poetów go ustanawiało. Każdy wielki poeta, każdy wielki poeta wszystkich czasów, od tego przecież w ogóle zaczynał.

Ale Michaux nie jest tylko ostatnim, nowoczesnym głosicielem tego prymatu. Rola wyznaczona wyobraźni przez Michaux jest całkowicie jego własna. A więc wyobraźnia Michaux — i to ją określa — spełnia przede wszystkim funkcje interwencyjne.

Niegdyś miałem w przesadnym poważaniu naturę. Ustawiałem się przed rzeczami, zjawiskami, krajobrazami i czekałem: niech się dzieją.

Dość tego. Od dzisiaj będę interweniował.

Nie znam wyobraźni, która by na taką skalę te funkcje spełniała. Wyobraźnia znajdująca się w konflikcie ze światem, dezaprobująca świat stara się albo unicestwić go przez porównanie z wizją nowego świata, który wznosi, albo zreformować go, ulepszyć, olśnić. Bo na dnie tego konfliktu znajduje się na ogół umiłowanie świata. I na tych zmaganiach z wyobraźnią świat tylko zyskuje oczywiście. Chętnie poddaje się ukazanym mu wzorom (słynny aforyzm Wilde'a o wpływie pejzaży Corota na pejzaże rzeczywiste), chętnie łagodnieje, uszlachetnia się w uczuciach, w obyczajach. Świat lubi być reformowany. Ale co innego jest reformowanie go, a co innego interweniowanie. Źródłem interwencji nie jest ukochanie świata. Wprost przeciwnie. Michaux dezaprobuje świat, nie liczy się z rzeczywistością, nie liczy się z żadną rzeczywistością, jaką by ona nie była. I jest najdalszy od zamiaru reformacji czy olśnienia. Z pozycji wyobraźni atakuje świat, to zło konieczne, aby mu wydrzeć ofiarę, aby osłonić ją przed mściwością oprawcy, i kto wie — może ocalić nawet, a przede wszystkim zmniejszyć cierpienie. Wyobraźnia Michaux jest więc narkotykiem, sugestią, perswazją, zimną ręką na rozpalonym czole, błogostanem halucynacji.

Choroba absolutnie unieruchamia mnie w łóżku. A kiedy nuda przybiera rozmiary przesadne, zdolne mnie rozstroić, jeśli się nikt w to nie wda, wtedy:

Czaszkę moją miażdżę, kładę ją przed sobą najdalej, jak mogę, i jeśli już jest dostatecznie płaska, wyjmuję moją kawalerię. Kopyta odbijają się rześko od tego gruntu ścisłego i żółtawego. Szwadrony z miejsca ruszają kłusem, rżeniem, chrzęstem. I ten hałas, ten rytm wyrazisty i wieloraki, ten zapał tchnący walką i zwycięstwem oczarowują duszę przykutego do łóżka, unieruchomionego.

Zastrzał to ból straszliwy. Lecz ból mój powiększało to jeszcze, że nie mogłem krzyczeć. Mieszkałem w hotelu. Noc zapadła, a mój pokój znajdował się pomiędzy dwoma innymi pokojami, gdzie spali obcy ludzie.

I wtedy zacząłem wyjmować z czaszki mojej olbrzymie kotły, blachy i jakiś

instrument, który brzmiał tak jak organy. Korzystając z czarodziejskiej siły, jaką mnie obdarzyła gorączka, zrobiłem z tego wszystkiego orkiestrę ogłuszającą. Wszystko dokoła drżało od wibracji.

I wtedy właśnie, pewien już, że w tej wrzawie głos mój nie będzie słyszalny, zacząłem wyć, wyć, godzinami. I to mi ulżyło.

Interwencje w sprawy świata gwałtowne, niekiedy cyniczne, są dla Michaux sprawą niemal ambicji. Jakby rekompensował sobie złudzenia, stracone nadzieje, zabite miłości. Za słowami szarpiącymi, drażniącymi, ośmieszającymi świat rzeczywisty, między przysłowiowymi wierszami, zawsze słyszę to niby nonszalanckie, a jakże dojmujące wspomnienie:

Ty, dla której Henri Michaux stał się imieniem własnym, być może bliźniaczo podobnym do tych innych z kroniki wypadków z wyszczególnieniem wieku i zawodu,

która żyjesz w innym otoczeniu, w innej przestrzeni, w innym powietrzu,

a dla której ja pokłóciłem się z całym miastem, stolicą niemałego kraju...

„Całe miasto" to metafora uskromniająca, nie można przecież powiedzieć „z całym światem", bo to nic nie znaczy, ale o to chodzi, Michaux jest skłócony z całym światem. Jego wyobraźnia idzie ze światem na udry. Świat tak! Świat jest taki! Dobrze! Ona go urządzi! I urządza.

Michaux wyzbywając się poczucia rzeczywistości, potęguje poczucie wyobraźni. Jego złość nie jest białą gorączką oślepiającą go i paraliżującą. Nie. Nie stosuje w swojej walce interwencyjnej ze światem środków upokarzających nieskutecznością. Nie naraża siebie na śmieszność. Nie usiłuje rozrywać łańcuchów górskich, odwracać biegu rzek, wypróżniać oceanów. Mógłby przecież. Nie. On ośmiesza świat. Na drwinę dodaje mu nowe góry, nowe rzeki, nowe lądy, które komplikują, z pewnością komplikują pojęcia geograficzne, geologiczne świata. A co mówić o innych pojęciach? Z każdej chwili tego, co nazywamy natchnieniem, korzysta, by rzeczywiście chłostać, by z niej drwić, szydzić.

Byłem w Honfleur i umierałem z nudów. Aż zdecydowałem się dołożyć coś z wielbłąda. To może nie było zbyt na miejscu. Ale trudno, taki miałem pomysł, zresztą zrealizowałem go z całą ostrożnością. Wprowadzałem je z początku tylko w dni najbardziej uczęszczane, w soboty, na rynek. Zrobił się ścisk nieopisany, a turyści mówili: Co za smród! Ale brudasy z tych mieszkańców! Smród rozszedł się, doszedł do portu i nawet zaczął wypierać woń krewetek. Każdy wychodził z tłumu pokryty kurzem, sierścią i nie wiadomo czym jeszcze.

Nocą nie można było nie słyszeć stąpania wielbłądów, kiedy usiłowały przejść przez śluzy, dzyn, dzyn, uderzeń o metal i drewno.

Najście wielbłądów odbyło się konsekwentnie i do końca.

Widziało się już, jak mieszkańcy Honfleur zerkają co chwila tym podejrzliwym zezem właściwym poganiaczom wielbłądów, którzy obrzucają wzrokiem karawanę, aby upewnić się, czy czegoś nie brak i czy można posuwać się dalej. Ale czwartego dnia musiałem wyjechać z Honfleur.

Wypuściłem wypełniony do ostatniego miejsca pociąg pasażerski. Całą parą ruszył

z rynku i skierował się zdecydowanie na morze nie niepokojąc się bynajmniej swoim ciężarem. Pędził przed siebie ocalany przez wiarę.

Można mówić o humorze i okrucieństwie poematów Michaux. Z całkowitym uzasadnieniem. Szuka się źródeł tego w założeniach formalnych gatunku, który uprawia, w fantastycznej grotesce. Nic bardziej fałszywego. Fantastyka poezji Michaux jest pozorna. Jego wyobraźnia nie liczy się z rzeczywistością, nie ceni jej i nie ceni tak dalece, że ta pogarda także antytezę rzeczywistości ogarnia. Tak jak z pozycji ducha i materia, i antymateria to jedno, tak samo z pozycji wyobraźni różnice między rzeczywistością a antyrzeczywistością są zatarte. Dlatego też Michaux bynajmniej nie uprawia fantastyki, a więc nie stwarza świata będącego w opozycji do świata-który-jest, nie stwarza antyświata (bo to jest celem każdej fantastyki), ale wszystkimi środkami wyobraźni kondensuje rzeczywistość, maksymalnie obciąża ją realnością, potęgując ją do absurdu.

Jednym z symboli, może nawet centralnym symbolem poetyckiej wizji Michaux jest Niejaki Piórko (*Un certain Plume*). Na nim świat się skrupia, on jest ofiarą wszystkich możliwych przypadków, niemal kataklizmu przypadków. Jest niewinną, niepokalaną ofiarą świata. Józefem K. i K., i Gregorem Samsą, i Karlem Rossmannem, wypadkową, uogólnieniem typu kafkowskiego. Ale Piórko nie jest kopią. Jest jeszcze czymś innym, jest także kimś innym. U Kafki absurd wynikał ze zderzenia się człowieka, losu ludzkiego ze światem. Świat stawał się absurdalny dopiero od momentu rozpoczęcia konfliktu. Przed rozpoczęciem się procesu Józef K. wiódł życie unormowane, zajmował swoje miejsce w hierarchii świata, którą uznawał. Dlatego tak się dziwi wytoczeniu mu procesu i nie chce tego faktu przyjąć do wiadomości. (Co innego K., jego pierwszy krok jest od razu absurdalny, bo on się zjawił od razu jako wyzwanie rzucone zamkowi.) Gregor Samsa, Karl Rossmann są zaskoczeni w jakimś momencie życia i od tego momentu dopiero zaczyna się absurd. Może od momentu zdobycia przez nich świadomości losu? Kafka ukazał właśnie ową grozę losu zawinionego nie wiadomo czym, człowieczeństwem? w tym jest absurd stosunków ze światem. Piórko, bohater Michaux, nie jest w ogóle stroną w konflikcie ze światem. Ani się nie broni, ani nie atakuje. Doznaje tylko.

Absurd nie jest w najmniejszym stopniu związany z jego losem (a każdy bohater Kafki ma to uczucie). Piórko jest piłką podrzucaną, odbijaną, podawaną. Rzeczą. Manekinem szarpanym za kołnierz, włóczonym po sądach, wrzucanym do królewskiego łóżka, raz tu, raz tam, jak popadło. Jego myśli, pragnienia, jego wola, jego świadomość się nie liczą. Na nim się skrupia istniejący niezależnie od niego, obok niego, i niezawiniony i niewytłumaczalny absurd, świat. I ten absurd nie jest już grozą. Ukazany drobiazgowo, w odruchach, refleksach, niejako klinicznie, staje się zjawiskiem nieważnym, bo niemożliwym do zażegnania, jego nieobliczalność jest po prostu jednym z wymiarów świata. Co można tutaj poradzić, ten świat jest mente captus! Piórko będąc niewątpliwie echem postaci Kafkowskich, jest jednak przede wszystkim metaforą Chaplinowską. Jest samą niewinnością. Jego nieszczęścia są nadużyciem, tak oczywistym nadużyciem, że już nawet nie mogą być powodem oburzenia. Potęga mająca do dyspozycji wszystko, części i strony,

siły i plagi świata, w swojej zawziętości na los ludzki jest po prostu komiczna. Michaux ukazując nadużycia świata, ich bezzasadność, mówi nam, że hierarchia rzeczywistości, a więc hierarchia wartości terroryzujących człowieka z tego jedynie powodu, że są rzeczywiste, jest po prostu absurdalnym uroszczeniem. Co z tego wynika, że coś jest? Jest przypadkiem, równie dobrze mogłoby nie być. Fakt istnienia jest zawsze podejrzany o przymierze z absurdem, a więc jest nadużyciem, takim samym nadużyciem jak świat.

Myślę, że nikt ze współczesnych nie poszedł dalej niż Michaux w podważaniu prawa rzeczywistości do moralnego dyktatu. Jedynie pogłębienie i uzupełnienie tego znajdziemy u Roberta Musila w jednym ze wstępnych rozdziałów *Człowieka bez właściwości*, kiedy pisarz niemiecki tłumaczy sens swojej *Eigenschaft*. Dla Musila (jak dla Michaux) wartości rzeczywiste nie są żadnym kryterium. Każdemu faktowi, każdemu zjawisku przeciwstawiają się wielorakie możliwości, które nie mogą być pozbawione wpływu (moralnego np.) na świat dlatego tylko, że nie zostały zrealizowane. Dla Musila, jak dla Michaux, realizacja nie jest żadnym usankcjonowaniem. Lecz tutaj drogi ich się rozejdą. Dla Michaux realizacja jest „po prostu niczym", dla Musila jest jednak wyróżnieniem, jest jakimś uprzywilejowaniem. Człowiek z właściwościami ma świadomość uformowaną przez świat rzeczywisty, przez właściwości tego świata. Człowiek bez właściwości ma świadomość i wyobraźnię wyczulone w jednakowym stopniu na to, co rzeczywiste, i na to, co możliwe. Nie ma właściwości, a więc nie ma ceeh gotowych, tych sztamp odbitych z matryc świata.

Ale wyobraźnia Michaux nie ogranicza się, o nie! do interwencji. Jej konflikt ze światem rzeczywistym jest w stanie chronicznie zapalnym. Nie czeka na okazję świata, atakuje pierwsza. To nie wszystko. Jej zawziętość jest jeszcze dalej posunięta. Stwarza sytuacje nie istniejące, spycha świat na pozycje niewygodne, przez siebie wymyślone, „fantastyczne". Wyobraźnia Michaux to ustawiczna prowokacja, nieustająca interwencja. To — mówiąc wszystko do końca — wyobraźnia (jak wojna) prewencyjna.

Tutaj i metoda, i środki zastosowane przez Michaux są bez precedensu. Jakby zamierzył i chciał osiągnąć rzecz niemożliwą: odnieść zwycięstwo nad światem, jakby w swojej walce toczonej ze światem uwierzył w równość szans. Michaux posunął się tutaj dalej niż ktokolwiek, dalej niż Kafka. Kafka w konflikcie ze światem jest, jak to się mówi, bez zarzutu, przestrzega przepisów walki (jak gry), nigdy przeciwko nim nie zgrzeszy, jest w całym tego słowa znaczeniu partnerem. W tym jest zapewne (pisałem już o tym w szkicu o Kafce) ukryty zamiar — tak to widzę — aby własną taktyką zmusić także świat do lojalności, a więc próba zabezpieczenia się. Kafka za własną lojalnością jak za okopem czuje się pewniejszy, a przynajmniej ma ustabilizowane poczucie zagrożenia, wydaje mu się, że wie, w przybliżeniu, czego się może spodziewać. Dlatego Kafka taki ogromny wysiłek wkłada w wypracowanie taktyki, zabezpiecza się całym, szczegółowym systemem, strategią, którą generalizuje, czyni z niej niemal prawo natury, chcąc, aby obowiązywała i jego, i świat. Owo wzajemne przyjmowanie zawsze (jedyny wyjątek: Amalia z *Zamku*) narzuconej pozycji walki — to próby wprowadzania ładu, skanalizowania żywiołu (natury świata i natury własnej) w przegrody, przegródki, klasery i księgi zasad. Tu już nie jest ważne, czy Kafkę do ustalenia tego

moralnego reżimu istnienia natchnął reżim cesarsko-królewski. Tu sensem jest to: nawet atakując Kafka nie posuwa się nigdy do ostateczności, bo zawsze liczy się z przegraną. Michaux nie! Michaux idzie na całego! Jest bezwzględny, bo nie spodziewa się względów dla siebie. Szuka słabych miejsc świata i tam koncentruje atak. Żadnych zasad walki nie uznaje. To nie gra. Albo inaczej: Michaux nie usiłuje z walki uczynić gry. W systemie Michaux nie ma mowy o przyjęciu narzuconej pozycji walki, czyli o aprobowaniu taktyki przeciwnika. Michaux czyha tylko na okazję, aby się uchylić i wyprowadzić świat na manowce, dalej, na pozycje jeszcze nigdy nie istniejące, nawet nigdy niewyobrażalne. I tutaj broń się, rzeczywistości!

Trzy utwory, właściwie trzy cykle utworów połączone później wspólnym tytułem *Gdzie indziej: Podróż do Wielkiej Garabanii, W kraju magii* i *Tutaj Poddema* (należałoby dodać jeszcze dwa cykle późniejsze: *Portret Meidosema* i *Starość Pollagorasa,* które są interwencjami psychologicznymi), to trzy prewencyjne wyprawy na rzeczywistość. Michaux wychodzi przeciwko niezbadanemu, przeciwko nie istniejącemu jeszcze, wyprzedza czas, przestrzeń i atakuje świat na terenie najbardziej dlań niedogodnym: tam, gdzie go przed aktem wyobraźni jeszcze nie było. Fantastyczność jest tylko pozorem, a ściślej pretekstem. Michaux tworzy kraje i zaludnia je narodami, których samo wyliczenie da pojęcie o skali przedsięwzięcia: Hakowie, Emanglowie, Joffowie, Arawici, Omobowie, Orbowie, Omanwowie, Ekorawici, Arnadyci, Niżyci, Gazynaweci, Brodeci, Mirnowie, Mazanici, Hulaburowie, Ossopedzi, Bolardzi, Arpedzi, Kalakjowie, Gularowie, Halalowie, Gorowie, Hiwinzykowie — wszyscy poddani tytularnemu i dość szybko zamordowanemu cesarzowi Wielkiej Garabanii, Duwobo. Każdy naród ma swoje własne obyczaje, czyli metody okrucieństwa, swoją własną obsesję, czyli sposób umierania. Później *Nowiny z zagranicy* (1954) relacjonują próby uleczenia całego narodu z jego obsesji, ze śmierci. (Jedyny kraj na świecie, gdzie administracyjnie „zabrania się umierać".) Narodów wiele, lecz Michaux nie na tę ilość kładzie akcent. „Te kraje, łatwo to zauważyć (pisze we wstępie do *Wielkiej Garabanii*), są w swojej ostateczności jak najbardziej naturalne. Wszędzie się je spotka... niebawem." „Są tak naturalne (...), jak pragnienie przekształcania, odtwarzania, rozwijania (...), dorzucania do milionów możliwości jeszcze jednego zjawiska." Chodzi mu o obnażenie mechanizmu świata, o ukazanie dowolności, przypadkowości wszystkiego, a więc dobra i zła, praw, ideologii, ustroju. Nic nie zabezpiecza ostatecznie, tu nie wiadomo dlaczego zabezpiecza prawo, gdzie indziej nie wiadomo dlaczego zabezpiecza bezprawie, tu wada jest cnotą, tam cnota jest zbrodnią, i nigdzie z niczego nic nie wynika. Różnorodność form życia nie jest bogactwem rzeczywistości, ale znakomitym pretekstem absurdu.

Zaskoczenie, ów prewencyjny atak wyobraźni zabezpieczający przed możliwym atakiem świata, ma dwa przynajmniej cele: odebranie rzeczywistości prymatu grozy i przygotowanie się na najgorsze. (Nie trzeba lekceważyć i tego wyznania Michaux: „Kraje mojej wyobraźni to rodzaj państw buforowych powołanych do życia po to, abym mniej cierpiał od rzeczywistości".) *Karna kolonia* Kafki miała podobne intencje. Bo twórczość Michaux, tak jak twórczość Kafki, ma do spełnienia misję specjalną: ostrzec i przygotować. Tych dwóch pisarzy różni wiele. Michaux jest o wiele bardziej cerebralny,

zimny, wyrachowany. Nie stara się być obiektywny, wprost przeciwnie. Nie do pomyślenia jest, by Michaux zdobył się na taki gest Kafki: „W walce ze światem bądź po stronie świata". On w tej walce stara się być jak najbardziej nielojalny właśnie. Już sama chociażby zasada wojny prewencyjnej o tym świadczy.

Prewencyjna wyobraźnia Michaux jest nieobliczalna. Czegóż nie wyprawia z przestrzenią, czasem, strukturą rzeczy, zjawisk, istot. Wznosi gigantyczne tamy przeciwko myśli. Wymyśla stany pośrednie między zwierzęciem a człowiekiem, kiedy się skończył instynkt, a nie uformowała się jeszcze świadomość. Właściwości ciała przenosi na ducha i rozwój choroby obserwuje po śmierci na umarłych. Broniąc się atakuje, ale jak! — zadając rany kolektywnemu pojęciu (a więc duszy) np. lwów. Wyobraźnia Michaux jest — rzecz bardzo rzadka — wszechstronna, wszechwymiarowa. Nie przechyla się na żadną stronę. Jest równomiernie i wizualna, i foniczna, i pojęciowa. W każdej z tych dziedzin dokonała wynalazków. Jeszcze jedno: równorzędnym elementem wyobraźni Michaux jest także wiedza, nauki ścisłe. Fenomen wizualny uzyskuje nagle fizyczną strukturę:

> Drzewo bijące gałęziami... traci wreszcie giętkość, obojętnieje i przybiera pozę innych drzew napchanych celulozą i różnymi twardościami, które są nie do pogodzenia z ekspresją i tańcem.

Henri Michaux (ur. 1899) jest samotnikiem francuskiej literatury. Nigdy nie należał do żadnej grupy czy szkoły poetyckiej. Jest jednym z tych bardzo niewielu, a może jedynym francuskim poetą swojej generacji, który nigdy nie miał nic wspólnego z nadrealizmem (przecież nawet Valéry należał do tej grupy). Mimo że świat jego poezji posiada nad-realne strony. Jego zjawienie się w poezji (*Qui je fus* — 1927, *Equador* — 1929, *Mes propriétés* — 1929, *Un certain Plume* — 1930) współcześnie zostało niemal niezauważone. Odczytując te utwory dzisiaj (szczególnie *Mes propriétés*) zdumiewamy się po 25 latach ich nowością, świeżością. Dzisiaj są jeszcze nieujarzmioną rewelacją. Powstały zapewne za wcześnie na swój czas. Michaux znalazł dopiero czytelników dla cyklu *Voyage en Grande Garabagne* (1936). Od tej pory zaczął się liczyć poważnie i trwale we francuskiej literaturze. Wyjęto z zapomnienia przeszłość i każdy nowy utwór Michaux miał z góry swoje miejsce. Po wojnie (nie licząc wznowień i uzupełnień) zostały wydane: *Epreuves, exorcismes* (1945), *La vie dans les plis* (1949), *Passages* (1952), *Les nouvelles de l'étranger* (1954), wreszcie *Misérable miracle* (1956) i *L'Infini turbulent* (1957).

Który z utworów albo który z okresów twórczości Michaux jest najwyższym lotem jego poezji? Pytanie trudniejsze niż w stosunku do innego współczesnego poety. Supervielle to *Gravitations*, Saint-John Perse to *Anabase*, Ponge to *Parti pris des choses*, a Michaux? On się wciąż jeszcze wznosi. Każdym dziełem ściślej, głębiej się określa. Ostatnie dwa tomy to nowa karta jego twórczości. Karta niepokojąca i bardzo eksperymentalna, Michaux wziął za cel nieskończoność. Nie w sensie metafizycznym jednak. Nieskończoność to to wszystko, co otacza nasze poczucie (a nie pojmowanie) przestrzeni i czasu, to wszystko, przeciwko czemu bronimy się za okopem ciała i wyobrażenia o świecie. Michaux nie chce akceptować świata za nieład moralny, za przypadko-

wość. Czyż może akceptować nieskończoność, a więc nieobliczalność? W swojej analizie odróżnia „nieskończoność ustabilizowaną, zaakceptowaną przez określające ją pojęcie" od „nieskończoności w ataku, w ekspansji, nieskończoności otchłani". Tę pierwszą akceptuje, sprzymierza się z nią przeciwko ślepym ograniczeniom realności. Druga, siedlisko przerażenia, jest dlań takim samym wrogiem jak świat. Wyobraźnia Michaux ma więc jednak jakieś granice. Pułap lotu jego poezji nie jest nieskończony. Są otchłanie i głębie, których nie chce eksplorować. Nie po to walczy z zachłannością rzeczywistości, aby wpaść w zachłanność metafizyki. Jakby go ostrzegł przykład Kafki.

Zbigniew Bieńkowski

Henri Michaux

NIEJAKI PIÓRKO

I

SPOKOJNY CZŁOWIEK

Piórko wyciągnął rękę z łóżka i zdziwił się bardzo, gdy nie natrafił na ścianę. „Ciekawe — pomyślał — pewnie ją mrówki zjadły..." — i zasnął.

Po chwili zaczęła nim tarmosić żona: „Popatrz, ty leniu — mówiła — tyś sobie chrapał w najlepsze, a tymczasem ukradli nam dom". Rzeczywiście, rozciągało się nad nimi czyste niebo. „I tak już po wszystkim" — pomyślał.

Po pewnym czasie dał się słyszeć jakiś rosnący odgłos. Był to pociąg, który z największą szybkością pędził prosto na nich. „Zdaje się, że mu się strasznie śpieszy, więc i tak zdąży przed nami" — pomyślał i zasnął.

Później obudziło go zimno. Był cały mokry od krwi. Obok niego leżało kilka kawałków żony. „Z przelanej krwi — pomyślał — wynika zawsze kupa nieprzyjemności; wolałbym doprawdy, żeby ten pociąg nie musiał był tędy przejeżdżać. Ale skoro już przejechał..." — i zasnął.

— Jak to — mówił sędzia — jak pan nam wytłumaczy fakt, że pańska żona poraniła się do tego stopnia, iż znaleziono ją poćwiartowaną na osiem kawałków, a pan, który leżał przy jej boku, nie tylko nie zrobił jednego ruchu, aby jej w tym przeszkodzić, ale nawet niczego nie zauważył? Oto tajemnica. Oto w czym tkwi sedno sprawy.

— Jeśli o sedno sprawy chodzi, w niczym nie mogę mu być pomocny — pomyślał Piórko i zasnął.

— Jutro odbędzie się egzekucja. Czy oskarżony prosi jeszcze o głos?

— Proszę mi wybaczyć, ale nie bardzo uważałem podczas rozprawy.

I zasnął znowu.

II

PIÓRKO W RESTAURACJI

Piórko jadł właśnie obiad w restauracji, gdy do stolika podszedł *maître-d'hotel*, łypnął na niego groźnie i powiedział głosem niskim i tajemniczym: „To, co pan ma na talerzu, n i e figuruje dzisiaj w karcie".

Piórko zaczął przepraszać.

— Rozumie pan — powiedział — spieszyłem się i nawet nie zajrzałem do karty. Na wszelki wypadek poprosiłem o kotlet, myśląc, że może akurat są kotlety, albo że będzie można łatwo gdzieś niedaleko kotlety dostać, gotów byłem zresztą zgodzić się na każdą inną potrawę, gdyby kotletów zabrakło. Kelner nawet się zbytnio nie zdziwił, oddalił się, po chwili przyniósł mi kotlet i w ten sposób...

Oczywiście zapłacę tyle, ile będzie trzeba. To bardzo ładny kawałek, przyznaję. Zapłacę z ochotą, ile się będzie należało. Gdybym wiedział, zamówiłbym z przyjemnością jakieś inne mięso albo po prostu jajko, zresztą i tak apetyt mi już przeszedł. Zaraz ureguluję rachunek.

Ale *maître-d'hotel* nie rusza się z miejsca. Piórko czuje, że jest mu bardzo nieprzyjemnie. Gdy po chwili podnosi oczy... hm, stoi teraz przed nim właściciel restauracji.

Piórko zaczął przepraszać.

— Nie wiedziałem — powiedział — że kotletów nie ma dzisiaj w karcie. Nie prosiłem o kartę, bo wzrok mam bardzo słaby, nie miałem przy sobie binokli a poza tym czytanie sprawia mi za każdym razem szalony ból. Zamówiłem pierwszą lepszą potrawę, jaka mi przyszła do głowy, i to raczej w celu wywołania innych propozycji aniżeli ze specjalnego upodobania do kotletów. Ale kelner był pewnie zalatany, nie chciało mu się długo szukać, przyniósł mi właśnie to, a nie co innego, a ponieważ jestem roztargniony, zacząłem jeść, no i... Czy pan pozwoli, że panu zapłacę?...

Ale właściciel nie rusza się z miejsca. Piórko czuje, że jest mu coraz bardziej głupio. Podając banknot widzi nagle rękaw munduru; przed nim stał policjant.

Piórko zaczął przepraszać.

Po prostu wszedł tutaj na chwilę, żeby przysiąść, odpocząć. Nagle krzyknął do niego kelner: „A dla pana szanownego? Co można podać?" — „Bo ja wiem... małe piwo" — powiedział. „A do tego?..." — krzyknął obrażony kelner; więc tak, żeby się od niego odczepił, a nie w żadnym innym celu, powiedział: „No, to jeden kotlet".

Już nawet o nim zapomniał, kiedy mu przyniesiono kotlet na talerzu, no i, ostatecznie, stało to przed nim na stole...

— Gdyby pan był łaskaw jakoś tę sprawę załatwić, byłbym panu bardzo wdzięczny. Proszę, to dla pana.

I podaje mu banknot stufrankowy. Słysząc oddalające się kroki pomyślał, że już jest wolny. Ale teraz stoi przed nim komisarz policji.

Piórko zaczął przepraszać.

Miał dziś spotkanie ze znajomym na mieście. Ale szukał go bezskutecznie przez cały ranek. Więc ponieważ wiedział, że wracając z biura znajomy będzie przechodził tą ulicą, wszedł do restauracji, zajął stolik przy oknie, a że zapowiadało się na dłuższe czekanie i z drugiej strony nie chciał wyglądać na takiego, co to ma węża w kieszeni, zamówił kotlet, żeby coś mieć przed sobą na talerzu. Wcale nie miał zamiaru nic jeść. Ale jak postawiono go przed nim, machinalnie, w najmniejszej mierze nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczął jeść.

Bo trzeba wiedzieć, że za nic w świecie nie poszedłby na obiad do restauracji.

ada zawsze u siebie w domu. Z zasady. To było po prostu zwykłe roztargnie-ie, mogące się człowiekowi przydarzyć, kiedy jest zdenerwowany, przejściowe aćmienie umysłu, nic więcej.

Ale komisarz poprosił do telefonu szefa bezpieczeństwa. „No — powiedział odając mu słuchawkę — niech się pan raz wreszcie wytłumaczy. To pańska dyna deska ratunku." A jeden z policjantów, popychając go gwałtownie, do-zucił: „Tylko bez żadnego kręcenia, dobrze?". A ponieważ wtargnęła właśnie o restauracji straż pożarna, właściciel powiedział: „No, niech pan popatrzy co a strata dla naszej firmy! Zupełna katastrofa!" — wskazując na opustoszałą alę, z której ulotnili się spiesznie wszyscy klienci.

Tajniacy mówili do niego: „Teraz dopiero zacznie się bal, ostrzegamy pana o dobroci. To już nie pierwsza sprawa tego rodzaju, może pan nam wierzyć. Kiedy przybiera ona taki obrót, znać, że jest bardzo poważna".

Tymczasem stojący za nim wysoki drab w mundurze krzyknął mu do ucha: Nic na to nie poradzę. Taki jest rozkaz. Jak pan nie będzie mówił do słuchawki, będę musiał walić. Zrozumiano? Niech się pan przyznaje! Uprzedzałem góry. Jeśli nie posłyszę zaraz pańskiego głosu, walę!".

III

PIÓRKO PODRÓŻUJE

Piórko nie może powiedzieć, żeby w podróży ludzie mieli dla niego jakieś pecjalne względy. Niektórzy po prostu przełażą przez niego nie mówiąc nawet „przepraszam", inni spokojnie wycierają sobie brudne ręce w jego marynarkę. Przyzwyczaił się do tego. Woli podróżować skromnie. I będzie tak podróżował, ak długo to będzie możliwe.

Gdy zgryźliwie podają mu na talerzu korzeń, taki zwykły duży korzeń: „Proszę, niech pan je. Na co pan czeka?".

„Dobrze, zaraz, proszę bardzo." Nie chce niepotrzebnie robić awantury.

Gdy w nocy odmawiają mu łóżka: „Co? Przecież nie po to przyjechał pan aki szmat drogi, żeby teraz spać, prawda? Weź no pan swoją walizę i swoje manatki, o świtaniu najprzyjemniej jest wędrować po drogach".

„Tak, ależ oczywiście... Ja tylko tak żartem, naturalnie. Dla... dla kawału." I odchodzi w ciemną noc.

Gdy wyrzucają go z pociągu: „Aha, więc pan sobie wyobraża, że po to od trzech godzin trzyma się lokomotywę pod parą, po to przyczepiło się do niej osiem wagonów, żeby wieźć młodego człowieka w pańskim wieku, przy tym zdrowego jak byk, który może się t u t a j doskonale przydać, który wcale nie musi t a m jechać, pan myśli, że po to się kopało tunele, wysadzało dynamitem skały i układało setki kilometrów szyn w pogodę czy niepogodę, nie licząc już tego, że trzeba bez przerwy pilnować torów, bo może się zdarzyć sabotaż, i to wszystko, sądzi pan, po to..."

„Ależ oczywiście. Doskonale rozumiem. Wsiadłem, tak sobie, żeby tylko rzucić okiem. Teraz już załatwione. Zwyczajna ciekawość, zrozumiała przecież? Ślicznie dziękuję." I wraca na szosę obładowany walizkami.

Gdy będąc w Rzymie chce zobaczyć Colosseum: „Co to, to nie! I tak już ledwo się trzyma. Jeszcze będzie pan chciał dotykać, opierać się, siadać na

nim... Właśnie w ten sposób zostają wszędzie tylko ruiny. Była to dla nas na uczka, gorzka nauczka, ale na przyszłość już będziemy mądrzejsi, nie, nie, ko niec z tym, rozumie pan".

„Naturalnie, rozumiem, chciałem tylko... Chciałem poprosić, może jest jaka pocztówka, jakieś zdjęcie, może... jeśli nie macie państwo nic przeciwko temu. I nic nie zobaczywszy wyjeżdża z miasta.

Na okręcie oficer pokładowy nagle wskazuje na niego palcem i pyta: „A c ten tutaj robi? Coś mi się wydaje, że tam na dole dyscyplina szwankuje. Zam knąć mi go zaraz w ładowni. Proszę objąć drugą wachtę". I odchodzi pogwi zdując, a Piórko tymczasem męczy się nieznośnie przez cały czas podróży.

Ale nic nie mówi, nie narzeka. Myśli o tych nieszczęśnikach, którzy wcal nie mogą podróżować, gdy on tymczasem podróżuje, podróżuje bez końca.

IV

W APARTAMENTACH KRÓLOWEJ

Gdy Piórko wszedł do pałacu, trzymając w ręku listy uwierzytelniające, po wiedziała do niego Królowa:

— A, to pan. Król jest w tej chwili bardzo zajęty. Później się pan z nim zobaczy. Koło piątej pójdziemy do niego razem, jeśli pan chce. Jego Królewsk Mość bardzo lubi Duńczyków, Jego Królewska Mość przyjmie pana z przyjem nością, a na razie mógłby się pan ze mną przespacerować.

Ponieważ pałac jest olbrzymi, zawsze się boję, że w nim zabłądzę i że znajd się nagle przed wejściem do kuchni, i rozumie pan, jak na Królową, to by był zupełnie idiotyczne. Pójdziemy tędy. Znam dobrze drogę. Oto moja sypialni

I wchodzą do sypialni.

— Ponieważ mamy jeszcze dobre dwie godziny czasu, może by mi pan co poczytał, ale przyznam się, że nie ma tu nic ciekawego. Może pan gra w karty Ale, co do mnie, ja zawsze przegrywam.

W każdym razie niech pan nie stoi, bo to męczące; siedzenie też prędko si nudzi, więc może wyciągnęlibyśmy się na tym tapczanie.

I kładą się na tapczanie.

— W tym pokoju zawsze jest strasznie gorąco. Gdyby chciał mi pan pomó się rozebrać, zrobiłby mi pan przyjemność. Potem będziemy mogli porozma wiać. Tak bardzo bym chciała dowiedzieć się czegoś o Danii. Zresztą ta sukni tak łatwo się zdejmuje, że aż się dziwię, w jaki sposób chodzę przez cały dzie ubrana. Można ją zdjąć nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Widzi pan, wy starczy podnieść ręce do góry, i teraz dziecko mogłoby ją ze mnie ściągnąć Oczywiście dziecku bym nie pozwoliła. Bardzo lubię dzieci, ale w takim pałac zaraz będą jakieś plotki, a poza tym dzieci wszystko zaraz gubią.

I Piórko ją rozbiera.

— Ale pan, przecież pan nie może tak zostać. Pozostawać ubranym w sypial ni to jakieś takie pretensjonalne, a poza tym nie mogę na pana patrzeć, zara mi się zdaje, że pan sobie pójdzie i zostawi mnie samą w tym olbrzymim pa łacu.

I Piórko się rozbiera. Potem kładzie się w koszuli.

— Dopiero piętnaście po trzeciej — mówi Królowa. — Czy sądzi pan, ż

rzeczywiście tyle pan wie o Danii, żeby móc mi o niej opowiadać przez godzinę i trzy kwadranse? Nie jestem taka wymagająca. Wiem, że to nie byłoby łatwe. Dam jeszcze panu trochę czasu do namysłu. Aha, i przy okazji, wie pan, jak już pan tutaj jest, pokażę panu jedną rzecz, która bardzo mnie intryguje. Ciekawa jestem, co też na to powie Duńczyk.

Mam tutaj, o, widzi pan, pod prawą piersią, trzy małe kropeczki. Nie, nie trzy, dwie małe i jedną dużą. Widzi pan tę dużą, wygląda prawie na... Jakie to dziwne, nieprawdaż, a niech pan spojrzy na lewą pierś, nic! Cała bielutka!

No, niech mi pan powie, co pan o tym myśli, ale przedtem niech pan zbada dokładnie, tak, żeby pan wiedział...

I Piórko bada. Dotyka, maca niewprawnymi palcami; poszukiwanie ukrytych realiów napawa go dreszczem, a one tymczasem wznoszą się i falują wypukle.

I Piórko rozmyśla.

— Widzę, że się pan zastanawia — mówi po paru minutach Królowa — widzę teraz, że się pan na tym zna. Chce pan pewnie wiedzieć, czy nie mam trzeciej piersi? Nie mam — mówi i rumieni się, zmieszana.

— A teraz niech mi pan opowiada o Danii, ale niech się pan do mnie zbliży, żebym mogła uważnie pana słuchać.

Piórko się zbliża; kładzie się tuż obok niej i teraz już niczego nie będzie mógł przed nią ukryć.

I rzeczywiście.

— Proszę pana — mówi Królowa — sądziłam, że będzie pan miał więcej szacunku dla Królowej, ale trudno, jeśli już pan jest w takim stanie, nie mogę przecież pozwolić, żeby to nam później przeszkadzało rozmawiać o Danii.

I Królowa przyciąga go do siebie.

— Tylko niech mnie pan koniecznie pieści po nogach — mówi — bo inaczej zaraz staję się roztargniona i zupełnie zapominam, po co się kładłam...

I w t e d y w ł a ś n i e w s z e d ł K r ó l!

— — — — — — — — — — — — — —

Okrutne przygody, jakie by nie były wasze początki i powikłania, przygody bolesne, prowadzone ręką nieprzejednanego wroga.

V

NOC Z BUŁGARAMI

Wracaliśmy już z naszej podróży. Przez pomyłkę wsiedliśmy do niewłaściwego pociągu. A ponieważ w naszym wagonie znajdowała się kupa jakichś Bułgarów, mamroczących coś do siebie bez przerwy, nie mogących usiedzieć w miejscu, zdecydowaliśmy od razu z tym skończyć. Wyciągnęliśmy rewolwery i zaczęliśmy strzelać. Zaczęliśmy strzelać bardzo prędko, bo nie ufaliśmy im ani na jotę. Na wszelki wypadek lepiej ich było unieszkodliwić. Oni wydali się tym nieco zaskoczeni, ale, wiecie, jak to jest, z Bułgarami nigdy nie wiadomo.

Na następnej stacji wsiądzie bardzo dużo podróżnych, powiedział kierownik pociągu. Dogadajcie się jakoś z tamtymi — tu wskazał na trupy — aby zajmo-

wać razem tylko jeden przedział. Teraz już nie ma absolutnie żadnego powodu, abyście — wy i oni — zajmowali dwa odrębne przedziały.

I patrzy na nich z miną bardzo srogą.

— Ależ naturalnie, dogadamy się! Oczywiście! Naturalnie! Zaraz.

I prędko sadowią się obok, podtrzymując ich, aby nie pospadali z ławek.

Nie jest to takie łatwe. Siedmiu umarłych na trzech żywych. Jakoś się wpychamy między ich zimne ciała, a głowy tych „śpiących" stale opadają. Opadają na szyje trzech młodych ludzi. Jak niesione na ramionach urny te zimne głowy. Chropowate urny, w policzki drapią nieogolone brody, które nagle, ze zdwojoną szybkością zaczynają pokrywać się zarostem.

Trzeba tak spędzić noc. Rano postaramy się jakoś zwiać. Może konduktor o wszystkim zapomni. Trzeba cicho, spokojnie siedzieć. Nie zwracać na siebie jego uwagi. Stłoczeni i ściśnięci, tak jak powiedział. Wykazać jak najlepszą wolę. Rano damy nogę. Przed granicą pociąg zazwyczaj trochę zwalnia. Ucieczka będzie tym łatwiejsza, granicę przejdziemy gdzieś w lesie, z przewodnikiem.

Pocieszają się w ten sposób i zachęcają do cierpliwości.

W pociągu trupami trzęsie o wiele bardziej niż żywymi. Szybkość niepokoi umarłych. Nie potrafią ani chwili usiedzieć spokojnie, pochylają się coraz bardziej, coś tam nam szepcą do żołądka, nie mogą już wytrzymać.

Trzeba trzymać ich surowo i nie pozwalać na żadne wybryki; trzeba ich przycisnąć mocno do oparcia, jednego po lewej ręce, drugiego po prawej, przydusić ich mocno, ale wtedy ich głowy stukają stale o drzewo.

Najważniejsze jednak, aby trzymać ich mocno w ręku.

— Czy któryś z panów nie mógłby ustąpić miejsca tej starszej pani?

Niesposób odmówić. Piórko bierze jednego trupa na kolana, drugiego ma jeszcze po prawej ręce, i staruszka siada na opróżnionym miejscu. Teraz zasnęła i głowa jej zwolna kiwnęła się w bok. I jej głowa spotkała się nagle z głową trupa. Ale tylko głowa staruszki się budzi i mówi, że tamta jest bardzo zimna i że ona się boi.

Na co wszyscy skwapliwie dowodzą, że panuje przeraźliwe zimno.

No niech zobaczy. I wyciągają się do niej ręce, zupełnie zimne ręce. Może by jednak przeszła do innego, lepiej ogrzanego przedziału. Wstaje. Za chwilę wraca z konduktorem. Konduktor przychodzi sprawdzić, czy ogrzewanie działa normalnie. Staruszka mówi do niego: „Niech no pan dotknie tych rąk!". Ale wszyscy ją zakrzykują: „Ależ nie, to z powodu bezruchu, ręce są skostniałe z bezruchu, to nic takiego. Nawet nam wszystkim dość ciepło. Człowiek się poci, o, niech pan dotknie tego czoła. Tak to jest, w jednym miejscu ciało się poci, w innym lodowacieje, to bezruch jest tego przyczyną, nic innego, tylko bezruch".

— Ci, którym zimno — mówi Piórko — niech sobie po prostu owiną głowy w gazety. Będzie im ciepło jak w uchu. Pozostali rozumieją. Wkrótce wszyscy umarli mają głowy owinięte gazetami, białym, chrzęszczącym papierem. Tak jest o wiele wygodniej, można ich od razu rozpoznać mimo ciemności. I nie ma już obawy, że staruszka znów natknie się na jakąś zimną głowę.

Tymczasem wsiadła młoda dziewczyna. Walizki ustawiła w korytarzu. Nie chce wcale usiąść, to jakaś bardzo skromna panienka, na powiekach jej ciąży nieśmiałość i zmęczenie. O nic nie prosi. Ale trzeba jej będzie zrobić miejsce. Koniecznie tego chcą, więc zaczynają rozmyślać, jakby tu się pozbyć trupów,

akby ich powolutku jednego po drugim spławić. Chociaż może nawet i lepiej pozbyć się od razu wszystkich, bo przed staruszką to się pewnie da jakoś ukryć, a jak już będzie siedziało w przedziale parę obcych osób, stanie się to znacznie trudniejsze.

Opuszczają cichutko okno i zaczyna się zabawa. Wysuwa się trupa za okno, aż po pas, i wtedy się go puszcza. Ale trzeba mu zgiąć przedtem kolana, żeby nie zaczepił o framugę — bo podczas gdy tak wisi w oknie, jego głowa wali głucho i uparcie w drzwi, jakby chciała wrócić do przedziału.

No, jeszcze trochę odwagi! Wkrótce już będzie można odetchnąć spokojnie. Jeszcze jeden trup i załatwione. Ale wiew zimnego powietrza obudził staruszkę.

Słysząc, że ktoś się w przedziale rusza, konduktor, dla spokoju sumienia i okazania pewnej galanterii, raz jeszcze przychodzi sprawdzić, czy w przedziale nie znalazłoby się jakieś miejsce dla młodej panienki, choć wie doskonale, że nie.

— Ależ naturalnie! Ależ naturalnie! — wołają wszyscy zgodnie.

— To dziwne — mruczy pod nosem konduktor — przysiągłbym, że...

— To bardzo dziwne — mówi także spojrzenie starszej pani, ale senność odkłada na potem wszelkie pytania i wyjaśnienia.

Teraz żeby tylko ta dziewczyna prędko zasnęła. Wprawdzie jednego truposza łatwiej wytłumaczyć niż pięciu. Ale lepiej unikać niepotrzebnych pytań. Bo kiedy się na nie odpowiada, łatwo się człowiekowi zaplątać. Sprzeczności i przestępstwa wyłażą z każdego słowa. Zawsze lepiej z trupem nie podróżować. Szczególnie, gdy padnie od kuli rewolwerowej i upływ krwi spowodował, że bardzo mizernie wygląda.

Ale ponieważ dziewczyna, bardzo ostrożna, nie chce przed nimi usnąć, a z drugiej strony noc jeszcze przed nimi długa i przed wpół do piątej nie będzie żadnej stacji, więc nie przejmują się zbytnio i zasypiają.

I nagle Piórko widzi, że już jest kwadrans po czwartej, budzi gwałtownie Pona... i ulegają obydwaj panice. I nie myśląc o niczym innym, jak o bliskiej już stacji i o wstającym dniu, który wszystko wyjawi, wyrzucają gwałtownie trupa przez okno. Ale gdy już ocierają pokryte potem czoła, czują trupa pod nogami. Znaczy, że wyrzucili kogo innego. Jak to możliwe? Przecież miał głowę owiniętą w gazetę? Ale trudno, potem się będziemy nad tym zastanawiać. Łapią trupa pod ręce i hop, przez okno, w noc. No wreszcie!

Jak dobrze żyć, gdy się jest żywym! Jakiż ten przedział wesoły! Budzą swojego towarzysza podróży. Ciekawe, okazuje się nim D... Budzą obydwie kobiety.

— Niech się panie zbudzą, dojeżdżamy. Zaraz będziemy na miejscu. No, jak się paniom jechało? Prawda, że to doskonały pociąg? Czy przynajmniej wyspały się panie jako tako?

I pomagają wysiąść staruszce i panience. Panience, która przypatruje się im uważnie, bez słowa. Oni pozostają w przedziale. Nie wiedzą, co dalej ze sobą robić. Jakby już skończyli wszystko, co mieli do zrobienia.

Pojawia się konduktor i mówi:

— No, prędko, nie guzdrać się! Wysiadajcie razem ze świadkami!

— Kiedy my nie mamy żadnych świadków — mówią na to.

— No to jeśli nie macie żadnego świadka — mówi kierownik pociągu —

możecie na mnie liczyć. Poczekajcie na mnie chwilę po tamtej stronie dworc naprzeciwko kas biletowych. Zaraz wracam, nic się nie bójcie. Macie prz pustkę! Za chwilę wracam. Poczekajcie na mnie.

Kierują się tam, a gdy znajdują się na miejscu, zaczynają uciekać, ucieka Ach, teraz wreszcie żyć! Ach, wreszcie żyć!

VI

WIZJA PIÓRKI

Powolny, żółty ser, krokami koni karawanowych, powolny, żółty ser, kr kami koni karawanowych kręcił się w sobie niby noga świata. A raczej ja olbrzymi cyc, stara sterta mięsa przykucnięta nad wielkim, zwilgotniałym potu obszarem.

Lewą stroną zjeżdżała kawaleria. Trzeba było widzieć, jak konie hamowa tylnymi kopytami. Czyżby ci dumni kawalerzyści nie mieli nigdy tędy powr cić? Nie, nigdy.

Ich dowódca żywo gestykulował, jakby protestował przeciwko czemuś, a głos jego stał się tak śmiesznie piskliwy, że nie wiadomo było, komu mog przyjść do głowy zwracać nań uwagę, tak jakby ziarnko ryżu zaczęło nag przemawiać.

W końcu zaczęli grzęznąć i już ich nie było widać. Potem nagle trzask, c jakby się rozwaliło w tej olbrzymiej, miękkiej masie i z kawałków, które ro leciały się na wszystkie strony, utworzyła się po pewnym czasie taka dług taka długa a jednocześnie taka twarda wstążka, że galopem mogłaby po ni przejechać cała kawaleria. Ale już niesposób jej było dostrzec. Jedynie sy wetkę dowódcy można było jeszcze rozróżnić. I nawet na upartego widać by jeszcze ten jego gest protestu, gdy nagle opadła jego dumnie wzniesiona głow I wtedy, jakby już tylko ona trzymała go prosto, upadł jak długi. I potocz się po wstążce, leciutki cylinder, turlał się z jasnym brzękiem i wydawał pusty wewnątrz i wesoły.

Piórko zaś siedział w nogach swojego łóżka i przyglądając się temu wid wisku rozmyślał cicho...

VII

PIÓRKĘ BOLI PALEC

Piórko odczuwał lekki ból w palcu.

— Możebyś jednak poszedł do lekarza — powiedziała żona. — Często wysta czy posmarować maścią i już...

Więc Piórko poszedł do lekarza.

— Paluszek do obcięcia — powiedział chirurg — wyśmienicie. Cały zabieg znieczuleniem potrwa najwyżej sześć minut. Ponieważ jest pan bogaty, nie p trzebuje pan wcale tylu palców. Bardzo mi będzie miło pana zoperować. Pó niej pokażę panu różne modele sztucznych paluszków. Niektóre są bard zgrabne. Oczywiście trochę może drogie. No, ale przecież nie można w taki wypadku skąpić. Założymy panu najlepszy model palca, jaki w ogóle istniej

Piórko melancholijnie spojrzał na swój palec i zaczął przepraszać.

— Panie doktorze, przecież to palec wskazujący, taki potrzebny. Właśnie miałem dzisiaj pisać list do mamy. A do pisania używam zawsze wskazującego palca. Mama bardzo by się niepokoiła, gdyby dłużej nie miała ode mnie wiadomości. To ja może wrócę za parę dni. To taka wrażliwa kobieta, tak się wszystkim przejmuje.

— Bagatela — powiedział chirurg. — Masz pan tu kartkę papieru, czystego papieru, rozumie pan, bez nagłówka. Kilka słów napisanych pańską ręką przywróci jej radość i spokój. Ja tymczasem zadzwonię do kliniki, żeby tam wszystko przygotowali, żeby, jak przyjedziemy, narzędzia już były wygotowane. Zaraz wracam...

I wraca.

— Wszystko w porządku. Oczekują już nas.

— Niech pan mi wybaczy, panie doktorze, ale widzi pan, ręka mi się trzęsie, nie mogę się opanować... ja...

— A może pan ma rację, lepiej nie pisać — mówi chirurg. — Kobiety są takie wrażliwe, a zwłaszcza matki. Gdy o syna chodzi, we wszystkim podejrzewają jakieś niedomówienia i z byle czego robią Bóg wie co. Dla nich jesteśmy całe życie małymi dziećmi. Oto pańska laska, kapelusz, samochód czeka na dole.

I wchodzą wreszcie do sali operacyjnej.

— Panie doktorze, może jednak... Przecież rozumie pan...

— Ależ mój drogi panie — mówi chirurg — niech się pan nie przejmuje, to są zupełnie nieusprawiedliwione skrupuły. O, wie pan co? Razem napiszemy ten list. Zastanowię się nad nim operując rączkę.

Po czym zakłada mu maskę i usypia go.

— Mógłbyś się mnie przynajmniej zapytać o zdanie — mówi pani Piórkowa do męża.

Ty sobie nie myśl, że obcięty palec tak łatwo odrasta. Ja nie lubię mężczyzn z kikutami. Toteż uprzedzam ciebie, nie licz na mnie, gdy zostaniesz z jednym czy dwoma palcami u ręki.

Kalecy są złośliwi, rychło stają się sadystami. A ja nie po to odebrałam takie wychowanie, jakie odebrałam, aby pędzić życie z sadystą. Myślałeś sobie pewnie, że będę ci dobrowolnie pomagała w tych twoich świństwach. Omyliłeś się, mój drogi, trzeba było to sobie wcześniej rozważyć.

— Słuchaj — powiedział Piórko. — Nie martw się o to, co tam w przyszłości będzie. Mam jeszcze dziewięć palców, a z drugiej strony charakter też może ci się jeszcze zmienić.

VIII

WYRYWANIE GŁÓW

Chcieli go tylko pociągnąć za włosy. Nie chcieli mu zrobić nic złego. I od razu urwali mu głowę. Widocznie jakoś źle była przymocowana. Przecież nie urywa się zwykle tak łatwo. Coś tam musiało być nie w porządku.

Gdy nie znajduje się już ona na ramionach, staje się nader krępująca. Trzeba ją komuś dać. Ale przedtem trzeba ją dokładnie wymyć, bo może za-

walać ręce tego, komu się ją daje. Trzeba ją więc było umyć. Bo ten, komu ją wręczono, z rękami ociekającymi krwią, zaczyna teraz żywić pewne podejrzenia i spogląda nieufnie spode łba, jakby oczekiwał jakichś dodatkowych wyjaśnień.

Ba! Znaleźliśmy ją w ogrodzie... Wśród innych... Wybraliśmy tę właśnie, bo wydawała się świeższa od innych. Jeśli mu się nie podoba, możemy mu poszukać innej. Tę niech na razie zatrzyma na wszelki wypadek...

I odchodzą czując na sobie jego nieruchomy wzrok, spojrzenie, które nie mówi ani tak, ani nie.

Możebyśmy poszukali w stawie? W takim stawie można znaleźć masę rzeczy. Może jakiś topielec załatwi sprawę?

Zawsze się wydaje, że w stawie to już można znaleźć nie wiadomo co. Rychło stamtąd wracają niczego się nie doszukawszy.

Skąd tu znaleźć głowy gotowe do ofiarowania? Skąd je wytrzasnąć nie narażając się na większe nieprzyjemności?

— Ja mam wprawdzie kuzyna. Tylko że mamy właściwie identyczne głowy. Nikt nie uwierzy, że znalazłem przypadkowo głowę tak podobną do mojej.

— Ja... no, jest mój przyjaciel Piotr. Ale on jest bardzo silny, nie wiem, czy da ją sobie tak łatwo urwać.

— Trudno, spróbujemy. Tamta tak łatwo poszła.

Tak więc udają się z tą myślą do Piotra, wchodzą do mieszkania. Opuszczają na podłogę chusteczkę do nosa. Piotr schyla się. Jakby chcieli mu pomóc się podnieść, dla śmiechu, ciągną go za włosy do tyłu. Głowa urywa się bez specjalnego wysiłku.

Wchodzi żona Piotra z awanturą... Pijaczyna, znów rozlał wino po podłodze. Już go żłopać nie może, to jeszcze rozlewa. I nie ma nawet siły podnieść się z podłogi...

I odchodzi po ścierkę. Przytrzymują ją za włosy. Ciało pada bezwładnie na podłogę. Głowa zostaje im w rękach. Wściekła głowa, kołysząca się na długich włosach.

Pojawia się wielki pies i zaczyna ujadać. Ktoś go kopie z całej siły i głowa odpada.

Teraz już mają trzy głowy. Trzy to szczęśliwa liczba. A poza tym teraz jest duży wybór. Głowy są zupełnie różne. Mężczyzna, kobieta, pies.

I wracają do obdarowanego już jedną głową człowieka, a tamten na nich czeka.

Kładą mu na kolanach bukiet z głów. On odkłada na lewo głowę mężczyzny, koło tej pierwszej, a głowę psa i głowę kobiety z jej długimi włosami na prawo. Potem czeka cierpliwie.

I patrzy na nich nieruchomym wzrokiem, spojrzeniem, które nie mówi ani tak, ani nie.

— Te znaleźliśmy u znajomych. Po prostu leżały na podłodze w mieszkaniu... Każdy mógł je wziąć. Innych nie było. Wzięliśmy to, co było. Innym razem może połów będzie bogatszy. I tak nieźle się nam udało. Nie żeby brakowało głów, na szczęście nie ma o tym mowy. Tylko że już późno. Nie łatwo je odszukać w ciemności. A potem jeszcze trzeba je czyścić, szczególnie te, co leżały w błocie. No cóż, spróbujmy jeszcze... Ale i tak jest nas tylko dwóch, nie może-

my ich tu przecież zwozić taczkami. No, dobrze, dobrze. Idziemy... Może parę nowych spadło od tego czasu. Zobaczymy...

I odchodzą, a w ślad za nimi spojrzenie, które nie mówi ani tak, ani nie, w ślad za nimi nieruchomy wzrok.

— Ja już mam dość! Naprawdę! Wiesz co, weź moją głowę. Zaniesiesz mu, on nie pozna. On nawet na nie nie patrzy. Powiesz mu... Wystaw pan sobie, że wychodząc potknąłem się o tę głowę. Głowa jak inne, no nie? Przynoszę ją panu. I na dzisiaj może starczy, dobrze?...

— Ależ słuchaj, ja mam tylko ciebie.

— No, no, tylko bez czułości. Bierz ją. No, ciągnij, ciągnij mocno, mocniej, do cholery.

— Nie, widzisz, nic z tego. To nasza kara. No, spróbuj oderwać moją, ciągnij, mocno.

Ale głowy nie puszczają, trzymają się mocno. Mocne, twarde głowy morderców.

Nie wiedzą co począć, idą, wracają i znów idą, i znów powracają, a w ślad za nimi wyczekujące spojrzenie, wzrok nieruchomy.

Wreszcie gubią się w nocy i odczuwają to jako wielką ulgę: ulgę dla nich, dla ich sumienia. Nazajutrz pójdą na ślepo w jakimś kierunku, którego będą się starali trzymać tak długo, jak się da. Spróbują żyć od nowa. To bardzo trudne. Spróbują. Spróbują nie myśleć o tym wszystkim, co było, żyć jak przedtem, jak inni...

X

CZEPIAJĄ SIĘ PIÓRKI

— Trzeba przyznać — powiedziała pani domu — że całkiem nieźle pan tańczy. Tylko stawia pan takie strasznie wielkie kroki. Niech pan spojrzy, wszyscy na nas patrzą. Ale skoro mnie pan nie słucha, mój mąż będzie wolał porozmawiać z panem jutro rano na szpady.

Piórko zagryzł wargę, odprowadził ją na miejsce i chłodno się skłonił.

Kierował się ku wyjściu, gdy chwycił go za rękaw duński attaché wojskowy. „Bardzo pana proszę, moja córka tak rzadko ma okazję rozmawiać po duńsku. Będzie taka zadowolona, jeśli poprosi ją pan do tańca."

Poprosił ją więc i zatańczyli. Nagle jej narzeczony gwałtownie ich rozdzielił.

— Niech pan ją lepiej od razu weźmie do łóżka, jeśli ma ją pan w ten sposób trzymać w tańcu. Jutro o dziesiątej stawią się u pana moi świadkowie.

Piórko odprowadził pannę, ukłonił się i wyszedł. Co się dzisiaj ze mną dzieje, pomyślał. Nawet nie spojrzałem na żadną z tych kobiet, a teraz muszę się o nie bić.

Nagle przy szatni podeszła do niego jakaś pani. „Od godziny pana szukam." Za nią szedł mąż. „To, co słyszałem, wystarczy — powiedział. — Przygotujcie się oboje na śmierć."

Wtedy Piórko, już zupełnie wyprowadzony z równowagi, wyciągnął swoje rewolwery, strzelił do niego, wrócił na salę balową i położył trupem wszystkich mężczyzn.

Potem poczuł się bardzo zmęczony. Ale cieszył się z jednego: że nazajutrz nie będzie się już musiał spodziewać niczyich świadków. Niczego tak nie znosił jak oczekiwać wizyt w domu.

Pani domu podeszła do niego i powiedziała: „Została mi jeszcze służba". I zanim zdołał uczynić jakiś ruch, złapali go lokaje, rozłożyli na ziemi i sprali na kwaśne jabłko.

Po czym hrabina powiedziała: „A teraz niech pan tańczy". Musiał bez przerwy tańczyć z wszystkimi kobietami, bo był jedynym mężczyzną na balu. Co chwila, wyczerpany, padał na podłogę. Wtedy deptały mu po twarzy. Twarz jego przypominała marmoladę, gdy przybyła policja. I wziąwszy go za ofiarę: „Kogo pan oskarża"? zapytano.

— Panią C... (to była pani domu).

— Gdzie są pańscy świadkowie?

— Niestety — powiedział — wszystkich zabiła. Widzi pan, wszyscy leżą tam za fotelami.

— To rzeczywiście pech — mówili policjanci — mieć tylu świadków i wszystkich naraz utracić.

I zaprowadzili go do szpitala. Nie było już miejsca. No, to do drugiego. To był szpital wojskowy.

— Jeszcze jeden wielki inwalida — wykrzyknął na jego widok lekarz naczelny — któremu się wydaje, że jak mu nos przekrzywiono, to już zaraz pojedzie do mamy. Nic z tego, mój chłopcze. Jutro o piątej pojedziesz z powrotem na front. Zapiszcie — powiedział do sanitariusza. — Jutro jedzie pierwszym transportem na front. Kto następny?

Pani C..., która okazywała swą obywatelską gorliwość, miała tej nocy dyżur w szpitalu jako pielęgniarka. Piórko dostrzegł ją w porę.

Jedno z nas, pomyślał, ma w perspektywie dość nieprzyjemny kwadrans. Niechże choć raz niebo przyjdzie mi z pomocą. Zakradłszy się do apteki, złapał słój z jodyną, zawierający z pół litra tego płynu, i szybko zakneblowawszy panią C... chusteczką do nosa, począł zlewać jodyną jej głowę i twarz. (Przez chusteczkę płyn przedostawał się także do ust i na język, które stały się momentalnie jak z drewna.) Wlewał jej też jodynę do uszu i oczu. Oczy rozwierał siłą.

— To troszkę szczypie — mówił. — Ale to jedyne lekarstwo. Niechże się pani tak nie kryguje. Lek ten jest zgodnie zalecany przez wszystkich lekarzy.

Wypowiedziawszy te słowa pociechy opuścił ją.

XI

PIÓRKO W CASABLANCE

Gdy Piórko przyjechał do Casablanki, przypomniał sobie, że ma tu mnóstwo spraw do załatwienia. Dlatego też zostawił walizkę w autobusie; wróci po nią, gdy załatwi najśpieszniejsze sprawy. I udał się do hotelu „Atlantic".

Ale zamiast wynająć tam pokój, przypominając sobie, ile to jeszcze spraw ma do załatwienia, zapytał o adres najbliższego banku.

Udał się do banku, przekazał swoją wizytówkę zastępcy dyrektora, a kiedy go do niego wprowadzono, zamiast okazać swoje czeki, zaczął go wypytywać

najważniejsze ciekawostki arabskiej dzielnicy, o Busbir, o arabskie knajpy, dyż nie można przecież opuścić Casy nie zobaczywszy tańca brzucha, choć ancerki to przeważnie Żydówki, a nie muzułmanki. Spytał więc o adres, aprowadzono go do arabskiej knajpy i przy jego stole siedziała już tancerka zamawiała butelkę porto, gdy zdał sobie sprawę, że to wszystko to właściwie łupstwa; że gdy człowiek jest poddany niezwyczajnym trudom podróży, najważniejszą rzeczą jest dobrze zjeść, więc wyszedł z knajpy i skierował swe roki ku wielkiej restauracji w nowej dzielnicy miasta; siadał już do stołu, dy nagle pomyślał, że nie wystarczy w podróży nażerać się i opijać, że trzeba eszcze zadbać zawczasu o następny etap drogi; i tak zamiast tu obżerać się rzy stole wypadało odnaleźć jak najprędzej molo portowe, gdzie czekał statek, który miał nazajutrz odjechać.

To nie będzie przynajmniej czas stracony. Właśnie szukał tego mola, gdy przyszło mu do głowy podejść do komory celnej. Są takie dni, kiedy celnicy nie przepuszczą nawet pudełeczka zapałek, i ten, na którym albo w bagażach którego je znajdą, narażony jest na najgorsze nieprzyjemności. Ale po drodze, myśląc, iż często się zdarza, że służba zdrowia powierzana jest głupim i niedouczonym lekarzom, którzy mogą nie wpuścić na statek najzdrowszej w świecie osoby, przyszło mu do głowy, że dobrze by było, gdyby go widziano wiosłującego zapamiętale, w koszuli z podwiniętymi rękawami, pełnego zapału mimo chłodu nocy, i tym właśnie był zajęty, gdy zawsze niespokojna policja zaczęła go indagować, a wysłuchawszy jego odpowiedzi już nie puściła z rąk.

XII

GOŚĆ HONOROWY SRAY-CLUBU

Gość honorowy jadł powoli, systematycznie, nie robiąc żadnych komentarzy.

Indyk był faszerowany robakami, sałata polana smarem, kartofle dwukrotnie wyplute. Drzewo grape-fruitowe rosnąć musiało na wielkich złożach naftaliny, grzybki pachniały stalą, pasztet pachami. Wino było akurat tak samo winem, jak nadmanganian potasu.

Piórko nie podnosząc głowy jadł cierpliwie. Jakiś wąż spadł z wiszącej kiści bananów i podpełzł do niego; Piórko połknął go szybko z wrodzonej uprzejmości, po czym powrócił do swego talerza.

Aby zwrócić na siebie jego uwagę, pani domu obnażyła jedną pierś. Po czym, odwróciwszy oczy, zachichotała wstydliwie.

Piórko ciągle jadł, nie podnosząc głowy znad talerza.

— Czy wie pan, jak się karmi dzieci? — zapytała go nagle wzburzona i powąchała go. Uprzejmie i delikatnie też ją powąchał. Nieco później usłyszał łkanie, okazało się, że to jego sąsiadka z prawej strony zadławiła się baranim ozorkiem, który usiłowała połknąć. Otoczono ją czułą opieką. Ktoś wołając pomocy lekarza zatykał jej nieznacznie nos, ktoś inny, chcąc jej dopomóc, ściskał jej szyję. I nigdy już nie zwróciła baraniego ozorka, na który, *nota bene*, przeszła jej dawno ochota.

I tak życie, zawsze gotowe odfrunąć na najmniejsze skinienie, opuściło ją cichutko.

— Niech się pan tym nie przejmuje — powiedziała do Piórki pani domu której rozszerzone źrenice błyszczały teraz mocno. — W połykaniu ozorków zawsze ktoś musi być przegrany. Tak samo dobrze mogło się to panu przytrafić. Albo i mnie. Cieszmy się więc. Bawmy się. Tak bym chciała, żeby dzieci nas teraz mogły zobaczyć. One tak lubią widok szczęścia.

I okładała go kułakami wśród pocałunków.

XIII

PIÓRKO NA SUFICIE

W głupiej chwili roztargnienia Piórko zaczął nagle chodzić po suficie, zamiast nie odrywać nóg od ziemi.

Niestety, gdy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno.

Sparaliżowany przez krew, która napłynęła mu natychmiast do głowy i zbiła się w niej jak żelazo w młotku, nie wiedział co począć. Był zupełnie zgubiony Z przerażeniem wpatrywał się w daleką podłogę, fotel, niegdyś tak przytulny w pokój, zadziwiającą otchłań.

O ileżby wolał znaleźć się w wielkim cebrze pełnym wody, w sidłach na wilki, w skrzyni, w piecyku do grzania wody w łazience, niż tu, sam jeden, bezradny, na tym idiotycznie pustym suficie, skąd zejście równało się praktycznie śmierci.

Nieszczęście! Nieszczęście ciągle idące za nim w ślad... podczas gdy tylu ludzi chodzi sobie spokojnie dalej po ziemi, ludzi z pewnością niewiele więcej wartych od niego.

Gdybyż jeszcze mógł przeniknąć w sufit, zakończyć w nim spokojnie, choć szybko, swój smutny żywot... Ale sufity są twarde, one tylko „odrzucają", tak, to właściwe słowo.

W nieszczęściu nie ma wyboru, trzeba brać co jest. Gdy się tak rozpaczliwie upierał, kret sufitowy, delegacja Sray-Clubu, która wybrała się na jego poszukiwanie, odnalazła go zadzierając głowy do góry.

Przystawiwszy długą drabinę sprowadzono go na ziemię w milczeniu.

Wszyscy byli szalenie zażenowani. Przepraszano go. Na wszelki wypadek całą winę zwalono na jednego z nieobecnych organizatorów tego spotkania. Pochlebiano Piórce, że taki odważny, że nie stracił głowy, gdy tylu innych, zrozpaczonych, rzuciłoby się w przepaść i połamało sobie ręce i nogi, więcej nawet, gdyż sufity w tym kraju są wysokie i prawie wszystkie datują się jeszcze od czasów podbojów hiszpańskich.

Piórko, nie odzywając się słowem, otrzepywał z zakłopotaniem rękawy.

XIV

PIÓRKO I KUTERNOGI

Przed nim stał jakiś człowiek i gdy tylko Piórko przestawał na niego patrzeć, twarz tego człowieka rozluźniała się, rozkładała w ohydnym grymasie, a dolna szczęka zwisała mu bezwolnie.

Ach! — myślał Piórko. Ach! Jakaż natura tutaj delikatna jeszcze i krucha.

Jakaż odpowiedzialność ciąży na każdym z nas! Będę musiał pojechać do jakiegoś innego kraju, gdzie twarze są bardziej zdecydowanie uformowane, gdzie można bez obawy katastrofy patrzeć ludziom w oczy i zdejmować z nich spojrzenia.

Zastanawiam się nawet, jak ci ludzie mogą tutaj żyć, ja z pewnością nabawiłbym się zaraz jakiejś choroby serca. I wsiadł do lektyki. Zaniesiono go wprost na zebranie kuternogów, które miało miejsce na drzewie. Ciągle trzeba było nowych kuternogów podsadzać na drzewo i tak już od nich czarne. To dla nich taka radość! Przez gałęzie patrzą w niebo, nie czują ciężaru ziemi. Następuje dla nich chwila wielkiego pogodzenia.

Ale Piórko, z rękami pełnymi kuternogów, skarżył się cichutko. Nie, zdecydowanie nie jest pracowity. Nie czuje namiętnej, przemożnej potrzeby pracy.

„Pan kupisz sobie tego pieska na grób tatusia." Nagabują ponurzy jak to kaleki.

Zmęczenie! Ach, zmęczenie! Kiedyż nam wreszcie dadzą spokój?...

1930 — 1936

Przełożył
Jerzy Lisowski

Kazimierz Wyka

O DROBNOTOWAROWYCH OBROTACH WYOBRAŹNI

1

Produkcja rolna na wsi złożonej z niewielkich, co najwyżej kilkumorgowych gospodarstw, jak wszyscy z ekonomiki rolnej wiemy, posiada charakter drobnotowarowy. Oznacza garnuszki masła własną dłonią gospodyni ubijane ze śmietany, zebranej z tych niewielu litrów mleka, jakie daje krowa, wypasana po miedzach przez dziadków czy dzieci, kiedy te ze szkoły wróciły. Oznacza chlewik z prosięciem. Oznacza cielę zabijane raz do roku. A także gospodarstwa w sposób familiocentryczny skupione wokół obejścia z gnojowiskiem. A także ścieżyny między płotami je dzielącymi i sady skrzętnie strzeżone, czy aby gruszka sąsiadowi nie spadła za płot. A także kawałątka chłopskich lasków na horyzoncie.

W miasteczku oznacza ta gospodarka targ i karczmę każdego tygodnia. W mieście sanie skrzypiące przed świtem i bańkę z mlekiem bulgocącą na schodach, i powiązane do podpałki smolne szczapy, i koszyk z jajkami pomiędzy sieczką. Bo drobnotowarowe obroty na wsi popańszczyźnianej dokonują się na ogół osobiście. Ten sprzedaje, kto wytworzył.

Wystarczy nieco dokładniej, od strony tego, co może uzyskać estetyczną aprobatę, spojrzeć na składniki związane z tym drobnotowarowym wyglądem rzeczy wiejskiej w Polsce, a otrzymamy taki np. wiersz:

> Pachnieją mirtem młode sady przy wodzie.
> Kiedy odjeżdżam, a w rozkosznej pogodzie
> pastwisko znowu po ulewie obsycha,
> ręczna harmonia mosty otwiera z cicha.
>
> Już słońce w liściach jabłka kołysze płowe,
> zagląda w strumień, a cierniki jak owies.
> Rechocą żaby, mosiężna dzwoni uprząż,
> księżyc jak jastrząb wśród osik srebrnych uwiązł.

To wiersz J. B. Ożoga *Odjazd w pole*. Chociaż mowa o harmonii grającej o wieczornej porze, mirtach, ulubionym kwiecie okiennym ciasnych chałup

ojrzałych jabłkach i osikach, ani jeden z tych elementów nie stoi w sprzeczności z osełką masła, wiązką szczapek na podpałkę, dyszkiem cielęcym wiezionym pod słomą do miasta. Zaś ta uprząż mosiężna, to znaczy własny koń, i w obrotach towaru, i w obrotach wyobraźni pomieści się swobodnie.

Sądzę bowiem, że właściwą podstawę takich objawów literackich, jak imaginizm w jego chłopskim wydaniu, to znaczy Jesienin czy częściowo Józef Czechowicz, takich teorii poetyckich, jak autentyzm głoszony w drugim dziesięcioleciu międzywojennym przez Czernika w *Okolicy poetów*, przyjęty podówczas przez całą grupę takich liryków, jak np. J. B. Ożóg i J. Frasik, takich prozaików, jak Stanisław Piętak czy Wincenty Burek — właściwą tego podstawę stanowi wskazane zjawisko zamkniętego w sposób familiocentryczny, uczepionego w coraz dzielące się morgi wytwarzania dóbr i produktów.

Długo trwało, zanim te składniki wiejskiego doświadczenia obrazowego stały się dla poetów związanych ze wspomnianymi nurtami wyłącznym towarem przedażnym. Można w tym kontekście mówić o Lenartowiczu, można o Kochanowskim, ale u nich było to jeszcze malowidło z zewnątrz, nie doznanie własne. Dopiero godne pamięci próby Kasprowicza *(Z chałupy)* są tym doznaniem własnym. Właściwie zaś zjawisko to w pełni objawiło się dopiero w pokoleniu poetyckim całkowicie ukształtowanym w Polsce międzywojennej.

W tym pokoleniu, dla którego innym podstawowym dokumentem jest Chałasińskiego *Młode pokolenie chłopów*. Świadectwo buntu, daremnego szukania wyjścia z zamkniętego kręgu wsi międzywojennej, wsi coraz szczelniej duszącej się w swoich opłotkach. Próbę zaś utopijnej w nowoczesnym społeczeństwie klasowym konstrukcji ideologiczno-politycznej, jaka z tym wszystkim współgra i współistnieje, stanowił agraryzm. Doktryna zakładająca, nie będę wykładał jej elementów i przedstawiał zwolenników, że wieś polska zdoła sama przez się i wyłącznie w ramach drobnej produkcji rolnej rozwiązać dręczący ją nadmiar rąk do pracy, rozdrobnienie ziemi.

Myślę, że właśnie ten bezwyjściowy w gospodarce kapitalistycznej charakter ówczesnej wsi polskiej sprawił, że wyznawcy autentyzmu równie zamkniętą i bezwyjściową obrali poetykę. Jak kierat kręcącą się za stodołą, w przekonaniu, że przebywa wielkie przestrzenie. Rzecz bowiem znamienna, że liryków tych rodziła przede wszystkim ta prowincja, dawny zabór austriacki, gdzie ziemia chłopska była najbardziej rozdrobniona, nacisk drobnego wytwarzania najbardziej dokuczliwy, podówczas już nie łagodzony przez emigrację zamorską. Ale też prowincja, gdzie rozbudzenie polityczne chłopa polskiego dokonało się najwcześniej, gdzie ojcami i stryjami tego pokolenia byli Bojko czy Witos.

Więc było wszystko, jak w tym znakomitym fragmencie *Balu w operze* Tuwima, który także wyjaśnia ironicznie w ostatnich słowach, dlaczego to emigracja również nie była możliwa. Zaś odpływ zbędnych rąk do przemysłu nastąpił dopiero w Polsce Ludowej.

Jadą ze wsi wozy
Aprowizacyjne,
Jadą na wieś wozy
Asenizacyjne.

Przy rogatce się minęły
Pod szlabanem,
Jak kareta ślubna z karawanem.
Przyjechała na targ zielenizna,
Przyjechał nawóz na pole,
I zaczęła nowy dzień ojczyzna,
Żeby pełnić posłannictwo dziejowe
I odegrać historyczną
Rolę.

2

Kiedy otwieramy czwarty z kolei zbiór poezji Tadeusza Nowaka, a pierwszy naprawdę jego własny, *Jasełkowe niebiosa* (Warszawa, 1957, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 84), zrazu się wydaje, że nic się nie zmieniło w tych drobnotowarowych obrotach poetyki. Dalsza lektura pokazuje, że zmieniło się bardzo wiele. Lecz po porządku! *Pod lasem* nic się nie zmieniło, ten liryk otwiera całość tomiku:

To wszystko dawno mi się śniło:
suche żelazo naszych rąk,
pogańskie dziecko pod kobyłą
i nocą ptak gwiżdżący z łąk.

I wystarczyło spojrzeć wstecz,
aby nad głową pochyloną
ujrzeć, jak płytką rzekę — miecz
i chmur kręcące się wrzeciono.

Dzisiaj owsiane światło żniwa
stoi na wozie obok wrót.
Pod sennym klonem koń się kiwa
i sad w owoce sączy chłód.

Ale pod lasem widać jeszcze,
jak końskie mleko pije wnuk.
Na siwych kołach jadą deszcze
i ścieka siarka z polnych dróg.

Licząc od końca — polne drogi, koła, koń, klon, owoce, sad, wrota, żniwa, owies, wrzeciono, kobyła, łąki, wszystko pod chłopskim, nie dworskim lasem. Lecz ten zespół rekwizytów wyobraźniowych zdeklarowanie co innego poczyna oznaczać, jako odległe odbicie obecnej wsi polskiej, wychodzącej zwolna z kręgu zaklętego wymiany asenizacyjno-aprowizacyjnej.

Jasełkowe niebiosa są w tym sensie pierwszym zbiorem Nowaka w całości własnym, ponieważ ośmielenie przyrodzonej dla owego poety wyobraźni, zapowiedziane w zbiorze poprzednim *Prorocy już odchodzą*, dopiero obecnie dokonało się w całkowitym wymiarze. Nowak należy do rocznika poetyckiego,

debiutującego w pełni panowania socjalistycznej sielanki dydaktyczno-użytkowej, i sielance tej zrazu całkowicie ulegał. Lecz zarazem należy on do tej generacji młodzieży pochodzenia wiejskiego, galicyjskiego, która nawet jeżeli płaciła swoją liryką koszta źle zrozumianego socjalizmu w literaturze, nie wzrastała już w położeniu bezwyjściowym. W takim, jak przedstawiciele autentyzmu.

Bo pokolenie to nie tylko nie wracało na wieś po permanentne swoje bezrobocie, przeszedłszy przez szkołę wyższą, nie wracało i nie wraca nadal, lecz jako rzecz naturalną traktowało i traktuje zdobyte prawo do pełnego awansu życiowego. Pokolenie to przeżyło również pierwszą w dziejach porozbiorowych emigrację pozytywną, która gałęzi nie oderwała od pnia rodzinnego, przeżyło w postaci swego udziału w zasiedleniu ziem odzyskanych. Znam taką wioszczynę w Gorcach, gdzie — jak muzykusy miejscowe pojadą na Dolny Śląsk grać wedle obyczaju na weselach osiedlonych tam sąsiadów, jak pojadą po Trzech Królach, tak wracają po środzie popielcowej. I chociaż bańki z mlekiem jeszcze bełkocą o świcie, przecież masło w opakowaniu spółdzielczym wdarło się w obroty towarowe i nie ustępuje, nawet kiedy rozpadły się sztuczne czy przymusowe spółdzielnie.

Wywołać to musiało i istotnie wywołało jakże godne uwagi przesunięcia w nawarstwieniach wyobraźni, przesunięcia, których pięknym świadectwem są *Wasełkowe niebiosa*. Dają się one ująć w taki skrót: oto zrzuciwszy z siebie obce i krępujące jego własną wymowę dydaktyzmy, młody poeta powraca na próg właściwego mu, rodzinnego domu i wsi ojczystej.

Co się stać musi, już się stało.
Pod frakiem chytry drzemie chłopek,
gotów na oklep w każdej chwili,
dudniąc w bok koński gołą piętą,
jechać do ognisk miotających
gwiazdy i lubczyk w gminne święto.
I stamtąd nikt mię nie wywoła
pod światło lampy i rozsądku.

Utwór ten nosi nazwę *Pieśń o powrocie*. Lecz powrót podobny jest złudzeniem i wcale się w tym wymiarze nie dokonywa. Ci, którzy złudzeniu takiemu ulegają dzisiaj, to w oczach poety spod Tarnowa — p o b i c i s e k r e t n i e. Znów tytuł utworu, będącego właściwie kryptorozprawą z autentystami i ich stanowiskiem. „Upokorzeni, pobici sekretnie, z wystygłą fajką na przypiecku drzemią... Jeśli powstaną, na klęczki ich zepchnie ciemność idąca do nich na organach."

Oczywista, że chodzi o sprawy szersze, że adres pobitych sekretnie nie tylko pewnej grupy poetyckiej dotyczy. Jest to zarazem rozprawa z wsią tradycyjnej biedy, zakrzepłą w swoim obyczaju, wierzeniach i nałogach. Bodaj najpiękniej wypada ona w *Drewnianych twarzach*. Bo tam adresatem jest światek sztuki ludowej, obyczaju folklorystycznego, poniekąd światek Czyżewskiego, późnego Kasprowicza. Bo z ironią i potępieniem miesza się jednak sentyment, a przecież — nie zwycięża. Posłuchajmy:

Z drewna są nasze twarze.
Rozsądek nasz drewniany
po świecie iść nam każe
z rękami obok ściany.
Cóż uczynimy, mędrcy śmieszni,
wierni zabawie cudotwórcy.
Na białe śniegi ludzie weszli.
Drewno się naszych twarzy kurczy.

Jak to dobrze pod drewno
pozytywkę kłaść rzewną.

3

Tak więc autor *Jasełkowych niebios* wraca i nie wraca na próg rodzinny. Jakby przystawał na rozdrożu i wiedział, że właściwa droga już pozostawiła za sobą wieś chwaloną przez ludomanów, agrarystów, autentystów. *Rozdroże* to był tytuł przewidującej i pełnej społecznego sumienia książki Marii Dąbrowskiej, poświęconej problematyce wsi polskiej przed laty z górą dwudziestu. Z tego rozdroża pokoleniu wiejskiemu, do jakiego Nowak należy, otwarł się kierunek, którego artystycznym wyznacznikiem zdaje się być omawiany zbiór.

W tym samym więc kroku powrotu — poeta od wiejskiego progu się odbija. Nie pozwala, ażeby cała jego problematyka zmieściła się i ścieśniła w obejściu między stodołą, stajnią, sadem i obłokami, co ponad nimi rozwiane. Przyjmując, jako naturalną po przodkach schedę, drobnotowarowe obroty wyobraźni, zaczyna się nimi posługiwać w celu nowoczesnym. Czyni to bez kompleksowego zapatrzenia się w ich zaklęte koło, bez kajania się, że coś tam zdradził i czegoś poniechał.

Dlatego za najcenniejsze w ostatnim zbiorze Nowaka uważam utwory, gdzie ten poeta za pośrednictwem składni obrazów, urobionej według owej schedy, przecież wypowiada zagadnienia nam wszystkim wspólne, bez względu na klasowo-metrykalne początki. Jest takich utworów w *Jasełkowych niebiosach* spora garść. Układa się ona według dwóch kierunków myślowych i uczuciowych.

Pierwszy z nich to rozprawy ideowe ze stroną przeciwną, zarówno kreowaną w danym utworze, jak jednocześnie rozbijaną, jeżeli chodzi o jej przekonania i poglądy. „Krąży w powietrzu parafialna miska" — powiada autor i podejmuje ironiczną dyskusję z kruchcianym poglądem, że nędza to dowód łaski bożej (*Znaki*). *Ślepcy, Naiwni, Emeryci, Prostoduszni, Ludkowie, Pobici sekretnie, Mędrcy, Alchemicy, Moi doradcy* — same tytuły personalne sugerują tę postawę dyskusji. Chociaż dokonywa się ona za pośrednictwem drobnotowarowych obrotów wyobraźni, bynamniej się do nich nie ogranicza i na nich nie zamyka. *Alchemicy* na przykład, to po prostu socrealistyczni schematyści. Odtrąca ich poeta takim obrazem: „Oni mnie spustoszyli, podstępnie weszli we mnie. Dzisiaj po nich daremnie wymiatam gnój kobyli".

Te właśnie utwory stanowią oczywiste świadectwo umiejętności wprawienia wiejskiej rzeczy w nowy ruch. Lecz Nowak umie więcej. Drugi kierunek owego ruchu, to jego własne pomysły i kreacje, nie tylko dyskusje z reliktami wsi oddanej we wszechwładzę rozdrobnionych morgów, plebanii, hipotecznych

podziałowych namiętności. Jak w tym zwrocie chociażby: „W mojej rodzinie nie było piekła. Był tylko rudzik — kusy czart. Dla niego wódka Dunajcem piekła".

Łańcuch własnych utworów to podobne liryki, jak *Koszyk wiklinowy, Na wojnie, Kołyska, Dziewczęta czekające na Zwiastowanie, Ballada dla młodszego brata, Północne bębny, Królestwo, Szopka, Schyleni w sobie wiekuiście.* Zarówno w rytmicznych sekwencjach obrazów, jak gdzie indziej w ich skrótowym ujęciu, w dorzuceniu pojęć do obrazów jako równorzędnego im elementu, Nowak w tych utworach staje na śladzie Miłosza i Baczyńskiego. Lecz przede wszystkim — jest sobą. Bo umiejętnie i coraz pewniej, bo dla celów wzruszeniowych, dalekich od zapatrzenia w wieś jedynie, gospodaruje tym, co wyniesione z dzieciństwa i pamięci pokoleń. Gospodaruje też dlatego coraz pewniej, że zdobywa się na dystans autoironii, groteski, że coraz częściej ukazuje również groźne dno rzeczywistości i nie daje się zwieść jej barwnym i sielankowym pozorom. O tym wszystkim mówi przecież *Szopka*, z której wywodzi się tytuł całego zbioru:

Stoją przy drodze klony.
Pod nimi chłopcy niosą
berło, szpaka i świeczkę
jasełkowym niebiosom.

Chłopcy śpiewają pieśni,
nad nimi berło błyska.
Malowana jest w pawie
ich i boska kołyska.

Jeszcze świeczka się pali,
ale szpak już nie śpiewa.
Chłopcy wracają do wsi,
cień powraca w głąb drzewa.

Tylko jeden, najmniejszy,
niesie szopkę kaleką.
Idąc w sobie zasłania
dziką bestię powieką.

W omawianej grupie utworów skojarzenia obrazowe Nowaka wychylają się nieraz poza drobnotowarowe koło. Okazuje się podówczas, że na tej nowej ścieżce jego krok kuleje. Występuje sztampa poetycka, pojawia się łatwizna. A jeśli autor *Jasełkowych niebios* ma zawładnąć, stać go na to na pewno, szerzym od owego koła obrazowaniem i problematyką, musi nauczyć się w tym względzie czujności. Wypisuję niektóre przykłady:

A we mnie tańczy menueta
anioł we fraku, stroi lutnie,
aby dziewczętom mógł poeta
śpiewać wiersz tkliwie i okrutnie. (str. 41)

. . . . . .
Myślałem: zima wszystkie drzewa
ubierze w sztywne krynoliny. (str. 45)
. . . . . .
We frak się ubrał kmieć.
Beczka jak dzwon otwarta.
Wątrobo moja, świeć!
Nóż wbity, drgnęła karta. (str. 63)

Jasełkowe niebiosa to już wiele spełniająca i jeszcze więcej obiecująca poezja człowieka, którego wieś wydała, który poszedłszy dalej, wsi tej nie zdradzi, lecz człowieka zarazem, dla którego krąg wiejskiego doznania nie stanowi jedynej osi, wokół której cały świat się obraca. Obecne zaś miejsce autora te dwa wyimki zdają się dobrze określać: „Obok nas dobroduszność rzeczy człapie jak śpiący koń u dyszla". I ten drugi: „My się rodzimy prawomyślni, choć każdy z nas ma ślepia Szeli".

Kazimierz Wyka

Paweł Jasienica

WSPOMNIENIA EKSCELENCJI

Gdyby kto wykreślił z tej książki nazwisko autora i dopiero kazał mi czytać, powiedziałbym, że napisał ją austriacki urzędnik o wyjątkowo wąskich zainteresowaniach i całkowicie pozbawiony wyobraźni historycznej. Mówię o pamiętniku Michała Bobrzyńskiego, jednego z naszych najsłynniejszych historyków.* Nie znam wspomnień równie nudnych i jednocześnie będących równie pasjonującym dokumentem dziejowym.

Niebywałe widowisko! Michał Bobrzyński zajmował wysokie stanowisko cesarsko-królewskiego namiestnika Galicji. W obszernym, uzupełnianym i przerabianym pamiętniku szczegółowo zdał sprawę ze swych licznych zatrudnień administracyjnych. Rozprawiał o zapomogach dla powodzian, o klęsce pryszczycy, o kinematografach, lasach i legalności urzędowania. Pisał to wszystko w drugiej połowie roku 1913 i na początku 1914. W dużej książce ani śladu, ani cienia przeczucia, że porządek, któremu autor wiernie służył, że cały kunsztownie przez stulecia budowany gmach monarchii habsburskiej zaraz rozprzęgnie się i runie. Tak patrzył na współczesność ten sam człowiek, który posiadał jednolity, pełny i przekonywający pogląd na dzieje Polski, surowo osądzał błędy jej polityki.

Polityka — jak powszechnie wiadomo — polega między innymi na umiejętności przewidywania.

Ale historia będzie na pewno wdzięczna autorowi za szczerość i pozostawienie wspomnień w tej postaci, w jakiej powstały.

Michał Bobrzyński zmarł w roku 1935. Na krótko przedtem raz jeszcze zabrał się do opracowywania tychże zapisków i zastrzegł, że można je ogłosić dopiero w pełne ćwierćwiecze po śmierci autora. Gdyby woli jego stało się zadość, książka wyszłaby w roku 1960.

A więc świetny historyk po raz drugi dokazał tej samej sztuki. Znowu nie przewidział, jaki kataklizm nasuwa się na kraj. Nie odgadł, że jego wspomnienia z niedawnych czasów, kiedy administrował Galicją, mogły się bardzo przydać polskim starostom i wojewodom po roku 1918, ale najbliższa przy-

---

* Michał Bobrzyński: *Z moich pamiętników*. Przygotował do druku, wstępem i przypisami opatrzył Adam Golas. Wydawnictwo Zakładu imienia Ossolińskich. Wrocław—Kraków 1957; str. 404.

szłość miała odebrać im znaczenie praktyczne, a przedstawianą w nich rzeczywistość uczynić po prostu mitem.

Trudno w ogóle pojąć, po co aż tak szczegółowo opisywać sposoby zarządzania prowincją, jeśli ogłoszenie sprawozdania ma nastąpić za kilkadziesiąt lat. Chyba że autor postawił sobie za cel wysławianie swego stronnictwa i dlatego zamiast pisać o ważnych wydarzeniach dziejowych, których był świadkiem, chełpił się sprawnym załatwianiem petentów w biurach namiestnictwa. Jeżeli tak, to stwierdzić trzeba, że ciasnota horyzontów i zacietrzewienie partyjne zaliczały się do czynników, które zgubiły surowo przez Bobrzyńskiego skrytykowaną dawną Rzeczpospolitą.

Dla mnie osobiście Michał Bobrzyński był, jest i pozostanie tylko znakomitym pisarzem. Przejrzałem trzeci tom *Dziejów Polski w zarysie* i znowu się zachwyciłem piórem człowieka, który biegle mówił po łacinie, a ojczystym językiem władał w sposób godny Juliusza Cezara. Jako były poddany Imperatora Wszech Rosji nigdy się nie zetknąłem ze stemplem „C.K." a manifesty *Do moich ludów* mnie nie dotyczyły. W związku z tym dopiero w 1946 roku przekonałem się, że jednak nie wszyscy w Polsce zapatrują się na osobistość krakowskiej ekscelencji z literackiego punktu widzenia. W redakcji *Tygodnika Powszechnego* pewien ksiądz, szeroko znany publicysta o poglądach rzetelnie demokratycznych, na wspomnienie o Bobrzyńskim dostawał wypieków i spoglądał marsowo. Dziś, kiedy przeczytałem pamiętniki, po trosze rozumiem te emocje.

Bobrzyński rządził Galicją od roku 1908 do 1913. Do przeszłości należał już wówczas sejm krajowy z roku 1883, do którego nie wszedł a n i j e d e n polski poseł chłopski, lecz za to osiemdziesięciu ziemian. Jednakże wszelka głębsza demokratyzacja stosunków, jakiekolwiek osłabienie pozycji arystokracji, to dla Bobrzyńskiego nadal niebezpieczeństwo i groza. Aż do samej pierwszej wojny światowej ciągle ta sama nuta... w tej części Polski, która miała rozległe swobody i z powodzeniem mogła pracować dla przyszłości całego kraju. W granicach cesarstwa Austro-Węgier leżała nie tylko Galicja, lecz także pozbawione niepodległości i naprawdę po europejsku zdemokratyzowane Czechy.

Wbrew Stanisławowi Koźmianowi Bobrzyński uważał, że kilku posłów chłopskich nie przyczyni sejmowi szkody. W ramach m o ż l i w o ś c i stworzonych przez liberalne państwo austriackie można było pójść o wiele dalej i osiągnąć dla Polski bez porównania więcej.

Od bardzo długiego czasu kraj nasz nie zanadto obfituje w bystrych polityków. Nie brakuje w nim za to innej odmiany ludzkiej, a mianowicie politycznych korepetytorów, którzy z niemałym hałasem — lecz zawsze poniewczasie — udzielają pouczeń, karcą, odsądzają od czci i wiary oraz wskazują zbawienne szlaki, po których należało kroczyć (ostatnio mężowie ci uwili sobie przytulne gniazda w czasopismach *Przegląd Kulturalny* tudzież *Kierunki*). Lektura pamiętników Bobrzyńskiego powinna się im przydać. Właśnie dlatego, że pisał je człowiek, który surowo potępiał innych za to samo, czym osobiście zgrzeszył. Jeszcze raz się okazało, że są na świecie rzeczy trudniejsze od roli mentora.

Michał Bobrzyński zaliczał się do konserwatystów krakowskich, do Stańczyków. Stronnictwo to — a raczej grupa — na dobre weszło do naszej

historii i ma w niej wciąż jeszcze wysoką rangę. Zawdzięcza ją nie tylko pochwałom, jakich mu nie szczędziło wielu publicystów. Ogromną rolę odegrało ideowe i personalne pokrewieństwo ze sławną szkołą historyczną krakowską, która dała naszemu piśmiennictwu tyle pierwszorzędnych dzieł. Nastąpiło znamienne pomieszanie pojęć i wyobrażeń. Ludzie, którzy celnie krytykowali przeszłość, uzyskali opinię opatrznościowych mężów współczesności. Uznawało się przecież, że Stańczycy uchronili Galicję przed katastrofami szaleńczych powstań i umożliwili jej pokojowy a wszechstronny rozwój.

Zdaje się jednak, że prawda wygląda o wiele mniej świetnie. Stańczycy zrobili karierę na dwóch rzeczach: na austriackim liberalizmie i popowstaniowym rozgoryczeniu. Do wyzyskania wszystkich istniejących możliwości było bardzo daleko.

Poczynając od roku 1848 żaden wybuch powstania Galicji nie groził. Austria dała polskiemu i ukraińskiemu chłopu ziemię, rozwiązując w ten sposób problem podstawowy i najbardziej jątrzący (konserwatywny działacz i pisarz, Paweł Popiel, wymownymi słowy biadał nad uwłaszczeniem chłopów przez rząd zaborczy: „Wściekła, rozpadająca się biurokracja jak Part uciekający puściła tę zatrutą strzałę w sam środek naszego społecznego ciała"; ponieważ jednak dokonała tej zbrodni — nie powtórzył się już w Galicji rok 1846). Od roku 1861 trwała w całym państwie austriackim era konstytucyjna — klapy bezpieczeństwa zostały więc otwarte. W roku 1863 galicyjscy Czerwoni pierwsi zaczęli mówić o potrzebie przerwania walk w Kongresówce. Akcję zbrojną podtrzymywali krakowscy Biali i czynili co w ich mocy, by pozbawić ruch znamion rewolty społecznej.

Podwawelscy konserwatyści pragnęli zabezpieczyć miasto i świat przed straszliwymi niebezpieczeństwami, jakie mogły wyniknąć na przykład z zainteresowania polskiego ogółu faktem otwarcia grobowca Kazimierza Wielkiego. No, jeśli i takie „manifestacje" uznać za niedopuszczalne, to trudno — trzeba będzie przyznać Stańczykom polityczny geniusz.

W *Tece Stańczyka na tle historii Galicji* Kazimierz Wyka pisał ostatnio o przysłowiowej nędzy tego kraju, przypominał nie wyzyskane możliwości. A oto opinie Stefana Kieniewicza, wyrażone w roku 1939 w jego cennym studium o Adamie Sapieże, ojcu niedawno zmarłego kardynała:

Druga połowa 19 w. była dla wielkiej własności w Galicji okresem dobrej koniunktury. Wartość ziemi szła ciągle w górę aż do wielkiej wojny, co bardzo ułatwiało kredyt. Ceny zbóż były dobre aż do r. 1884, a robocizna bajecznie tania. Przywileje polityczne ziemiaństwa (obszary dworskie, kurie wyborcze) dawały się wykorzystać dla gospodarczych celów. Wreszcie wykup pańszczyzny, a potem również prawa propinacji z funduszów krajowych dostarczyły ziemianom kapitału obrotowego. Z koniunktury tej, przyznać trzeba, wielka własność nie zawsze umiała skorzystać. Warsztaty rolne modernizowały się powoli, przemysł rolniczy ruszył z miejsca ledwie po 1900 r., a tymczasem zadłużenie rosło (...) Dwa tysiące rodzin ziemiańskich rządziło krajem, szlachta pchała się do Sejmu, do urzędów, do rad powiatowych: majątek zostawał na szarym końcu. W Krakowie w 1900 r. 66% studentów ziemian uczęszczało na prawo, 20% na filozofię, tylko 12% na rolnictwo. W tymże czasie połowa rządców i dzierżawców, a 93% oficjalistów posiadało za całe wykształcenie szkołę powszechną!

Osławioną nędzę galicyjską zwykliśmy tłumaczyć złą wolą rządu austriackiego. Nie rozgrzeszając go wcale, trzeba przypomnieć i o tym, że przywileje polityczne w tym kraju dzierżyła polska warstwa społeczna tradycyjnie niedołężna w dziedzinie gospodarki.

Znakomicie zorientowany Bobrzyński pisze dosłownie:

Stosunki tak się złożyły, że eksport pracy ludzkiej stanowił najważniejszy artykuł w bilansie ekonomicznym Galicji. Setki milionów wpływały z tego źródła z zagranicy do kraju, zasilając jego instytucje finansowe i dostarczając kapitału do jego rozwoju i pracy.

Eksport pracy ludzkiej to po prostu e m i g r a c j a stała — przeważnie za ocean — lub sezonowa. Dolary, funty i marki zdobywane przez wychodźców za granicą i przysyłane rodzinom tworzyły najważniejszą dodatnią pozycję w bilansie kraju, obfitującego w w i e l k ą własność.

Trudno zaprzeczyć diagnozie namiestnika — istotnie „stosunki tak się złożyły...".

W zeszłym roku *Kultura* paryska ogłosiła ciekawe artykuły o Polonii kanadyjskiej. Okazuje się, że trwa tam proces stopniowej ukrainizacji naszych rodaków. Zjawisko doprawdy godne uwagi. Wielu od dawna zamieszkałych w Kanadzie Polaków zmienia narodowość — zostaje jednak nie Anglikami czy Francuzami, lecz Ukraińcami. Wydaje się, że ten fenomenalny objaw pozostawać musi w dość ścisłym związku ze sprawami przedstawionymi we wspomnieniach Bobrzyńskiego. Przecież ci emigranci to chłopi. Ukraińskie wychodźstwo poniosło ze sobą za ocean własną kulturę l u d o w ą. Widocznie przyciąga ona potężnie Polaków spod Tarnopola czy Lwowa, których rodzinny kraj wyposażył na drogę w pamięć panowania obyczaju niemal wyłącznie szlacheckiego.

Cudom kanadyjskim przestaniemy się dziwić wspomniawszy, że po unii z Litwą w granicach państwa polskiego doszczętnie zruszczyły się miliony polskich chłopów, szukających chleba i lepszych warunków życia na wschodzie.

Nędza i wszechstronne zacofanie stanowiły w Galicji tło dla gier politycznych, równie niemal skomplikowanych, jak w parlamencie francuskim.

Potężnie przetrzepana przez Francuzów i Prusaków Austria zdecydowanie wkroczyła na drogę parlamentaryzmu i rządów konstytucyjnych. Językiem urzędowym w Galicji stała się polszczyzna, poczynając od roku 1869 niemieccy i czescy urzędnicy masowo wynieśli się *nach Heimat*. Kraj miał własny sejm, namiestnika i marszałka, polską administrację, szkolnictwo średnie i niższe, dwa uniwersytety oraz politechnikę. Zdawałoby się, że w tych warunkach i w całkowitej zgodzie z zasadą stronienia od awantur rządcy Galicji powinni byli wytworzyć ośrodek polskiej myśli politycznej. Zaszło coś wręcz przeciwnego — jej całkowity zanik. Pamiętniki Michała Bobrzyńskiego dostarczają po temu dowodów absolutnie niezbitych.

Przypomnijmy sobie trochę dat i faktów. W czasach, kiedy Bobrzyński był namiestnikiem, nikogo nie dziwili Polacy zajmujący wysokie stanowiska w monarchii. Rezygnując ze szczegółowych wyliczeń i pomijając dawniejszych — nawet premiera hr. Kazimierza Badeniego — trzeba jednak wymie-

nić Wacława Zaleskiego — od roku 1911 do 1913 austriackiego ministra skarbu — lub Leona Bilińskiego, autora znanych pamiętników. Ten ostatni od roku 1912 do 1915 piastował godność wspólnego austriacko-węgierskiego ministra skarbu i był wielkorządcą okupowanej Bośni i Hercegowiny (po roku 1918 rozmaici publicyści bezsensownie przypisywali mu odpowiedzialność za wybuch pierwszej wojny światowej, głosząc, że to on skłonił Austrię do napaści na Serbię).

Mieli Polacy dostęp do samego cesarza, do ministerstwa spraw zagranicznych, dyplomacji, premiera, generałów, arcyksiążąt i wszelkich w ogóle gwiazd na habsburskim firmamencie. Posiadali rzecz bezcenną dla polityki — możność gromadzenia informacji, i to informacji gruntownej, pochodzącej z pierwszorzędnych źródeł. Z wiadomości tych musiało wynikać całkiem jasno, że zbrojne starcie trójprzymierza z trójporozumieniem jest tuż. Jeśli zaś Rosja z jednej, Austria i Niemcy z drugiej strony wystąpią do wojny, to w historii polskiej m u s i się rozpocząć nowy rozdział. Jakie wnioski wysnuwali stąd ludzie, którzy wzięli na siebie odpowiedzialność za rządy Galicją, jedyną dzielnicą Polski, gdzie Polacy mogli pracować umysłowo a nawet organizacyjnie, nie budząc podejrzeń tajnej policji? Otóż żadnych! Z p o l s k i e g o punktu widzenia zupełnie żadnych.

A tymczasem właśnie oni powinni byli zdawać sobie sprawę z rzeczy mniej może zrozumiałej dla innych polskich działaczy. Z tego mianowicie, że nieunikniona wojna uczyni sprawę polską przedmiotem rozgrywki nie tylko między Rosją a państwami germańskimi, lecz również między Niemcami a Austrią.

Leon Biliński napisał w I tomie swych *Wspomnień i dokumentów:*

...polityka polsko-autriacka polegała właśnie na myśli przyszłej wojny europejskiej, w której Austria, przez naród polski, miała pokonać odwiecznego wroga naszego: Rosję. Jakżeż bowiem miała powstać Polska wolna i niepodległa, jeżeli najprzód nie upadła Rosja? Wszakżeż od początku wojny aż do wiosny 1917 roku Koalicja stała na stanowisku Polski autonomicznej w obrębie Rosji! Czy to była Polska wolna i niepodległa?

Słowa te napisane zostały po roku 1918. Szczere pamiętniki Michała Bobrzyńskiego, ogłoszone ostatnio, przeczą im wyraźnie i świadczą, że nie taki był cel polityki „polsko-austriackiej".

W rozdziale *Wobec stronnictw* czytamy czarno na białym:

Mówcy okolicznościowi, a wśród nich także duchowni, nie krępowali się bynajmniej w wyrażeniach, hasło niepodległości Polski rozbrzmiewało szeroko, byli tacy, którzy w zapale oratorskim zapowiadali, że już ją widzą. Celowali w tych zapałach oratorskich: arcybiskup ormiański, ks. Teodorowicz, a jeszcze więcej sufragan lwowski, ks. Bandurski, który się w popularności nikomu nie dał prześcignąć (...) Patriotyzm oratorski zwracał się jednak także przeciw Austrii, traktując ją jako jedno z mocarstw zaborczych i podburzając mianowicie młodzież przeciw wszystkiemu, co austriackie. Mówców narodowo-demokratycznych, zbierających tani poklask, zaczęli też rychło naśladować ludowcy, nawet chłopi, popisując się frazesami, że szkoła nie jest narodową, że w niej uczą także historii Austrii itd.

Szczęściem, że popisów tych oratorskich nikt nie przenosił na pole polityki aktualnej, na pole obowiązków swoich wobec monarchy i monarchii austriackiej.

Ci, którzy w roku 1912 twierdzili, że już widzą niepodległość Polski, nie pomylili się znowu aż tak bardzo.

Rozdział *Groźba wojny* jest dokumentem cennym, lecz jeśli się zważy, że wyszedł spod pióra myśliciela historycznego i czynnego polityka — wręcz kompromitującym autora. Bobrzyński pisze w nim o ruchu, jaki ogarnął kraj w przededniu wojny, o strzelcach, Piłsudskim, zamiarach powstańczych. Zdaje sprawę z odbytej w Wiedniu na ten temat konferencji, w której wraz z nim samym uczestniczył premier, ministrowie spraw zagranicznych i wojska oraz szef sztabu generalnego. Namiestnik ograniczył swoje polityczne zadanie do dwóch celów: do zapobiegania wybuchowi jakiejś przedwczesnej ruchawki i do troski, by podniecenie umysłów nie zakłóciło stosunków w Galicji. Pocieszał się w sposób znamienny:

Gdyby przyszło do wojny, do ogólnej mobilizacji, do powołania w Galicji pod broń pół miliona żołnierza, do zaprzątnięcia ludności dostawami, naprawą i budową fortyfikacji, dróg i w ogóle tym wszystkim, czego dzisiejsza wojna wymaga, cały ten ruch młodzieży byłby utonął w morzu tego wielkiego wysiłku.

Działacze, którzy w tak niezrównany sposób przygotowali swe umysły na spotkanie wydarzeń decydujących o losach Polski i Europy, zaraz na wstępie natknęli się na przykre niespodzianki.

W sierpniu 1914 roku, wkrótce po rozpoczęciu działań wojennych, powstał projekt utworzenia w Kielcach „rządu wojskowo-cywilnego" pod kierownictwem austriackiego generała Colarda, przy którym urzędować miał Bobrzyński jako komisarz cywilny. Wystylizowano odezwę cesarską do Polaków. Warto przytoczyć jej zakończenie:

Jeżeli Bóg wszechmocny obdarzy zwycięstwem wojska sprzymierzone, to kraj Wasz będzie nierozerwalnie wcielony do rzeszy Moich państw w ten sposób, by wespół z krajem Moim, zamieszkałym przez Waszych rodaków, utworzył jednolite Królestwo polskie, którego administrację, z uwzględnieniem najwyższych interesów i potrzeb całej Monarchii, powierzę rządowi narodowemu, odpowiedzialnemu przed Sejmem w Warszawie.

Zaufajcie gwieździe Mojego Domu! Zaufajcie losowi tych wszystkich ludów, zespolonych dziś w patriotycznym zapale, z którymi przyjdzie Wam teraz zawrzeć sojusz braterski.

Pójdźcie za sztandarami Moimi z tą niezłomną wiarą, że Naród Polski pod berłem Moim i potomków Moich znajdzie bezpieczną przyszłość po wszystkie czasy!

Ogłoszenie takiego orędzia byłoby dużym wydarzeniem politycznym. Próżno jednak trudził się minister Biliński, autor tekstu. Sprawa rozbiła się o stanowcze *veto* premiera węgierskiego, hr. Stefana Tiszy.

Podczas sporu Biliński nalegał na znaczenie punktu deklaracji, mówiącego o przyszłym sejmie polskim.

— Ależ pan jesteś Węgrem — wołał — i wiesz przecież, że u was, Węgrów, zawsze stoi na pierwszym miejscu sejm krajowy!

— A tak, ale to się dzieje na Węgrzech, a Polacy to nie Węgrzy.

Jesienią 1944 roku Stanisław Mikołajczyk usłyszał od Winstona Churchilla w formie bardzo brutalnej, że Polska to nie Anglia. Jak widzimy, trzydzieści lat wcześniej Leon Biliński dowiedział się od węgierskiego grafa czegoś w tym samym guście.

Tisza zasłaniał się twierdzeniem, że po ogłoszeniu takiej odezwy nie mógłby „nigdy cesarz austriacki wznowić stosunków dyplomatycznych i osobistych z carem", ale w gruncie rzeczy chodziło mu o coś innego. Tisza był przeciwnikiem przebudowy państwa na trójdzielną monarchię austro-węgiersko-polską, obawiając się, że Madziarzy stracą na znaczeniu w tej kombinacji. Jego zdaniem Polska mogłaby połączyć się z samą tylko Austrią, ale nigdy z Austro-Węgrami.

Na wybadanie tych zawiłości i opracowanie programu postępowania w konkretnych okolicznościach było dość czasu przed wojną. Kto wyskoczył z nieprzemyślaną inicjatywą i naraził się na otwarte odrzucenie jej przez podrzędny bądź co bądź czynnik polityczny, ten dotkliwie skompromitował siebie, a co gorsza i sprawę, w której imieniu występował.

W trzecim tomie *Dziejów Polski* Bobrzyński sam dostarczył klucza do rozwiązania zagadki błędu ludzi mądrych. Napisał o galicyjskich konserwatystach:

> Maksymą ich polityczną stało się już, aby do polityki zagranicznej się nie mieszać, zostawiając ją zupełnie monarsze, a konieczności państwowe uchwalać bez względu na chwilowy do rządu stosunek. W polityce tej dla pracy swojej organicznej i dla interesu narodowego polskiego widzieli najlepszą dźwignię i ratunek.

Kiedy w roku 1886 Kazimierz Grocholski zapytał cesarza, co może Polska otrzymać, jeśli Austria pokona Rosję, Franciszek Józef podszedł do okna i zabębnił palcami po szybie.

Źle „widzieli" Stańczycy, kiepską wynaleźli „dźwignię" i równie wątłą tarczę. Dla dobra narodu polskiego należało stale, bez przerwy interesować się polityką zagraniczną, ani na chwilę nie odrywać od niej oczu. Dmowski i Piłsudski, którzy w roku 1904 w celach wręcz sobie przeciwnych podrałowali do Tokio, wykazali więcej rozeznania niż krakowskie ekscelencje. Złożyli przynajmniej dowód zrozumienia, że losy Polski bezpośrednio zależą od tego, co się dzieje na szerokim świecie, i że nie można zamykać spraw narodu w opłotkach zaścianka.

Byli tacy, którzy uważali „trójlojalizm" za najlepsze rozwiązanie zawiłej i blisko z europejską rewolucją spokrewnionej sprawy polskiej. Ale nawet takim nie wolno było odwracać się od polityki zagranicznej, która nie polega na określaniu, co się komu podoba i czego by pragnął, lecz na radzeniu sobie w każdej sytuacji stworzonej przez okoliczności zewnętrzne. Najbardziej konserwatywni i prohabsburscy działacze galicyjscy musieli zdawać sobie sprawę, że czy chcą, czy nie chcą — prędzej lub później wobec na nowo otwartej przez wojnę sprawy polskiej staną. W obszernym pamiętni-

ku Michała Bobrzyńskiego nie ma ani śladu przygotowań na tę okoliczność.

10 grudnia 1866 roku sejm galicyjski uchwalił słynny adres do tronu. Zakończenie dokumentu przeszło do historii:

Bez obawy więc odstępstwa od myśli naszej narodowej, z wiarą w posłannictwo Austrii i z ufnością w stanowczość zmian, które Twoje Monarsze słowo jako niezmienny zamiar wyrzekło, z głębi serc naszych oświadczamy, że przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy!

Wokół tego zdania rozpętał się namiętny spór i trwał przez dziesięciolecia. Jedni widzieli w nim kapitulację, inni dowód rozumu politycznego. Ci ostatni twierdzili, że właśnie ten adres był punktem wyjścia do osiągnięcia wielu zdobyczy.

Pamiętniki Michała Bobrzyńskiego dostarczają nowego elementu oceny. Okazuje się z nich, że ugoda z Austrią w tej formie, w jakiej ją pojęli i przyjęli galicyjscy konserwatyści, najprostszą drogą i w czasie przerażająco krótkim doprowadziła do zaniku polskiej myśli politycznej u osób rządzących tym krajem. I to na dobitkę w okolicznościach, które raczej sprzyjały jej rozkwitowi.

Trzeba przyznać, że ciężko gnębiony zabór rosyjski w taki stan umysłów nie popadł i z szerszych horyzontów nie zrezygnował.

Napisawszy tyle rzeczy przykrych muszę teraz z głębokim wewnętrznym zadowoleniem stwierdzić, że pomimo wszystko — w tej książce jest wielki Bobrzyński. Znać w niej lwi pazur świetnego historyka, który dostrzegał główne prądy dziejów swej ojczyzny i dochowywał im wierności.

W rozdziale *Atak wszechpolski* mówi Bobrzyński:

O pogodzeniu się moim z Narodową Demokracją nie mogło być mowy. Dzieliła nas przepaść. Ja dążyłem do porozumienia z Rusinami, oni żyli z walki narodowej. Wyznawali program nacjonalistyczny, który dla mnie jako Polaka był z a p a r c i e m s i ę i z a p r z e c z e n i e m c a ł e j n a s z e j h i s t o r i i w i e k o w e j p r a c y. (Podkreślenie moje — *P. J.*)

Całej naszej historii... Ruś Czerwoną włączył do Polski Kazimierz Wielki. Wolno oceniać ten postępek jak kto uważa za słuszne, ale nie da się przekreślić faktów. W 1361 roku Kazimierz nadał pewnemu bojarowi przywilej, który zaczynał się tak:

My krol Kazimir krakowskoj zemli, sudomirskoj zemli, syradzkoj zemli, polskij zemli, kujawskij zemli, dobrianskij zemli, pomorskij zemli korol wielebnyj, ruskoj zemli hospodar i didycz, wiecznyj zemlam tym samoderżec...

Słowa te pamiętają czasy, w których nikomu w Krakowie do głowy jeszcze nie przychodziło, że urzędowe dokumenty lub cokolwiek bądź innego można pisać po polsku zamiast po łacinie.

Michał Bobrzyński objął urząd namiestnika po Andrzeju Potockim, który 12 kwietnia 1908 roku zginął z ręki młodego Ukraińca, Siczyńskiego. Poło-

żenie polityczne we wschodniej Galicji zaczynało się przedstawiać wprost groźnie. Poszczególne dwory zbroiły się w karabiny.

Obawa przed rozruchami była jednak tak silna u ludności — pisze Bobrzyński — a mianowicie u ziemian podolskich, że podpułkownik artylerii, który wyszedł z ich grona, Tadeusz Rozwadowski, zgłosił się do mnie na audiencję i przedstawił mi, że na rozruchy ruskie jedyną właściwą bronią jest bombardowanie artylerią wsi zbuntowanych. Nie zdawał sobie sprawy, że gdyby do tego przyjść miało, to namiestnikiem Galicji nie byłby Polak, lecz jakiś generał austriacki, Niemiec.

Tadeusz Rozwadowski to późniejszy generał i szef sztabu armii polskiej, wojskowy znakomity, właściwy zwycięzca w bitwie pod Gorlicami w roku 1915, w czasie której dowodził zgrupowaniem artylerii austriackiej i niemieckiej. Aresztowany po przewrocie majowym, zmarł wkrótce po wyjściu z więzienia. Dzięki Bobrzyńskiemu dowiadujemy się, że to on pierwszy wpadł na pomysł brutalnych represji żołnierskich wobec Ukraińców, pomysł niestety urzeczywistniony w dwadzieścia dwa lata później, za rządów jego śmiertelnego wroga, Józefa Piłsudskiego. Zresztą w roku 1930, podczas niesławnej „pacyfikacji", o ile mi wiadomo działała policja, ułani i piechota, artyleria jednak nie strzelała.

Z wielu innych stron naciskano Bobrzyńskiego o represje w stosunku do Ukraińców. Zgłosiła się do niego cała delegacja osób majętnych i wysoko utytułowanych:

...wyrażając mi największe zaufanie uważali jednak za konieczne wypowiedzieć, czego ode mnie oczekują dla poskromienia wybujałej agitacji ukraińskiej, której sądy nie kładą żadnej tamy. Podnieśli w memoriale myśl zaprowadzenia w Galicji stanu wyjątkowego przynajmniej na pół roku, powściągnięcia prasy ruskiej, powstrzymania agitatorów podburzających ludność, a w szczególności alumnów seminariów duchownych i uczniów szkół średnich, oczyszczenia żandarmerii i sądownictwa z żywiołów ruskich, zaprowadzenia tajnej policji i pomnożenia żandarmerii, wreszcie urządzenia marszów i kontrmarszów wojska pod pozorem ćwiczeń (...) Tłumaczyłem (...), że takiego programu przyjąć w żaden sposób nie mogę.

Bobrzyński wytrwał w swoich poglądach i wskutek tego musiał złożyć godność namiestnika. Pamiętnik szczegółowo przedstawia te wydarzenia, tutaj wystarczy je naszkicować.

Było to w roku 1913, na wiosnę. Po długich układach i przetargach zgodzono się na opracowany przez Bobrzyńskiego projekt reformy ordynacji wyborczej do sejmu galicyjskiego. Jeśli chodzi o jego „radykalizm", to był on niezmiernie odległy od tego, co inne kraje o ustroju parlamentarnym od dawna wtedy miały i uważały za rzeczy całkiem normalne. Podstawą projektu było porozumienie z Ukraińcami, na warunkach wcale dla strony polskiej nie krzywdzących. Stanowiąc około czterdziestu procent zaludnienia Galicji, mieli Ukraińcy otrzymać dwadzieścia siedem procent mandatów poselskich. Kiedy już zdawało się, iż rzecz wyszła na spokojne wody, nieoczekiwanie zabrali głos biskupi rzymsko-katoliccy. Potępili społeczny i polityczny „radykalizm" zamierzonej ustawy, który ich zdaniem sprzeciwiał się zasadom wiary.

W odpowiedzi na to Bobrzyński ustąpił z namiestnikostwa.

Jasne mi było — pisał — że jako katolik i konserwatysta nie mogę dalej prowadzić polityki, przeciw której oświadczyli się polscy biskupi. Jako historyk poczułem się do błędu popełnionego w tym, że chciałem przeprowadzić zgodę pomiędzy Polakami a Rusinami, zanim jeszcze zgoda na tym polu nastąpiła między episkopatem katolickim polskim a ruskim.

Koniec kariery namiestnikowskiej Michała Bobrzyńskiego jest wydarzeniem niebywałym.

Na cztery dni przed ostatecznym wypowiedzeniem się biskupów łacińskich zabrał głos arcybiskup k a t o l i c k i obrządku greckiego, Szeptycki, oświadczając, że: „Ze stanowiska katolickiego nie można przeciw zasadom zawartym w projekcie reformy wyborczej podnieść żadnego zarzutu".

A więc Michał Bobrzyński niezbyt precyzyjnie określił powody swego podania się do dymisji. On ustąpił ze stanowiska, ponieważ był konserwatystą i klerykałem. Powoływanie się na katolicyzm nic tu nie ma do rzeczy, bo w sprawach wiary i moralności głos biskupa Ukraińca tyleż waży, co słowo pomazańca z każdej innej nacji. Argument o katolickim punkcie widzenia służyć miał w tej sprawie polskim hierachom kościelnym za narzędzie nacisku politycznego i niczym więcej nie był.

Zdaniem Bobrzyńskiego do porozumienia obu narodowości wolno było dążyć dopiero po ugodzeniu się ich episkopatów. A ponieważ na biskupów polskich znaczny wpływ wywierała Narodowa Demokracja, którą sam Bobrzyński zwalczał, więc w rezultacie namiestnik oczekiwał, aż mu jego właśni przeciwnicy pozwolą działać. Nie podobna nazwać tego wszystkiego polityką z prawdziwego zdarzenia. Bobrzyński doskonale wiedział, że polski episkopat żywi własne i czysto polityczne ambicje i że arcybiskup Bilczewski nie cierpi arcybiskupa Szeptyckiego. Obłędny klerykalizm stańczykowski prowadził prosto do absurdu.

Jako historyk powinien był Bobrzyński wiedzieć, że ślepo ulegając rozpolitykowanym biskupom postępuje w sposób przypominający najciemniejsze strony naszych dziejów. Nie było mu tajne, że w swoim czasie klątwy kościelne spadały nie tylko na Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego, lecz nawet na bogobojnego męża św. Jadwigi, Henryka Brodatego. Ale ci ludzie w sprawach politycznych nigdy nie ustępowali przed szantażem. Dopiero później, w czasach upadku, byle jezuita „wszelkiej sciencyi pełen" kręcił polskim monarchą tak jak chciał.

Jako historyk musiał Bobrzyński i to pamiętać, że w dawnej Polsce nie dopuszczono biskupów unickich do senatu i że ta ich rażąca degradacja polityczna była katastrofalnym błędem.

Bobrzyński ustąpił, ale opracowany przezeń projekt wkrótce przyjęto. Stało się to wtedy, kiedy sprawę wziął w swoje ręce premier austriacki, hr. Karol Strügh, i nacisnął. Pachniało wojną i Austria chciała mieć spokój w pogranicznej prowincji. Biskupi tym razem też głosowali za reformą, która jakoś dziwnie rychło utraciła bezbożnicze znamiona.

Moją ambicją jako Polaka było niegdyś — pisze Bobrzyński — aby Polacy z Rusinami sami, bez interwencji wiedeńskiego rządu, chyba tylko z udziałem ministrów Polaków, doprowadzili z Rusinami do ugody w najważniejszej sprawie.

Był najwyższy czas na urzeczywistnienie tej szlachetnej ambicji. Debata o ordynacji wyborczej to rok 1913. Za pięć lat spór polsko-ukraiński w Galicji miał się przeistoczyć w dialogi karabinów maszynowych. Wszystko, cokolwiek między obu narodami dokonało się w Galicji, wszelkie światła i cienie otrzymała w dziedzictwie niepodległa Polska. Nie doprowadzono do zgody na warunkach uznania wszystkich słusznych żądań i pełnego równouprawnienia Ukraińców. Obok polskiego nie powstał we Lwowie ukraiński uniwersytet, którego założenie przyniosłoby w przyszłości olbrzymie korzyści obu narodom.

W *Dziejach Polski* Bobrzyński jasno i wyraźnie określił zasady swego postępowania. Uczynił to przy okazji surowej krytyki programu Narodowej Demokracji, w mowie potocznej zwanej endecją.

Wystąpili z teorią, że w polityce narodu rozstrzygać powinien tylko egoizm narodowy, nie zaś jakieś etyczne zasady. Na polityce egoizmu wyrosły Prusy, tylko na niej wskrzesić się może Polska. Zrywali w ten sposób z całą polityką narodu polskiego, który szczycił się tym, że szanując prawa sąsiednich narodów, unię z nimi przeprowadzał i potęgę swoją gruntował. Zmianę tę polityki zrozumiał od razu Rapperswyl i przeciw niej zaprotestował, zrozumiało całe społeczeństwo polskie, nie wyłączając ludowców i socjalistów. Politykę siły przed prawem mógł zresztą prowadzić tylko ten, kto miał siłę, a więc potężne państwa, Niemcy i Rosja, i gnieść bezkarnie ludy wciągnięte do ich granic, ale polityka taka prowadzona przez naród słaby i podbity wobec mniejszości narodowych mieszkających wśród niego, Rusinów czy Żydów, nie mogła się żadną miarą powieść i musiała na naród polski sprowadzić tylko klęski i niesławę.

Michał Bobrzyński do tej klęski i niesławy się nie przyczynił. Robił nawet, co potrafił, by im zapobiec.

Trudno zachwycać się Bobrzyńskim jako politykiem. Trzeba jednak bezstronnie przyznać, że rozmaite zwalczające go galicyjskie endeki i endekoidy do pięt mu nie dorastały.

Paweł Jasienica

Natalia Modzelewska

CHODZĄ MUCHY, CHODZĄ...

Twórczość to rzecz talentu, krytyka — kultury, erudycji, wykształcenia.

St. Mackiewicz

W książce Stanisława Mackiewicza *Muchy chodzą po mózgu* * przedrukowane są jego emigracyjne artykuły o literaturze. Poczesne miejsce zajmują w niej pisarze rosyjscy — Gogol, Dostojewski, Tołstoj, Czechow. Temu ostatniemu poświęcony jest cały cykl pt.: *Sam na sam z Czechowem*. Jak zaznaczono na wstępie, podczas parotygodniowego *tête-à-tête* z pisarzem krytyk zdążył przeczytać „cztery tysiące dwieście jego listów prywatnych, mnóstwo listów do niego, wspomnienia o nim, nie mówiąc już o wszystkich jego pracach literackich".

Zdumiewająca chłonność umysłu! Tylko, niestety, podczas lektury tego cyklu uderza nieprawdopodobna ilość pomyłek, których nie da się wytłumaczyć zwykłą nonszalancją felietonisty. W tej nonszalancji jest metoda, bo fakty, nazwiska i daty plączą się autorowi w sposób umożliwiający mu wyciąganie określonych wniosków.

Sugestie Mackiewicza idą w trzech głównych kierunkach. Przede wszystkim chce on przedstawić Czechowa jako reakcjonistę z przekonania, postępowca zaś — gwoli mody i dla kariery. Po drugie — chce w nas wmówić, że ten rasowy humorysta skończył się jako pisarz, kiedy zaczął pisać „poważne" opowiadania i dramaty. Po trzecie — narzuca nam nader osobliwy, pseudo-odbrązowiony portret artysty.

Niżej zestawiam zasadnicze wypowiedzi Mackiewicza z materiałem źródłowym, żeby czytelnik mógł wyrobić sobie własne zdanie o twierdzeniach naszego krytyka, o trafności jego interpretacji i rzetelności metody.

•

Kiedy zwyciężyła rewolucja — pisze Mackiewicz — trzeba było dla Czechowa, jako dla jednego z największych pisarzy rosyjskich, wykombinować jakąś zasługę,

* Stanisław Mackiewicz: *Muchy chodzą po mózgu*. Kraków 1957, Wydawnictwo Literackie; str. 211.

eśli się nie da rewolucyjną, to przynajmniej postępowo-opozycyjną. Uchwycono się dwóch szczegółów. Stworzono legendę, że Czechow zerwał z *Nowoje Wriemia* z Suworinem na tle sprawy Dreyfusa oraz rozreklamowano jego wystąpienie w obronie Gorkiego.

Ci, co znają dzieło Czechowa choćby pobieżnie, rozumieją, że największą jego „zasługą postępowo-opozycyjną" była sama jego twórczość. Już wczesne opowiadania, jak *Kapral Priszybiejew, Kameleon, Złoczyńca, Śmierć urzędnika*, że wymienię te najsłynniejsze, są celnie wymierzone przeciw biurokratyczno-żandarmskiemu reżymowi carskiemu.

Ale Czechow długo unikał wszelkich wystąpień i deklaracji politycznych, nie chcąc wiązać się z żadnym ugrupowaniem lub partią. Trudno temu się dziwić, zważywszy, że po rozgromieniu wszystkich ruchów rewolucyjnych w roku 1881 (po zabójstwie Aleksandra II) na powierzchni życia politycznego utrzymali się tylko liberałowie i epigoni narodnictwa, którzy nie stanowili żadnej realnej siły i szermowali jedynie opozycyjnym frazesem.

Boję się tych, którzy szukają pomiędzy wierszami tendencji i koniecznie chcą widzieć we mnie liberała albo konserwatystę — pisał 4 października 1888 do Pleszczejewa. — Nie jestem liberałem ani konserwatystą, ani stopniowcem, ani indyferentystą. Chciałbym być swobodnym artystą — i tyle, i żałuję, że Bóg nie dał mi dosyć sił, żebym mógł nim być. Nienawidzę kłamstwa i przemocy we wszelkiej postaci... *

Tą swoją niezależną postawą ściągnął na siebie w latach osiemdziesiątych niełaskę wydawców i krytyków obozu liberalnego, z Michajłowskim na czele, który pomawiał go o „idealizację braku ideałów". Toteż utwory Czechowa ukazywały się w wydawnictwach różnych kierunków, do czego nie przywiązywał żadnej wagi. Pisał 18 stycznia 1888 do Połońskiego, że wybór czasopism do publikacji „miał jeszcze jakiś sens wówczas, gdy na czele ich stali ludzie o wyraźnym obliczu, w rodzaju Bielińskich, Hercenów itd., którzy nie tylko płacili honorarium, lecz także przyciągali do siebie, uczyli i wychowywali, nie zaś teraz, gdy zamiast literackich fizjonomii na czele periodyków sterczą jakieś szare figury...".

Tak też się stało, że często drukował w reakcyjnej gazecie *Nowoje Wriemia*, z której wydawcą, literatem Suworinem, przyjaźnił się przez długie lata. Nie bez racji Mackiewicz przywiązuje dużą wagę do sprawy tej przyjaźni. Kwestia ta istotnie wymaga szerszego wyjaśnienia.

Czechow wysoko cenił rozległą wiedzę Suworina, jego doskonałą znajomość literatury i sztuki. Korespondencję ich wypełniała wymiana poglądów artystycznych, żywe dyskusje o problemach warsztatowych oraz o zadaniach i roli sztuki w życiu społecznym. Tylko dzięki temu Suworin, którego mierne utwory dawno poszły w zapomnienie, wszedł do historii literatury rosyjskiej jako osoba, do której Czechow pisał najciekawsze swoje listy w sprawach estetyki, a szczególnie pisarstwa. W miarę tego jednak, jak kształtował się coraz wyraźniej negatywny stosunek Czechowa do ówczesnego ustroju, zmie-

* Listy Czechowa cytuję według rosyjskiego wydania *Dzieł wszystkich* — OGIZ, Moskwa, 1944—1951. Tomy 13—20.

niał się też jego stosunek do Suworina i do kwestii — gdzie publikować swoje utwory. W latach 90-tych przestaje drukować w pismach reakcyjnych i wiąże się z prasą opozycyjną.

W roku 1890 odbywa długą, niezmiernie uciążliwą podróż na wyspę Sachalin, słynne miejsce katorgi carskiej, żeby zebrać i opublikować materiały o sytuacji katorżników. Już wówczas w jego korespondencji z Suworinem ujawniają się głęboko sięgające różnice zdań. W liście z 9 marca 1890 pisze do Suworina, który twierdził, że podróż na Sachalin jest niepotrzebna i nieciekawa:

Czyżby? Sachalin może być niepotrzebny i nieciekawy tylko dla społeczeństwa, które nie wysyła tam tysięcy ludzi... Z książek, które przeczytałem i które teraz czytam, widać, że zamęczyliśmy w więzieniach miliony ludzi, zamęczyliśmy niepotrzebnie, bez zastanowienia, jak barbarzyńcy; pędziliśmy katorżników zakutych w kajdany dziesiątki tysięcy wiorst w mróz, zarażali ich syfilisem, demoralizowali, mnożyli przestępców i wszystko to zwalaliśmy na dozorców więziennych o czerwonych nosach. Teraz cała oświecona Europa wie, że winni są nie dozorcy, lecz my wszyscy — ale nas to nic nie obchodzi, dla nas to wszystko jest nieciekawe.

Po powrocie z katorgi Czechow przechodzi głęboki kryzys, kiedy staje się dla niego widoczne, że człowiek uczciwy, a tym bardziej pisarz, m u s i określić wyraźnie swój stosunek do kardynalnych zagadnień życia społecznego. Pisze *Pojedynek, Salę nr 6, Opowieść nieznajomego,* a wspólną tendencją wszystkich tych nowel jest potępienie biernej postawy wobec zła. Pisze do Suworina 25 listopada 1892:

W utworach naszych nie ma alkoholu, dobrze Pan to zaznaczył. Czym to się tłumaczy?... Proszę powiedzieć z ręką na sercu: kto z moich rówieśników, czyli ludzi w wieku 30—45 lat, dał światu choćby kroplę alkoholu?... Pan się zachwyca: miło, z talentem — ale nie zapomina, że ma chętkę na papierosa... Proszę sobie przypomnieć: pisarze, których nazywamy wielkimi lub choćby dobrymi pisarzami i którzy nas upajają, mają jedną wspólną i bardzo ważną cechę — sami dokądś dążą i nas wołają za sobą, i odczuwamy nie rozumem, lecz całą naszą istotą, że mają jakiś cel... Najlepsi z nich są realistami i opisują życie takie, jakim ono jest, ale że każde ich zdanie, niczym sokiem, nabrzmiało świadomością celu, wyczuwamy oprócz życia, jakim ono jest, również takie, jakim ono być powinno, i właśnie to nas urzeka. No a my? My! My opisujemy życie takie, jakim ono jest, a dalej ani rusz... choćby smagali nas batem! Nie mamy żadnych celów, ani najbliższych, ani dalekosiężnych, w duszy naszej kompletna pustka. Polityką się nie paramy, w rewolucję nie wierzymy, Boga nie uznajemy, złych duchów się nie boimy... Kto niczego nie pragnie, niczego się nie spodziewa i niczego się nie boi — ten nie może być artystą...

Otrzymawszy w odpowiedzi od Suworina zarzut czarnowidztwa, odpisuje mu 3 grudnia:

Pisałem, że nie mamy celów, ale przecież Pan rozumie, że te cele uważam za rzecz nieodzowną i że chętnie bym wyruszył na ich poszukiwanie... Jeżeli ktoś szczerze myśli, że wyższe, dalekosiężne cele są człowiekowi potrzebne nie więcej

niż krowie, że w tych celach „tkwi całe nasze nieszczęście", temu pozostaje tylko jeść, pić, spać, a kiedy to się sprzykrzy — rozpędzić się i wyrżnąć łbem o ścianę...

Z każdym rokiem ton Czechowowskich listów do Suworina staje się chłodniejszy. Przy okazji incydentów o przykrym posmaku politycznym dochodzi między nimi do krótkich spięć. Na przykład w roku 1893 jeden z czołowych publicystów Suworinowskiej gazety, Żytiel, wydrukował na jej łamach antysemicki pamflet przeciwko znanemu rzeźbiarzowi, Antokolskiemu; ostro odpowiedział mu Stasow, kończąc zdaniem: „Ukąszenie pluskwy nie jest groźne, ale pozostawia wstrętny odór". Czechow odpisuje 24 lutego Suworinowi, który oczywiście oburzał się na Stasowa:

Stasow nazwał Żytiela pluskwą; ale za cóż, za co Żytiel zwymyślał Antokolskiego? Przecież to nie krytyka, nie poglądy, tylko nienawiść, niepohamowana zwierzęca złość.

I w parę tygodni potem (4 kwietnia) pisze do brata Aleksandra:

Moje przekonania oddalają mnie od Żytiela i Ski o 7375 wiorst. Jako publicyści są dla mnie wprost obrzydliwi, mówiłem ci już o tym niejednokrotnie.

Do zerwania przyjaźni z Suworinem dochodzi, wbrew twierdzeniu Mackiewicza, w roku 1898, właśnie w związku ze sprawą Dreyfusa, na co niżej przytoczę dowody.

To nieprawda — pisze Mackiewicz — że zerwał ze starym Suworinem na tle sprawy Dreyfusa. Przede wszystkim wcale nie zerwał, bo wymienia najserdeczniejsze listy z Suworinem aż do samej śmierci... Prawdą jest, że na sprawę Dreyfusa Czechow patrzał inaczej niż *Nowoje Wriemia*, które solidaryzowało się w tej kwestii z opinią francuskiego korpusu oficerskiego... W sprawie Dreyfusa po jednej stronie stał francuski sztab generalny, po drugiej finansjera żydowska.

Pisze się to w sześćdziesiąt lat po procesie, który przez parę lat wstrząsał sumieniem świata — po opublikowaniu niezaprzeczalnych dowodów na to, że proces był sfałszowany przez sztab generalny, po tryumfalnej rehabilitacji Dreyfusa w roku 1906 i udekorowaniu go Legią Honorową!

Dziś jest powszechnie wiadomo, że nie była to sprawa pomiędzy „francuskim sztabem generalnym a finansjerą żydowską", tylko — pomiędzy uczciwymi, światłymi ludźmi na całym świecie a Ciemnogrodem międzynarodowym. Nie wiedzą o tym tylko w Pipidówce i to jedynie ludzie, których nic poza Pipidówką nie obchodzi. Suworin oczywiście znalazł się w Ciemnogrodzie, Czechow zaś po stronie Dreyfusa i Zoli, który wystąpił wówczas ze słynnym listem protestacyjnym: *Oskarżam!*

Czechow — ciągnie Mackiewicz — lubił i szanował wojskowych, natomiast przez całe życie był uczuciowym antysemitą, ujawniając to od czasu do czasu w swej twórczości, chociażby w noweli *Tina*. Jego dreyfusjada nie miała głębszych podkładów. Prawda wreszcie, że w liście do jednego ze swych braci wspomina, że

sprawa Dreyfusa odbiła się ujemnie na jego stosunku do Suworina, ale Czechow często pisze nieprawdę w swoich listach.

Oczywiście najłatwiej jest pomawiać innych o proceder, który samemu uprawia się w swoich pracach.

Oddajmy głos Czechowowi. Pisze z Nicei do pani Chotiaincew 2 lutego 1898:

Pyta mnie Pani, czy ja nadal utrzymuję, że Zola ma rację. Ja zaś pytam: czy Pani tak źle o mnie sądzi, że mogła zwątpić na chwilę, iż jestem po stronie Zoli?

Tu wszyscy pochłonięci są sprawą Dreyfusa i Zoli — czytamy w liście do Batiuszkowa z 23 stycznia. — Olbrzymia większość inteligencji jest po stronie Zoli i wierzy w niewinność Dreyfusa. Od protestacyjnych listów Zoli powiało jakby odświeżającym wiatrem i każdy Francuz poczuł, że — chwała Bogu — jest jeszcze sprawiedliwość na świecie, że jeśli sąd skaże niewinnego człowieka, znajdzie się ktoś, kto wystąpi w jego obronie. Francuskie gazety są nad wyraz interesujące, natomiast rosyjska prasa do chrzanu. *Nowoje Wriemia* zachowuje się wprost obrzydliwie.

I do Suworina 3 lutego:

Pisze Pan, że Zola Pana irytuje, tu zaś wszyscy poczuli się tak, jak gdyby narodził się nowy Zola, lepszy, który w tym swoim procesie oczyścił się, niczym w terpentynie, z przypadkowych naleciałości i teraz ukazał się Francuzom w prawdziwej glorii... Rzeczą najlepszych, przodujących ludzi narodu było uderzyć na alarm — tak też się stało... Owszem, Zola nie jest Wolterem, zresztą nikt z nas nie jest Wolterem, ale zdarzają się w życiu okoliczności, kiedy wypominanie nam tego, że nie jesteśmy Wolterami, jest jak najmniej stosowne.

Sprawą Dreyfusa przejmuje się Czechow tak mocno, że pisze o niej w wielu listach, których z braku miejsca nie mogę przytoczyć. Myślę, że tych paru cytatów wystarczy, żeby osądzić, czy „dreyfusjada Czechowa nie miała głębszych podkładów" i czy rzeczywiście „pisze nieprawdę" w tym oto liście do brata Aleksandra z 23 lutego:

W sprawie Zoli *Nowoje Wriemia* zachowało się wręcz podle. Z tego powodu wymieniliśmy ze starcem listy (w tonie zresztą powściągliwym) i zamilkliśmy obaj. Nie chcę więcej pisać do niego i nie chcę jego listów, w których tłumaczy postępowanie swojej gazety tym, że on lubi wojskowych — nie chcę, bo od dawna mam tego wszystkiego dość. Ja też lubię wojskowych, ale gdybym miał własną gazetę, zabroniłbym różnym fircykom drukować w *Dodatku Literackim* powieści Zoli, i to bezpłatnie, a jednocześnie w gazecie wylewać na tegoż Zolę kubły pomyj, i za co? Za to, na co nie potrafi zdobyć się żaden fircyk: za szlachetny odruch i czystość serca.

Od tej pory korespondencja jego z Suworinem nie tylko gwałtownie się kurczy, ale, co ważniejsze, całkowicie zatraca dawny serdeczny charakter. Przekona się o tym każdy, kto porówna ilość i ton Czechowowskich listów do

„starca" sprzed i po roku 1898, kiedy pisze już rzadko i prawie wyłącznie w sprawach wydawniczych, w tonie poprawnej uprzejmości. Te listy jednak Mackiewicz określa jako „najserdeczniejsze".

Nawiasem mówiąc, stanowisko Czechowa w sprawie Dreyfusa, podobnie jak przedtem w sprawie Antokolskiego, wykazuje niedwuznacznie, ile podstaw ma rzucone mimochodem przez Mackiewicza twierdzenie, że Czechow był „uczuciowym antysemitą". Pomijając, że miał bliskich przyjaciół Żydów (bo, jak wiadomo, każdy antysemita może mieć „swojego" ulubionego Żyda), przypomnę tylko, że stworzył wzruszające sylwetki ubogich Żydów w *Stepie* i w *Skrzypcach Rotschilda*. Jeżeli *Tina* (*Grzęzawisko*), gdzie ukazał odpychającą postać lichwiarki-Żydówki, ma dowieść, że był antysemitą, to na podstawie wielu innych nowel, choćby *W parowie*, gdzie występuje znacznie obrzydliwszy lichwiarz i kułak, Cybukin, można by twierdzić, że był wprost zaciekłym rusożercą.

*

Przejdźmy do sprawy następnej, którą Mackiewicz relacjonuje w ten sposób:

Wiemy, że później po cichu wziął jego (Suworina) stronę w sprawie „literackiego sądu honorowego", że w listach do niego pochwala jego stanowisko i przesyła mu wyrazy otuchy, a ta sprawa, o której nie będę tu się rozpisywać, miała dla Rosjan o wiele bardziej zasadnicze znaczenie niz odległa sprawa kapitana francuskiego. Chodziło o strajk studentów i o stanowisko Suworina wobec tego strajku.

Wobec niespodziewanej małomówności autora musimy pokrótce choćby czytelników z tą sprawą zapoznać.

W lutym 1899 wybuchł ogólnorosyjski strajk akademicki, po którym nastąpiły ostre represje — wyrzucanie z uczelni, liczne areszty i zesłania. Suworin w swojej stałej rubryce *Małe listy* poświęcił rozruchom parę listów, potępiając studentów i wynosząc pod niebiosa „wspaniałomyślność monarchy", który wyznaczył komisję specjalną dla zbadania przyczyn strajku. Felietony jego wywołały powszechne oburzenie. Związek Wzajemnej Pomocy Literatów Rosyjskich wezwał Suworina na sąd honorowy, na który ten się nie stawił, wysyłając tylko list wyjaśniający.

Czechow podczas rozruchów mieszkał w Jałcie. Śledził wypadki według relacji prasowych, domagał się dokładniejszych informacji od przyjaciół stołecznych. Pisze 18 marca do Orłowa:

Muza moja całkiem się rozkleiła, nic nie piszę... Nastrój paskudny wskutek listów, które dostaję od przyjaciół i znajomych... Otrzymuję dużo listów w związku z wypadkami studenckimi, od studentów i od dorosłych; nawet od Suworina dostałem trzy listy. Przychodzili do mnie wyrzuceni studenci. Moim zdaniem, dorośli, czyli ojcowie i władze, popełnili gruby błąd: zachowali się wobec studentów jak tureccy baszowie wobec młodoturków, a opinia publiczna tym razem bardzo wymownie dowiodła, że Rosja chwała Bogu już nie jest Turcją.

Suworin pisał do Czechowa, żeby wytłumaczyć się ze swych *Małych listów* i zdobyć aprobatę. Oto odpowiedź Czechowa z 4 marca:

Pana *Listy* o rozruchach nie zadowoliły opinii — i słusznie, bo nie wolno wypowiadać się w prasie o rozruchach, skoro nie wolno poruszać faktycznej strony tej sprawy. Państwo zabroniło Panu o tym pisać, zabrania mówić prawdę, to samowola — Pan zaś najspokojniej w świecie, przy okazji tej samowoli, rozwodzi się o prawach i prerogatywach państwa; to mi się jakoś nie mieści w głowie. Pan mówi o prawie państwa, ale nie rozumuje Pan z punktu widzenia prawa. Prawa i sprawiedliwość dla państwa powinny być takie same, jak dla każdej pełnoprawnej jednostki. Gdy państwo bezpodstawnie zabiera mi kawałek ziemi, zaskarżam je do sądu i ten ostatni przywraca mi moje prawo własności; czyż nie powinno być tak samo, gdy państwo bije mnie nahajką, czyż nie mogę, w razie gwałtu z jego strony, krzyczeć o pogwałceniu prawa? Pojęcie państwa powinno się opierać na ściśle określonych normach prawnych, w przeciwnym razie zamienia się ono w straszak, w dźwięk pusty.

Trudno, zdaje się, o bardziej klarowne sformułowanie swoich poglądów — ale w języku Mackiewicza to się nazywa „pochwałą stanowiska Suworina". Tyleż prawdy jest w tym, że „po cichu wziął jego stronę w sprawie sądu honorowego". Czechow z zasady był przeciwnikiem sądów honorowych w środowiskach artystycznych, o czym pisze do Awiłowej 27. IV. tegoż roku:

Och, gdyby Pani wiedziała, jak nie do przyjęcia jest dla mojej świadomości, dla mojej godności literata owa instytucja — sąd honorowy! Czyż naszą rzeczą jest sądzić? Przecież to zajęcie dla żandarmów, dla policjantów, dla urzędników, których los do tego przeznaczył. Naszą rzeczą jest pisać, tylko pisać. Jeżeli walczyć, oburzać się, sądzić — to tylko piórem.

A oto jak wygląda list do samego Suworina z 24 kwietnia 1899, w którym Czechow „po cichu wziął jego stronę w sprawie sądu honorowego i pochwalał jego stanowisko":

Sąd honorowy wśród literatów, którzy nie stanowią jakiejś osobnej korporacji, jak na przykład oficerowie czy adwokaci, to bzdura, czysty nonsens. W kraju azjatyckim, gdzie nie ma wolności prasy i wolności sumienia, gdzie rząd oraz 9/10 społeczeństwa traktują publicystę jak wroga, gdzie ludzie czują się tak skrępowani, żyją tak marnie i tak mało mają nadziei na lepsze czasy — takie zabawy, jak obrzucanie się błotem nawzajem, sądy honorowe itp. stawiają ludzi pióra w żałosnej i śmiesznej sytuacji małych zwierzaków, które, zamknięte w klatce, odgryzają sobie nawzajem ogony. A nawet jeżeli zgodzimy się z punktem widzenia Związku, który uważa sąd honorowy za właściwy, to czegóż ten Związek chce? Czego? Sądzić Pana za to, że Pan w prasie, zupełnie jawnie, wypowiedział swoją opinię (choćby była nie wiem jaka) — przecież to rzecz ryzykowna, to zakrawa na ograniczanie wolności słowa, to krok ku temu, żeby uczynić sytuację publicysty zupełnie nieznośną... Pana *Listy* mogą być powodem do ostrej polemiki, do demonstracji protestu, do piętnujących Pana listów — owszem, ale bynajmniej nie do sądu...

I dalej, wyliczając w formie grzecznej, ale dosadnej zarzuty, jakie społeczeństwo gromadzi od dłuższego czasu pod adresem Suworina i jego gazety (kampania antydreyfusowska, denuncjacje na zamknięte gazety, które zaczęły wychodzić pod innym tytułem, jawne fałszerstwa, wysługiwanie się rządowi itd.), zarzuty, które „urosły w lawinę", Czechow kończy:

Tymczasem punkty oskarżenia ani słowem nie wspomniały o tej „lawinie", chociaż to właśnie za nią zamierza się pociągnąć Pana do odpowiedzialności, i taka nieszczerość jest dla mnie bardzo przykra.

Ten list, zdaniem Mackiewicza, miał Suworinowi „dodać otuchy".

Wreszcie — kwestia stosunków Czechowa z Gorkim. Zbyt szeroko znana jest przyjaźń obu pisarzy, żeby Mackiewicz mógł ją negować. Ale — próbuje przynajmniej rzucić w nią grudką błota. W tym celu wykorzystuje wspomnienia literata Sieriebrowa (którego, pewnie przez roztargnienie, z uporem mianuje Sieriebriakowem). On, który twierdzi, że „Czechow był złym krytykiem rzeczy własnych i cudzych", tym razem skwapliwie podaje jego negatywne sądy o Gorkim, zapominając przytoczyć obok także wypowiedź pochlebną. Zapomina również zaznaczyć, że Czechow, wówczas śmiertelnie już chory, w dodatku zirytowany naiwną egzaltacją młodocianego postępowca Sieriebrowa, znajdował się w stanie szczególnego rozdrażnienia, które nadawało jego wypowiedziom dwoisty rezonans. Jak powiada autor wspomnień, „wszystko, co mówił, było dla mnie nowe i oszałamiające. Ale wyczuwało się, że sama paradoksalność jego sądów jest zamierzona. Zdawało się, że mówi niezupełnie to, co myśli — może z przekory wobec banałów, którymi go zasypywałem, a może dlatego, że był chory i nie w humorze...".

Przytoczę więc wypowiedź Czechowa o Gorkim nieco pełniej niż Mackiewicz i — we własnym przekładzie. Nie wątpię, że przekład Mackiewicza ma duże walory literackie, grzeszy jednak stanowczo brakiem ścisłości. *

Rozmowa zahaczyła o Gorkiego. Temat był łatwy: wiedziałem, że Czechow Gorkiego lubi i ceni wysoko, toteż nie poskąpiłem superlatywów autorowi *Zwiastuna burzy*. Wkrótce po prostu dławiłem się od nadmiaru wykrzykników.

— Przepraszam... nie rozumiem... — przerwał mi Czechow z niemiłą uprzejmością człowieka, któremu nadepnięto na nogę. — Nie rozumiem, czemu pan, jak zresztą cała nasza młodzież, durzy się w Gorkim? Owszem, człowiek utalentowany... Ot, wszystkim wam się podoba jego *Zwiastun burzy* i *Pieśń o sokole*. Ale przecież to jeszcze nie literatura, tylko wiązanki efektownych słówek... Wiem, pan mi powie: polityka! Ale gdzież tu polityka? „Naprzód bez lęku i zwątpienia!" — to jeszcze nie polityka. A dokąd iść naprzód — nie wiadomo?! Gdy się woła naprzód, trzeba wskazać cel, drogę, środki. Samym „szaleństwem odważnych" w polityce jeszcze nigdy się nic nie zdziałało.

Ze zdumienia poparzyłem się herbatą.

— „Morze się śmiało..." — ciągnął Czechow, kręcąc nerwowo sznurek od binokli. — Pan oczywiście się zachłystuje: cudownie! A przecież to tandeta, tania malowanka! Przeczyta pan: „morze się śmiało" — i się zatrzyma. Myśli pan —

* Czytelników, którzy by chcieli porównać tekst polski z oryginałem, odsyłam do wydania rosyjskiego: *Czechow we wspomnieniach jego współczesnych*. OGIZ, Moskwa 1947.

dlatego, że to takie dobre, artystyczne? Skądże! Pan się zatrzyma, bo nie zrozumie od razu, jak to — morze i nagle się śmieje? Morze się nie śmieje, nie płacze, ono szumi, lśni, pluska... Proszę zajrzeć do Tołstoja: słońce wschodzi, słońce zachodzi... ptaszki śpiewają... nic nie szlocha i nie śmieje się... I właśnie to jest najważniejsze: prostota...

Dotykał długimi palcami znajdujących się w pobliżu przedmiotów: popielniczki, spodeczka, dzbanuszka, i natychmiast, jakby się brzydząc, odsuwał je od siebie.

— Powołał się pan na *Fomę Gordiejewa*... i znów niefortunnie! Cała powieść jest zbudowana na linii prostej, trzyma się na jednym bohaterze, jak szaszłyk na rożnie. A wszystkie postacie mówią jednakowo, z niżniegorodzkim akcentem...* Powieści umiała pisać tylko szlachta... Do zbudowania powieści niezbędna jest doskonała znajomość praw symetrii i równowagi mas. Powieść to cały pałac, trzeba, żeby czytelnik czuł się w nim swobodnie, żeby nie dziwił się i nie nudził, jak w muzeum. Czasem trzeba dać mu odpocząć zarówno od bohatera, jak od autora. Do tego dobry jest pejzaż, coś zabawnego, jakiś nowy wątek, nowe postacie... Ileż razy mówiłem to Gorkiemu, ale on nie słucha... *Gordyj on, a nie Gorkij* (czyli: jest Hardy, nie Gorzki).

— Nieee! — z rozdrażnieniem machnął na mnie ręką, jakby się opędzając od dymu papierosa. — Wcale nie to pan ceni w Gorkim, co trzeba. A Gorki istotnie ma rzeczy przepiękne. Choćby — *Na tratwach*. Pamięta pan? Ludzie płyną Wołgą... noc... mgła... Śliczne opowiadanie! W całej naszej literaturze znam tylko jedno równie piękne: *Tamań* Lermontowa...

Czechow niejednokrotnie w rozmowach i w listach wypominał Gorkiemu zbyteczną ornamentację stylu. Wiadomo, że na tym, między innymi, polega prawdziwa przyjaźń — na szczerej krytyce wad.

Główne jednak uderzenie w Czechowa, w związku z Gorkim, Mackiewicz kieruje w inną stronę, relacjonując „jego rozreklamowane wystąpienie w obronie Gorkiego".

Sprawa wyglądała jak następuje. W roku 1900 Akademia Nauk zaliczyła w poczet honorowych członków Tołstoja, Czechowa i Korolenkę. W roku 1901 tenże zaszczyt spotkał Gorkiego, ku oburzeniu sfer rządowych. Na raporcie o wyborze Gorkiego Mikołaj II napisał: „Nader oryginalne!". Pod naciskiem władz Akademia wycofała tę swoją „nader oryginalną" decyzję. Na znak protestu Korolenko i Czechow zrzekli się tytułu jej honorowych członków, co odbiło się głośnym echem w społeczeństwie rosyjskim. Czechow wysłał 25 sierpnia 1902 r. list o swojej rezygnacji z zaszczytnego tytułu na ręce przewodniczącego Wydziału Literatury Akademii, Wesołowskiego. W szufladzie pisarza został projekt listu (o treści identycznej) zaadresowany do prezesa Akademii, księcia Konstantego, napisany wcześniej, kiedy Czechow myślał, że tego wymaga przepisowy tryb sprawy (patrz *Dzieła wszystkie*, t. 19, ss. 324, 325 i 528).

Otóż Mackiewicz przede wszystkim popełnia drobną nieścisłość informując nas, iż w tej sprawie Czechow „napisał do wielkiego księcia list, bardzo grzeczny, tytułując go oczywiście »Waszą Cesarską Wysokością«, używając zwrotów »najpokorniej proszę« itd.". Złośliwość, trzeba powiedzieć, dosyć naiwna, bo każdy rozumie, że były to zwroty obowiązujące w korespondencji

* Gorki pochodził z Niżnego Nowgorodu i sam mówił z niżniegorodzkim akcentem.

urzędowej. Ale Mackiewicz nie gardzi i drobnymi ukąszeniami, gdy chodzi o kompromitowanie Czechowa w oczach czytelników. Przy czytaniu owego tekstu uderzają nas nie konwencjonalno-grzecznościowe zwroty, tylko swobodny, niezależny, pełen godności styl, jakiego mógłby Czechowowi pozazdrościć niejeden literat, któremu zdarzało się zwracać do członka rodziny królewskiej. Ale o tym fakcie od Mackiewicza się nie dowiemy.

Relacjonuje dalej:

W żadnym razie nie można tego listu z prośbą o dymisję uważać za czyn bohaterski. Wręcz przeciwnie, można go raczej uważać za akt oportunizmu. Przyjemna prośba o dymisję, przesłana wielkiemu księciu, nie mogła pociągnąć za sobą najmniejszej przykrości dla Czechowa. Odwrotnie natomiast, brak solidarności z Korolenką mógłby poważnie zaszkodzić materialnie... Jego wydawcami były teraz sfery lewicowo-liberalne, jego nowele drukowały teraz miesięczniki i tygodniki lewicowo-opozycyjne, jego sztuki grane były przez teatr Stanisławskiego, związany ze środowiskiem liberalnym czy też opozycyjnym. Gdyby Czechow odmówił (Korolence) i pozostał honorowym członkiem Akademii, mógłby się narazić na oburzenie sfer, które decydowały o tym, że go grano, czytano, ubóstwiano... Do typu ludzi o charakterze Dostojewski-Studnicki Czechow nie należał. Swój ugrzeczniony list w sprawie Gorkiego napisał bynajmniej nie dlatego, że z ducha był rewolucjonistą, lecz raczej dlatego, że był oportunistą. Był przede wszystkim drobnomieszczaninem.

Przede wszystkim — nikt nigdy nie kwalifikował wystąpienia Czechowa z Akademii jako „czynu bohaterskiego", jak też nikt nie nazywał go „rewolucjonistą". A że nie będąc rewolucjonistą i nie popełniając „czynów bohaterskich", przez samą swą twórczość przyczynił się do obudzenia świadomości społecznej w swoim kraju — tego dowodzi między innymi fakt, wspomniany przez Mackiewicza, że drukowała go prasa postępowa, wystawiały teatry postępowe, „czytano i ubóstwiano" w kołach postępowych. Widocznie dzieła jego, plastycznie obnażające amoralność i zwyrodnienie ustroju, zasilały myśl społeczną rewolucyjnym fermentem i dlatego właśnie postępowa część inteligencji tak chciwie sięgała po jego książki na progu rewolucji 1905 roku.

Jeżeli wierzyć Mackiewiczowi — Czechow, od *Kaprala Priszybiejewa* poczynając i na *Wiśniowym sadzie* kończąc, wytrwale „udawał postępowca", żeby dorobić się sławy i pieniędzy. A działo się to w Rosji carskiej, w sławetnej „epoce bezdziejów". Komentarz, jak się wydaje, jest tu zbyteczny.

■

Zapoznając czytelników z twórczością i z życiem prywatnym Czechowa, Mackiewicz pozostaje wierny tejże zasadzie: bliżej magla!

Cóż można powiedzieć o jego uwagach krytyczno-literackich? Po pierwsze, że zajmują najmniej miejsca w tym cyklu, po drugie, że są niesmaczne i płytkie. Oto próbki:

Czechow był człowiekiem ciągle chorym na dolegliwości wewnętrzne i na płuca. Wciąż go coś bolało. Z natury był bardzo wesoły i dlatego schemat jego twór-

czości, przedstawiony realistyczno-trywialnie, wygląda jak następuje: zaczyna opowiadać coś ze śmiechem i oto chwyta go kurcz boleści, i wesołość przeistacza się w skargę.

To znaczy: gdyby nie złe trawienie i gruźlica, nic by mu specjalnie nie dokuczało w ówczesnym ustroju i z obserwacji życia mógłby czerpać materiał na beztroskie humoreski, zamiast pisać *Chłopów* czy *Pojedynek*.

W dorobku pisarskim Czechowa odpowiada Mackiewiczowi prawie wyłącznie humorystyka, co oczywiście jest kwestią gustu. Można przepadać za Straussem i nie znosić Szopena czy Beethovena. Gorzej, że o „poważnych" utworach Czechowa krytyk wypowiada się tonem znawcy, a sądy jego okrawają te utwory z wszelkiej treści społeczno-filozoficznej. *Sala nr 6* to dla niego tylko „współlekarskie, współliterackie studium człowieka stającego się z lekarza chorym umysłowo pacjentem w swoim własnym szpitalu". *Trzpiotka* to tylko spisany z natury tuzinkowy romans przyjaciela Czechowa, malarza Lewitana, z panią Kuwszynnikow. „Może dlatego — dodaje — że nowela jest oparta na wzorach, które Czechow miał przed oczami, zachwyca swoją plastyką."

Bo, jak dowiadujemy się, „Czechow nie miał takiej wyobraźni, jak Sienkiewicz. Nosił zawsze ze sobą notes i wciąż w nim zapisywał zdania oryginalniejsze, które posłyszał, myśli i myślątka, które mogły mu się przydać w pracy literackiej. Pracował w pocie czoła".

Widocznie wyobraźnia i rzetelna praca wzajemnie się wykluczają. W takim razie należałoby życzyć niektórym krytykom, żeby mniej polegali na wyobraźni, więcej na pracy.

Rozważania nad twórczością Czechowa prowadzą Mackiewicza do głębokiej konkluzji:

Brak wielkiej, zaciekłej, głupiej pasji życiowej, oto słabość Czechowa. Wiemy już, że Czechowa nie pociągała polityka... w jego życiu nie ma także żadnej wielkiej miłości do kobiety... Widać uciążliwe niedomagania osłabiły pisarza i pod tym względem.

I nieco dalej powtarza z naciskiem:

Nie spotkałem się z żadną wielką miłością tego pisarza. I sądzę, że właśnie dlatego skrzydła mu opadły.

Bo, według oceny naszego krytyka, prawie wszystko, co powstało w twórczości Czechowa po jego powrocie z Sachalinu, było upadkiem.

By dowieść, że Czechow był nie tylko „erotycznie chłodny", lecz w dodatku odrzucał oferty miłosne w sposób chamski, Mackiewicz posłużył się wspomnieniami literatki Awiłowej, które spreparował właściwą sobie metodą. Awiłowa opisuje historię wzajemnej miłości między nią a Czechowem. Rozdzieliło ich to, że ona nie zdobyła się na porzucenie męża i dzieci, uczucie zaś obojga było zbyt głębokie, żeby w rachubę mógł wchodzić lekki romans. Pewnego dnia posłała mu a n o n i m o w o brelok z cyframi, które oznaczały cytat z noweli Czechowa: „Jeśli kiedyś będzie ci potrzebne moje życie — przyjdź i weź je". (Epizod ten odtworzył pisarz w *Mewie*.) Spotkawszy później Awiłową na balu

askowym, oznajmił, że odpowie jej ze sceny na premierze *Mewy* — chciał okazać, że ją poznał pod maską i że zgadł, kto ofiarował mu ów brelok. Mackiewicz oczywiście opuszcza wszystkie „niuanse". W jego relacji brelok wiłowej oznacza po prostu ofertę. Streszcza dalej:

Istotnie w *Czajce* Trigorin opowiada (?), że dostał brelok z wyrytymi: „Str. 121, iersze 11 i 12"... Zaraz po przedstawieniu w domu chwyta książkę i szuka... iestety, w tym miejscu nielitościwy tekst głosi co następuje: M ł o d e d u r y i e p o w i n n y ł a z i ć p o m a s k a r a d a c h.

Jakżeż przydatną rzeczą jest dla tłumacza „retusz"! Bo oto jak zdanie to rzmi naprawdę: „Młodym panienkom nie wypada jeździć na maskarady".* I tak jest ciągle: Mackiewicz zaczyna od uwagi krytyczno-literackiej, żeby jechać na plotkę. „*Bez dogmatu* — pisze — zrobiło na nim duże wrażenie, czkolwiek tego się wypierał." Skąd wniosek, że „się wypierał"? Zajrzyjmy o odnośnej wypowiedzi Czechowa (list do Ławrowa z 13 listopada 1893):

Przeczytałem *Bez dogmatu* z wielką przyjemnością. Powieść mądra i ciekawa, hoć zawiera mnóstwo medytacji, powoływań się na *Hamleta* i Empedoklesa, owtórzeń i podkreśleń, tak że czasem czytelnik się nudzi, jak przy długim emacie. Dużo kokieterii, mało prostoty. A jednak to rzecz ładna, ciepła i barwna przy czytaniu ma się chęć ożenić z Anielką i zjeść śniadanie w Płoszowie.

Mackiewicz cytuje tylko ostatnie zdanie, żeby je skomentować:

Wątpię jednak, czy Czechow zrobiłby dodatnie wrażenie w Płoszowie. Jego wanow, jego dziesięć lat później wujaszek Wania to trochę Płoszowscy, tylko e Płoszowski w porównaniu z nimi to bardzo wielki pan, Europejczyk, panujący ad swoimi odruchami, wykształcony i wysubtelniony, a Iwanow czy wujaszek Wania to chamy z uniwersyteckim wykształceniem, histerycy śmierdzący karczmą domem obłąkanych. Nawet nasze niedźwiedzie ze smorgońskiej akademii były od nich delikatniejsze w manierach.

Poznajemy pióro autora *Londyniszcza*, jego wielkopańską pogardę dla nnych narodów, która tak często rekompensuje kompleks niższości. Ale chwileczkę — czytelnikowi mąci się w głowie: kto właściwie wybierał się do Płoszowa, Czechow czy wujaszek Wania? Lecz właśnie o ten zamęt autorowi chodziło, bo w ten sposób Czechow po społu ze swymi bohaterami wychodzi na chama i histeryka. Ile zaś prawdy jest w charakterystyce tych postaci, oceni każdy czytelnik, który widział lub czytał Czechowowskie dramaty.

Ale, skoro jesteśmy przy Sienkiewiczu, przytoczę jeszcze jedną wypowiedź Czechowa o polskim pisarzu. *Listy z Afryki* bardzo mu się podobały, natomiast o *Rodzinie Połanieckich* pisze z niesmakiem:

Szczęścia rodzinnego i medytacji o miłości co niemiara, żona zaś bohatera jest do tego stopnia wierna mężowi, tak bardzo subtelnie pojmuje „sercem" Boga

* *Czechow we wspomnieniach jego współczesnych*, str. 365.

i życie, że w końcu człowiek ma dość tej ckliwości i czuje się zażenowany, jak po śliniącym pocałunku... Każda kartka jest upstrzona Rubensem, Borghèse, Botticellim, Correggio — a wszystko po to, żeby popisać się przed mieszczańskim czytelnikiem swoją erudycją i kichnąć z ukrycia na materializm. Cel powieści: ukołysać burżuazję w jej złotych snach. Bądź wierny żonie, odprawiaj wraz z nią modły, zgarniaj pieniądze, kochaj sport — a sprawa twoja załatwiona na tym i na tamtym świecie. Burżuazja bardzo lubi tak zwane „pozytywne" typy i powieści ze szczęśliwym zakończeniem, bo ją uspokajają na duchu, że można i kapitalik zaokrąglić, i niewinność zachować, być dziką bestią i jednocześnie szczęśliwym człowiekiem. (List do Suworina z 13 kwietnia 1895.)

„Czechow był złym krytykiem", „Czechow czytał bardzo mało", Czechow, mimo usiłowań Suworina, który chciał go zapoznać z kulturą europejską, „nie był uczniem pojętnym, może zrobił pewne postępy w dziedzinie kuchni, o wiele mniejsze w zrozumieniu Leonarda da Vinci" — oto ciekawe, aczkolwiek wyssane z palca spostrzeżenia naszego krytyka, który na wstępie oświadcza, że Czechow jest jego ulubionym pisarzem.

Czy można z tego gatunku krytyką polemizować? Najlepiej prostuje ją czytanie samego Czechowa, które dla człowieka o niewypaczonej wrażliwości jest zajęciem porywającym i niezwykle wzbogacającym duchowo. Co potrafimy wydobyć dla siebie z dzieła artysty, zależy nie tylko od dzieła, lecz także od nas. „Najpiękniejsza kobieta nie może dać więcej, niż ma" — powiadają Francuzi. Ale najpiękniejszą kobietę można potraktować jak pospolitą dziwkę, jeżeli się jest Don Juanem za trzy grosze.

Na śmierć zanudziłabym czytelników, gdybym chciała prostować wszystkie „błędy i wypaczenia" Mackiewicza. Ograniczę się jeszcze do paru.

Bardzo interesują go sprawy pieniężne Czechowa. Zadaje sobie trud drobiazgowych obliczeń, żeby powiedzieć, że pisarz „od razu zaczyna zarabiać kilkaset rubli miesięcznie, więcej niż generał" — co jest oczywistą nieprawdą. Pierwsze pięć lat jego pisarstwa, kiedy studiował medycynę pisując jednocześnie miniaturki do pisemek humorystycznych, po 5 kopiejek od linijki, a miał przy tym na utrzymaniu rodziców i liczne rodzeństwo — były ustawicznym zmaganiem się z nędzą.

Musiał liczyć się z każdym rublem. Pisze 25 grudnia 1883 do swojego pracodawcy, Lejkina, prosząc o roczną ulgową prenumeratę pisma *Oskołki*:

Czy nie dałoby się rozłożyć tej sumy na raty? Trudno mi byłoby zapłacić od razu 25 rubli, natomiast jeżeli będzie się potrącać z moich honorariów po 5 rubli miesięcznie, ten wydatek nie zrobi spustoszenia w mojej kieszeni.

Na tle tych faktów nabiera szczególnej wymowy następna sugestia Mackiewicza:

Czechow jest zresztą skąpy... Pieniędzy nie rozrzuca. Matce na imieniny daje 10 rubli, ukochanej siostrze, Maszy, wyznacza jako pensję miesięczną 40 rubli.

Po ukończeniu studiów Czechow, mimo rosnącego powodzenia literackiego, nie porzuca medycyny. Każdego lata pracuje jako lekarz ziemstwa, leczy bezpłatnie chłopów, w roku 1892, podczas epidemii cholery, obsługuje 25 wsi. Medycyną, chociaż dorywczo, zajmuje się prawie do końca życia.

I znów — wnikliwa uwaga Mackiewicza:

Bardzo kochał swój zawód, ale zarobki literackie były wtedy o tyle większe od zarobków lekarza, że poświęcił swą żonę prawą, medycynę, jak mówił, dla żony nieprawej, literatury.

Stan zdrowia Czechowa wymagał stałego pobytu na wsi. Dopiero w roku 1892, już w pełni swej sławy pisarskiej, kupuje skromną posiadłość w Mielichowie, zadłużając się przy tym po uszy. W roku 1898, zmuszony z racji zaostrzającego się procesu płucnego do zamieszkania na Krymie, buduje willę w Jałcie, sprzedając później domek w Mielichowie. Żeby pokryć te nowe wydatki i zabezpieczyć rodzinę, Czechow, który jako lekarz rozumiał, że lata jego są policzone (zmarł w 1904 roku), zawiera w roku 1899 umowę z Adolfem Marksem, przekazując mu za 75 tysięcy rubli wyłączne prawo wydania swoich utworów już napisanych i przyszłych, z wyjątkiem pierwodruków w czasopismach. Tołstoj i inni starają się odwieść go od tej decyzji, uważając umowę za niekorzystną, ale — Czechow potrzebuje gotówki. Ma nóż na gardle.

W ciągu jednego roku Marks zarobił na tej transakcji setki tysięcy. Stowarzyszenie wydawnicze literatów „Znanije" zaproponowało Czechowowi, że zwróci Marksowi te 75 tysięcy, żeby pisarz mógł zawrzeć korzystniejszą umowę. Odmówił. Wówczas, w tajemnicy przed nim, grupa znanych literatów przygotowała list do Marksa, w którym m. in. czytamy:

Niedawno widzieliśmy wszyscy, że mały kraj, Polska, potrafi wykazać ducha wysokiego człowieczeństwa, hojnie obdarzając Henryka Sienkiewicza w jego roku jubileuszowym; czyż w olbrzymiej Rosji Czechow pozostanie skazany na łaskę lub niełaskę fortuny, która pozbawiła go praw niezaprzeczalnych?

Słuch o tym liście dotarł jednak do Czechowa, który stanowczo sprzeciwił się jego wysłaniu: „Jeżeli sprzedałem się za tanio — trudno, sam narobiłem głupstw, a za czyjeś głupstwa nie może odpowiadać Marks".

Umowę unieważniła dopiero rewolucja.

Cóż o tym Mackiewicz? Nie szczędząc wysiłków relacjonuje umowę z Marksem w najdrobniejszych szczegółach, podając bajońskie sumy, jakie miałby otrzymać Czechow w dwadzieścia lat po jej zawarciu (rozumie się, gdyby od kilkunastu lat nie leżał już w grobie), po czym powiada:

Można by pomyśleć, że układ z Marksem był dla niego bardzo korzystny. Ale potem Czechow go zerwał jako krzywdzący.

Krótko i efektownie. A że nieprawdziwie? Cóż, nie po raz pierwszy ani ostatni.

Ale czemu właściwie Czechowowskie zarobki pochłonęły tyle cennej uwagi

naszego krytyka? Zrozumiemy to może, gdy przeczytamy tę oto dygresję liryczną:

Można śmiało powiedzieć, że Czechow zarabiał dziennie tyle, ile zarabiał robotnik rolny w jego majątku przez dobre pół roku, jeśli nie więcej. Różnica z polskim pisarzem emigracyjnym dość znaczna. Ci nie mogą marzyć o zarobkach robotnika rolnego w kraju, w którym mieszkają.

Na zakończenie wyjaśnię jedno zabawne nieporozumienie.

Przygotowując do druku wydanie *Dzieł zebranych*, Czechow dokonał bardzo surowej selekcji. W stosunku do własnej twórczości był wymagający aż do przesady. Najwięcej ucierpiała przy tej autorskiej rewizji puścizna z lat pierwszych. Między innymi nie włączył do wydania wczesnej humoreski *Wesele z generałem*, przerobionej później na wodewil, podając natomiast do przedruku jej wersję sceniczną, *Wesele*. Nie zauważywszy tego, Mackiewicz wpada w oburzenie i woła wielkim głosem:

Czy uwierzycie, że owo *Wesele z generałem*, od którego zaczyna się (?) kształtowanie świadomości cudzoziemskiej o dawnej urzędniczej Rosji, owa słynna, wspaniała, ogólnie znana *Swad'ba z generałem* została wyrzucona przez Czechowa poza nawias, skazana na zapomnienie? To tak, jak gdyby Mickiewicz wyparł się *Pana Tadeusza*, a do druku przeznaczył swoje *Księgi pielgrzymstwa polskiego*..

Przedłużmy tę analogię i zapytajmy: co byśmy powiedzieli o krytyku, który studiując twórczość Mickiewicza nie zauważyłby, że *Pan Tadeusz* figuruje we wszystkich wydaniach jego *Dzieł zebranych*? Odpowiedzieć na to pytanie nie trudno, ale nie odbierajmy czytelnikom przyjemności własnego określenia podobnych przeoczeń.

Natalia Modzelewska

Andrzej Kijowski

PODRÓŻ, KTÓRA BYŁA I KTÓREJ NIE BYŁO

Pod koniec 1955 roku ruszyła z Polski w świat najdziwniejsza fala podróżników, jaką kiedykolwiek oglądały europejskie szlaki. Niczym wobec niej byli emigranci „za chlebem" do Brazylii i Kanady. Ich apatyczne gromady, stłoczone pod pokładami transoceanicznych statków, przepędzane przez agentów od biura do biura, od kwarantanny do domu noclegowego, były plagą przykrą, ale samą przez się zrozumiałą. Pod koniec roku 1955 w samolotach KLM, SAS i SABENA, w I klasie wagonów sypialnych T-wa Wagons Lits pojawiły się staruszki w wynędzniałych płaszczykach i podartych chustkach, z poniszczonymi torbami w rękach, ze starymi tekturowymi walizeczkami, obwiązanymi sznurkiem; spłakane stare gaździnki z koszykami jabłek, a także damy strojem i manierami przypominające podróże do „badów" z końcem zeszłego stulecia. Eleganckie stewardessy wytrzeszczały oczy, urzędnicy linii lotniczych wzruszali ramionami oglądając w rękach dziwnych pasażerów autentyczne bilety, których koszt w dolarach przekracza możliwości dobrze zarabiającego człowieka w najbogatszych krajach świata. To Polska Ludowa wysyłała swych staruszków w odwiedziny do dzieci. To polscy staruszkowie korzystali z dewizowego absurdu: 1 dolar = 4 złote. Wędrówka staruszek była ostatnim aktem wielkiej wędrówki Polaków przez Czerniowce i Kołymę, przez Węgry i Persję, przez Tobruk, Monte Cassino, Falaise i Arnheim do farm owczych w Australii i na brazylijskie plantacje kawy i bawełny. W ślad za staruszkami ruszyło wszystko: kolejki na Kruczej po paszporty były dłuższe niż w „Orbisie" po bilety lokalnych pociągów. 1 dolar = 4 złote i przejściowa łaskawość administracji uczyniła z Polaków na przeciąg roku chyba najbardziej podróżujący naród świata. Gdyby na ten temat nie powstała ani jedna powieść, świadczyłoby to o zupełnej ślepocie polskich pisarzy.

Powieść taką napisał Stanisław Dygat. Pewien skromny urzędnik w okresie powszechnych wędrówek przypomniał sobie, że ma we Włoszech brata. Postanowił więc napisać do niego list etc. Brat odpisał, zaprosił i nasz urzędnik, pan Henryk Szalaj, znalazł się w ciasnym korytarzu wagonu sypialnego I klasy T-wa Wagons Lits.

Tak powstała powieść. Oczywiście pod tytułem *Podróż*.

*

Henryk Szalaj przyjeżdża szczęśliwie do Rzymu. Brat — sławny reżyser — przyjmuje go serdecznie w swoim wspaniałym mieszkaniu i przedstawia swojej wspaniałej żonie — oczywiście znanej aktorce. Ale nie będzie rodzinnych wycieczek na Forum Romanum i do katakumb. Jana wzywają sprawy nie cierpiące zwłoki do Afryki. Wobec tego wynajmuje bratu luksusowy apartament w hotelu, wręcza pokaźną sumę na drobne wydatki i... pozostawia własnemu losowi.

Wszystko więc stało się tak, jak sobie tylko może wymarzyć skromny człowiek, któremu z dzieciństwa pozostała słabość snucia przed zaśnięciem dziwacznych marzeń. Ach, żebym miał np. sławnego brata... Żeby mnie ten np. sławny brat zaprosił np. do Włoch. Ale to by było krępujące, więc gdyby np. ważne sprawy nagle wezwały go np. do Afryki, żeby mi wynajął luksusowy apartament w hotelu, wręczył mi sumę np. 200 000 lirów na drobne wydatki i pozostawił własnemu losowi... Ach, żeby! I co by było?

Właśnie: powieść jest o tym, co by wtedy było. Najpierw kupiłbym sobie ubranie, płaszcz i kapelusz, jakiego nikt nie dostanie na żadnych ciuchach w Polsce (*nb.* obejrzyjcie sobie nowy, przywieziony z Włoch kapelusz Dygata. To wiele wyjaśni). Potem pojechałbym, oczywiście, do Neapolu. Łaziłbym po uliczkach, anonimowy wędrowiec, i słuchał tych tam neapolitańskich piosenek. Potem spotkałbym dziewczynę. Niechby to była dziewczyna uliczna, taka, która nie grozi żadną komplikacją uczuciową, żadnym dramatem. Pojechałbym z nią... Dokąd? Na Capri, oczywiście. Ale jakże tak — z dziwką? Ach, gdyby się okazała dowcipna, inteligentna, łakoma odnowy: zaproponowałbym jej inscenizację. Dałbym jej np. 10.000 lirów i niech przebierze się za śliczną, elegancką dziewczynę. Niech i ona spełni swoje przedsenne marzenie. Niech jedzie na Capri. Niech tam udaje śliczną, elegancką dziewczynę. Ja udam młodego człowieka szukającego przygód. Spotkamy się i... Właśnie, powieść jest o tym, co z tego może wyniknąć.

Powieść jest o tym, że wszyscy marzą. O tym, że marzenia czasem spełniają się co do joty. O tym, że mogą one nawet spełnić się z nadwyżką. Bo dziewczyna tak dobrze zagrała swoją rolę, że Henryk Szalaj nie poznał w niej prostytutki z Neapolu. Zagrała dziewczynę z dobrego domu, która uciekła na Capri przeżyć przygodę. I której odpowiada ta dziwna rola: zastąpić skromnemu urzędnikowi z Polski prostytutkę z Neapolu, która po prostu zabrała 10.000 lirów i nie wzięła udziału w zabawie. Oczywiście, należało się tego spodziewać. Ale, okazuje się, wyszło inaczej: dziewczyna znika nagle, tuż przed osiągnięciem punktu kulminacyjnego. Henryk otrzymuje z powrotem swoje pieniądze, które będzie mógł wydać na prezent dla żony, i list, w którym nieapolitańska prostytutka wyraża nadzieję, że dobrze zagrała swoją rolę. Potem Henryk wraca do Polski, ponieważ upływa ważność wizy. I co? I nic. Powieść jest właściwie o tym, że marzenia mogą spełnić się co do joty, z nadwyżką, ale z tego nic nie wynika. Wszystko zostaje jak było. Wszystko stoi w miejscu. Wszelkie działanie, wszelka akcja, wszelki dramat — są pozorem.

*

Na stole leży paczuszka, którą trzeba wysłać. Jest to śliniaczek dla pewnego zaprzyjaźnionego noworodka. Tę paczuszkę przekłada się z miejsca na miejsce i powtarza się często, że trzeba ją wysłać. Wreszcie wysyła się ją. Po pewnym czasie zjawia się starszy pan z długą brodą i serdecznie dziękuje za upominek. Paczuszkę wysyłało się kilkadziesiąt lat (Śliniaczek ze *Słotnych wieczorów* Dygata). Na dziedzińcu koszar Straży Pożarnej leżą w błocie rekruci. Leżą i leżą. Kapral zaklina ich, żeby wstali, boi się krzyknąć na nich, żeby ich nie urazić, a oni leżą, leżą i „jakieś im się słysy granie" *(Idiotki i kapral straży pożarnej)*. Tych rekrutów już znamy. Oczywiście nie z *Wesela*, ale z *Jeziora Bodeńskiego*. Bohater tej powieści podejmie tradycyjny, heroiczny wątek historii i literatury narodowej: ucieknie z więzienia, żeby zorganizować legion. Ale wróci z połowy drogi. Nie zorganizuje legionu. Nie żeby się bał. Nie może, bo musi nie móc, bo Kordian nie mógł i Jasiek z *Wesela* nie mógł, i wszyscy inni, którzy tworzą tę naszą duszę zbiorową, także nie mogli.

To Gombrowicz w *Ferdydurke* wymyślił niemożność, a w *Trans-Atlantyku* ułożył emigrantów w wielką kupę, posczepiał ich ostrogami i po wieki unieruchomił. Ale nie Gombrowicz pierwszy ułożył ów dramat niemocy: jest on najbardziej tradycyjnym wątkiem polskiej literatury. Kordian miotany widmami strachu i imaginacji u drzwi do komnaty Cara, Wokulski opętany absurdalnymi snobizmami, goście bronowickiego wesela zastygli wśród dźwięków Chochołowego grania i Konrad z *Wyzwolenia* dręczony przez maski, Cezary Baryka grzęznący w złych urokach Nawłoci... Literatura polska lubi ten wątek. W naszym kraju — jak wiadomo — rzadko coś się kiedy udaje do końca. Może tu winien charakter narodu, może jego sytuacja historyczna — może pierwsze jest drugim i na odwrót. Dość na tym, że literatura wystawia narodowi polskiemu wariackie papiery, wprawiając swych bohaterów w owe stany kataleptyczne. Zbiorowa i pojedyncza katalepsja, owe strachy i imaginacje, nadmiary uczuć i myśli, owe „płoszowszczyzny", Nawłocie, owe chochołowe grania — to ceremoniał przeniesienia niemożności obiektywnej w niemożność subiektywną. Wiadomo, że powstania polskie nie udawały się nie dlatego, że powstańcy mieli zbyt przepastne dusze, ale dlatego, że zbyt skomplikowana i trudna była sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna. Do fatalizmu trzeba dojrzeć — nie łatwo go osiągnąć. Tragedia jest najtrudniejszą sztuką.

Jezioro Bodeńskie jest drwiącą hiperbolą umiłowanego wątku polskiej literatury, który stał się naszą obsesjonalną legendą. Hiperbolą taką jest także w pewnej mierze *Ferdydurke* a najbardziej *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Jednakże problematyka Gombrowicza poszła w innym kierunku — pisarz ten odkrywa mechanizm powstawania mitów i form życia zbiorowego. Dygat zaś ową katalepsję przełożył na język psychologii indywidualnej i podniósł ją do rangi formuły egzystencjalnej. Wszelkie działanie jest dla niego pozorne, w każdej sferze: w sferze intelektualnej, uczuciowej, politycznej. Pobudki czynów i zachowań ludzkich są irracjonalne: to nawyki, to nacisk tradycji, to konwenans i strach. Właściwym stanem człowieka jest bezruch. Bohaterowie Dygata raz po raz zastygają w stanach katalepsji: leży paczuszka na stole, leżą rekruci w trawie, stoi człowiek przy oknie i patrzy, patrzy... Człowiek przy oknie to Marian z *Dalekich podróży* (p. *Słotne wieczory*).

Przedzierzgnie się on niebawem w Henryka z *Podróży* i na temat stania w oknie wygłosi całą teorię:

„Stanie w oknie, wystawanie przy oknie z rękami założonymi z tyłu, to w pewnym wieku i na pewnym etapie życiowym cała poważna, a bardzo ponura instytucja... Człowiek stojący w oknie... nie myśli nigdy o tym, co jest złego i niewłaściwego w jego obecnym życiu... z jakąś rozkoszną udręką naprawia w myślach to, co naprawić się już nie da, zmienia decyzje, cofa stanowcze kroki... Jest to stan bardzo późny i alarmujący, może nawet nie alarmujący, bo i na alarm za późno, kiedy terenem marzeń staje się nie przyszłość, ale teraźniejszość, kiedy marzenia i niespełnione pragnienia splatają się w braterskim uścisku."

Właściwym stanem człowieka jest bezruch. Wszelki ruch i wszelkie działanie są pozorem, jak w dowodach mistrza Zenona z Elei. Była podróż do Włoch, 200 000 lirów, dziewczyna z Neapolu, maskarada na Capri — i jednocześnie nic nie było. Tak jakby człowiek stojący przy oknie z rękami w tył założonymi w ogóle nie ruszył się z miejsca.

Powstaje w ogóle pytanie, czy podróż Henryka do Włoch odbyła się naprawdę.

*

Otóż odbyła się. Ale nie dlatego, aby była potrzebna dla przeprowadzenia głównej sprawy powieści: że nic się nie dzieje. Gdyby tylko o to chodziło, gdyby Dygat miał tylko ten jeden temat — temat katalepsji, sprawa mogłaby zostać zupełnie nierozstrzygnięta. Mogłoby się okazać, że całą podróż odbył Henryk Szalaj pomiędzy namydleniem twarzy a zeskrobaniem mydła żyletką.

Podróż odbyła się, ponieważ Dygat ma swój drugi temat: temat ucieczki.

Dygat ma obsesję światów sztywnych. Uwielbia każdą rzeczywistość sformalizowaną, uwielbia je, aby od nich uciekać. Uwielbiał w *Jeziorze Bodeńskim* gimnazjalną, polonistyczną polskość, która umożliwiła mu uroczyste wyzwoliny. Uwielbiał w *Pożegnaniach* mieszczańskość: kanapy, ciotki, plusze. Zorganizował swemu bohaterowi ucieczkę do Podkowy Leśnej, przygodę z dziewczyną uliczną. Nie pierwszy więc raz podróż i uliczna dziewczyna przynoszą bohaterowi Dygata wyzwolenie.

Ale od czego? Otóż tu zaczynają się niekonsekwencje. Pomysł jest znany — oto jego elementy: świat skromnych urzędników, świat szarych ludzi w sztruksowych marynarkach i butach WSS, zwisających co rano ze stopni tramwajów, odsiadujących potem tysiączłotowe etaty w licznych biurach wielkiej biurokratycznej machiny ludowego państwa, pędzących po godzinie szesnastej do „Delikatesów" po chłodnicze jajka i „eksportowe" masło. Nagła łaska losu i państwa, 1 dolar = 4 złote, zaproszenie brata — i miesiąc bajki w Rzymie i Neapolu.

Z tego powstała powieść Dygata. Ale do tego dołączyły się inne sprawy. Otóż Henryk Szalaj nie jest zwykłym urzędnikiem. Ma za sobą przeszłość mieszczańską — przeszłość pluszowo-kanapową. Więc świat urzędniczej hierarchii nie jest dla niego światem jedynym, jak dla bohaterów Gogola czy Dostojewskiego. Szalaj jest trochę zdeklasowany — podróż do Włoch trochę mu się n a l e ż y, jest on do niej przysposobiony. I przygoda z dziewczyną

także nie jest kolorowym, infantylnym snem urzędnika: przed szarą Wiktorią była przecież wspaniała, namiętna malarka Ola. Dygat idzie za głęboko w biografię Henryka. Załatwia przy sposobności trochę inne sprawy — do opowieści o przygodzie urzędnika dopisuje psychologiczną powieść: o rozsypywaniu się mieszczańskiego ładu, o nieudałym wtajemniczeniu erotycznym. Te partie powieści wydają mi się nazbyt rozbudowane. Dygat nie czuje urzędniczego świata. Nie wie, jak wspaniałego bohatera mógł do swojej *Podróży* zdobyć, gdyby zdjął jednego z panów w długim paltocie, wiszącego na stopniach osiemnastki. Jego spojrzenie na świat urzędniczy jest teoretyczne. Przyznaje się zresztą do niekompetencji, kiedy oddziela bohatera od narratora: narrator jest kimś lepszym, literatem, „wolnym zawodem", kimś, kto na urzędnika napotkanego w wagonie restauracyjnym patrzy z pobłażaniem i litością. Co więcej: ów urzędnik okazuje się kimś dosyć bliskim narratorowi, krewnym wielkiego reżysera, niedokończonym artystą, trochę zdeklasowym inteligentem. Powieść przez to traci swoją baśniową ostrość, swoją niezwykłość — staje się zbyt psychologiczna, ma zbyt zawiłego bohatera, zbyt rozbudowanego wewnętrznie.

Jest w literaturze polskiej powieść, która mogłaby być dla Dygata znakomitym wzorem. To *Marzyciel* Władysława Reymonta. Przedziwnie perwersyjny był ten nasz pozornie krzepki klasyk. Obok wspaniałej *Komediantki*, z niezapomnianą postacią naczelnika stacji, cierpiącego na rozdwojenie jaźni, napisał Reymont powieść o kasjerze kolejowym, który żyje wyłącznie marzeniem o wielkiej podróży. Cały swój zarobek obraca na kupno wspaniałych, luksusowych bagaży, na wytworny ekwipunek, na Baedeckery i plany miast, na prospekty hoteli i uzdrowisk. Gromadzi to wszystko w ubogiej izdebce, a sam tkwi w okienku kasowym maleńkiej stacyjki, przez którą codziennie przelatują z hukiem międzynarodowe ekspresy. Wreszcie pewnego dnia kasjer defrauduje pieniądze i przemieniony w wytwornego podróżnika puszcza się w drogę...

Jest u Reymonta ostrość rzeczywistości urzędniczej, jakiej brak mi trochę u Dygata. Jest ostrość, jaką autorowi *Marzyciela* podyktowało osobiste, bolesne doświadczenie — doświadczenie, którego nie dostaje Dygatowi. Jego „urzędnik" jest kategorią teoretyczną, umowną — potraktowaną trochę satyrycznie.

Dygatowi naprawdę nie chodzi o urzędnika. Nie chodzi o ucieczkę przed hierarchią, przed dyscypliną pracy, przed sprawozdawczością, przed masówką i prasówką, przed szefem, sekretarzem, gazetką ścienną i długiem w Kasie Zapomogowo-Pożyczkowej. Dygat nie zna tego świata, tak jak znał świat urzędników kolejowych Reymont, tak jak świat urzędniczy poznał Kafka. „Urzędnik" jest dla Dygata trochę abstrakcyjną kategorią psychologiczną. Jest to pustka, beztalencie, nieudałe życie.

*

Ale podróż Henryka Szalaja rzeczywiście się odbyła i przyniosła nam coś bardzo miłego: rzeczywistą fabułę. Fabułę, która nie jest pretekstem do niczego, fabułę, która nie jest obojętna z punktu widzenia głębszych znaczeń. Fabuła *Podróży* jest ważna sama przez się. Cała historia polega na

tym, że pewien urzędnik pojechał do Włoch, tam spotkał dziewczynę, dziewczyna okazała się etc. Cała historia polega na tym, że to i to się zdarzyło. Albo że się wcale nie zdarzyło. Czy się zdarzyło, czy nie — to właśnie, co się zdarzyć miało, jest przedmiotem naszej uwagi. Ale odbudowa anegdoty nie oznacza bynajmniej cofnięcia się do klasycznych reguł powieściowych. Anegdota jest tu czymś nowym: mówiliśmy, że jest banalna i melodramatyczna, naiwna i przyjemna jak marzenie przedsenne. Jest absurdalna w swojej prostocie, jak te gładziutkie, kosmetyczne portrety kobiet, które są elementem niektórych współczesnych obrazów nadrealistycznych. Otóż właśnie: w gruncie rzeczy atmosfera *Podróży* jest nadrealistyczna. Ale jest to wyższy stopień wtajemniczenia nadrealistycznego, kiedy to tworzywem absurdu jest sama rzeczywistość, w nienaruszonych proporcjach, w nieprzekrzywionych zarysach. Oczywiście, nie zawsze i nie wszędzie jest to możliwe. Ale u nas tak. Przypominam: jakoś pod koniec 1955 roku ruszyła z Polski w świat najdziwniejsza fala podróżników, jaką kiedykolwiek oglądały europejskie szlaki...

Andrzej Kijowski

ŁÓDZKA TEKA POETYCKA

Włodzimierz Słobodnik: *Podróże wyimaginowane.* Wydawnictwo Łódzkie. „Biblioteka Poetów". Łódź 1957; str. 38.
Jan Huszcza: *Miłości dzień powszedni.* Wydawnictwo Łódzkie. „Biblioteka Poetów". Łódź 1957; str. 31.
Jarosław Marek Rymkiewicz: *Konwencje.* Wydawnictwo Łódzkie. „Biblioteka Poetów". Łódź 1957; str. 29.
Zbigniew Kosiński: *Port egzotyczny;* Wydawnictwo Łódzkie. „Biblioteka Poetów". Łódź 1957; str. 30.

Ładnym i pomysłowym wydawnictwem jest „Biblioteka Poetów" wydawana w Łodzi. Wyszła pierwsza seria tej Biblioteki, składająca się z 9 małych, dwuarkuszowych tomików, mieszczących się w jednej tece. Wydawnictwo Łódzkie zapowiada dalszą serię takich poetyckich tomików. Łódź jest przecież miastem skupiającym dziś, po Warszawie i Krakowie, największe środowisko literackie, przeważnie poetów. Wiadomo zaś, że poeci najbardziej cierpią z powodu trudności wydania tomu wierszy, dalekich terminów sztywnego planu wydawniczego itd. Toteż możność wyjścia z małym tomikiem świeżych wierszy jest dla poety szczęśliwą okazją, ułatwiającą mu dalsze poszukiwania twórcze. Wiersze wydane w książce szybciej się obiektywizują i przyśpieszają jakby dalszy rozwój poety. Z drugiej strony czytelnicy poezji otrzymują w takiej tece lekturę ciekawą właśnie przez swoją różnorodność. Słusznie postąpił redaktor teki — Stanisław Czernik — dając duży wachlarz poetów o różnych poetykach, różnym wieku, różnych rodzajach poetyckich. Mamy tu poetów średniego pokolenia, jak Włodzimierz Słobodnik, Jan Huszcza, Leon Gomolicki, Antoni Kasprowicz, Horacy Safrin. Mamy spóźnione debiuty — Mirosława Ochockiego, który od lat drukuje wiersze w prasie literackiej, i Janusza Skoszkiewicza, wreszcie zupełnie nowe debiuty: młodziutkiego Jarosława Rymkiewicza i starszego odeń Zbigniewa Kosińskiego. Mamy poza tym lirykę, satyrę (Safrin) i próby epickie (Kasprowicz). Mamy poetykę tradycyjną, wiersz wolny i zupełnie nowe poszukiwania formalne. Jednym słowem — rozmaitość, która jest oznaką poetyckiej obfitości. Każdy tomik ma inną oprawę graficzną, opracowaną przez innego plastyka. I choć nie wszystkie tomiki są pod tym względem na równym poziomie, sam pomysł jest ciekawy. Tomik Kasprowicza niepotrzebnie może wyłamuje się z ogólnego stylu wydawnictwa.

Z pierwszej teki poetów łódzkich chciałabym omówić kilka najciekawszych dla mnie pozycji. Nie podejmuję się bowiem mówić o całości, szukać jakiejś wspólnej problematyki, co byłoby sztuczne i naciągane, jako że różnorodność właśnie jest mocną stroną samego przedsięwzięcia.

„PODRÓŻE WYIMAGINOWANE"

Taki jest tytuł tomiku Włodzimierza Słobodnika. Wielu poetom dzieje się od krytyków krzywda. Jednym z nich jest Włodzimierz Słobodnik. Jest to prawdziwy poeta żywiołowy, który poza poezją nie zna ważniejszych spraw życia. Poeta, który pisze tak, jak ptak śpiewa, a deszcz pada, w sposób natu-

ralny, niewymuszony, nie poświęcając zbyt wiele czasu na teoretyzowanie na temat sztuki poetyckiej. Jest zresztą świetnym tłumaczem poezji, więc sprawy kunsztu nie mogą być mu obce. Nurt główny poezji Słobodnika płynie lirycznym korytem, wyżłobionym przez muzy Słowackiego, Lenartowicza i Syrokomli. Jest to poezja o dużym ładunku emocjonalnym, władająca strofą pełną muzyczności. Świadectwem żywotności poezji Słobodnika jest poszukiwanie nowego kształtu poetyckiego. W nowym tomie zadziwia Słobodnik nowym widzeniem świata, świeżą wyobraźnią, lakoniczną i precyzyjną formą wolnego wiersza. Poeci przyzwyczajeni do tradycyjnej strofy, zapiętej na ostatnie rymy, nie zawsze umieją władać wierszem wolnym, który wymaga surowszych rygorów wewnętrznych, większej precyzji słowa niż w strofie biegnącej ku mechanicznym zamknięciom rymowym.

Podróże wyimaginowane są nie tylko podróżami wyobraźni po miejscach na mapie, ale też po obszarach kultury i obszarach ludzkiego serca. Od serca prostytutki i kobiety obierającej kartofle do serca i umysłu genialnego artysty — zdawałoby się rozciąga się wielki obszar, ale imaginacja jest potęgą, poezja przebywa ten obszar jednym drgnieniem serca. Ten współczujący, ludzki ton poezji jest, wbrew wszelkim grymasom pseudointelektualnym, tak zwykle cenionym przez krytyków, wyrazem osiągniętej mądrości, dojrzałości człowieka i poety, zwłaszcza gdy wyraża się nie w społecznikowskim moralizatorstwie, nie w deklaracjach humanizmu:

Kobieta obiera kartofle.
Będzie padał deszcz i zakwitnie tęcza,
a ona będzie obierała kartofle.
Sąsiad będzie ściskał przygodną kochankę,
a ona będzie obierała kartofle.
Grajek podwórzowy zagra na skrzypcach,
a ona będzie obierała kartofle.
Wszyscy dyktatorzy runą z piedestałów,
a ona będzie obierała kartofle.

Wiersz ten nie sugeruje żadnych wniosków, nie moralizuje. Przedstawia jeden, jakże powszechny los na tle dziejów ludzkich i historycznych. Zwięzłość tego wiersza jest dodatkową jego siłą, daje mu wyrazistość jakby inskrypcji.

Jestem aniołem prostytutek.
Gdy płaczą, niebo im otwieram.
Przywracam im dzieciństwo sielskie,
anielskie trawy i murawy.

. . . . . .

Mówicie, mędrcy, że mnie nie ma?
Czemuż naiwne te dziewczyny
modlą się do mnie, wierzą we mnie
i nieraz widzą w suterenach,
jak stoję w kącie najciemniejszym
bijąc skrzydłami w niski sufit?

Ta nowa dysputa poezji z „mędrca szkiełkiem i okiem" kończy się znowu zwycięstwem poezji. Rzekome racje zawodzą w zetknięciu z płynną i nigdy nie podlegającą logice materią życia. Zresztą najlepiej mówi o tym piękny wiersz o Mozarcie, któremu „za wszystkie ptaki i tęcze muzyki... za jowiszowe obłoki nut... za księżyce i gwiazdy muzyczne — ofiarowano głód i wspólny grób dla ubogich".

Wydaje mi się, że użycie wiersza wolnego nie było w wypadku Słobodnika hołdem złożonym modzie poetyckiej, ale konsekwentnym wyrazem rozbicia pewnego zakrzepłego kanonu odczuwania i opisywania. To jest ten największy krok, jaki może zrobić artysta. Przekroczyć własne osiągnięcie. Spojrzeć na świat nowymi oczyma, choć zdawało się, że ten świat już tak ładnie i posłusznie układa się w pewną melodię. Zburzyć ją i potargać, aby wydobyć ton nowy. Dokonał tego kroku Słobodnik w małym, ale ważkim dla siebie tomiku.

„MIŁOŚCI DZIEŃ POWSZEDNI"

Tytuł tomiku Jana Huszczy najdokładniej określa jego treść. Wiersze Jana Huszczy mówią o sprawach powszednich, troskach i pogodzie życia rodzinnego, o miłości, o dziecięcych odkryciach świata, o żelaznym piecyku, o śniegu, o turkocących wozach. Huszcza jest poetą wrażliwym na urodę świata. Za jego poezją snuje się urok prowincji, miasteczek, krajobrazu wiejskiego. Koloryt poetycki Huszczy jest rodzimy, konkretny, panuje w nim północny, śnieżny klimat. Zima i jesień trwają w Polsce większą część roku, stąd te rozliczne zawieje i zadymki w wierszach Huszczy. Zresztą przypominają one aurę poezji rosyjskiej, w której również zima i jesień grają wiel-

są rolę, czy to będzie Puszkin, Lermonow czy Błok. Poezję rosyjską przypomina też często melodyka wiersza, której Huszcza nie rezygnuje, rzadkie w polskiej poezji (poza tłumaczeniami) jamby i męskie rymy.

Charakter poezji Huszczy określiłabym jako emocjonalny realizm. Poeta z lubością notuje szczegóły i drobne przejawy życia, które składają się na obraz świata, może pospolity i szary, ale ten jedyny, dany człowiekowi do życia i do kochania.

Wędruję tam, gdzie na straganach
w wesołym deszczu śpią warzywa,
sprzedawca się podpity kiwa,
koń ma przy pysku wiązkę siana.

Nie jest to może najlepszy z tomów Huszczy. Ma w sobie rozdarcie — między przeżywaniem dnia aktualnego a ciągotami do przeszłości, do wspomnień, do wileńskiej, niepowrotnej prowincji i młodości. Niebezpieczny to okres dla człowieka i dla poety, kiedy wspomnienia ciągną go wstecz a uroki przeżywane kiedyś stępiają wrażliwość twórczą na dzień obecny. Zresztą dla poety i wspominanie może stać się żyłą poetycką. Nie o temat przecież chodzi w poezji, ale o osiągniętą treść mądrości życiowej.

Wiersze Huszczy (przeważnie, sądząc z dat, pisane 2—3 lata temu) nie snobują się na żadne pozory „nowoczesności". Huszcza jest poetą jednej struny, ale ja lubię takich poetów. Niechże będzie ta jedna struna, ale niech brzmi czysto, bez fałszu i pozy. Ta skromna, rzewna, a czasem nawet zgrzebna poezja, przypominająca piosenki brzmiące na łące — mówi przecież o najbardziej ludzkich sprawach, przede wszystkim o głębokiej miłości do życia. Wyziera z tych wierszy twarz sympatycznego i na tle naszych narodowych snobizmów — niezależnego poety, nie zastanawiającego się głęboko nad celem życia, nad sensem istnienia, ale kochającego to życie każdym nerwem, w każdej najdrobniejszej jego grudce, w każdej sekundzie powszedniego dnia. Po wojnie poezja nasza zubożała niezwykle o ten typ liryki „prowincjonalnej", jaką reprezentował np. Czechowicz, opisujący z miłością prowincjonalne miasteczka, rynki, ogródki. Czechowicz upoetyzował lubelski krajobraz. Żyła w poezji i wileńska prowincja. Dziś poeci wstydzą się „prowincjonalizmu", wszyscy chcą być nawet w obrazowaniu „ogólnonarodowi". Stąd krajobrazy ojczyste w poezji stają się ogólnikowe, syntetyczne, mało konkretne. Huszcza przedłuża tę linię „prowincjonalnej" poezji, bardzo na mój gust i zdrową, i szlachetną.

„KONWENCJE"

Bardzo dobrym debiutem jest tomik młodziutkiego, 23-letniego Jarosława Rymkiewicza. Zresztą wcale nie w jakichś szkolnych kategoriach. To już uformowany, inteligentny i myślący poeta, dość przy tym bystry, aby nie podrabiać jakichś tradycyjnych poetyk, wchodzący od razu *in medias res* najważniejszych i najtrudniejszych problemów współczesności, *in medias res* poetyckich poszukiwań formalnych. Na fali ostatnich debiutów — to na pewno jeden z pierwszych i najciekawszych. Bardzo zresztą dla młodzieży literackiej charakterystyczny, choć przecież posiadający własną twarz.

Komu łzę nad narodowym ugorem
Albo nad defloracją, albo nad mrówką
zdeptaną,
Komu za kurtyną ciepłych deszczów
Różową chmurkę i błysk arkadyjskiej wizji,
Komu apokaliptyczne zabawy
z przymrużeniem oka,
Drewniany miecz i trąbkę sądu
ostatecznego.

Wybierajcie, nie traktując mnie
Zbyt serio.

Naprawdę, nikogo nie chcę ocalić
Ani wskrzesić.

To jedno „opuszczenie palców na klawisze" (z początkowego wiersza) znamionuje poetę świadomie i nawet już z wirtuozerią władającego słowem, poetę o wyobraźni czynnej i ruchliwej, który umie operować drwiną, ironią, sarkazmem. Proponując czytelnikowi, jak sprzedawca uliczny lub jarmarczny kuglarz, tę lub inną poezję, czy to patriotyczną, czy sentymentalnie-czułą, czy kochającą się w blaskach świata, czy też bawiącą się dobieraniem kluczy do spraw ostatecznych — młody poeta wie, że ofiarowuje tylko „konwencje", takie lub inne maski poetyckie, w które przebiera się jeden aktor-poeta.

Kim jest on sam, ukryty pod maskami konwencji?

Jestem dziecięciem epoki,
Lecz twarz moja przed wami starannie
zakryta.
W piersi stuk wieloznaczny
I w promieniu źrenicy przerażona ćma.

Treścią poezji młodego Rymkiewicza, jego pasją jest określenie siebie na tle epoki. Ta epoka daje człowiekowi wielkie perspektywy, ale jednocześnie poszczególnego człowieka ogranicza i unicestwia. Bezradna wrażliwość i lęk wobec tajemnych spraw natury i cywilizacji — oto poza konwencjami istota współczesnego człowieka. Młodzieńcze dumne „ja" — „Ja, Europejczyk..." — jest tym, co najbardziej zdradza młody wiek autora. Poza tym bowiem wiersze te są mądre, dojrzałe, precyzyjne w słowie. Proza wierszy Rymkiewicza jest surowa, choć bynajmniej nie ascetyczna, raczej skłonna do retoryki, do szerokiego oddechu frazy, do tonu nieco górnego, choć raz po raz hamowanego ironią.

Ciekawy i charakterystyczny jest wiersz o Miłoszu, tym poecie, którego sprawa stała się obsesją moralno-artystyczną wielu poetów w kraju, a który, choć niedostrzegalnie, wywiera silny wpływ na nowe pokolenie poetyckie, tak jak wywierał go na pokolenie wojenne (Borowski, Baczyński). Rymkiewicz jest niewątpliwie jednym z uczniów poetyki Miłosza — zarówno w wizji świata, jak i filozoficzno-moralistycznej postawie. Artysta tkwi w środku wszechświata. Koło niego kręcą się planety i słońca, i cała rekwizytornia współczesnej cywilizacji z głębinowymi odniesieniami kulturowymi. Tę dumną postawę poetycką pragnie też przybrać Jarosław Rymkiewicz. Należy pochwalić i dobre wiersze, i wielkie ambicje. Ale nie zawadziłaby i szczypta autoironii.

„PORT EGZOTYCZNY"

Drugim ciekawym debiutem jest tomik Zbigniewa Kosińskiego. Zupełnie niepodobny do tomiku Rymkiewicza. Przeciwieństwem dumnej, krasomówczej postawy poetyckiej Rymkiewicza jest umyślna szarość, skromność, ubogość lakonicznych wierszy Kosińskiego. Ma on również podobny w „konwencji" wiersz o jarmarcznym sprzedawcy, ale jakże inaczej brzmi:

Kupuję, sprzedaję, wymieniam
paciorki,
wisiorki,
protezy,
narzeczone
własne i obce.
Wypożyczam, przechowuję
usta z dzwoneczkami,
dzwonkami,
dzwonami,
oczy zamknięte,
przymknięte,
niedomknięte i
uszy, uszy, uszy.

Na tle tamtego, zacytowanego również wiersza Rymkiewicza *Kramikarz* Kosińskiego jest szczególnie ciekawy. Przypuśćmy, że autor ma tu również na myśli poetę i jego „towar" poetycki. To, co Rymkiewicz wyraził w szeregu pięknych i ciekawych metafor, zakreślających coraz szersze koła spraw ludzkich, to, czym się wzruszał, z czego kpił i podrwiwał, co przejmowało go i bólem, i ironią — tyle słów, tyle uczuć — Kosiński zamyka w trzech słowach: „usta z dzwoneczkami, dzwonkami, dzwonami". Taka jest poetyka wewnętrzna, własna Kosińskiego. Prostota dochodząca do szyfru. Lakoniczność sięgająca nieprzekraczalnej granicy słowa i milczenia, obiektywizm doznań dochodzący do biologii. A przecież w tym samoograniczeniu poetyckim, samokneblowaniu ust, samounicestwianiu uczuć, poeta śmie filozofować — i filozofuje. Przejmujący wiersz o głodzie nie tylko opowiada sensacje głodu, ale daje jakąś filozoficzną, skrótową syntezę z tego — umyślnie zwężonego do punktu — punktu widzenia:

Najprostsza z filozofii
będąca jedynie
językiem
posiada
słoneczne nawroty miski
krążące w galaktyce żołądka
a także
księżyce,
półksiężyce,
i ćwierć księżyce
sytości.
Pełną konstrukcję świata.

Wiersze Kosińskiego są trudne do czytania. Jest coś bolesnego w tej poetyce,

w tym dążeniu do maksimum skrótu ścisłości. Poeta sądzi, że to, co się wynyka rozwlekłym i krasomówczym traktatom humanistów — on zamknie w jednym słowie, ugodzi skrótem, jak dowcipem. Jest to zresztą jeden z przejawów filozoficznego sceptycyzmu wyznawanego przez Kosińskiego. Niekiedy pozostają na papierze tylko dowcipy (np. wiersz *Noc*), niekiedy skrótowe słowo poetyckie jest jakby mały kamyk ciśnięty w wodę. Już zapadł na dno. I dopiero wtedy rozchodzą się powolne, coraz szersze kręgi. Tomik Kosińskiego jest ciekawym i bardzo ambitnym debiutem.

Mając Rymkiewicza i Kosińskiego, Łódź poetycka nie może uskarżać się na brak młodych talentów.

Anna Kamieńska

SPÓR O POLSKI JĘZYK LITERACKI

Pochodzenie polskiego języka literackiego. Polska Akademia Nauk, Instytut Badań Literackich — Studia Staropolskie pod redakcją Kazimierza Budzyka. Tom III. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław 1956; str. 472.

Gruby tom, wydany w Ossolineum, przynosi trzynaście rozpraw napisanych przez jedenastu autorów. Redakcja starała się dopuścić do głosu przedstawicieli różnych stanowisk i hipotez naukowych. Dano tu także retrospektywny obraz walki badawczej, jaka się u nas rozgrywa od lat przeszło sześćdziesięciu na temat polskiego języka literackiego i jego genezy.

Toczy się gra o wielką stawkę. Kiedy i gdzie powstał polski język literacki? Czy stało się to w Małopolsce dopiero w okresie Złotego Wieku? Czy może w Wielkopolsce w średniowieczu? Spór był od samego początku ostry, namiętny, nieraz gwałtowny i zapalczywy. Dyskusja nie wygasa i ogarnęła wszystkie polskie ośrodki uniwersyteckie. Dla pisarzy ma ona brzmienie pasjonujące.

Jak się zdaje, pierwszy raz podjął zagadnienie A. Kryński, w roku 1897, w swej słynnej, tak wówczas dyskutowanej i atakowanej *Gramatyce języka polskiego*. Wyraził on przypuszczenie, że „narzecze wielkopolskie wzniosło się najpierw na stanowisko języka ogólnego i w ten sposób stało się podstawą polskiego języka literackiego". Hipoteza Kryńskiego wyglądała więc w sposób następujący: istniała w Polsce pewna liczba narzeczy, czyli dialektów lokalnych. Jeden z nich, wielkopolski, stał się z biegiem czasu — ogólnopolskim językiem, którym się posługiwano w piśmie. A więc — językiem literackim.

Hipoteza Kryńskiego nie utrwaliła się w pamięci — dopiero w roku 1950 przypomniał ją Doroszewski, w atmosferze nowych na ten temat dyskusji. Właściwa walka rozpoczęła się w drugim dziesiątku naszego stulecia, gdy w szranki wstąpili dwaj potężnie uzbrojeni szermierze: z jednej strony Kazimierz Nitsch, zdecydowany zwolennik tezy „wielkopolskiej", a z drugiej „Małopolanin" (tj. zwolennik hipotezy „małopolskiej"), Aleksander Brückner. W 1910 roku ukazała się w *Rozprawach* krakowskiej Akademii Umiejętności praca Nitscha *Próba ugrupowania gwar polskich*, trzy lata później ten sam uczony napisał słynny artykuł *Pochodzenie polskiego języka literackiego* (*Język Polski*, 1913 rok). Autor nie przeczył, iż sprawa jest ogromnie skomplikowana. „Na całym świecie — pisał — podstawą języka literackiego staje się dialekt tej prowincji, co pierwsza na wyższy wybija się stopień i staje się ośrodkiem formującego się państwa i narodu. Ale stosunki polityczne i kulturalne są bardzo skomplikowane, trwałość ich rozmaita. Toteż gdy u niektórych narodów sprawa ta jest całkiem jasna, np. u Czechów i Rosjan, gdzie cały niemal krąg historii koncentrował się w Pradze, ewentualnie w Moskwie — u innych rzecz się wikła. Dobrze jeszcze, jeżeli przesunięcie punktu ciężkości następuje po ustale-

niu się organu wysokiej już literatury, np. w Niemczech, gdzie za najpoprawniejszą, nadającą ton, uchodzi dziś «Norddeutsche Bühnenaussprache», nie przeszkadza ona zrozumieniu faktu, że jest to północno-niemiecka wymowa języka południowo-niemieckiego. Zupełnie inaczej u Serbochorwatów, gdzie przy rozbiciu politycznym i kulturalnym, trwającym przez wieki, każdy pisarz do tradycyjnego języka cerkiewnego wprowadzał swój własny, lokalny; rezultatem był brak aż do wieku XIX-go naprawdę jednego, wspólnego dialektu kulturalnego. Trudniej rozstrzygnąć rzecz w Polsce, jeszcze przed skonsolidowaniem się rozbitej na dzielnice, przenoszącej punkt ciężkości politycznej z Wielkopolski do Małopolski, a później na Mazowsze. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie wymienione prowincje musiały zaznaczyć swój udział w wytwarzaniu tego najbardziej widomego znaku i równocześnie narzędzia jedności narodowej, jakim jest język literacki; sporna jest tylko siła i jakość ich udziału." Zdaniem Nitscha w „epoce pierwszego rozkwitu piśmiennictwa (w wieku XV i XVI) język jego, rosnący i wzmagający się głównie w Krakowie, z natury rzeczy czerpał wprawdzie z zapasów małopolskich, ale właściwie umacniał nimi, kształcił i rozwijał podstawę przyniesioną z Wielkopolski". Kilka argumentów, jakie prof. Nitsch przytoczył na poparcie swego stanowiska, zabrzmiało przekonywająco: jeden z najważniejszych dotyczył zjawiska zwanego „mazurzeniem". Jak wiadomo, na Mazowszu, w całej Małopolsce i bardzo dużej części Śląska wymowa ludowa zastępuje dźwiękami s, z, c, dz — używane w mowie literackiej brzmienie sz, ż, cz, dż. Mówi się na przykład s y j a zamiast s z y j a, z ó ł t y zamiast ż ó ł t y, c e k a ć zamiast c z e k a ć, j e z d z ę zamiast j e ż d ż ę. Owo mazurzenie, tak charakterystyczne dla Małopolski, zaznaczone jest w *Weselu* Wyspiańskiego. Logicznie rzecz biorąc, można więc przyjąć rozumowanie następujące: mazurzenie jest nieznane w Wielkopolsce, nie ma go też w polskim języku literackim; stąd wniosek, że język literacki ma silne związki właśnie z podłożem wielkopolskim. Z badań prof. Stanisława Wędkiewicza wynika, że „mazurzyli" nawet studenci polscy w Padwie; K. Nitsch w rozprawie o rymach polskich wykazał, że pisarze pochodzący z Małopolski, jak Piotr Kochanowski i Zimorowicze, instynktownie utożsamiali „ż" z „z", czy „sz" z „s"; tym się tłumaczy, że rymowali „trwoży-obozy" czy „doszła-niosła" albo „oczy-nocy". Czyli, że wprowadzenie tej nowości, jaką było „niemazurzenie" na terenie Małopolski, nie było łatwe. Ale dlaczego ją w ogóle wprowadzono, dlaczego uważano wymowę dotychczasową, „mazurzącą", za złą, niepoprawną i gminną? Widocznie wpływ wymowy wielkopolskiej uznawano za wzór obowiązujący, przynajmniej teoretycznie. Wielkopolska zbudowała państwo polskie i to zjawisko miało — zdaniem Nitscha — znaczenie rozstrzygające. Oprócz „mazurzenia" przemawiałoby na korzyść tezy „wielkopolskiej" inne zjawisko: Małopolanie zastępują dźwięki „ch" na końcu pewnych wyrazów (w liczbie mnogiej) przez „k"; np. mówią „nogak" zamiast „nogach". Do dziś, gdy słyszę tak wymawiane wyrazy, ucho kojarzy ową wymowę ze wspomnieniami krakowskiego dzieciństwa i młodości. Ale znów tutaj polski język literacki poszedł śladami wymowy wielkopolskiej, a nie małopolskiej. Podobnych zjawisk przytoczył Nitsch więcej i dlatego konkludował, że „fonetyczne i morfologiczne podstawy mówionego »dialektu kulturalnego« przeniesiono już do Krakowa z Wielkopolski. Na nich budował się z małopolskiego materiału słownikowego pisany »język literacki«".

Przeciw temu stanowisku ostro zaoponował prof. Aleksander Brückner w *Rozprawach Wydziału Filologicznego Akademii Umiejętności* oraz w swych *Dziejach języka polskiego*. Argumenty Brücknera były przede wszystkim historyczno-literackie i historyczno-kulturalne. Przypominał, że pierwsze pomniki polszczyzny literackiej powstawały w Małopolsce, np.: *Bogurodzica* w Sączu, *Kazania świętokrzyskie* w klasztorze na Łyścu w Górach Świętokrzyskich itd. Trzeba pamiętać, że aż do rozbiorów granice Małopolski były bardziej rozległe niż te, które dziś łączymy z pojęciem owej dzielnicy. Małopolska obejmowała całą Kielecczyznę i Ziemię Radomską! Fakt, że w polskim języku literackim nie ma „mazurzenia", wyjaśniał Brückner — przede wszystkim wpływem języka czeskiego. To fakt, że w późnym średniowieczu, a jeszcze bardziej w okresie Złotego Wieku — pol-

skie sfery kulturalne ulegały ogromnemu wpływowi cywilizacji, piśmiennictwa i języka czeskiego. Rewelacyjnie brzmiące przykłady kultu obyczajowości czeskiej w Polsce Złotego Wieku przytacza prof. Stanisław Kot w rozprawie *Nationum proprietates*, ogłoszonej w *Oxford Slavonic Papers*, Volume VII, 1957. Rej pisał w *Zwierciadle* o Czechach:

Toteż osobną sztukę iście w sobie mają,
Iż słowo radzi dzierżą, gdy co przyrzekają.
Pierwej gdy co zacnego i w Polszcze
zmawiano,
Tedy to czeskim słowem zdzierżeć
obiecano...

Podobnie wypowiadali się na czeskie tematy: Stanisław Sarnicki, Paweł Gilowski, Salomon Rysiński, a przede wszystkim Łukasz Górnicki.

Wpływu czeszczyzny na genezę i rozwój polskiego języka literackiego nie negują oczywiście i zwolennicy „wielkopolskiej" hipotezy. Nitsch wskazywał na przykład, że słowo staropolskie „gańba" zmieniło się według wzoru czeskiego na „hańba". Ale zdaniem adherentów tezy „wielkopolskiej" oddziaływanie języka czeskiego jedynie dopomogło do zasymilowania wymowy wielkopolskiej przez nasz język literacki. „Istnienie w kulturalniejszej czeszczyźnie tych właśnie dźwięków sz, ż, cz zachowało dialekt Wielkiej Polski, mimo upadku jej polityczno-kulturalnego znaczenia" — pisał prof. Nitsch.

W dwudziestoleciu międzywojennym szala sporu zdawała się przechylać na rzecz zwolenników tezy „wielkopolskiej". Po stronie Nitscha stanął Tadeusz Lehr-Spławiński. Wątpliwości wyraził jednak Stanisław Szober w pracy *Pochodzenie i rozwój polskiego języka literackiego* (Warszawa 1931) i Holender, van Wijk, w *L'origine de la langue polonaise commune* (Amsterdam 1937). Przeważały jednak w nauce — poglądy Nitscha. Gdy w roku 1938 Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydał podręcznik języka polskiego dla I klasy szkół licealnych pióra J. Kleinera i Al. Brücknera — Komisja Ocen Podręczników Szkolnych przy Ministerstwie W. R. i O. P. zażądała przeredagowania ustępu o powstaniu polskiego języka literackiego, w duchu „teorii wielkopolskiej". Chodziło — wedle prof. Taszyckiego — o to, „by nie dezorientować nauczycieli-polonistów", uczniów prof. Nitscha i Lehr-Spławińskiego.

Ale po drugiej wojnie światowej — spór rozgorzał na nowo. Dały mu podnietę prace dwóch nowych zwolenników „teorii małopolskiej", przeciwstawiających się „nitschowcom": Witolda Taszyckiego i Tadeusza Milewskiego. Taszycki podjął bardzo poważne badania w dziedzinie dialektologii historycznej języka polskiego oraz terminologii pojęciowej tych zagadnień; równocześnie przeniósł on spór naukowy na forum pism literackich (*Twórczość*, 1949 rok, nr 12). Związany z Taszyckim węzłami wspólnych poglądów prof. Tadeusz Milewski bronił gorąco tez „małopolskich" w *Wiedzy i Życiu*, *Pamiętniku Literackim* i *Poradniku Językowym*. Jak widać, *Twórczość* zajęła się już przed dziewięciu laty ową pasjonującą dla naszej opinii literackiej debatą językoznawczą; dzięki niej zapaliłem się i ja do tej kwestii, zdając sprawę z artykułów Taszyckiego (i polemizującego z nim Stanisława Urbańczyka) w pismach tygodniowych, a nawet codziennych.

Już prof. Nitsch odróżniał w roku 1913 pojęcia „języka literackiego" i „dialektu kulturalnego". Język literacki to mowa zabytków pisanych „ciągłą" polszczyzną; dialekt kulturalny — to język, którym mówiono (zdaniem Nitscha) już w Wielkopolsce na dworze króla Bolesława Chrobrego (982—1025). Taszycki i Milewski postanowili uściślić te pojęcia. Odróżniają oni „język literacki" od „języka pisanego", mówią o „funkcji społecznej języka pisanego", wymieniają „języki religijne, kancelaryjne i poetyckie". „Jądrem problemu— pisze Tadeusz Milewski — jest tu różnica w pojmowaniu funkcji społecznej języka pisanego. Żeby w danym społeczeństwie w ogóle język pisany występował, musi w nim istnieć rodzima tradycja spisywania tekstów ciągłych, taka, jak ta, która narastała w Polsce od XIII wieku. Nie każda jednak tradycja pisarska jest tradycją literacką, różny bowiem jest charakter społeczny tej tradycji. Język literacki jest pisanym i mówionym narzędziem kultury całego społeczeństwa i w tym znaczeniu jest on językiem ogólnym, tymczasem istnieją różne grupy tekstów, które na tej ogólnej tradycji się nie opierają, lecz na tradycji językowej i pisarskiej poszczególnych ciasnych korporacji." Rzecz ciekawa, iż istnieją nawet języki

poetyckie, które trudno identyfikować z językiem literackim w ścisłym znaczeniu tego słowa, np.: język Homera lub język liryki prowansalskiej (wiek XI — XIII, dodajmy od siebie, że wznowiony w czasach najnowszych przez Mistrala i jego uczniów). Podobnymi zagadnieniami terminologicznymi zajmowali się w niezmiernie ciekawych swych pracach zwolennicy teorii „wielkopolskiej" — Stanisław Urbańczyk i Zdzisław Stieber. Wszystkim dyskutującym chodzi o zagadnienie ogólnie obowiązującej „normy językowej" (bez czego trudno mówić o języku literackim) oraz tzw. „wzorów językowych", tj. pewnych przeważających „uzusów", które wpływem swym pociągają piszących... Przedmiotem sporu jest obecnie także i s p r a w a c h r o n o l o g i i. Zarówno Nitsch, jak i jego wielki adwersarz, Brückner, przyjmowali, że polski język literacki powstał już w średniowieczu, w okresie pisania pierwszych polskich zabytków; Taszycki i Milewski przesuwają tę datę o dwieście lat później, w Złoty Wiek. Ma to oczywiście wielkie znaczenie z punktu widzenia historii polskiej umysłowości i polskiej kultury.

Dwie drogi prowadzą ku ustaleniu faktów, które mogą oświetlić genezę polskiego języka literackiego. Pierwsza z nich — to badanie dzisiejszych polskich dialektów ludowych i wnioskowanie przez rzutowanie tych faktów wstecz, w głąb dziejów. Zwolennikiem tej przede wszystkim metody był Kazimierz Nitsch. Powoływał się na znany objaw, zwany „konserwatyzmem gwar polskich" (i słowiańskich w ogóle). Wiadomo, że pisarze pragnący w jakiś sposób rekonstruować — stylizowany zresztą — język Polski piastowskiej, sięgają po mowę ludową. Tak postąpił Wyspiański w *Bolesławie Śmiałym*. Mowa ludowa zachowała niejedno słowo, formę czy *usus* z czasów bardzo starych; dialekt kulturalny jest o wiele bardziej ruchliwy, zmienny, podległy fluktuacjom. Zjawisko naturalne i łatwo dające się wyjaśnić. Jak stwierdza prof. Stieber, „bardzo wiele dać może *Atlas gwar polskich*, nad którym prace już rozpoczęto".

Ale wnioskowanie na podstawie zjawisk dotyczących mowy ludowej — musi być uzupełniane drugą metodą: d i a l e k t o l o g i ą h i s t o r y c z n ą. Na nieszczęście źródła do poznania dawnego języka polskiego są dość skąpe i niepełne. Pierwszym chronologicznie zabytkiem historycznej polszczyzny jest bulla papieża Innocentego II dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego (rok 1136), pisana wprawdzie po łacinie, ale zawierająca około 400 polskich nazw osobowych i miejscowych. W niespełna 20 lat później (1155) wydał papież Adrian IV podobny przywilej dla w o j e w ó d z t w a w r o c ł a w s k i e g o, zawierający 100 wyrazów polskich; jest to drugie źródło oświetlające najdawniejszą polszczyznę — tym ciekawsze, że dotyczące Śląska. Istnieją podejrzenia, że bulla gnieźnieńska była falsyfikatem ułożonym w Gnieźnie; bulla wrocławska jest bezspornie autentyczna, ale ułożona i przygotowana we Wrocławiu, a jedynie zaakceptowana i opracowana w Rzymie. Językoznawcy nasi dokładnie te bulle zbadali i próbowali nawet ułożyć pewne tabele z punktu widzenia różnic dialektycznych między tymi dokumentami. Ciekawego materiału dostarczają po polsku zredagowane r o t y p r z y s i ę g ą s ą d o w y c h (zeznania stron i świadków w procesach), pojawiające się już w wieku XIV. Aż wreszcie mamy po polsku pisane „ciągłe" zabytki polskiej mowy: żywoty świętych, psałterze, biblie, pieśni, wiersze (np. *Rozmowa mistrza ze śmiercią, Legenda o świętym Aleksym*). Dla formowania się polszczyzny literackiej wielkie znaczenie miała — akcja drukarzy krakowskich w wieku XVI.

Sytuacja w nauce jest obecnie taka, iż w dalszym ciągu przeciwstawiają się sobie dwa „obozy": zwolenników „małopolskiej" hipotezy (W. Taszycki i T. Milewski) oraz „Wielkopolan" (K. Nitsch, Z. Klemensiewicz, S. Urbańczyk, Z. Stieber, S. Rospond, K. Kuraszkiewicz i inni). Obie strony przyznają, że problem jest złożony, nikt nie twierdzi, by język nasz powstał wyłącznie z elementów małopolskich czy wielkopolskich, chodzi tylko o ustalenie przewagi ilościowej oraz czasu dokonania się zjawisk. Zagadnienie jest tym bardziej skomplikowane, że — jak wskazywał prof. Nitsch — w okresie późniejszym oddziaływało także sąsiedztwo ruskie i dialekt Mazowsza.

Oczywiście, że w omówieniu moim streściłem — i to dość pobieżnie — tylko część problemów, argumentów i faktów, podnoszonych przez współczesnych badaczy, spierających się o genezę na-

szego języka literackiego. Zbliżają się uroczystości naszego „millenium". Państwo polskie istnieje już tysiąc lat, a niektórzy badacze — i nasi, i zagraniczni — przypuszczają, iż ową datę można by przesunąć głęboko wstecz! Czy pierwotne państwo polskie było organizmem bez jednolitego i wspólnego języka? Jak mówiono na dworach piastowskich? Czy i w jakim stopniu wspólność językowa mogła określać poczucie wspólnoty narodowej i państwowej? Jakże ważne to sprawy dla pisarzy, zajmujących się wielkimi problemami naszego życia. Od czasów Wyspiańskiego raz po raz powraca problem postawiony przez Dziennikarza w *Weselu:* uzasadnienie naszej racji bytu w świecie współczesnym. Wystarczy przeczytać tak świetne osiągnięcia myśli literackiej, jak *Trans-Atlantyk* czy *Dzienniki* Gombrowicza lub *Obóz Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego, by zrozumieć znaczenie ciągłości kultury polskiej.

Językoznawcy nasi ze świeżym i żarliwym entuzjazmem starają się dotrzeć do prawdy; próbują odsłonić coraz nowe pokłady rzeczywistości. Uderzyła mnie ostrość tonu polemicznego, w której się odzwierciedla troska o precyzję myśli i jej wypowiedzenia.

Wojciech Natanson

SPOTKANIA Z IDEAMI

Ludwik Hieronim Morstin: *Spotkania z ludźmi.* Kraków 1957. Wydawnictwo Literackie; str. 263.

Nie tylko spotkania z ludźmi wybitnymi, ale przede wszystkim ich sylwetki psychiczne, mocno związane z wyznawaną przez nich ideologią, wysuwają się nieraz na czoło, przytłaczając swym ciężarem szczegóły biograficzne i charakterologiczne. Spotkania z ludźmi na terenie realnym przeradzają się chwilami w spotkania z ideami na gruncie abstrakcyjnym. I to stanowi siłę i słabość tych szkiców.

Słabość, bo czytelnik rzadko znajduje w nich to, czego ma prawo oczekiwać po tytule: jeszcze jedną, może bardziej subtelną i pogłębioną, anegdotę z życia twórcy, znanego mu z lektury lub z cudzych relacji. Natomiast zostaje niespodzianie wciągnięty w orbitę zainteresowań i wiadomości z historii kultury zarówno polskiej, jak ogólnoludzkiej. I na tym polega odrębność, szczególna wartość i siła *Spotkań.*

Sylwetka człowieka i twórcy wyłania się tu zawsze z odmętu unoszących go prądów artystycznych, literackich i filozoficznych. Ten odmęt jest tak silny, że porywa i autora, który z biernego świadka zdarzeń i uczestnika rozmów przemienia się, nieświadomie dla samego siebie, w aktywnego mędrca i myśliciela. W ten sposób zapuszczanie sondy w intelektualne wnętrza badanych obiektów demaskuje samego badacza.

Podmalowywane przez niego tło myślowe i kulturowe rozrasta się często tak potężnie, że przesłania postać portretowanego twórcy, który po prostu staje się pretekstem do snucia syntetycznych rozważań. Nitka wspomnienia osobistego, nieraz nikła i wątła, urasta do rozmiarów rozprawki, nasyconej intelektualizmem. Odnosi się to zwłaszcza do takich szkiców, jak sylwetka Wilhelma Wundta czy Tadeusza Zielińskiego.

„Zawsze wolałem człowieka od jego książki — zwierza się nam autor w przedmowie. — A raczej, żeby być zupełnie ścisłym, szukałem sposobności obcowania z autorem książki, która mnie wzruszyła, dała mi nowe przeżycie. Zawsze miałem wrażenie, że wtedy poznam tę tajemniczą całość, na którą składa się człowiek żywy i jego dzieło." Jest to wyznanie prawdziwego humanisty. A jednocześnie widać z tych słów, że Morstin nie docenia może najważniejszego z elementów swojej książki: jej wkładu w dzieje polskiej i ogólnoludzkiej kultury.

Takie postacie, jak wspomniany już Wilhelm Wundt, Emil Bourdelle, Paweł Valéry, Paweł Claudel, Hugo von Hofmannstahl, wprowadzają nas w

krąg odmiennych niż nasze warunków i środowisk, które umożliwiły im rozwój i rozkwit ich talentów. Dla czytelnika polskiego szczególnie ciekawe będą kontakty tych twórców z kulturą polską: Bourdelle'a z ideologią Mickiewicza, Hofmannstahla z *Nieboską komedią* Krasińskiego i *Weselem* Wyspiańskiego.

A jak celnie umie Morstin zilustrować nam bezpośredniość tych zetknięć, niech zaświadczy krótki zatarg znakomitego tłumacza dzieł polskiej literatury na język francuski, Pawła Cazin, z polskim... psem. W Pławowicach na spacerze, wśród francuskiej rozmowy z gospodarzem, Cazin chciał się nagle opędzić od psa, który, wyszedłszy z wody, otrzepywał go mokrym ogonem, i zawołał po polsku:

— Pójdziesz, ty draniu, będziesz mnie tu skrapiał swoim mokrym chwostem! — Dowód, do jakiego stopnia Cazin opanował polszczyznę.

Ośrodkiem ułatwiającym Morstinowi bezpośrednie kontakty z wielu znakomitymi twórcami jego epoki był założony wspólnie z Władysławem Kościelskim w roku 1911 miesięcznik literacko-artystyczny *Museion*. Na jego okładce widniały, jako miejsce wydania, nazwy dwóch miast: Kraków i Paryż, świadczące o nierozerwalnej więzi kultury polskiej z Zachodem. I znowu wspomnienia Morstina wypełniają lukę w dziejach naszej kultury z pierwszego dziesiątka lat XX wieku. Bo przecież o ile często wymienia się współczesną *Chimerę*, o tyle przemilcza się *Museion*. Dobrze się zatem stało, że Morstin upomniał się o prawo do zasługi tego pisma, którego „pierwszy rocznik pełen był reprodukcji Ingres'a, Cézanne'a, Puvis de Chavannes'a, Bourdelle'a".

Trzeba uprzytomnić sobie, że blisko pół wieku temu te nazwiska nie miały takiego wydźwięku, jak dziś, aby zrozumieć pionierską rolę *Museionu*. Z polskich artystów *Museion* „objawił światu" Karola Szymanowskiego, głosząc artykułem Chybińskiego, że „ten kompozytor zadecyduje o losie muzyki polskiej wobec Europy".

Dramatyczna twórczość Morstina wprowadziła go w krąg ludzi teatru. Zbliżył się z Leonem Schillerem, z Solskim, z Osterwą i tym zbliżeniom poświęcił trafnie skreślone wizerunki potentatów sceny.

Charakterystyka *Spotkań z ludźmi* byłaby niezupełna, gdybyśmy pominęli ich stronę uczuciową. Motyw osobistego liryzmu przychodzi do głosu wszędzie tam, gdzie pod działaniem wzruszenia ujawnia się więź duchowa między autorem a jego modelem. Następuje tu podobne zjawisko, jak przy zbliżeniach filmowych: powiększenie, a nawet monumentalizacja osoby portretowanej. Odnosi się to zwłaszcza do wspomnienia o astronomie Wilku i do wizerunków dwojga poetów: Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Jana Lechonia. Autor nie waha się nawet przed przytoczeniem w całości ulubionych swych utworów, uważając skromnie, że prostszą drogą dotrą do czytelnika niż najsubtelniejsza analiza.

Stosunek Morstina do spotykanych ludzi jest pełen zrozumienia i współczucia. Jego postawę wobec poezji określają przytoczone przezeń słowa Norwida:

„Z karafki można się napić, biorąc ją w rękę, ale by pić ze źródła, trzeba klęknąć przed nim."

Stefania Podhorska-Okołów

ILEŻ WYCZYTAĆ MOŻNA Z TYCH LISTÓW!

Stanisław Wyspiański: *Listy do Stanisława Lacka*. Kraków 1957. Przedmowa Jana Wiktora. Tekst i komentarz opracował Jacek Susuł. Okładkę projektowała Zofia Włodarczyk. Wydawnictwo Literackie; str. 121.

Kochany Panie! Jest Pan po prostu człowiekiem okropnym i milczy Pan, zaklęty morza zjawą purpurową w owych zachodach (słońca) świata, o których Pan pisze; ma Pan rozpięte niebo kolorów nad głową, a ja Pańskich wykrzyków radości nie sły-

szę; nad czym Pan tam używa i z czym tam się brata, dla mnie są tajemnicą domysłów.

Tak się zaczyna list Wyspiańskiego do Stanisława Lacka z 8 kwietnia 1905 roku. „Jest Pan po prostu człowiekiem okropnym i milczy Pan..." Wyrzuty i żale, pretensje i skargi raz po raz powtarzają się w tych zadziwiających listach. Poprzedniego dnia, 7 kwietnia, w krótkim liście, brzmiącym jak stłumione westchnienie pokryte uśmiechem: „Kochany Panie. Nie umie Pan prowadzić korespondencji. Korespondencję prowadzi się, pisząc ciągle — nie jest Pan w stanie przewidzieć, kiedy listy Pańskie są potrzebne".

Dziwne listy, w których jeden z korespondentów, niecierpliwy i wciąż głodny wymiany myśli, niemal bezustannie odnosi wrażenie, iż pisze w próżnię. Bo dla Wyspiańskiego, widać to wyraźnie, te listy są niezmiernie potrzebną rozmową. Ze Stanisławem Lackiem nie łączy go formalna przyjaźń; nie są oni nawet, wbrew polskiemu zwyczajowi, „na ty"; ceremonialne słowo „Pan" (co prawda z serdecznym dodatkiem „Kochany") wznosi tu jakiś pozorny dystans. Ale o ileż naturalniejsza to rozmowa niż z kolegami szkolnymi, towarzyszami walk artystycznych, z takimi ludźmi, jak Solski, z którymi „tykając się", poeta pełen kompleksów i drażliwości, rozmawia jak Hamlet z wysłannikami króla Klaudiusza! W jednym z listów przypisuje Wyspiański część swych niepowodzeń w walce o dyrekcję teatrów krakowskich — najbliższej rodzinie, kuzynom. „Okazało się — pisze w liście z 7 maja 1905 r. — że cały szereg krewnych moich i kuzynów intrygował przeciwko teatrowi i przepatrywali moje interesa i sprawy celem możliwego szkodzenia mi w staraniach o teatr i celem przeszkodzenia. I dzisiaj wypadnie mi wszystko to pozrywać, a krewnych w dzień jutrzejszy imienin moich powyrzucać za drzwi. Rzecz przypadkowo wyszła na jaw i dopiero okazało się, jak podstępnie chciano użyć mojej żony..." Jest rzeczą wyraźną, że Wyspiański tworzy tu sobie cały dramat, ulegając przewrażliwieniu i może manii prześladowczej, podobnie jak wielki jego rówieśnik, August Strindberg. Nieufność wobec ludzi była, zdaje się, wyraźną cechą jego natury. Lecz pod warstwą nieufności, tuż obok złośliwości i okrutnej nieraz wobec ludzi drwiny, czaiła się w tym sercu wrażliwość i potrzeba sympatii, przyjaźni, delikatności, o której wspomina Grzymała-Siedlecki. Listy do Lacka pozwalają odgadnąć to zjawisko. I przyznam, że jakimś akcentem przejmującej tęsknoty i potrzeby inteligentnej wymiany myśli wzruszają mnie te listy, tak ciekawe. Czymże bowiem był ostatecznie Lack dla Wyspiańskiego? Biednym, mało znaczącym, chorym na gruźlicę młodym krytykiem, którego znaczenie i rezonans pisarski nie dały się porównać np. z pozycją Wilhelma Feldmana, Lucjana Rydla, Kazimierza Tetmajera, Rudolfa Starzewskiego. Ci wszyscy pisarze byli dobrowolnymi i zażartymi obrońcami Wyspiańskiego, szermierzami jego spraw, protagonistami w walce o jego teatr. A przecież żadnemu z nich nie okazał tyle zrozumienia i przyjaznej potrzeby porozumienia, jak biednemu autorowi przenikliwych i inteligentnych studiów, który otrzymywał honoraria tylko dzięki przyjaźni krakowskiego lekarza, dr. Kupczyka, wpłacającego po kryjomu odpowiednie sumy — na rachunek pewnych redakcji... Jakże ostre i okrutne były nieraz odezwania się Wyspiańskiego wobec możnych i wielkich, najprzyjaźniejszych mu ludzi. Jak bezinteresownie (i przenikliwie) ocenił natomiast bezradnego Stanisława Lacka!

Podobno Wyspiański był w rozmowie towarzyskiej bardzo lakoniczny i pełen rezerwy. W owej rozmowie „na odległość" z przebywającym w Wenecji Stanisławem Lackiem wymagania jego, jak wspomniałem, nie mają granic. Wszystko go interesuje i o wszystkim chciałby prowadzić żarliwą rozmowę. Jakże pamięta tę Wenecję, w której przebywa jego korespondent! Jak ją widzi! „I cóż Wenecja? — pisze w jednym z listów (tym razem bez daty). — Zna Pan historię posągu Colleoniego? A wie Pan, że pod Bergamo jest zamczysko Colleoniego? A wie Pan, jest to, zdaje się zamczysko cudowne? A nazywa się Malpaga." I, jak zwykle u Wyspiańskiego, świat daleki, utkany ze wspomnień i wyobraźni, w zadziwiający sposób styka się ze światem codziennej obserwacji: „Za zapuszczonym arrasem — kurtyną cudów świętego Marka — domyśli się Pan ratusznej wieży Rynku Krakowa? Za arkadowaniem Pałacu

Dożów — kwiatowego ogrodu Fregowej, w którego szybach majaczy wenecki zburzony Kampanil? Zaś na jakiej barce, gdy Pan popłynie ku Murano lub Lido i gdy Pan będzie już wodą niebieską otoczony i gdy Pan posłyszy, jak woda pluszcze pod wiosłem — domyśli się Pan, że to przy stole u mnie w pracowni błękitnej Pan siedzi ze mną i tylko ściany pracowni na chwilę otwarto?".

Prawdę mówiąc, te listy — wiele ich ustępów — wydają mi się arcydziełami Wyspiańskiego. Nie przeznaczone dla publiczności (któż bowiem mógł przewidzieć, że ocaleją i kiedykolwiek zostaną wydrukowane?) w jednym króciutkim zdaniu, z tak rzadkim u Wyspiańskiego darem kondensacji, potrafią nieraz zawrzeć obraz niezapomniany. „Zadzwoni dzwonek klasztorny z ogrodu, za łąką w końcu Łobzowskiej ulicy — i nie wiem, czy na Lido dzwoni, czy Murano — świergoczą wróble w gzemsach kamienicy nad oknami siedzące, to kanarki słychać, jak przy Stasiu i Mietku w dziecinnym pokoju ćwierkają, nutę tę pomarańczową z cytrynowych ogrodów z Capri, z Neapolu — zwrócę się i za oknem widzę mgłę na polu — w powietrzu jest dziewiąta rano. Więdnąca róża we dzbanie na stole, we dzbanku z Kołomyi, a drugiej róży listki spadłe na stół." Ten jeden, zadziwiająco śmiały obraz, tak precyzyjny w swej „awangardowości" godnej najświetniejszych pisarzy dwudziestolecia międzywojennego, a więc prekursorski, owo „w powietrzu jest dziewiąta rano", tak wspaniale skondensowane określenie wszystkiego, czym może być dziewiąta rano „w powietrzu" dla poetyckiej wyobraźni — świadczy o pisarstwie Wyspiańskiego na przekór ludziom literacko niemyzykalnym, głuchoniemym czy ślepym, którzy dziś jeszcze negują wielkość tego pisarstwa!

Jan Wiktor ma z pewnością dużą zasługę, że te listy wyszukał, że się nimi pieczołowicie zaopiekował, że spowodował ich publikację. Ale myślę, że przecenia on chyba sprawę kandydatury Wyspiańskiego na stanowisko dyrektora krakowskiego teatru. Nawet w tych listach sprawa owa nie odgrywa takiej roli, jaką się jej przypisuje. „Raz spojrzeć przez okno — wsłuchać się w wiatru szum więcej ma wagi niż cała ta krzątanina — pisze Wyspiański i nie mamy powodu mu nie wierzyć. Jeśli się przejmował sprawą teatralną — to dlatego, iż wydawało mu się, że będzie mógł coś realnego zrobić. Miał przecież określony program repertuarowy, miał swoją koncepcję teatru, opracował nawet szczegółowe projekty inscenizacyjne. Znamienne, że w planie repertuarowym nie uwzględnił ani jednej własnej sztuki! „A rozumie Pan bardzo dobrze, że ja nie mojej przecie sprawy bronię" — pisał w liście z 8 kwietnia. Nie życzył sobie, by jego kandydaturę łączono z petycją dramaturgów, którzy zwalczali Kotarbińskiego z powodu nieporozumień osobistych. Plan repertuarowy Wyspiańskiego zdradza zamiłowania przede wszystkim szekspirowskie: *Antoniusz i Kleopatra, Koriolan, Król Lear, Makbet, Romeo i Julia, Ryszard III, Juliusz Cezar* — przy czym, rzecz szczególna, nie ma tu *Hamleta*, nad którym Wyspiański poprzednio latami pracował, na marginesie którego pisał *Śmierć Ofelii*, o czym wspomina szczegółowo w jednym z listów. A ponadto: Calderon i Wilde. (Natomiast niezwykle, moim zdaniem, trafnie pisze, jaką nudą przejmuje go Fryderyk Schiller.) Z polskiego repertuaru klasycznego interesuje Wyspiańskiego *Kleopatra* Norwida i *Irydion* Krasińskiego (plany zrealizowane grubo później, dopiero przez Horzycę i Szyfmana!), *Królowa* Faleńskiego, *Balladyna, Krakus* i *Beniowski* Słowackiego! A prace przygotowawcze, inscenizatorskie i organizatorskie (dobór zespołów) obliczał Wyspiański na rok. („Tutaj by trzeba roku stanowczej przerwy. To znaczy roku przygotowawczej pracy z ogromną ilością ludzi i dopiero widzę możność otwarcia teatru po roku. A to wszystko trzeba będzie wykonywać od razu i stopniowo.")

Ani razu, w żadnym liście nie podejrzewa Wyspiański, by kandydaturę jego zwalczano ze względów politycznych. Choć miał bardzo skrystalizowane i radykalne przekonania, choć Stańczyków zwalczał ostro, nie traktował Wyspiański opozycji przeciw swej koncepcji jako zemsty za Branickiego w *Weselu;* przecież wiedział, że najostrzej przez niego potępiony Dziennikarz (Rudolf Starzewski) był mimo to jednym z jego najgorętszych popleczników. Przecież zdawał sobie sprawę, że konserwatysta, prof. Ulanowski (wraz z Daszyńskim), do końca bronił jego kandydatury. My-

śl̨, że namiestnikowi i prezydentowi Leo kandydatura Solskiego była po prostu wygodniejsza, program bardziej zrozumiały, „rentowność“ przy tej kombinacji prawdopodobniejsza. Już raczej można by przypuszczać, że radykalne odezwania się patriotyczne, negowanie władzy i godeł austriackich w przemówieniach do Rady Miejskiej — mogły być nie na rękę dygnitarzom galicyjskim. Ale pamiętajmy, że czasy były wtedy w Austrii łagodne i dość sceptyczne. Przejmowano się tylko anarchistami rzucającymi bomby! Ale nawet Nowaczyńskiemu, który pochwalił zamach na cesarzową — niewiele złego się stało. Odbył tylko, przy pomocy rodzinki, przymusową wycieczkę do Monachium. Czyż trzeba więc tworzyć teorie o wielkiej intrydze politycznej przeciw poecie? On sam był, zdaje się, daleki od takich przypuszczeń. Wiedział, że kołtuństwo i zwykłe niedocenianie potrzeb prawdziwej sztuki najwięcej mogą zaszkodzić. Zabawne mi się wydają niektóre hipotezy zapalonych teatrologów: np. Jerzy Got w wydawnictwie *Wyspiański i teatr 1907—1957* przypisuje zwrócenie przez Marię Przybyłko roli Panny Młodej przed prapremierą — wyższej inspiracji. „Na 3 dni przed prapremierą *Wesela* Maria Przybyłko (zapewne nie z własnej inicjatywy) oddała rolę Panny Młodej.“ Zachwycające jest to „nie z własnej inicjatywy“ tuż przed przytoczeniem bileciku, w którym świetna aktorka wyraźnie uzasadnia zwrot roli względami tak dla kobiety i artystki decydującymi, jak brak kostiumu „odpowiedzialnego“ i obuwia! O naiwności uczonych komentatorów, jakiż im zaszczyt przynosi ta nieznajomość spraw ludzkich, teatralnych i kostiumowo-kobiecych!

Nie przypisując przesadnego znaczenia „krakowskiemu dramatowi dyrekcyjno-teatralnemu“, przyznaję — iż nie mogę się oderwać od samych *Listów*. Jak wiele nam one mówią o Wyspiańskim jako człowieku i jako twórcy! „Wszystkie osoby wszystkich dramatów chodzą po moim pokoju, po mojej pracowni, że przejść nie można. Ciasno się stało... Chodzą, mówią.“ Oto wyobraźnia dramaturga! Wenecja splata się w myślach Wyspiańskiego z Krakowem — podobnie pisząc *Achilleis* zaludniał postaciami homeryckimi dziedziniec i mury Wawelu. A nad tym wszystkim — ciągła, nieprzerwana obecność śmierci.

Czy (Panu) kiedy w oczy śmierć zajrzała?
Mnie ona w oczy patrzy co dzień...

Wydanie tej pięknej książeczki, ze wstępem Jana Wiktora, z bardzo cennymi objaśnieniami i komentarzem Jacka Susuła, w uroczej szacie graficznej — to nie tylko zasługa, ale wręcz praca odkrywcza krakowskiego Wydawnictwa Literackiego. Ale czemu tak niski nakład: 1500 egzemplarzy?!

Wojciech Natanson

P. S. Inteligentny i staranny komentator, Jacek Susuł, pisze w związku ze wzmianką zawartą w jednym z listów Wyspiańskiego, iż nie udało mu się ustalić, kim jest „Toinetta“, o której Wyspiański wspomina w jednym z listów. Zdaje mi się, że rozwiązałem tę zagadkę. Chodzi po prostu o subretkę z komedii Moliera *Chory z urojenia*. Rzecz jest o tyle ciekawa, iż dowodzi zainteresowania Wyspiańskiego dla Moliera i brania pod uwagę Molierowskich komedii przy projektowaniu planów repertuarowych.

W. N.

„DORYCKI KRUŻGANEK“

Leopold Buczkowski: *Dorycki krużganek*. Warszawa 1957. PAX; str. 272.

O Czarnym potoku mówiło się, że to początek trylogii. *Dorycki krużganek* miał być jakoby ciągiem dalszym. Tych, którzy liczyli na kontynuację chronologii i wątków *Czarnego potoku*, spotkał zawód. Przeciwnie, w *Doryckim krużganku* cofamy się o dwa lata (rok 1941), spotykamy ludzi, których po-

grzebaliśmy w *Czarnym potoku*, jak i paru tych, którzy pozostali do końca na kartach tamtej książki. Nie jest to jednak sprawa prostego przestawienia kompozycyjnego. *Dorycki krużganek* nie jest retrospekcją w stosunku do *Czarnego potoku*. Ani fotografia nie uzupełnia i nie wyjaśnia późniejszych spraw w *Czarnym potoku*, ani rysunek tych samych postaci nie poszerza i nie uwypukla znanych nam indywidualności. Jeśli chodzi o postacie, następuje odwrócenie: nie mielibyśmy żadnego stosunku np. do Leita i Szeruckiego z *Doryckiego krużganka*, gdybyśmy ich nie znali z *Czarnego potoku*. Istnieją więc między obu tymi książkami jakieś drobne powiązania, czasem jakieś przewrotne ciągi epickie, w gruncie rzeczy są one jednak pozorne. *Dorycki krużganek* jest zupełnie odrębną książką. Odrębną przy tym, co ważniejsze — problemowo i stylowo. Ale jednocześnie dającą się odczytać chyba jedynie w kontekście całego pisarstwa Buczkowskiego, pisarstwa obejmującego wprawdzie poza *Krużgankiem* dwie książki, lecz rozpoczętego dwadzieścia lat temu i posiadającego wyraźne, indywidualne cechy.

Wyrasta ono całkowicie z przedziwnego kąta Europy, pogranicza Podola i Wołynia, wspólnej ziemi Żydów, Ukraińców, Polaków i Rosjan, rozrywanej wciąż nowymi granicami, a właściwie bezpańskiej, ziemi wielkiej urody, bogactwa i nędzy ludzkiej, kraju, który dla iluż ludzi na świecie był rzeczywistą ojczyzną. Sagą o tym kraju, jego życiu, zagładzie i przeszłości jest pisarstwo Buczkowskiego.

Przy całej swej wyjątkowej osobliwości i egzotyce, którą świetnie zna Buczkowski, kraj ten zawierał dla pisarza jeszcze jedną, naturalną niemal pokusę: odległy od wielkich spraw i wielkiej polityki, zapominany na lata całe „przez Boga i ludzi", a dostatecznie skomplikowany w swoim wewnętrznym układzie, dawał jakby naturalną okazję do metafory, do pisarskiego tworzenia mikrokosmosu. Skupiał dość wiele i w bezpośredniej wyrazistości, by kusić uogólnieniem, tropieniem praw życia, sensu ostatecznych spraw ludzkich. Buczkowski tę ofertę na „drugie dno" przyjął. Z początku rzeczywiście w sposób integralny.

Cała opowieść *Wertepów* i *Czarnego potoku* przesycona jest dojmującą zmysłowością. To nie jest tylko świetna znajomość terenu i wierna pamięć, sprawiająca, iż jesteśmy pewni, że autor nie pomyli ścieżek Dolinoszczęsnej, Zaserecia i Hrynianki w *Wertepach*, że nie zgubi drogi przez las czy brzeźniak i rozpozna po zgliszczach spaloną wieś w *Czarnym potoku*. Nie jest to też tylko plastyka wizualna, wyczulenie oka, łatwo dające się skojarzyć ze zdolnościami plastycznymi Buczkowskiego. Jest to zmysłowość pełna, równe uwrażliwienie na kształty, barwy, dźwięki, smaki i — może przede wszystkim — zapachy. W *Wertepach* różnorako pachnie na każdej karcie ziemia i jej plony. Rozmaicie, lecz nieustannie cuchnie człowiek. Ten w pełni zmysłowy odbiór świata w pierwszej książce Buczkowskiego zawiera też prawie całą jej filozofię. Człowiek jest przeważnie brzydki i cuchnie, a gdy dowiadujemy się czegoś o jego psychicznym wnętrzu, zwykle na dnie coś też paskudnie zalatuje. Prawa życia są regulowane prawem silniejszego, instynkty wyładowują się bez okiełznania. Wszystkie warstwy książki przeniknięte są wspólnym, biologiczno-zmysłowym rytmem, ostrym aż do brutalności. Jednakie jest dno ludzkich spraw, natomiast zróżnicowana i bogata jest bardziej powierzchniowa charakterystyka, od zewnętrznej sylwetki poczynając aż po język, którego wszystkie odmiany środowiskowo-żargonowe autor świetnie zużytkowuje. I w tej książce jest już natłok postaci, spraw, wątków, urywanych, poszarpanych lub kondensowanych do paru zdań zakończenia, wszystkie one jednak gdzieś w końcu kulminują, tak że owo zagęszczanie daje spotęgowany efekt tajemniczości i grozy wiejącej z dżungli ludzkiej.

Wertepy są najbardziej jednolitą i jednorodną książką Buczkowskiego.

W *Czarnym potoku* ta kondensacja zmysłowości staje się bardziej wyrafinowana, ale mniej wszechogarniająca. Bardziej wyrafinowana — bo przecież obejmuje zupełnie inne elementy. Głód przestał być zdrowym apetytem, jest głodem, od którego się mdleje, ziemia nie pachnie już jedynie własnymi, wspaniałymi woniami, unosi się nad nią nieustannie duszący, nie do odegnania odór palonych żywcem miasteczek i wsi. Niemniej właśnie ta cała zmysłowa groza zagłady, całe niczym przez autora nie stuszowane okrucieństwo — to najmocniejsze karty *Czarnego po-*

ku. Buczkowski jest mistrzem epizodu i choć drażni czasem już w tej książce daremność dociekań fabularnych, zawiązane i porzucone problemy i wątki, to ostaje się ta książka, jeśli ją nawet potraktujemy jako zbiór luźnych epizodów, notowanych na nie zawsze uchwytnych zasadach pamięciowego kojarzenia. Ich wstrząsająca wymowa i wyrazistość dają się zestawić z opowiadaniami obozowymi Borowskiego. Są nie do wymazania z pamięci.

Stylistyka Buczkowskiego zmienia się w *Czarnym potoku* tam, gdzie dochodzi do spraw ludzkich, a przynajmniej kilku pierwszoplanowych postaci. Prawda, że z natury sytuacji faktyczno-historycznej (jest rok 43, koniec „likwidacji" Żydów) napór spraw ostatecznych na ludzi rośnie. Ich myśli i rozmowy mają najbardziej zasadnicze dominanty. Na rzecz wydobycia tych właśnie spraw najistotniejszych zrezygnował Buczkowski z różnicowania postaci zależnie od ich pochodzenia, narodowości, wykształcenia, z całej otoczki obyczajowej, którą tak świetnie zna. Co więcej — zatarł nawet różnice kategorii kulturalno-myślowych. Ksiądz Bańczycki, medyk Chaim, tragarz Szerucki czy prowok Gail nie tylko mówią tym samym abstrakcyjno-alegorycznym językiem (*notabene* w lot chwytając wzajemne aluzje, bynajmniej nie zawsze dla nas jasne), ale i kategorie ich myślenia są wspólną zbitką antyczno-biblijno-chrześcijańskiej kultury. Ta wyabstrahowana unifikacja służy szerszej metaforze ginącego świata. W takich przecie z grubsza pojęciach kształtowały się problemy i postawy ludzkie. To sprawia, że owa umowność w *Czarnym potoku*, choć odstaje od zasadniczej tkanki książki, nie robi wrażenia fałszu. Krąży bowiem wokół rzeczywistych problemów psychologiczno-moralnych naszego czasu — jak np. granica wewnętrznej wolności człowieka lub kwestia, czy cel uświęca środki itp. W zakończeniu książki część tych spraw kumuluje się nawet jakoś fabularnie. Prawie wszyscy z niedobitków bandy Chuny Szaji odchodzą do innej bandy, która bez skrupułów zdobywa broń i nie waha się rozbojem walczyć o żywność. Zostaje sam lekarz Chaim, człowiek, który ma skrupuły, czy można odebrać pieniądze kryjącemu się po lasach staremu, obłąkanemu Żydowi, pieniądze, które zapewniłyby pożywienie i odzienie dla ostatnich, tułających się dzieci żydowskich. Tragarz Szerucki, odchodząc od Chaima, twierdzi, że robi to właśnie dla ratowania dzieci. I mimo chaosu i niejasności wątków, mimo częstego sublimowania spraw w abstrakcję, odbiegającą od książki, *Czarny potok* ma ciężar współczesnego czasu i rzeczywistych, możliwych konsekwencji postaw ludzkich.

Dorycki krużganek to rok 41. Zagłada nie została jeszcze dokonana, ale jest już przesądzona. I jest rzeczą naturalną, że w takiej chwili „czas odwraca lice" i autor poprzez postacie swojej książki stara się „ocalić od zapomnienia" przeszłość tej ziemi, jej daleko sięgające folklorystyczne tradycje i osobliwości. Ten wątek, w którym legenda plącze się z faktami, traktowany oddzielnie i pod kątem stworzenia baśni-wspomnienia, sam w sobie wystarczyłby na książkę i jest też w *Doryckim krużganku* jedyną osią koncentrującą uwagę. Ale i ten wątek — jeśli w *Doryckim krużganku* o wątkach w ogóle mówić można — został potraktowany na innych zasadach. Jego główny impresario — to prowadzący przesłuchanie major SS, w cywilu historyk sztuki, który marzy, aby przy okazji zrobić film dokumentalny z tego terenu, zanim wszystkie jego nawarstwienia kulturalne ulegną zniszczeniu. Postać zresztą banalna, jeszcze jeden wariant dobrze znanych SS-manów muzyków czy melomanów. Przed nim to snują swe opowieści księgarze i antykwariusze, szperacze i znawcy tego kraju, najstarsi ludzie w mieście. Sięga to wszystko głęboko w wiek XIX, fakty plączą się z legendą, tok mąci się i urywa. A jednocześnie jest to przecież śledztwo w sprawie zabójstwa włoskiego dezertera i zaginięcia brylantu kahału. Opowieści te mają służyć wyjaśnieniu tych spraw. Mają być i aktualnie znaczące. Oczywiście nic nie wyjaśniają. Robi się z tego tylko jakiś przedziwny splot, historia surrealistyczna, której sens, kojarzenia, „dno" nie są łatwe do uchwycenia. Gdzieś istnieje początek i koniec spraw ludzkich — zdaje się sugerować autor — i one dopiero tworzą prawdę. Ale początek tonie w przeszłości, a koniec w śmierci lub nieprzeniknionym wnętrzu ludzkim, i skazani jesteśmy tylko na drobne okruchy. A może cała ta fantastyczna historia to tylko odpowiednik chagallowskich wizji,

które o wiele więcej pasowałyby tu niż doczepione do tekstu, dziergane z troską o drobny obyczajowy szczegół rysunki autora. W tej książce nastąpiło zupełne rozszczepienie Buczkowskiego-pisarza i Buczkowskiego-rysownika. Buczkowski jako rysownik pozostał wyłącznie przy charakterystyce obyczajowej, tak drobiazgowej, jakiej pisarz nie miał nawet w *Wertepach*. Buczkowski-pisarz poszedł stylowo w zupełnie innym kierunku. Nie tylko bowiem owo przesłuchanie, ciągnące się zresztą przez większą część książki, ma charakter wizyjno-surrealistyczny. Przenika on i resztę książki, jej partyzancką w zasadzie fabułę. Ramy faktów i wątków są w tej książce już ledwie zaznaczone, trudno odnaleźć nawet jakieś kojarzeniowe ciągi. Jednocześnie poszczególnym epizodom zabrakło samoistnego życia, odzmysłowiła się bowiem narracja, opis nabrał też syntetyczno-wizyjnych cech. „Wśród tego jakiś piesek przeleciał w szalonej trwodze. Wymaszerowujący z miasta byli zatwardziałymi pedantami — wielu z nich niosło słowniki niemiecko-polskie lub księgi rachunkowe. Najstarsi nieśli w pazuchach księgi ze statystykami oszukaństwa, przechwalania, księdzowania, królowania, filozofowania i kazamatowania. Na co mówić o wielkich widowiskach. Dwa dni letnie trwał wymarsz. Na przedmieściach leżały stosy pocisków armatnich, plecaki, notesy żołnierskie, lornetki, jaszcze, konie rozmaitej maści, czarne kupy ziemi, powieści opisujące bitwę pod Wagram i prostaczkowie rozebrani do naga, w pozycjach takich, jakby mieli zaraz stoczyć z kusicielem najdziksżą bitwę, a najmłodsi z pootwieranymi ustami do śpiewu: lećcie sobie fałszywe cienie nadziei, i o was nie dbam, nędzne widma strachu. Przed nimi leżało miasto z wszystkimi swoimi piekarniami, maszynami krawieckimi, centryfugami, fabryką octu, syreną przeciwlotniczą, obracającymi się kapeluszami na wystawach, vitamultiną, szybami oblepionymi paskami papieru i kwitnącymi sadami.

Czy tu się odbywały jarmarki na gałgany?

Nie tylko na gałgany. W każdy piątek wieczorem sprzedawało się włóczęgom diabły, jako towar na niedzielę i sobotę do niczego nieprzydatny. Kilka nasion diabelskich policja zachowywała na zawsze (ze stulecia na stulecie) dla siebie, szczególnie szef tego działu, w wielkiej tajemnicy, podczas dwóch spokojnych nocy, poddawał się estetyzowaniu nasion i oddzielał charakterystyczne wątki dotyczące bulwarów, parków miejskich, starej architektury za teatrem i karczem na rozdrożu."

Nastąpiła też zupełna już unifikacja językowa poszczególnych postaci. Wszyscy mówią językiem alegorii, paradoksu, przypowieści, często erudycyjno-mitologicznej. Jednocześnie zaś coraz częściej nawiedza te postacie „demon snu", jak mówi autor, i z tych majaków sennych komponuje się głównie postać narratora. A gdy chwilami stara się autor odtworzyć prosty tok mówienia, popada, rzecz nie do znalezienia w *Wertepach* czy *Czarnym potoku* — w szare gadulstwo. Rzeczywistość w *Doryckim krużganku* rozpłynęła się zupełnie, zamazały się kontury ludzi, spraw i czasu. Pozostała jedynie atmosfera tym razem sztucznego napięcia, konstruowanego poprzez natłok postaci i rzucanie coraz to nowych zagadek, splotów sytuacji, tajemniczego markowania i niedomówień. Jeżeli jednak z tej angażującej czytelnika aparatury nic bezpośrednio nie wynika, a wciąż zostaje podtrzymywana sugestia, że autor jednak „coś wie", że to wszystko jakimś wyjaśnieniom służy, cały ciężar poszukiwań czytelnika przechyla się na rozszyfrowywanie „głębszego" sensu, dociekanie metafory, dna itp. Cała stylistyka książki skłania zresztą do tego. Już tak jakoś dość powszechnie się mniema, że umowność, skrót, alegoria, wizja sprzyjają poszerzeniu czy pogłębieniu naszych wyobrażeń.

W *Czarnym potoku* zarysowująca się już umowność służyła, lepiej czy gorzej, uogólnieniu czy wysublimowaniu rzeczywistych problemów. W *Doryckim krużganku* ów świat sennych majaków, tajemniczych zdarzeń, kuglarstw losu, baśniowych przypowieści, plączących się ludzi daje się najwyżej raz jeszcze przyrównać do snu wariata czy clowna lub wzbudza refleksje w rodzaju: dziwny, tajemniczy, niedocieczony. I to już jest owo „dno" książki, nic nie prowadzi dalej w głąb. Wyeliminowana została zmysłowa, bezpośrednia obserwacja i element świadomości. I mimo pozorów szerszego traktowania — świat Buczkowskiego zacieśnił się i zubożył.

Zaciążył też chyba znany, surrealistyczny sztafaż, zacieśniający nawet i krąg udziwnień. Bo obok dziwaków, kolekcjo-

nerów, antykwariuszy z przesłuchania (może jakieś wspólne echo słynnego Zukerhandla z Brodów?) główną postacią wśród partyzantów jest Algo, jarmarczny prestidigitator i poeta, wprowadzający cały klimat ludowo-jarmarcznej magii, jak i zespół grajków z opowiadania Chajesa. Ten lumpen-światek i świat samorodnych artystów, traktowany bezpośrednio, jak to już powiedziałem, mógł stać się piękną opowieścią o zaginionym folklorze tamtej ziemi. W roli niesamoistnej, często tylko w roli sztafażu, sprowadzony został do jeszcze jednego elementu zacieśniających udziwnień.

Doryckí krużganek jest na pewno konsekwencją niektórych dotychczasowych cech pisarstwa Buczkowskiego, wyborem z propozycji, które od genezy zawierało. Trudno powiedzieć, na ile to jest wybór świadomy i na ile przekształcenie jest trwałe. Osobiście tropiłam w *Doryckim krużganku* raczej te cechy, które zanikły, a które dotychczas budowały, moim zdaniem, pisarstwo Buczkowskiego. Czasem przewinął się szczątek jakiegoś dawniejszego, obsesyjnego problemu, jak np. motyw dzieci, pełniący i w *Wertepach*, i w *Czarnym potoku* rolę elementu różnicującego ostatecznie ludzi, samoobrony psychicznej dorosłych i czynnika zmieniającego ich postawę w sposób, najogólniej mówiąc, uszlachetniający. W *Czarnym potoku* jest to zresztą jeden z naczelnych motywów, ukazany przy tym z siłą i wymową nie mniejszą niż w *Krucjacie dziecięcej* Brechta. W *Doryckim krużganku* scena spotkania małej Edzi rzutuje w podobny sposób na psychikę narratora: „W tym miejscu ujrzałem pierwszy raz węzeł dławiący i zaraz zacząłem go rozwiązywać i poczułem się wolnym."

Poszukiwanie szczątków i śladów to jednak zadanie żałobników. Nie chcę bynajmniej uprawiać żałoby nad pisarstwem Buczkowskiego z powodu jego ostatniej książki. Myślę, że trud przedzierania się przez gąszcz ludzi, sytuacji i spraw, który nam zawsze aplikuje autor, i dalej, jak w poprzednich książkach, nie będzie daremny.

Wanda Leopold

DEBIUT POWIEŚCIOWY JANA BRZECHWY

Jan Brzechwa: *Gdy owoc dojrzewa*. Warszawa 1958. Klub Interesującej Książki. PIW; str. 468.

Wśród nowości powieściowych ostatnich lat ta książka przypomina raz jeszcze prawem kontrastu o kryzysie tradycyjnych form, tradycyjnych postaw literackich. Brzechwa napisał powieść o swym dzieciństwie spędzonym w Rosji i na Ukrainie przed Wielką Wojną. Wkraczamy w jakże znany klimat literacki: inżynierowie polscy jadą na Wschód szukać szczęścia, kariery, majątku. Należą do najbardziej światłych i postępowych grup inteligencji w rosyjskim państwie, są nosicielami idei wolności narodów i wrogami caratu. A równocześnie nieunikniony proces asymilacji wciąga ich w kulturę rosyjską, w krąg języka, szkoły, do której chodzą dzieci, sztuki, upodobań, gustów. Życie każe im zawiązywać przyjaźń z sąsiadami, kolegami i znajomymi, zbliża do ludzi, tworzy związki uczuciowe. Marzenie o Polsce niesie zaś ze sobą ogólnikowe przekonania polityczne, pochodzenie otacza nimbem jak gdyby szlachetności, niezawinionej krzywdy i cierpienia. Wyróżnia i zobowiązuje. Na kartkach powieści naszych XIX-wiecznych realistów spotyka się pełno tych postaci: Wokulskich, Baryków, Ostrzeńskich — ludzi, którym sytuacja gospodarcza stwarzała szczególną szansę. Którzy w najszczęśliwszych wypadkach wracali z Rosji z majątkiem albo przynajmniej o powrocie marzyli. Ale Wschód ofiarowywał znacznie szersze możliwości. Stanisław Bernardowicz, ojciec małego Adama, narratora wydarzeń, przyjeżdża w pewnym momencie do kraju, próbuje tutaj znaleźć zarobek. Niestety, nie okazuje się to możliwe. Inżynier wraca do cesarstwa, tam perspektywy są o wiele bogatsze.

Konstrukcja powieści jest więc oparta na starej i mocnej zasadzie socjologicznej: przemiany społeczne, gospodarcze, polityczne rozstrzygają o życiu rodziny Adama, o warunkach pracy ojca, o atmosferze wewnątrzrodzinnego życia. Stopniowo przebiegające i potężne procesy decydują o świadomości postaci, o ich świecie uczuciowym. Wszystkie czyny, całe postępowanie bohaterów odnajdzie w nich właśnie swoje źródła, ta epoka stworzyła przecież socjologię, stworzyła realizm literatury nie jako pojęcie, ale wniosła ze sobą jakieś nowe treści, które tym słowem najlepiej można określić. Nauczyła wiedzy o procesach społecznych, znajomości ich źródeł i nawet umiejętności ich przewidywania. Ten świat najlepiej być może przez realizm odtworzony, bo prawa realizmu rzeczywiście nim kierują: jest koniunktura, człowiek znajduje pracę, więc rodzina jest szczęśliwa, kultywuje szlachetne ideały ludzkości. Potem przychodzi rewolucja, z jej klęską zwycięża reakcja, rodzina ubożeje, podlega dezintegracji, rozprzęga się, odstępuje od dawnych upodobań. Znajomy świat: uczciwi ludzie zbliżają się do rewolucji powodowani samym tylko odruchem moralnym, sytuacja klasowa daje najtrafniejszą ocenę ludzkich czynów, doświadczenie kulturalne wzbogaca i ulepsza człowieka. Znajomy świat: to ten właśnie, w którym wszystko potwierdza bezwzględną formułę socjologów: zmieńcie społeczne warunki życia ludzkiego, a zmienicie z nimi człowieka. Literatura realizmu zapadłej w przeszłość epoki nie kłamała. Zanim wykryto komplikacje prostych prawd, dzieje zdawały się je potwierdzać.

Powieść Brzechwy przebiega tradycyjnym torem: rodzina Stanisława Bernardowicza pragnie żyć godnie, podług tradycyjnych norm, które przyszłość tym skuteczniej zdają się realizować. Warto więc wierzyć w przyszłość, warto dążyć do jej nadejścia. Tchnienie ładu moralnego zawieszonego nad światem ludzi, ładu opartego na solidarności, na wzajemnej pomocy przenika literacką rzeczywistość. Kto przełamuje ten ład — zostaje ze świata uczciwych ludzi wyklęty, jak Markow czy przy końcu powieści Aliosza. Markow robi to dla brudnych zysków, inaczej więc zostaje oceniony niż Aliosza kradnący z miłości. Jakże często zazdrościć przychodzi skutecznym rozeznaniom polityczny i moralnym rodziny Stanisława Bernardowicza. W tej epoce warto być dobrym, bo ona wartości rzeczywiście pragnie realizować, tak jak warto być postępowym, kiedy postęp w oczach się urzeczywistnia. U Brzechwy dostrzec można siłę poznawczą realizmu, ukrytą w wielu wątkach socjologię, historię klas i grup, ich cele, ideały i wzajemne stosunki — i jednocześnie całą jego staroświecką dla nas naiwność, absolutną i niewzruszoną aprobatę dla współczesnego wydarzeniom życia — społecznego i moralnego rozwoju. Wszystkie szlachetne nakazy mieszczańskich reformatorów: oświecenia, solidarności, wychowania w duchu humanizmu i postępu przypominają się tutaj raz jeszcze jako strzegące uroków tej epoki bóstwa. W nasz czas nie moglibyśmy ich przenieść, a przynajmniej nie wszystkie. Działa tam zło, istnieją tragiczne sprzeczności, ludzie ponoszą klęski, cierpią, są nieszczęśliwi i bezsilni. A przecież suma ich doświadczeń jest dziwnie pozytywna i tej nadrzędnej, tak miłej naszemu sercu wiary w świat autor uważnie strzeże. Ojciec rodziny jest jej ośrodkiem. Podobnie jak w epice Marii Dąbrowskiej, tak i tutaj zaufanie do życia opiera narrator, a przez niego także inne postaci, na sprawiedliwości protoplasty rodu, przedmiotu podziwu i miłości, kierującego się z tak godną zazdrości nieomylnością ku właściwym celom: tym, które się nigdy nie kompromitują. Stiebłowa, egzaltowana emancypantka, określa ojca na którejś stronie jako człowieka, który narzucił sobie pewien rygor postępowania i realizuje go wbrew namiętnościom. Uważa, że jest jednym z ludzi, którzy uszczęśliwiają innych, ale sami nie są szczęśliwi. Narrator nie wtrąca tu żadnego komentarza, ale cała powieść mówi o jego rodzinie: jak długo jesteśmy uczciwi, jak długo nie zdradziliśmy — żadna klęska nie jest nam straszna. Prosta moralistyka wiąże się więc doskonale z realizmem jako zasadą stylu, z postępem jako najważniejszą przesłanką ideową. Giną lub kompromitują się ci, którzy życie próbują rozegrać inaczej, niezależnie, próbują wyłamać się z ustalonych norm. Świat trzeba aprobować wraz z jego zasadami.

Obok staranności w odtworzeniu tego życia wraz z jego miarami i wyobrażeniami piórem autora kieruje także

inna ambicja, znacznie nam bliższa cenniejsza, ujawniająca się przy kreacji postaci. Powieść *Gdy owoc dojrzewa* napisana jest w pierwszej osobie, a więc uporządkowane kształty świata są własnością narratora — dojrzewającego chłopca. To jego pojęcia podsuwają autorowi odpowiednie słowa i określenia. Narrator odkrywa dopiero prawdziwe źródła ludzkich czynów, styka się coraz częściej z racjami, które podważają prosty i jasny, z domu wyniesiony obraz świata. W miarę jak zainteresowania jego przesuwają się ze spraw domu, rodziców, służby na wszystko, co przeżywa sam i poza domem: na kolegów, przyjaciół, szkołę, wreszcie miłość — także i obraz świata ulega rosnącej komplikacji. Zwykłe pojęcia, zwykłe oceny, które nie budziłyby żadnych wątpliwości w kręgu rodzinnym, łamią się i plączą. Pierwsze dziecięce odkrycie świata było odkryciem płci, przeżyć, które ludzie ukrywają i które wiążą ich podniecającymi tajemnicami. Panna Kazimiera podpatrzona z Alioszą w gęstwinie domowego ogrodu jest pierwszym doświadczeniem, którego rodzicom wyjawić niesposób, brak słów, brak określeń dla jego nazwania. Tak samo postaci rodziców poczynają stopniowo tracić swe zwykłe kształty, podlegać prawom psychologii, mieć swoje złe momenty i złe afekty, podziw dla ich autorytetu zamienia się w wyrozumiałość, serdeczność, ale i obcość. Upadek autorytetu usuwa ich także z centrum dziecięcego zainteresowania. Bohater szuka bezustannie spraw ważnych, najważniejszych, rzeczy obłaskawione przestają go automatycznie pasjonować. Zdobywanie wiedzy o świecie polega na ciągłym burzeniu hierarchii i potrzebie budowania jej na nowo, inaczej, już na podstawie własnych doświadczeń. I zjawia się jeszcze coś ważniejszego: poczucie niezależności wewnętrznej, potrzeba chronienia się we własne racje i własne przyjemności, konieczność izolacji dla odszukania własnego, autentycznego nurtu przeżyć. Uwagi, jakie słyszy Adaś o swoim postępowaniu, coraz skuteczniej dają mu do zrozumienia, że jego racje osobiste i oceny innych ludzi — to dwie rozbiegające się w różnych kierunkach linie. Brzechwa jest dosyć ostrożny w demonstrowaniu tego mechanizmu rozwojowego, psychologię bohatera podaje czytelnikowi z powściągliwością. Nie chce przede wszystkim rozbić zbyt daleko posuniętą subiektywizacją czytelności ogólnego obrazu. Subiektywne odczucia Adasia zjawiają się tylko jak ostrzeżenia czy raczej przystanki, na których autor może prywatnie sobie westchnąć: jakże byłem niesprawiedliwie traktowany. Zaraz jednakże przypominają o sobie wszystkie konieczności realisty i autor wraca do obiektywnego toku.

W ten sposób dyskretna subietywizacja obrazu nie zniekształca, osnuwa go tylko liryczną mgiełką. Podobnie i inne aluzje literackie. Adam mógłby w niektórych momentach zamienić się stopniowo w bohatera powieści Joyce'a, sporo jest w jego narracji elementu wewnętrznej izolacji, dążności do stworzenia sobie własnych miar świata. Ale mógłby także stać się bohaterem tragicznej samotności ze swym poczuciem obcości, inności od wszystkiego, w co każą mu wierzyć i co ma naśladować. Nie chodzi mi wcale o odszukanie w tradycyjnie zakrojonej powieści nowszych wpływów artystycznych, ale o pokazanie, że niemożliwością jest dziś utrzymać w prozie pewien stary typ wizji artystycznej. Autor musi wejść na teren nowych doświadczeń i w jakiś sposób na nie zareagować.

Można mieć natomiast za złe Brzechwie ten eklektyzm w prowadzeniu narracji. Mimo bowiem takich czy innych literackich aluzji powieść pozostaje w ogólnym wyrazie dosyć wtórna. Rządzą nią w gruncie rzeczy wspomnienia, zaduma nad przeszłością, elegia jest w niej znacznie wyrazistsza niż jakakolwiek konstrukcja. Książka to więc bardziej dla czytelników niż dla krytyka, bardziej do lektury niż do intelektualnych dywagacji. Ciekawostka psychologiczna, wydarzenie, które przypomniało smak dzieciństwa, są znacznie ważniejsze niż nastręczająca się okazja artystycznego eksperymentu. Krytyk będzie się krzywił, że powieść jest gawędziarska, „łatwa" w konsumcji, mało podsuwająca literackich problemów, a czytelnik w prostej elegijności odnajdzie właśnie jej urok. Niewątpliwie bowiem socjologiczny zakres wspomnień Brzechwy jest nowością w naszej literaturze. U Prusa czy Dąbrowskiej wyjazd do Rosji skazywał już postać literacką na przemilczenie, u Żeromskiego znów zamieniał ją od razu w medium rozterek patriotycznych. Brzech-

wa daje swojemu czytelnikowi inną, zwyklejszą satysfakcję: jego bohaterowie żyją poza kręgiem kompleksów tego rodzaju, krzątają się koło bardziej codziennych spraw. Znamienne, że przez pięćset stron powieści ani razu nie rozmawiają o Polsce, nic im się w tym względzie nie śni, ani cienia w tych sprawach egzaltacji. Owszem, w rodzinie Adama więzy z krajem ojczystym istnieją, są one jednakże wyrażane z chwalebnym umiarem. W ogóle Brzechwa uczynił swoich bohaterów większymi racjonalistami niż bywają zazwyczaj postaci naszej epiki: bohaterowie jego pozbawieni są ukrytych tęsknot, pasji niszczących plany i skrytych namiętności. Żadnych przez pokolenia odnawiających się pragnień rodzina Stanisława Bernardowicza nie dziedziczy. Jeśli klasyczna epika odwołuje się zawsze wstecz, do spraw i wydarzeń, które poprzedziły rzeczy opisywane, Brzechwa rozpoczyna wszystko od dzieciństwa Adama. On jest narratorem i od jego pierwszych przeżyć rzecz bierze swój początek. Czytelnikowi nie sprawia to oczywiście żadnej różnicy, ale krytyk dopatrzy się i tutaj eklektyzmu: autor podjął uroki gatunku, ale usunął się od obowiązków. Daje obraz inteligenckiej rodziny w mieszczańskim społeczeństwie, ale ani nie cofa się, aby dzieje jej wyprowadzić z historii, ani nie zarysowuje perspektyw przyszłości. Od tego czuje się zwolniony, bo historię relacjonuje nie autor, lecz narrator, który w tym nie ma rozeznania.

Tak więc — aby zreasumować rozważania — powieść Brzechwy jest wszystkim po trochu: realizmem dziewiętnastowiecznym o perypetiach inżyniera polskiego, który wraz z rodziną szuka szczęścia w dalekiej Rosji. Ten nurt mieści w sobie wiele socjologii, materiału historycznego, mówi o klasowych antagonizmach, o proletariacie, o związkach ideowych Polaków z postępem. Te są treści dla czytelników o skłonnościach naukowych, dla ideologów i marksistów, dla szukających dokumentu o epoce. Potem jest psychologia narratora, obraz jego dojrzewania, krystalizowania się jego świadomości, pierwszych konfliktów z kolegami, profesorami, całym światem. To znów materiał na powieść nowoczesną o wydzielaniu się jednostki, o kreowaniu własnych miar i ocen, o kryzysie norm społecznych. Ale tutaj można by oczekiwać od autora znacznie więcej, materiału zdaje się mieć ilość większą, aniżeli wykorzystał. Mógłby tu być śmielszy, bardziej koncepcjonalny. Szansa nie została wykorzystana, Brzechwa czyni tylko aluzje do istniejących możliwości. Woli najczęściej zamknąć zarysowany obraz czy konflikt ogólnikowym westchnieniem, że coś tam minęło, zakończyło się, że upłynął czas... Natomiast własnych propozycji intelektualnych nie przedstawia. Bohater mógłby przecież szerzej przeżyć perypetie z siostrą, matką, przyjaciółmi, jego profil wewnętrzny nasuwa w tej mierze różne możliwości. Brzechwa utrzymuje go w granicach przeciętności, unika ostrzejszych spięć i wyrzeka się tym samym szansy dla innej problematyki.

I wreszcie nurt najżywszy z czytelniczego punktu widzenia, z wyraźniejszym komentarzem lirycznym, z zadumą i nastrojem — to wątek wspomnień dziecinnych: domu, rodziców, służby, pierwszego zetknięcia się ze śmiercią bliskiego człowieka, ze szkołą, z nietolerancyjnym przyjacielem i niesprawiedliwym wychowawcą. Ten tok pozostawia najsilniejsze wrażenie, najwięcej w nim osobistego, autorskiego zaangażowania. I kreska pisarska jest tu najsubtelniejsza, najcieńsza, postaci widziane z tej perspektywy wydają się najpełniejsze.

Eklektyzm artystyczny powieści wynika przeto z posługiwania się kilkoma konwencjami, nie przeczącymi sobie zresztą. Książka jednak w rezultacie traci szansę na stworzenie sobie własnego oblicza, własnej sprawy, własnego stylu. Pozostaje tradycyjną, interesująco i kulturalnie napisaną elegią.

Włodzimierz Maciąg

RAKIETA NA WIRAŻU

Stanisław Lem: *Dzienniki gwiazdowe*. Warszawa 1957. „Iskry"; str. 258.

Stanisław Lem dawno już zerwał z poetyką realistyczną, z weryzmem. Obiektywnie rzecz biorąc — stała się szkoda: ambicje i osiągnięcia pewnych partii *Czasu nieutraconego* przekonują bowiem, że pisarz ten zna dobrze prawo wielodenności owej poetyki, że potrafi poprzez codzienne konkrety dotrzeć do szerokich, filozoficznych uogólnień. Ponieważ zaś rozporządza dużą kulturą nie tylko humanistyczną, lecz także przyrodoznawczą i socjologiczną, zainteresowaniami doprawdy luksusowymi na tle współczesnej polskiej prozy — należałoby namawiać go, by powrócił na opuszczone przez siebie szlaki.

Znane są jednak wydawnicze dzieje *Czasu nieutraconego*.

Lem zareagował na nie jak zawiedziony kochanek. Skoro poetyka ta zdradziła go, skoro przyniosła mu tyle kłopotów — należało ją ukarać. Niech nie myśli, że jest jedyną i niezastąpioną. Pisarz więc — zrazu z przekory — popadł w romans z fantastyką. I w związku tym, coraz bardziej szczęśliwym — zapomniał po trosze o dawnej miłości.

Zapewne, jego obecna twórczość jest mniej ambitna — jednak także i te książki Lema, które zostały napisane na zasadzie poetyk arealistycznych, reprezentują już w tej chwili znaczną wartość literacką.

Najlepsza z nich, *Dzienniki gwiazdowe*, jest właściwym przedmiotem niniejszej recenzji.

*

Do książki tej, a raczej do głównej jej części, zatytułowanej *Dzienniki gwiazdowe Ijona Tichego*, doszedł Lem drogą okrężną, prześledzoną już zresztą przez krytykę przy okazji *Sezamu*, którego pewne fragmenty weszły do *Dzienników*. Jest to droga od Verne'a w wydaniu naiwnie-marksistowskim do Swifta* — w wydaniu międzyplanetarnym. Nie ma tu już mowy o tym, czy planety, które odwiedza w swych licznych podróżach Ijon Tichy, mogą wyglądać w rzeczywistości tak czy inaczej — jest natomiast rzeczą pewną, że nie wyglądają tak, jak je Lem przedstawia. Z punktu widzenia nauki *Dzienniki* są czystą homorystyką, parodią, zabawą. Z punktu widzenia literackiego są satyrą alegoryczno-komiczną.

Lem wszedł do literatury z wielką powagą na obliczu. Pisywał nawet liryczne, tradycyjne wiersze. Niespodziewanie okazało się, że jest świetnym humorystą. To wzbogacenie jego twórczości, zdradzające wielostronność literackiego odczuwania, stanowi dla krytyka śledzącego losy pisarza — powód do radości. Zatruwanej niekiedy łatwiznami tego komizmu. Sprawa to jednak w zasadzie wykraczająca poza ramy recenzowanej książki.

Lem jest pisarzem solidnie osadzonym w tradycji. Trochę nawet staromodnym. Tak też — na ogół — przedstawia się i jego komizm: po trosze uwarunkowany tradycjami osiemnastowiecznego racjonalizmu. Zapewne, pojawia się i tu komizm czysty: ileż uciechy przynosi na przykład polowanie na kurdle czy sepulkowa mistyfikacja. Zasadniczo jednak słowo „absurd" wiąże się w tej prozie z pojęciem logicznego dowodu sprowadzającego *ad absurdum* rozumowanie (gdybyż tylko rozumowanie) przeciwnika.

Mógłby jednak ktoś powiedzieć: zdezaktualizowana alegoria tego typu traci swą wartość. Miała zapewne kogoś wprowadzać w błąd: dziś wszystko to wydaje się zbyteczne, jeśli nikogo nie zmusza się do ukrywania swoich poglądów. Tymczasem — nie jest to prawda. Alegoria Lema nie traci swoich wartości estetycznych w momencie dezaktualizacji. Na czym wartości te polegają?

Mieszczą się one między dwiema satysfakcjami danymi czytelnikowi: satysfakcją *sensu stricto* intelektualną i satysfakcją odbiorcy komizmu. Jak się zdaje, w obydwu tych satysfakcjach wolno dopatrzeć się działania mechanizmów szeroko pojętego dowcipu.

I tak: alegoria (czy: metafora) Lema

* Por. Andrzej Kijowski: *Powrót na ziemię*. W książce *Różowe i czarne*, 1957.

jest jednocześnie trafna i wyszukana. Trafność pozwala jej na daleko idące konsekwencje i uszczegółowienie: ilość punktów stycznych rzeczywistości i alegorycznego obrazu jest tu bardzo duża i zdecydowanie przerasta potrzeby doraźnego oddziaływania alegorii. Stąd — rodzi się atmosfera gry intelektualnej: czytelnik jest widzem zwycięskiej rozprawy pisarza z trudnościami, które pisarz sam piętrzy przed sobą. I oto element estetycznej nadwyżki, satysfakcji czytelniczej wynikającej z podziwu, który — w swej formie prymitywnej — dałby się sformułować w słowach: zgrabnie, d o w c i p n i e wymyślone. Jednocześnie zaś: owa atmosfera intelektualnej gry rozładowuje ponury sens tematu — stanowiąc następny sygnał komizmu. Skąd zaś wynikają trudności, o których była mowa powyżej?

Z tego, co można określić jako wyszukaność alegorii: ze znacznej odległości wyobrażeniowej między znaczeniem a znakiem.

Jednocześnie zaś — Lem najchętniej posługuje się znakiem o sensie bezpośrednio komicznym: człowiek żyjący w wodzie i bulgący w niej musi być śmieszny — na to nie ma rady. Jest to więc ośmieszenie wielostronne — poprzez karykaturalne wyjaskrawienie (dowód *ad absurdum*), igraszkę intelektualną i sytuację komiczną.

*

Podróże Ijona Tichego są satyrą nie tylko na „okres miniony". Stanowią one wyraz poglądów autora na wiele zagadnień ustrojowych i światopoglądowych. Jest tu satyra i na kapitalizm, i na histerię atomową w USA, i na duchowieństwo. Lecz — przede wszystkim — jest to satyra na pewne rodzaje rozumowania, na pewne postawy intelektualne. Nie na objawy, lecz na zasady. Stara się dotrzeć do podstaw rozumowania każdego systemu, a przynajmniej wytłumaczyć jego genezę. W wypadku analizowanej powyżej *Podróży trzynastej* rzecz przedstawia się w sposób następujący:

W rozmowach, które prowadziliśmy przeważnie nocą, profesor opowiadał mi o dawnych dziejach Pinty. Planetę nękały niegdyś gorące wiatry i uczeni dowiedli, że zagraża jej przemiana w szczerą pustynię. W związku z tym opracowali wielki plan irygacyjny. Aby go wprowadzić w życie, założono odpowiednie instytucje i nadrzędne biura; potem atoli, gdy zbudowano już sieć kanałów i zbiorników, biura nie chciały się rozwiązać i działały dalej, nawadniając Pintę coraz bardziej. Doszło do tego — mówił profesor — że to, co miało być opanowane, opanowało nas. Nikt jednak nie chciał przyznać się do tego, następnym zaś, koniecznym już krokiem było stwierdzenie, że jest właśnie tak, jak być powinno.

Gdzie indziej jest to już satyra filozoficzno-naukowa. Najbardziej wyrazisty jej przykład stanowi scena z *Podróży dwudziestej piątej*, w której uczony zamieszkujący jedną z półpłynnych planet bardzo logicznie dowodzi zarówno niemożliwości istnienia stworzeń dwunożnych, jak niemożliwości istnienia życia w warunkach odpowiadających warunkom Ziemi.

W ten sposób, korzystając z przykładów bardzo komunikatywnych i zabawnych, tytułowy cykl książki staje się manifestacją pewnego konsekwentnego systemu myślowego, jednocześnie zaś pewnego określonego typu wrażliwości artystycznej. Pragnąc ów typ i system określić, można — niemal bez reszty — poprzestać na wyłącznie literackiej analizie „podróży" Ijona Tichego. Najbardziej charakterystycznymi cechami tej prozy są: dążność do precyzji i dyskursywność. Oczywiście w owej dążności do precyzji, sygnalizowanej pewną scjentyfikacją języka, logicznością składni czy dużą wrażliwością na stopniowanie, różnicowanie zjawisk — wiele jest cech osiemnastowiecznego pastiszu i zabawy. Nie zmienia to jednak funkcji owych wszystkich: „raczej", „i tak", „wszelako", „aliści". Funkcji — racjonalistycznej. Jest to proza, za którą kryje się umysł rozumujący jasno i logicznie, proza znakomicie nadająca się do przeprowadzenia — tak częstych w tej części książki — dyskusji z poszczególnymi systemami.

I oto istota tego cyklu. Jego bohaterem nie jest — rzecz jasna — ani Ijon Tichy, ani przyszłość astronautyki. Lecz nie jest nim także współczesność z jej wszystkimi błędami i wypaczeniami wszelakich ustrojów i światopoglądów. Bohaterem tego cyklu jest jasne, logiczne, zwycięskie rozumowanie.

I dlatego jest to cykl opowiadań optymistycznych. Choć tematem ich są

sprawy ponure, choć — powierzchownie niegdyś optymistyczny — autor ich naładowany jest po brzegi sceptycyzmem. Lecz decyduje tu co innego. Decyduje alegoria, w której ludzie są jednoznaczni i w której podstawą ich działania jest — mądre czy głupie (częściej głupie) — jednak rozumowanie. Przynajmniej zaś jasny i zrozumiały mechanizm. Nikt tu nie jest skomplikowany i wieloznaczny, każdy jest wytłumaczalny, każdy jest wykładnikiem ścisłych uogólnień. Uogólnień zrodzonych w intelekcie autora, który rozumuje najjaśniej, bez zastrzeżeń przyjmując prawo przyczynowości i prawa klasycznej logiki. Nie ulegając nastrojom i wzruszeniom, gmatwającym prosty obraz świata. Nie wnikając w zawiłości psychiki ludzkiej. Nie wątpiąc w poznawcze możliwości człowieka.

Jest to optymizm osiemnastowiecznego i dziewiętnastowiecznego racjonalizmu. Optymizm wszechwładnej wiary w ludzki intelekt, w zwycięstwo myśli.

*

Nie cała jednak książka da się zamknąć w tej formule. Wśród opowiadań spoza cyklu tytułowego, cyklu, którego treścią są alegoryczne podróże Ijona — zwraca uwagę swą odmienną zupełnie tonacją opowiadanie *Szczur w labiryncie*.

Jest ono — formalnie — bliższe początkowym stadiom fantastyki Lema. Tematyka międzyplanetarna potraktowana tu została — znów — w sposób poważny. Jakże jednak odmienny. Patronem literackim — po Vernie — został Wells. Nazwisko to wiele już sygnalizuje. Nie uprzedzajmy jednak opisu zjawiska.

Chodzi tu bowiem o sprawę zasadniczą. Mianowicie — by pozostać przy terminologii przyjętej w toku niedawnej dyskusji o poezji — po raz pierwszy w twórczości Lema w miejsce tonacji jasnej pojawia się — występująca w tak silnym natężeniu — tonacja ciemna.

Treść tego opowiadania jest następująca: dwaj młodzi Amerykanie są świadkami gwałtownego upadku na ziemię tajemniczego meteoru? pocisku? rakiety? — do którego wnętrza niebawem udaje im się dostać. W sposób jednak niezupełnie dobrowolny. Pocisk bowiem wpadł do jeziora i bezpośrednim powodem znalezienia się obydwu przyjaciół w centrum tajemnicy jest prąd wody, który wciąga ich — płynących łódką — do środka, pozbawiwszy uprzednio przytomności. Obydwaj nie znają zatem drogi do wnętrza pocisku, co dodatkowo utrudnia jego badanie — i tak bez przerwy napotykające zagadki nie do wyjaśnienia. Trudno im nawet odpowiedzieć na pytanie, czy jest to — jeszcze — wnętrze rakiety, czy — już — wnętrze jakiejś organicznej istoty, która w rakiecie tej przybyła na ziemię. Wreszcie, błądząc po ciemnych korytarzach, obydwaj przyjaciele spotykają w pewnym momencie samych siebie. Zdenerwowanie tym przerażającym zjawiskiem staje się powodem walki, w wyniku której jeden z bohaterów opowiadania ginie — zabity przez swego sobowtóra. Bohaterowi drugiemu, narratorowi opowiadania, udaje się ocalić życie.

W epilogu — narrator wspólnie z pewnym starym uczonym usiłuje wyjaśnić owo tajemnicze zjawisko. Czynią to w sposób nawiązujący do pewnych hipotez naukowych: chodzi tu mianowicie o tzw. pętlę czasu, dzięki której człowiek teoretycznie mógłby przeżyć dwa razy tę samą chwilę, *ergo* — spotkać samego siebie. W tym wypadku owo zakłócenie czasu zostało prawdopodobnie wywołane procesem agonii, zamykającym życie gigantycznego przybysza z przestrzeni międzyplanetarnych.

„Ciemna tonacja" daje się wyśledzić w niejednej warstwie tego opowiadania. Przede wszystkim więc — nie ma tu mowy o komizmie czy o żartobliwym nastroju — stale obecnych we właściwych *Dziennikach gwiazdowych Ijona Tichego*. Żartobliwy ton pojawia się jedynie — i tylko przejściowo — w początkowych partiach opowiadania, w jego ekspozycji. Potem — nastrój radykalnie się zmienia, a zmianę tę sygnalizuje już wstępna metafora o szczurze w labiryncie. Całe opowiadanie naładowane jest atmosferą niejasności, grozy, przerażenia.

Znajduje to swój odpowiednik zarówno w warstwie fabularnej (śmierć jednego z przyjaciół, śmierć „przybysza z gwiazd"), jak w warstwach głębszych tego opowiadania.

Przede wszystkim więc — powracając do fantastyki na serio — Lem zaczyna żywić pewne podejrzenia w stosunku do optymistycznej (dla mieszkańców ziemi) odmiany hipotez astronautycz-

nych, odmiany, w której realizację święcie wierzył autor *Astronautów* i *Obłoku Magellana*. I tak: już nie ludzie są tu zdobywcami przestrzeni międzyplanetarnych, lecz istota z innej planety. I tak: pierwsza próba podróży kończy się katastrofą.

W odmienny także sposób kształtuje się warstwa interpretacyj, sygnalizując inną niż dotychczas postawę poznawczą autora.

Interpretacja tajemniczego zjawiska opiera się tu bowiem: 1) na zasadzie przypuszczeń niesprawdzalnych — cała zaś akcja dąży do tego, by utrudnić sprawdzalność jakichkolwiek przypuszczeń i postawić bohaterów opowiadania wobec niemożności stworzenia interpretacji w pełni adekwatnej; 2) na podstawie teoretycznych założeń — po prostu mówiąc: nie bardzo mieszczących się w ludzkiej wyobraźni — jeśli traktuje się je w sposób naukowy. Punkt drugi świadczy o bliższych niż dotychczas związkach Lema z dwudziestowieczną nauką, której wiele zdobyczy „nie może się w głowie pomieścić" — tak bardzo odbiegła ona od naiwnego realizmu poznawczego. Punkt pierwszy — stanowi jak gdyby krok w kierunku agnostycyzmu.

Jakże daleko znaleźliśmy się zarówno od *Obłoku Magellana*, jak i od *Dzienników gwiazdowych Ijona Tichego*.

*

Szczur w labiryncie jest zresztą niewątpliwie opowiadaniem o wiele słabszym od właściwych *Dzienników*. Jednym z objawów wydaje się tu pewna dysharmonia między partiami zawierającymi niefrasobliwe pogawędki obydwu przyjaciół a pełną grozy główną partią opowiadania. Dysharmonia ta myli i dezorientuje czytelnika, co niekorzystnie wpływa na efekt estetyczny.

Przede wszystkim jednak trzeba tu mówić po prostu o mniej ambitnym gatunku literackim. *Szczur w labiryncie* zbliża się bowiem — znów — do popularyzatorstwa naukowego.

Nie te sprawy jednak wydają się najważniejsze. Poszukując dla nowych treści nowych środków wyrazu, Lem-artysta cofa się: jest to zjawisko naturalne. *Szczur w labiryncie* interesuje nie jako sztuka, lecz jako objaw: stanowi bowiem dowód istnienia w literaturze pewnych wiraży, których krzywizny obowiązują nie tylko twórców posługujących się ekwipażami współczesnymi. Jak się okazuje, te same prawa dotyczą pisarza używającego na codzień rakiety międzyplanetarnej. I ona także wiraż ten musi wykonać.

Jerzy Kwiatkowski

KONFRONTACJA

W numerze niniejszym Andrzej Kijowski daje nam obraz wypłowiałych staruszek i zagubionych w wirze wielkich lotnisk osób, którym Rząd Polski Ludowej w roku ubiegłym fundował podróż do wielkich stolic europejskich lub zgoła za ocean — dla odwiedzenia dzieci, wnuków lub bliższych czy dalszych krewnych. Był to zaiste zadziwiający i, co tu dużo gadać, pocieszający widok. Przezwyciężanie żelaznej czy papierowej — czy propagandowej — kurtyny w imię rodzinnych związków lub nawet „interesów materialnych"; te ostatnie można nazwać „bodźcami", nazwa nie odgrywa roli — ważne jest tylko znaczenie. Ale ów strumień odwiedzających podróżnych płynął w obie strony. Jeżeli w tamtą stronę jechały staruszki z wyleniałymi walizkami lub po prostu węzełkami — to w tę stronę przedostawali się przez niewrażliwe kordony celne eleganccy starsi panowie, pięknie ubrane damy i artyści witani na dworcach i lotniskach bukietami kwiatów. Zadziwiające spotkania odbywały się na ulicach lub w hallu jedynego, ale nie najlepszego hotelu Warszawy. Co uważniejszy przechodzień spostrzegał tam np. byłego endeckiego ministra skarbu, uczestnika zamachu na Piłsudskiego — a zarazem jednego z bohaterów cyklu powieściowego Tadeusza Brezy — jak bynajmniej nie zatrwożony przymierzał swoją ekonomiczną wiedzę do naszych doświadczeń. Tutaj znowu córa jednej z „największych" rodzin polskich siedziała przy stoliku w restauracji, otoczona jeszcze tymi kwiatami arystokracji, która nam tu i ówdzie pozostała. Wielcy artyści odwiedzali Polskę po osiemnastu, po dwudziestu latach. Wszystko to ludzie niegłupi, bardzo „oblatani" i tacy, którzy z niejednego pieca chleb jedli.

Myślę, że ta konfrontacja wypadła dla nas zupełnie nieoczekiwanie. Przynajmniej świadczą o tym liczne głosy (najprywatniejsze), jakie do nas dobiegają. Wszyscy albo prawie wszyscy, którzy odwiedzili Polskę, ujrzeli ją nagle nie z perspektywy mrowiska, jak my, tutaj zasiedziali, ją widzimy, ale z perspektywy... lotniska.

Oczywiście zbyt może lekkomyślnie jest opierać się na sądach człowieka, który przez trzy zaledwie tygodnie zaznawał smaku naszej współczesności. Ale zadziwiać nas stale musi ów sąd, który oni o nas wynieśli. Sąd pozytywny, chwilami entuzjastyczny. Zawsze pełen podziwu.

Oczywiście podziw ten nie dotyczy naszego hotelarstwa, zaopatrzenia sklepów, uprzejmości usługi, warunków komunikacji miejskiej. Te sprawy nie mogą w nikim obudzić entuzjazmu. Ale jednocześnie trzeba skonstatować, iż mącą one nam obraz tych najważniejszych spraw, które są rdzeniem naszego życia, a których wagę przesłaniają nam ciężkie szczegóły dnia codziennego, a czasem — trzeba i to wyznać — kawiarniane ploty i kassandryzowania.

To, co spostrzegli ci odwiedzający nas Polacy, zadziwia chwilami nas samych. Przede wszystkim zaś to, że nas obchodzą wszystkie sprawy — poza sprawami zarobkowymi. Pogoń za pieniądzem, za zarobkiem, za byznesem wymęczyła naszych rodaków w Ameryce, w Anglii, w Afryce Południowej. Tym bardziej że w tej pogoni Polacy nigdy nie odznaczają się zaletami znakomitych wyści-

gowców. I to, że nas tutaj obchodzi model gospodarczy, sprawa rad robotniczych, muzyka współczesna, socrealizm czy paxrealizm — że miotają nami tysiączne spory i gwałtowne zrywy, że nie samym tylko chlebem żyjemy, to wzbudza najwyższy podziw, zwłaszcza wobec fatalnych warunków naszego życia codziennego.

„Dopiero w Polsce się odczuwa, że się jest człowiekiem" — pisał do nas gość z bardzo bogatego kraju. Brzmi to w naszych uszach jak bolesny paradoks. A jednak paradoksem nie jest. Jest poniżającym skonstatowaniem faktu, że treścią naszego życia jest wielki, ogólny wysiłek.

I właśnie w tej chmurze drobnych moskitów, które nas atakują jak na pińskich błotach, dobrze jest poprzez dokuczliwe ciałka owadów — spostrzec jasne niebo, które się przecież nad nami rozciąga.

Pośród wszystkich pesymistycznych akcentów, którymi tak obficie obdarza nas prasa codzienna, tygodniowa, miesięczna — dobrze jest posłyszeć optymistyczny okrzyk, którym brzmią słowa ludzi patrzących na naszą ojczyznę z lotu ptaka.

My wiemy dobrze, że mamy rację, kiedy wskazujemy na nasze cierpienia, bolączki, na zmarnowane lata całych pokoleń, na zdemoralizowanie i degenerację. Ale i oni mają rację, kiedy widzą potężny wysiłek, niebywałą prężność, jednomyślność i — co tu gadać — siłę tego zadziwiającego narodu.

Z takich konfrontacji dopiero rodzi się jasna ocena naszej sytuacji.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

W 12 numerze *Nowej Kultury* (23. III. br.) pod figlarnym tytułem *Objazd literacki* ukazał się skrót dyskusji, jaka odbyła się w redakcji tego pisma na temat nagród literackich. Polska literatura współczesna nie może uskarżać się na nadmiar zainteresowania ze strony krytyków i pisarzy. Liczne dyskusje, jakie ostatnio odbywają się w tygodnikach, miesięcznikach, w radio i telewizji, prawie nigdy nie dotyczą konkretnych polskich współczesnych utworów literackich. Nawet nagrody literackie nie były okazją do sformułowania takich ocen. Rzecz charakterystyczna, żadne z pism udzielających nagrody nie zamieściło wypowiedzi jurorów. Zorganizowana przez *Nową Kulturę* dyskusja także nikogo z uczestników nie skłoniła do merytorycznych sądów na temat konkretnego utworu literackiego. Jest to zjawisko godne odnotowania. Innym przykładem niechęci do sądów szczegółowych może być dyskusja nad artykułami Sandauera. Po opublikowaniu szkicu o Adolfie Rudnickim wszyscy dyskutanci zajęli się moralno-taktyczną oceną wystąpienia Sandauera. Czy jest on godzien atakować Rudnickiego, czy „ma prawo", czy jest to moment właściwy, jakie nim kierują pobudki — oto pytania, które w sprawie Sandauera wówczas postawiono. Nikt natomiast, z wyjątkiem Kazimierza Wyki, nie zadał pytania: jaką wartość ma szkic Sandauera dla oceny twórczości A. Rudnickiego, i nikt nie uważał za stosowne przeciwstawić potępionym powszechnie sądom Sandauera sądów innych. Kiedy Sandauer następnie zabrał głos w sprawie Jerzego Andrzejewskiego, dyskusji nie było wcale. Ponieważ wystrzelano już za pierwszym razem wszystkie argumenty moralno-taktyczne i ponieważ sam temat: Andrzejewski, nikogo nie interesował, atak wybitnego krytyka na powszechnie znanego pisarza przeszedł tak bez echa, jak gdyby w ogóle nikt inaczej nie sądził.

Wniosek z tego jeden: polska literatura współczesna nikogo nie interesuje.

Nowych dowodów na to dostarczyła dyskusja na temat nagród literackich, która zeszła na tematy ogólne. Ich dobór i kolejność bardzo charakterystyczne dla atmosfery, w jakiej jesteśmy pogrążeni.

W pierwszym rzędzie Paweł Hertz, podkreślając przypadkowy charakter nagród, a zwłaszcza przypadkowy skład

poszczególnych jury, zwrócił uwagę na brak w Polsce środowisk literackich.

Nagrody, które zostały przydzielone — stwierdził Hertz — są wynikiem kompromisu, milczącej zmowy. „Zastanawiająca zgoda, z jaką udzielono nagrody Aleksandrowi Watowi za jego świetny tom wierszy, wynikła oczywiście również i ze względów pozaliterackich. W innych warunkach zarówno jury jak i nagroda *Nowej Kultury* np. wypadłyby zapewne inaczej. Tym większy szacunek należy się i redakcjom, i jurorom, że potrafią przejść do porządku dziennego nad tym, co ich dzieli, w chwili, gdy podział taki ani nie jest możliwy, ani może nikomu nie wyszedłby na zdrowie."

Problem środowisk jest w tej chwili bardzo ważny. Sądzę, że wiąże się z poruszoną tu kiedyś przeze mnie sprawą s a n k c j i. Literatura musi być robiona dla kogoś, pod czyjś dyktat. Ale adres nie może być daleki ani ogólny: kultura narodowa, masy, partia, racja historyczna, postęp, człowiek — to wszystko są wartości, które liczą się w dyskusjach literackich, w programach, ale nie liczą się dla pisarza, który zastanawia się nad swym utworem. To tak jak na kopercie: kraj, województwo, powiat, poczta bardzo dużo znaczą, ale najwięcej znaczy „WPan Jan Gawlik". Dzieło literackie służy narodowi, ludzkości, człowiekowi, postępowi etc. Ale pisarz pisze dla przyjaciela, dla prywatnego mecenasa, dla kogoś, kto mu szczególnie patronuje, dla kobiety, dla redaktora, dla krytyka. Wszyscy oni razem tworzą środowisko. Literatura jest taka, jakie są zainteresowania tych właśnie ludzi otaczających pisarza. To ich gust decyduje, to ich światopogląd rozstrzyga. Za ich pośrednictwem docierają wielkie sprawy do pisarzy, którzy najczęściej są dziećmi niezdolnymi do samodzielnego wyboru tematu, problematyki, stylu. Takie środowiska istniały doprawdy zawsze. Istniały po wojnie w pierwszych latach w Krakowie i w Łodzi. Później rozpłynęły się. Zamiast środowiska były zebrania. Zamiast gustów i zainteresowań ludzi zajmujących się z zamiłowania literaturą, na pisarzy wpływać poczęły urzędowe dyrektywy. Było to niedobre, ale coś było, teraz nie ma nawet tego: ani ciśnienia urzędowego, ani towarzyskiego. Literatura polska tworzy się dzisiaj w abstrakcyjnej próżni. Oczywiście istnieje pewne środowisko ludzi tak czy inaczej zainteresowanych życiem i twórczością pisarzy, ale jest ono zupełnie pozbawione rzeczywistych zainteresowań literackich i nie potrafi stworzyć owego entuzjazmu dla pracy pisarza, bez którego pisać po prostu nie warto. Środowisko to wyrosło ponad literaturę. To nie ono łasi się do pisarzy, lecz pisarze łaszą się do niego — towarzyska plotka jest ważniejsza od nowiny z warsztatu pisarza. Plotka wylazła na łamy czasopism, rozchodzi się już wśród szerokich kręgów. Nikt nie wie, co ostatnio pisze pisarz, wszyscy wiedzą, z kim śpi. Jeden z dziennikarzy uznał za stosowne opisać w popularnym tygodniku przykrą przygodę pewnego pisarza. Kilkaset tysięcy czytelników owego tygodnika będzie pamiętało, że pisarz ów pożycza pieniądze od prostytutek. Nikt nie wie, co on teraz pisze. Pisarz zamienia się w błazna, któremu w nowym świecie pozostawiono przywilej do ekstrawagancji. Pisać nawet nie musi. Nasze społeczeństwo zajęte pilnie produkcją i konsumpcją potrzebuje bardziej takich błaznów niż powieści, wierszy, trafnych myśli.

W 2 numerze *Dialogu* ukazało się słuchowisko radiowe Fryderyka Durrenmatta pt. *Jesienny wieczór*. W mieszkaniu głośnego pisarza zjawia się tajemniczy osobnik — jakiś urzędniczyna, który z amatorstwa zajmuje się kryminologią. Otóż zadał on sobie trud sprawdzenia okoliczności wszystkich zbrodni opisanych przez owego pisarza. Wszystkie zbrodnie zdarzyły się rzeczywiście i miały dokładnie taki sam przebieg. Zbrodniarzy nigdzie nie wykryto. Dopiero on wykrył, kto popełnił zbrodnie: pisarz, ten, który je potem opisał. Pisarz spokojnie przyznaje mu słuszność: „Pisarze... byli przeważnie potworami. Świat, chociaż był tym z początku przerażony, z biegiem czasu coraz więcej podziwiał pisarzy właśnie dlatego, że byli potworami. Wspięli się oni tak wysoko w hierarchii społecznej, że się ich podziwia jako istoty wyższe. Opinia publiczna nie tylko dała pisarzowi akcept, ale interesuje się też niemal wyłącznie jego życiem. Stąd ta niebywała ilość pamiętników, stąd powieści autobiograficzne i powieści z kluczem. Któż, u Boga Ojca, pragnie dziś jeszcze czytać rzeczy zmyślone? Pisarz stał się wypieszczonym snem milionów, jako

człowiek, który na wszystko może sobie pozwolić. Jego sztuka jest tylko glejtem dla jego występków, jego przygód..."

Oskarżenie zapalonego detektywa na nic się nie przyda: pisarza obronią nawet mężowie i żony jego ofiar.

Narzekaliśmy na nacisk administracyjny państwa na literaturę. Kto wie, może państwo było ostatnim mecenasem literatury poważnie traktującym jej treści?

Paweł Hertz w cytowanej dyskusji powiedział, że „pod względem poglądów literackich jedno tylko pismo jest konsekwentne, a jego współpracownicy mają jeden wspólny pogląd na sprawy literatury i sztuki. Myślę tu o *Trybunie Literackiej*... Tylko to jedno środowisko możemy poznawać co tydzień w jego czystej formie".

Hertz chyba nie czyta tego pisma, które niby w swej publicystyce i krytyce nawołuje do literatury „zaangażowanej", a w rzeczywistości drukuje najbardziej rozćwierkanych i mdłych poetów, jacy istnieją: Maria Szypowska, Ludmiła Mariańska, Wiesław Rustecki, Jan Zych — oto nazwiska, które zdobią czołówki dodatku literackiego do *Trybuny Ludu*. Najwięksi poczciwcy w prozie z Gustawem Morcinkiem na czele są tam uczczeni jako klasycy, a najbardziej mętni i niewyraźni eklektycy ze Stefanem Lichańskim i Wacławem Sadkowskim tworzą tam krytykę. Zresztą najlepiej zaprezentował tę bojową grupę literacką jej główny krytyk, Hieronim Michalski, który przeciwstawiając się nagrodom literackim podał swych własnych kandydatów: byli to Jan Parandowski za *Petrarkę* oraz Leopold Buczkowski za *Czarny potok* i *Dorycki krużganek*. Nie wiem, czy Michalski czytał tę ostatnią książkę, którą nazywa „najbardziej wstrząsającym, jaki zna literatura, dokumentem martyrologii żydowskiej na ziemiach polskich pod okupacją hitlerowską". „Jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju — mówi dalej krytyk *Trybuny* — zdolne przed przyszłością usprawiedliwić skąpy w osiągnięcia powojenny okres naszej literatury." Rozumiem, że ta książka może się podobać. Być może jakiś ciemny umysł, gustujący w biblijnej mistyce, zagustowałby w jej dziwacznych tajemnicach. Mnie się ta książka bardzo nie podoba. A co się tam podoba krytykowi *Trybuny Literackiej* — nie wiem. Dlaczego postawił tę marginesową książkę ponad prozą Tadeusza Borowskiego, Adolfa Rudnickiego, Juliana Stryjkowskiego — nie wiem. Jeżeli to ma być wzór realizmu — to dziękuję. Tym razem jest dla mnie za trudny.

Jaki jest program literacki *Trybuny Literackiej*? Jaki jest program literacki *Polityki*? Pisma te wypowiedziały się sporo na temat polityki wydawniczej i repertuarowej, na temat pornografii i pesymizmu. Upominały się wielokrotnie o kulturę masową. Ale w sferze ideologii artystycznej nie padło z ich strony ani jedno słowo.

Andrzej Kijowski

„PANORAMA IDEI WSPÓŁCZESNYCH"

*Panorama idei współczesnych** łatwo uznana być może za druk niegodny uwagi czytelnika-intelektualisty. Na pierwszy rzut oka zdaje się bowiem, że jest to po prostu jedna z licznych wydawanych na Zachodzie antologii, wielki *reader's digest*, księga dla snobów, umożliwiająca uzyskanie wysokiej noty z nieobjętego egzaminami, a przecież nader użytecznego w codziennym życiu, przedmiotu — konwersacja towarzyska. Można jednak, na podstawie pogłębionej znajomości, zasadnie przyjąć, że tak negliżujące potraktowanie tego, imponującego rozmiarami i ilością zgromadzonego materiału, dzieła nie pozwala na zadowalające jego zrozu-

* *Panorama des idées contemporaines:* Textes choisis et presentés par: R. Caillois, M. Encontre, G. Picon, F. Erval, R. Bertelé, R. Kanters, J. Merleau-Ponty, A. Tétry. Sous la direction de Gaëtan Picon. Gallimard, Paris, 1957. ss. 793.

mienie. Intencją twórców *Panoramy* było bowiem sprezentowanie portretu „ducha XX wieku", ukazanie głównych jego manifestacji i znamiennych przejawów. Liczne ekscerpty z dzieł czołowych przedstawicieli kultury współczesnej mają łącznie złożyć się na ten obraz — każdy z nich jest jednym pociągnięciem pędzla. Cel dokonanej konfrontacji idei był zatem nie tylko utylitarny, lecz również poznawczy, ambicją antologistów było skomponowanie takiej całości, która, pozostając zbiorem przydatnych do cytowania fragmentów, byłaby zarazem traktatem filozoficznym, przyczynkiem do dziejów myśli naszego czasu, ściśle — charakterystyką intelektualnego oblicza Francji.

Ten frankocentryzm *Panoramy* występuje szczególnie jaskrawo w selekcji i układzie materiału. Na przykład charakterystyczna dla filozofii francuskiej nikła rola neopozytywizmu — kierunku, święcącego przecież tryumfy w Anglii i Stanach Zjednoczonych — znajduje wyraz w strukturze pierwszego działu, poświęconego ideom filozoficznym. Przedstawione są tam kolejno: *Tradycja racjonalistyczna* (Brunschvicg, Alain, Alquié); *Pozytywizm logiczny* (Russell, Carnap); *Fenomenologia* (Husserl, Merleau-Ponty); *Filozofie egzystencjalne* (Heidegger, Sartre, Merleau-Ponty, Jaspers, Wahl, Szestov). Całość działu zajmuje 70 stron, z czego racjonalistom przyznano 9, neopozytywistom — 6, fenomenologom — 21, egzystencjalistom zaś aż 32. Taka struktura reprezentacji jest adekwatna tylko dla stosunków istniejących we Francji, już przekroczenie La Manche zmusiłoby do całkowitego odwrócenia proporcji: w Anglii egzystencjalizm nie odgrywa żadnej prawie roli, neopozytywizm zaś jest bezsprzecznie kierunkiem dominującym.

Dział drugi — *Psychologia współczesna* — rozpada się na trzy części: *Człowiek nowej psychologii, Wkład psychologii porównawczej* oraz *Drogi i środki poszukiwań*, przy czym sama część pierwsza skupia ponad połowę materiałów tu zgromadzonych, co znowu charakterystyczne jest dla właściwych współczesnej myśli francuskiej zainteresowań, w filozoficznym sensie tego słowa — antropologicznych. Szczególnie obficie uwzględniony jest dorobek rozlicznych tendencji psychoanalizy (Freud, Adler, Jung, Horney, Alexander, Sartre, Jaspers). Dział III poświęcony jest naukom społecznym. Rzecz dziwna, nie wspomniane jest tu nawet nazwisko czołowego obecnie francuskiego przedstawiciela tej dyscypliny — Georges Gurvitcha, i to chyba nie z powodu odrazy twórców *Panoramy* do pseudosocjologicznej spekulacji. Cytowani są bowiem w tym dziale, jako socjologowie, Bergson i znany egzystencjalista, Georges Bataille, którym żaden amerykański *social scientist* nie przyznałby zapewne tego miana. Dział IV — *Filozofia historii* — zawiera fragmenty prac następujących autorów: Diltheya, Lenina, Trockiego, Jaurèsa, Bierdiajewa, Spenglera, Toynbee'ego, Crocego, Arona i Jaspersa. Dział V przedstawia *Stanowiska i problemy polityczne*; „realistycznych krytyków demokracji" reprezentują: Maurras, Sorel, Mussolini i Hitler; „socjalizm marksistowski i komunizm" — Lenin, Stalin i Mao Tse-tung; „marksistowską krytykę komunizmu radzieckiego" — Trocki i Tito; „krytyków marksizmu" — samotny Raymond Aron. Pozostałe dwie części tego działu to: *Tradycje i nowe wartości* oraz *Imperium światowe a Europa*. Liczba nazwisk autorów cytowanych w dziale VI — *Zagadnienia i formy sztuki współczesnej* — jest tak wielka, że nie dadzą się one tu wymienić. Dział ten, jeden z największych — 120 stron — składa się z dwóch części: *Sztuka i perspektywy estetyki współczesnej* oraz *Niektóre formy sztuki współczesnej*. Najczęściej cytowany jest Malraux (3 razy), marksizm reprezentują Gorki i Lukács. Dział VII poświęcony jest „myśli religijnej", VIII — naukom matematycznym i fizykalnym. Zagadnieniom logiki i podstaw matematyki, tak intensywnie uprawianym poza granicami Francji, przyznano 15 stron, na których mieszczą się dwa fragmenty: jeden z Russella, jeden z bourbakistów. Dział IX traktuje o „biologii współczesnej", a X i ostatni — o współczesnym humanizmie. *Upadek tradycyjnych wartości i kryzys cywilizacji* konstatują: Gide, Valéry, Unamuno, Scheler, Malraux, Jaspers, Ortega y Gasset, Bernanos i Huizinga; zaś o *Formach współczesnego humanizmu* piszą — Bréton, Montherlant, Saint-Exupéry, Malraux, Camus, Heidegger, Sartre, de Beauvoir, Jaspers, Marcel, Mounier, Lukács, Le-

febvre, Joliot, Bachelard i Oppenheimer.

Ale twórcy *Panoramy*, udostępniając czytelnikowi ogrom materiału, wielość sprzecznych sądów, odmiennych wizji oraz przeciwstawnych perspektyw i przepowiedni, o czym niejakie pojęcie daje dokonany tu przegląd, nie powstrzymują się bynajmniej od wypowiedzenia własnego zdania, przedłożenia własnej interpretacji. Funkcję tę pełnią, napisane przez redaktorów poszczególnych działów, komentarze oraz — zreferowana poniżej — ogólna przedmowa pióra Gaëtana Picon.

Wokół nas i w nas samych wszystko się zmieniło. Biały człowiek, Europejczyk, czuje się wyzutym z boskiego prawa mieszkańcem małego cypla Azji. „Historia nie jest już naszą historią, sztuka nie jest już naszą sztuką, książki nie są już naszymi książkami, myśl nie jest już naszą myślą... Nasz świat wie, że nie jest on już miarą świata, nabył umiejętności sytuowania się" (9). Jeszcze niezbyt dawno temu rzeczywistość wydawała się całkowicie zrozumiała, zdeterminowana; dziś determinizm może być najwyżej swobodnie akceptowanym postulatem, a przekonanie o jednorodności bytu legło w gruzach: „jest wiele geometrii, wiele możliwych logik, mentalności, niesprowadzalnych do siebie struktur psychicznych" (11). „Jeszcze wczoraj umysł oczekiwał tylko na znaki i środki wielkiej zbieżności albo nawet wielkiej implikacji. W kartezjańskim marzeniu o matematyce uniwersalnej, w pozytywistycznym poszukiwaniu podstawowego prawa, w chęci sprowadzenia tego, co organiczne, do tego, co nieorganiczne, czy nawet w romantycznym — wagnerowskim — marzeniu o sztuce totalnej zawsze chodziło o znalezienie w długim łańcuchu racji zasad, z których wszystko wynika, czy też w świetlistym kręgu poznania tego promieniującego środka, tego klucza, tej esencjalności, tej jedności, w którą nie wątpiono. Dziś drogi dedukcji są przecięte, a system wiedzy pozbawiony ośrodka. Każde *datum* zjawia się jako pewna oryginalna struktura, pojedyncza totalność, której nie można zredukować do kombinacji podstawowych składników, wymagająca zatem szczególnego ujęcia. Rzeczywistość jest każdorazowo nowym obliczem, domagającym się nowego spojrzenia. Stare cesarstwo wali się — budzą się narodowości ducha" (12).

Przekonanie o jednorodności bytu implikowało pewną hierarchię możliwości ludzkich, założenie egzystencji królewskiej drogi, umożliwiającej dotarcie do uniformizującego czynnika. Była nią religia — przy uznaniu, że świat jest stworzony przez Boga; ewidentność — jeśli jest on manifestacją Rozumu; doświadczenie naukowe — jeśli jest on determinizmem praw naturalnych. Wraz z załamaniem się tego podstawowego przekonania upaść musiały jego epistemologiczne konsekwencje, rozpowszechnił się zatem pogląd, że każde piętro poznania ma własne, specyficzne prawa i nie daje się zredukować do innych. Dlatego, chociaż żyjemy w wieku nauki, która ma nieprzewidywalne przed półwieczem osiągnięcia, żyjemy również w wieku metafizyki: „nazwiska Husserla, Heideggera równe są największym nazwiskom tradycji Zachodu" (13). Równocześnie filozofia zgłosiła swe *désintéressement* wobec nauki i jej dorobku: *„Idee kierownicze dla czystej fenomenologii* oraz *Byt i Czas* są być może pierwszymi wielkimi dziełami metafizyki zachodniej, które nie zawierają żadnego odwołania się do nauki ich epoki" (14). Z tych samych przyczyn żyjemy również w wieku religii. „Nowa epoka widziała zdumiewające [illegible]ebudzenie myśli religijnej, które zdziwiłoby zapewne filozofów z końca ubiegłego stulecia... Pierwsze pięćdziesięciolecie wieku XX widziało więcej wielkich pisarzy chrześcijańskich niż cały wiek XIX" (15). Podobnie sztuka przestała być dziedziną podporządkowaną, takich bowiem już nie ma, pragnie ona być autonomiczną formą doświadczenia i prawomocnym, acz szczególnej natury, poznaniem. Każda z tych perspektyw widzenia rzeczywistości, każdy z tych sposobów asymilacji danych, rozumianego jak najszerzej doświadczenia, uważa się za całkowicie zrównany w prawach z innymi. Zrealizowała się idea egalitaryzmu epistemologicznego.

Być może jednak właśnie nasze działanie zdolne jest przywrócić jednorodność świata? Odpowiedź jest negatywna. „Wola dziejów człowieczych zjawia się jako anty-kosmos, odwet za nieporządek świata. Ale czyżby nasza wizja kosmosu dawała się oddzielić od naszego doświadczenia historycznego? Ta sama myśl mierzy się z wszechświatem i angażuje się w historię — ten sam

człowiek. To, co czynimy, tajemniczo upodabnia się do tego, co odkrywamy; to, czego chcemy — do tego, co jest nam narzucone" (16). Toteż wydaje się, że nie możemy oczekiwać od historii unifikacji naszych dążeń, tego najwyższego dobra, które rzutujemy w przyszłość, gdyż zagubiliśmy je w teraźniejszości. „Kapitalizm gwarantuje wolność, lecz przynosi niesprawiedliwość; komunizm realizuje bardziej sprawiedliwy porządek społeczny tylko poprzez zniszczenie ducha wolności; socjalizm liberalny godzi te dwa porządki tylko werbalnie. Również i tu każdy krok naprzód jest cofnięciem się" (17). Naturalną jest tedy rzeczą, że idea schyłku tej cywilizacji, w której widzieliśmy wcielenie rozumu historii, odnajduje się w niektórych modnych filozofiach, a nie ma takiej, której by ona nie nawiedzała.

Niepewni wszystkiego, z wyjątkiem naszego punktu wyjścia, mamy całkowitą swobodę wyobrażania sobie przyszłości. Stąd niepokój, rozterka, trwoga. Z wszystkich twarzy opadły maski, ujawniono to, co było dotąd ukryte: podświadomość i pożądanie płciowe pod pozorną czystością uczucia i szlachetnością sztuki, resentymenty ukryte za sprawiedliwością, dumę i wolę mocy osłoniętą przez świętość, tchórzostwo w mądrości, agresywność w tworzeniu, mistyfikację wartości etyki i kultury. „Przenikliwość jest naszą jedyną, lecz bezlitośnie destrukcyjną bronią — widzimy się zbyt dobrze, by się kochać." (19). Rodzi się chęć ucieczki: „Pesymistyczna utopia »*science fiction*«, muzeograficzna, etnograficzna, historyczna forma naszej kultury, jedyna namiętność, która nam pozostała — nasza namiętna ciekawość przeszłości, innych rzeczy i innych ludzi, wszystko wymaga psychoanalizy tego zbiorowego dążenia do wywędrowania. Jesteśmy stale kandydatami na emigrację do dowolnego nowego świata, byle nie był on podobny do naszego... Poszerzając domenę swej wiedzy, nasz świat nie powiększył się, lecz zagubił i wyparł się siebie samego" (19). Oczywiście, można na to spojrzeć inaczej: nietzscheanizm i egzystencjalizm widzą w osamotnieniu człowieka warunek jego wolności twórczej. Można też w zamiłowaniu do przeszłości i zainteresowaniu innymi widzieć przejaw siły ekspansywnej; skazany na śmierć nie interesuje się przecież życiem innych, lecz myśli o śmierci własnej. Jakkolwiek bądź, nauka współczesna narzuca najwyższą z dotychczas istniejących ideę człowieka. I ona to właśnie — owa idea — godna jest roli symbolu naszego świata, gdyż wygnała ona stare mity nieuchronnej klęski. „Skała popychana przez Syzyfa już nie opada, a schylony nad bruzdą rolnik, namalowany przez Breughla, podnosi głowę, by śledzić lot Ikara" (21).

Dotychczas Picon referował poglądy innych, syntetycznie przedstawiał myśli rozrzucone na z górą siedmiuset stronicach *Panoramy*. Teraz przemawia we własnym imieniu: „Świat rozbił się na niesprowadzalne do siebie światy, które żyją, koegzystując bez komunikowania się i hierarchii. Niemniej światy te tworzą jeden świat — nasz. Nie wiemy, dokąd zmierzamy, przynajmniej wiemy za to o punkcie wyjścia, wiemy też, dokąd nie idziemy" (22). Mimo istnienia pogłębionej specjalizacji, odczuwamy, że to ten sam duch wyruszył we wszystkich kierunkach, gubiąc niekiedy własny ślad. „Mamy bardzo ostre poczucie przeżywania epoki bez precedensu i gdy mówimy: myśl współczesna, nauka współczesna, sztuka współczesna, epitet ten nie zadowala się podaniem daty poczynań, nie uznających pomiędzy sobą żadnych analogii. Świadczy on o wizji tego samego świata, tworzonej w tym samym momencie przez tego samego ducha. Rozumie się zresztą, że nawet ta wielość nie dających się zredukować do siebie dziedzin i aktywności zjawia się tylko spojrzeniu tej samej świadomości, jako funkcja utrzymanego wymagania i poczucia jedności" (22).

Jakkolwiek podejrzane, zbliżenia i uogólnienia nie dają się uniknąć. Czy można przyrównać odkrycie przez naukę innej rzeczywistości i innej przestrzeni do analogicznych odkryć sztuki? Czy można zbliżyć Cézanne'a lub Picassa z Łobaczewskim albo Einsteinem? Czy — ogólniej rzecz biorąc — sztuka wyraża tę samą, co i nauka, rewolucję ducha? A filozofia? Czy jej ruch immanentny prowadzi do rezultatów osiąganych przez naukę, czy, być może, do przeciwstawnych im? „Na pytania te nikt nie może odpowiedzieć z pewnością. Właśnie ta tajemnicza zbieżność ukryta jest przed nami, ukryta przez nas samych, ponieważ jest ona nami samymi. Pytanie Sfin-

ksa jest jedynym, które nie zawiera odpowiedzi: życie usiłujące ścigać samo siebie nie daje się zdefiniować. Lecz jeśli nie wiemy, kim jesteśmy, wiemy, że jesteśmy kimś i że inni później poznają nasze imię. Choćby miały one pozostać bez odpowiedzi, nie możemy usunąć pytań, które są naszym spojrzeniem i naszym życiem" (23).

Pierwszą wspólną cechą wszystkich idei współczesnych jest szczególny opór stawiany przez nie asymilującemu je umysłowi. Nie wyrasta on tylko z ich nowości, bowiem przyswajamy je sobie, nie zawsze rozumiejąc je i odczuwając, mimo że nie wątpimy w ich prawdziwość. Widzimy zgodnie z Euklidesem, chociaż zakładamy krzywiznę przestrzeni; wiemy, że Freud odkrył prawdę, ale myślimy o sobie jako wyjętych spod jej działania; wiemy, że historia nie jest już historią Europy, lecz działamy tak, jak gdybyśmy to ignorowali, zdarza się, że zwolennik lub wręcz entuzjasta nowej estetyki doznaje zgodnie z wartościami starej sztuki, rozumie malarstwo Klee i Kandinsky'ego, lecz lubi Tycjana czy Corota, rozumie, co chciał zrobić Joyce, lecz lubi to, co zrobił Balzac. Ta dziwna sytuacja nie bierze się ani z zakresu, ani ze ścisłości nowej wiedzy, wynika ona z jej istoty. Stoimy wobec czegoś nie dającego się pomyśleć. Świat starej nauki był światem potocznego doświadczenia, nowy — dany jest tylko konceptualnie.

Dziwny to świat — ani skończony, ani nieskończony, zamknięty, lecz nieograniczony. Czas jest w nim jak gdyby nowym wymiarem rozciągłości, energia jest tożsama z materią, geometrie stosują się do przestrzeni odmiennych od tej, która dostępna jest naszej percepcji. Nowa logika przezwycięża antynomię prawdy i fałszu; twierdzenia matematyczne nie są pierwotnymi oczywistościami, lecz konwencjami, w zależności od których organizuje się wielka tautologia, a możliwe są konwencje zupełnie inne. „Ze wszystkich stron wyrastają realności obalające to, co było dla nas niegdyś ewidentne, dlatego, że zmusiliśmy je do zjawienia się. Nowa rewolucja kopernikańska przeobraża najbardziej ogólną perspektywę myśli" (26).

Myśl współczesna rezygnuje z idei obiektywności, badacz okazuje się włączony do przedmiotu własnych poszukiwań. Filozofia pragnie być doświadczeniem, przeżytą tożsamością poznania i jego przedmiotu, życia i myśli. Humanistyka przeciwstawia eksplikację zrozumieniu: wydobyć znaczenie jakiegoś faktu ludzkiego, to ujrzeć się w nim i ująć go w sobie. Historia przestaje być poznaniem obiektywnym: historyk widzi przeszłość przez pryzmat siebie samego, swojej teraźniejszości. Nowa fizyka rezygnuje z idei niezależności obserwowanego przedmiotu od obserwatora, zasada Heisenberga dowodzi, że wszelkie pogłębienie wiedzy powoduje modyfikację poznawanego obiektu. Determinizm okazuje się niedowiedzionym postulatem. Postępując tak, myśl współczesna wykracza poza sferę zjawiskową, przenika do podstaw świata fenomenów. „Odkrycie świata nuklearnego, w którym prawa makroskopowe przestają być prawdziwe, jest tego najbardziej przekonywającym przykładem. Również i niebo uciekających galaktyk jest innym niebem, które otwiera się poza niebem pozornym. Nieciągłość jest odwrotną stroną i podstawą postrzeganej ciągłości, przypadkowość — odwrotną stroną zdeterminowania. Odkrywając logiczną podstawę matematyki, aksjomatyka ujawnia jej prawdziwą naturę, przeciwną tej, którąśmy myśleli. Logiczna analiza języka wykonuje tę samą operację. Podobnie dzieje się z naszą wiedzą o człowieku. Odkrycie podświadomości pod świadomością, infrastruktur ekonomicznych pod strukturami kulturowymi i politycznymi, namiętności za myślą, presupozycji u podstaw rzeczywistości, projektów egzystencjalnych pod systemami spekulatywnymi, historyka w historii; odkrycie obecności świata przed myślą o świecie, ciała przed myślą o ciele, *alter-ego* w najbardziej samotnym *cogito* — oto towarzyszące sobie poczynania, odwracające pozory zjawisk, ponieważ wydobyły one ich implikacje" (30).

Jak widać, nauka i filozofia współczesna idą ręka w rękę. Hegel, Kierkegaard, Marks, Bergson, Husserl i Heidegger, mimo istotnych pomiędzy nimi odmienności, złączeni są wolą zniesienia dystansu między poznającym podmiotem a przedmiotem poznania. „Wszyscy oni poszukują koincydencji myśli i bytu, koincydencji, która może być osiągnięta tylko w przeżytym doświadczeniu, gdzie wypowiedź tożsama

jest z rzeczą wypowiedzianą, gdzie filozofia staje się samym istnieniem. Zdaniem ich wszystkich, myśl musi być brana w jej przedmiocie, musi stać się nim, bez względu na to, czy przedmiotem jest to, co indywidualne, czy to, co historyczne, czyste esencje czy działanie" (31).

To przeżycie, ten konkret, ta bezpośredniość nie jest dana w punkcie wyjścia — idzie właśnie o to, żeby ją zdobyć. Podobnie jak nauka zmierza od wyobrażeń do niewyobrażalnej rzeczywistości, filozofie egzystencjalnie idą od fałszywej realności inicjalnej do prawdziwej — końcowej. Postulują one wyrwanie się z nieautentyczności, z alienacji, i osiągnięcie człowieka totalnego. „Nie mówimy, że ten świat prawdziwy, podstawowy, pierwotny, poszukiwany przez bardzo różnorodne filozofie, jest tym samym światem: jest to świat dziejów, w procesie stawania się, dla Hegla; historii, którą trzeba zrobić, dla Marksa; ciemnej nocy duszy dla Kierkegaarda; tego, co witalne, dla Bergsona; tego samego, być może, dla Heideggera; Logosu dla Husserla" (33). Mówi się często — i słusznie — że wszystkich tych myślicieli łączy koncepcja człowieka tworzącego swe wartości, konstruującego prawdę, przekształcającego, nie zaś kontemplującego świat. Człowieka tworzącego i tworzącego siebie. Stąd — nowy humanizm, właściwy naszym czasom, a który zdaje się jedynym humanizmem koherentnym i totalnym. Jego skondensowanym wyrazem jest twierdzenie: człowiek jest demiurgiem historii.

Tyle — Picon. Jak widać, zawarta w przedstawionej tu, w miarę możliwości przy użyciu nawet zwrotów i określeń autora, przedmowie do *Panoramy* wizja oblicza intelektualnego epoki, choć uzasadniona tekstami przemawiającymi szczególnie, acz nie wyłącznie, do mieszkańców jednego kraju, jest bardzo interesująca — daje wiele do myślenia. Czy rzeczywiście istnieje zbieżność między kierunkami, w jakich zmierzają nauka, sztuka i filozofia współczesne? Czy słuszna jest Picona interpretacja rezultatów nauk matematycznych i fizykalnych? Czy można tak zbliżać Marksa, Husserla, Bergsona i Heideggera? Czy tendencje współczesnej kultury zachodnio-europejskiej zostały wydobyte i scharakteryzowane trafnie? Pytań takich można postawić jeszcze wiele, zapewne można też pokusić się o znalezienie dla nich innych odpowiedzi, *Przedmowa* i zawarte w *Panoramie* teksty po prostu prowokują do tego. To właśnie stanowi o wartości omawianej publikacji, na tym polega jej ładunek intelektualny. Bowiem najlepsze książki to te, które zmuszają do zakwestionowania posiadanej uprzednio i uzyskanej dzięki nim wiedzy, najgorsze zaś — to udostępniające rzekomą wiedzę w gotowej, nie wymagającej wysiłku dla przyswojenia jej sobie postaci. Pierwsze chcą uczyć myślenia, drugie zaś pragną uwolnić człowieka od tego kłopotliwego obowiązku.

Krzysztof Pomian

NIETZSCHE SFAŁSZOWANY

Pod tym tytułem tygodnik francuski *Arts* pisze o największym skandalu literackim, ujawnionym dzięki długoletnim badaniom krytyka niemieckiego, prof. Karla Schlechty. Badając przez dwadzieścia lat korespondencję i rękopisy Nietzschego, Schlechta odkrył, że siostra filozofa, Elżbieta Foerster-Nietzsche, dokonała szeregu fałszerstw w jego papierach pośmiertnych, co więcej — cały zbiór, który ukazał się pod tytułem *Wola mocy* jest przez nią tendencyjnie sfabrykowany. Fakty te obalają całkowicie pogląd-legendę, jakoby Nietzsche mógł być ojcem duchowym hitleryzmu. Nowe, 3-tomowe wydanie dzieł filozofa, poprzedzone wstępem prof. Schlechty, które niedawno wyszło u Carla Hansera w Monachium, jest równocześnie oczyszczeniem jego nazwiska z najgorszej plamy, jaka może skalać humanistę.

Historia ma rzeczywiście posmaczek sensacyjny, w każdym razie Elżbieta Foerster jest postacią ze złego romansu sensacyjnego. Nie każdy porwałby się na mistyfikację tej miary. Uzyskawszy po zażartej walce prawo do dysponowania całą spuścizną literacką swego brata postanowiła posłużyć się nim dla zapewnienia sobie odpowiedniej pozycji oraz propagowania zaszczepionej jej przez męża ideologii pangermanistycznej. Przy pomocy cięć i dowolnych zestawień fragmentów sfabrykowała książkę, która miała się stać potem jedną z ewangelii narodowego socjalizmu. Operacja ta wymagała stworzenia całego aparatu, który by ją uwiarygodnił. Nie zawahała się i przed tym. Fałszując myśli i opinie polityczne Nietzschego w biografii o nim i równocześnie zacierając ślady swych praktyk przez niszczenie czy fingowanie listów brata, uniemożliwiła na dobrą sprawę dotarcie do prawdziwych źródeł filozofii nietzscheańskiej. W ten sposób „sztandarem" nacjonalizmu niemieckiego stał się człowiek, który wzdragał się przed wszystkim, co miało związek z pojęciem *Deutschtum*, który uważał Bismarcka za niebezpieczeństwo publiczne i pogardzał fanfaronadą Wilhelma II.

Żaden z pisarzy niemieckich nie mówił z równą jak Nietzsche gwałtownością o antysemitach, tej kategorii ludzi, którzy stanowią okresową plagę jego ojczyzny. „Antysemita nie staje się szlachetniejszy przez to, że kłamie z zasady." Antysemita był dla niego synonimem łajdaka. W jednym z listów do matki pisze: „Niech nie bo ma w opiece umysłowość europejską, jeśli zechce się ją pozbawić umysłowości żydowskiej". Obrońców czystości rasowej określa takim zdaniem: „Jesteśmy zbyt różni i pomieszani pod względem pochodzenia i rasy, aby przyjąć tę świadomość rasy, kłamliwą i bezwstydną, która mieni się być dzisiaj przejawem myśli niemieckiej...". W *Poza złem i dobrem* wyraża pogląd, że na to pojęcie „niemieckości" składa się suma niezbyt pochlebnych cech. „Niemcy lubują się w tajemnych ścieżkach, prowadzących do chaosu, i kochają swe symbole ponad wszystko. Niemcy kochają chmury i to, co jest mgliste, rodzące się, mroczne, wilgotne i zakryte: nieokreśloność, embrionowatość, wszystko, co jest w trakcie przeobrażania się czy wzrostu daje im wrażenie g ł ę b i." W dwa lata po zwycięskiej wojnie niemiecko-francuskiej Nietzsche robi na marginesie *Rozważań intelektualisty* uwagi, którymi odcina się od wszelkich nacjonalistów: „Wydaje się, że opinia publiczna w Niemczech zakazuje mówić o złych i niepokojących skutkach wojny, nade wszystko zaś wojny zwycięskiej. Pisarze, dla których ta opinia publiczna jest czymś najważniejszym, prześcigają się w dytyrambach, sławiących wpływ zwycięstwa na obyczaje, kulturę, sztukę". Za zgubne uważał Nietzsche „to szaleństwo opinii publicznej, które utrzymuje, że jest to zwycięstwo kultury niemieckiej...". Mówi swym rodakom, że o takim zwycięstwie „nie może być mowy z tej bardzo prostej przyczyny, że kultura francuska istnieje w dalszym ciągu i my nadal pozostajemy do niej w stosunku zależności, tak jak to było przedtem... Można jedynie wyrazić zdziwienie, że tak zwana kultura niemiecka nie potrafiła nałożyć wędzidła szałowi zwycięstwa".

Trzeba istotnie ironii losu, aby człowiek, mający taki stosunek do antysemityzmu, kultu wojny i nacjonalizmu, firmował ideologię nie mającą nic wspólnego z jego poglądami. Niestety, nazwisko jego rozbrzmiewało w czasie ostatniej wojny aż nazbyt często na łamach niemieckich gazet jako ozdoba editoraliów. Każdy zbir hitlerowski uważał się za zwiastowanego przezeń nadczłowieka. Specjalna antologia aforyzmów Nietzschego pod tytułem *Miecz myśli* stanowiła strawę intelektualną „bojowników i żołnierzy niemieckich". Nietzsche zalecał walkę, hart i dyscyplinę, ale w rzeczach nie mających nic wspólnego z narodowym socjalizmem. Niewątpliwie taki Rosenberg nie był aż tak naiwny, aby nie domyślać się roli, jaką odegrała w tym wszystkim Elżbieta Foerster.

Prof. Schlechta oczyścił nowe wydanie z podejrzanych tekstów i wyjaśnił, w jaki sposób doszło do ich powstania. Zbiór znany dotąd pod nazwą *Wola mocy* został zredukowany do znacznie skromniejszych rozmiarów i zatytułowany *Pisma różne z lat czternastu*. Potwierdził to, co krytyk Richard Blunck wskazał już w biografii o Nietzschem w 1953 roku, że wbrew sfałszowanym przez nią dowodom filozof bynajmniej nie uważał swej siostry za najlepszą interpretatorkę swoich dzieł. Przeciwnie, z pogardą odnosił się do jej braku

ıteligencji i często wyrzucał jej skłon-ość do intryg.

Ich wzajemne stosunki były zawsze ardzo napięte, wszelkie zaś próby 'spółżycia kończyły się fatalnie, mimo e Lama (nazwa, jaką jej nadał w dzie-ństwie), której imponuje środowisko rata, nie pomija żadnej okazji, aby się 'kraść w jego łaski. Pogarszający się 'an zdrowia Nietzschego i coraz częst-ze nawroty choroby dają ich aż nazbyt ·iele. Mając lat 34 musi przerwać cykl ·ykładów na uniwersytecie. W 1882 je-o wielka przyjaciółka, Malwida von leysenburg, chce go ożenić i podsuwa ıu młodą, uroczą studentkę rosyjską, ou von Salome. Nietzsche podobno legł jej urokowi, ale do małżeństwa ie doszło, gdyż dziewczyna jedynie ysublimowała uczucie uwielbienia mi-trza, nic ponadto. Zamiast tego między ou, Nietzschem i jego przyjacielem, 'aulem Ree, nawiązała się przyjaźń ı bardzo wzniosłych rejonach ducha. ist do Peter Gasta świadczy, że Nietz-che pogodził się z tym stanem rzeczy. Drogi Przyjacielu! Zrób mnie i Lou tę askę i uwierz, że do naszych stosun-ów nie mieszamy miłości. Jesteśmy rzyjaciółmi i zaufanie, jakim darzy nie ta młoda osoba, uważam za rzecz więtą."

Jednak niedługo potem, pod wpły-em intryg swej siostry, Nietzsche za-yna podejrzewać przyjaciół o różne drożne rzeczy, popada w depresję i na-et próbuje popełnić samobójstwo. Pod ozorem załagodzenia sytuacji Lama rzyjeżdża do brata, skutek zaś tej wi-yty jest taki, że Nietzsche wyzywa aula Ree na pojedynek i pisze do mat-i Lou gorzkie słowa: „Moja siostra ja mamy pełne prawo oznaczyć czar-ą kreską datę, kiedy córka Pani we-ła w nasze życie".

Schlechta wykazuje, że Elżbieta sfał-zowała prawie wszystkie listy swego rata odnoszące się do Lou. Nietzsche oznaje Lou w marcu, a już w kwiet-iu pisze o niej najbardziej nieprzyjem-e rzeczy. Ta mistyfikacja szyta jest ość grubymi nićmi, gdyż jeszcze na ótko przez zerwaniem pisał do Mal-idy von Meysenburg: „Moja siostra waża Lou za jadowitą żmiję, którą zeba zniszczyć za wszelką cenę. Dzia-i też z całą konsekwencją. Nie podzie-m jej punktu widzenia, przeciwnie, ciałbym być użyteczny Lou jak to lko jest możliwe". Elżbieta, pisząc trzytomową biografię Fryderyka Nietz-schego, dała swoistą wersję tej historii, twierdząc, że powodem zerwania było perwersyjne dążenie Lou do stworzenia trójkąta. Nietzsche przekonawszy się wkrótce, że jego podejrzenia nie miały podstaw, zniechęcił się jeszcze bardziej do swojej rodziny. „Nie mogę ścierpieć tego gatunku duszy, jaką Ty masz, moja siostro. Nie mogę znieść i nie znoszę tych, co się nadymają moralnością". Swemu przyjacielowi, Overbeckowi, skarży się: „Naumburg (gdzie mieszka-ła matka i siostra) cisnął mi w twarz garść nieczystości". Przy innej okazji wyśmiewa snobizm siostry: „Ale Lama! Jakże triumfuje, że może ocierać się o sławne zwierzęta! W końcu to jej brat wyrzeka się świata... staje się małym zwierzątkiem, nędznym i bez znacze-nia".

Od 1883 do 1888 Nietzsche, prawie ciągle chory, spędza czas między Szwajcarią a Niceą. Elżbieta próbuje go odwiedzać i pielęgnować, ale za każ-dym razem brat odsyła ją do domu. Kroplą, która dopełnia czary, są jej za-ręczyny z doktorem Bernardem Foer-sterem, człowiekiem z gatunku, które-go Nietzsche najbardziej nie znosił. Elżbieta fałszuje listy z tego okresu, chcąc pokazać, że jej stosunki z bratem były jak najlepsze. Tymczasem 2 kwiet-nia 1884 roku Nietzsche pisał do Over-becka: „Ten przeklęty antysemita (Foerster) jest powodem mego ostatecz-nego zerwania z siostrą". I 21 maja: „Muszę wreszcie uwolnić się od tych historii z rodziną...". Wreszcie 18 sierp-nia: „Jestem szczęśliwy, że nie dostaję już listów z Naumburg". Tenże doktor Foerster stworzył w Beyreuth ośrodek ducha pangermańskiego. Grupa, do któ-rej należał, wydawała pamflety, okre-ślane przez Nietzschego jako „haniebne". Z jego inicjatywy została 13 kwiet-nia 1881 roku wysłana do Bismarcka petycja, zawierająca 267 tysięcy pod-pisów i żądająca ograniczenia imigracji żydowskiej, usunięcia Żydów ze stano-wisk administracyjnych oraz rejestra-cji wszystkich Żydów zamieszkałych w Niemczech. „Cudowny prorok" Foer-ster głosił, że Żydzi zatruli muzykę i li-teraturę, zalecał wegetarianizm i dowo-dził, że Chrystus nie był Żydem, po-nieważ Ewangelia mówi, iż Chrystus jest synem Boga, z czego jasno wynika, że nie mógł być Żydem. Nietzsche, któ-ry zetknął się z enuncjacjami tej grupy

w 1879 i już wtedy zaniepokoił się aluzjami do jego dzieł, przysiągł sobie unikać wszystkich przedstawicieli tego „szarlatanizmu rasowego".

Foerster, zwolniony z uniwersytetu z powodu antysemickich wyskoków, wpadł na pomysł, że jedyny sposób ocalenia czystości kultury germańskiej — to ekspatriować się „za morza, do kraju szczęśliwszego, gdzie można poświęcić się uczciwej pracy". W 1885 małżeństwo wyjechało do Paragwaju.

Zamiast kolonizować nowe tereny, Foerster, opętany ideą wychowywania rasy młodych Niemców, postanowił wcielać w życie podstawowe zasady rasy germańskiej. Aby zdobyć potrzebne fundusze, zaplątał się w jakąś aferę, co omal nie skończyło się tragicznie. Chcąc spłacić długi męża Elżbieta zwróciła się o pomoc do przyjaciół i rodziny. Stosunek Nietzschego do historii paragwajskiej był od początku sceptyczny. W 1885 pisał do matki: „Moje zdanie co do przyszłości mej siostry nie uległo zmianie... Nie żywię żadnego entuzjazmu dla »bytu niemieckiego«, nie mam też najmniejszej chęci utrzymywać go w stanie czystości. Przeciwnie, przeciwnie". Kiedy siostra wysyła do niego rozpaczliwe SOS, wyraźnie określa swoje stanowisko. „Moja droga Lamo! Twój brat bynajmniej nie jest skłonny do posyłania Ci pieniędzy...". W liście do Peter Gasta podaje motywy: „Mam się na baczności, nie chcę mieszać się do awantury antysemickiej w żadnym wypadku". Elżbiecie posyła jedynie sumę, która jej się należała, co ona natychmiast wykorzystuje, aby umieścić jego nazwisko na liście ofiarodawców-sympatyków.

Wyprawa kolonizatorska Foerstera zakończyła się w 1889 jego samobójstwem i niedługo potem rozjątrzeni koloniści zmusili wdowę do wyjazdu. Elżbieta zaczęła się oglądać za nowym powołaniem. „Pozostał mi inny wielki obowiązek mego życia — otoczyć opieką jedynego, ukochanego brata, zachować jego dzieło i napisać historię jego myśli. Zadaniu temu poświęciłam odtąd cały mój czas i wszystkie siły." Istotnie, stan Nietzschego usprawiedliwiał konieczność takiej opieki. Dotknięty paraliżem, przebywa jakiś czas w domu dla umysłowo chorych, potem matka zabiera go do Naumburga. Pracami chorego zaopiekował się jego przyjaciel, kompozytor Peter Gast, który rozpoczął przygotowania do wydania prac zbiorowych, łącznie z niepublikowanymi dotąd fragmentami. Praca postępowała dobrze, ale w 1893 Gast pisze do Overbecka, że „kroi się coś, co może się okazać groźne, gdyż pani Foerster wraca z Paragwaju". Przewidywania spełniły się co do joty. Elżbieta zażądała natychmiast wszystkich rękopisów i przerwała druk przygotowanych przez Gasta partii. W domu swej matki zakłada archiwum nietzscheańskie i pod tym pretekstem urządza wieczory muzyczne i zebrania towarzyskie. Jedną z atrakcji jest pokazywanie nieprzytomnego Fryderyka Nietzschego. Matka jego pisze 2 października do Overbecka: „Podobne rzeczy są nieprzyzwoitością w domu, gdzie znajduje się człowiek tak ciężko chory". Niemniej zatopiona tylko w bigoterii nie ma siły przeciwstawić się córce i podpisuje dokument, dający Elżbiecie wszelkie prawa do dzieł jej brata. Mając ten dokument w ręku, Elżbieta zaciąga pożyczkę w banku i przenosi się razem z archiwum do Weimaru. Peter Gast, który złożył wizytę „dyrektorce archiwum", tak opisuje jej styl życia: „Nie robi ani jednego kroku pieszo. Do poruszania się po mieście używa ekwipażu ze stangretem i lokajami w liberii; stała się damą budzącą zazdrość i wszędzie przyjmowaną". Przyjaciele zdawali sobie sprawę, że dzieła Nietzschego wpadły w niewłaściwe ręce. Peter Gast pisze do Overbecka: „Publiczna dyskusja z panią Foerster-Nietzsche byłaby bardzo pożądana, gdyby można było jakoś trafić do jej tępego mózgu. Ale ona widzi wokół siebie tylko anioły lub diabły, głupców lub potwory".

Dr Ernst Horneffer, który początkowo z nią pracował, dorzuca ciekawe szczegóły: „Rękopisy zwalone była w niekształtne stosy w stanie zupełnie surowym. Nikt nie miał pojęcia, co zawierają... Zaczęliśmy robotę od sporządzania kopii dokumentów. Ale pani Foerster uważała, że tym trybem praca posuwa się zbyt wolno. Monotonia tej procedury irytowała ją... Krótko mówiąc, chciała, aby tomy ukazały się bez zwłoki. Znaleźliśmy się w trudnej sytuacji. Domagała się nieopóźniania wydania pism nieukończonych, choćby miały formę szkicową. W wypadku naszej odmowy zwróci się natychmiast do kogoś innego. Wymieniała przy tym nazwiska ludzi, których Nietzsche na pewno uważałby za szarlatanów".

Równocześnie z pracą „redakcyjną" Elżbieta przygotowuje grunt pod *Wolę mocy*. I tak przytacza rozmowę z bratem na przechadzce, kiedy ów w uniesieniu patriotycznym wspomina kampanię z 1870 roku: „Poczułem, powiedział do mnie po chwili, patrząc na niebo pokrywające się zmierzchem, jak to dobrze, że Wotan umieścił twarde serca w piersi wodzów. Jakże inaczej mogliby prostać przerażającej odpowiedzialności i posyłać tysiące ludzi na śmierć, aby dać swym narodom i sobie potęgę i władzę". Oczywiście te bajeczki o Wotanie są czystym wymysłem.

Pierwsze wydanie zawierało 483 aforyzmy, ze wstępem i komentarzem Elżbiety Foerster, drugie 1.067 aforyzmów, dobranych i spreparowanych pod kątem widzenia pangermanizmu. Na materiały złożyły się głównie różne niedokończone fragmenty i zapiski robione w pośpiechu i często nieczytelne. Słowo „wola", które się tam ciągle powtarza, bez żadnego uzasadnienia logicznego, zostało niewątpliwie dopisane. W tekście oryginalnym *Dytyrambów Dionizosa* jest *Die Stille erloest*. Lama zmieniła *Stille* na *Wille*. Nie ma to żadnego sensu w kontekście, ale dodaje dźwięk, który podobał się wyznawcom narodowego socjalizmu.

Śmierć Nietzschego w 1900 dała jego spadkobierczyni zupełną swobodę działania. Mogła teraz w imieniu swego brata oświadczać, że Benito Mussolini jest najczystszym wcieleniem ducha nietzscheańskiego w XX wieku. Kiedy na horyzoncie ukazał się rodzimy *führer*, w dowód admiracji posłała Hitlerowi laskę, używaną przez Nietzschego w czasie spacerów. Ten, oceniając znakomity efekt propagandowy wszelkich kabotyńskich gestów, każe się odtąd fotografować na tle popiersia filozofa.

Jeszcze za życia Lamy zainteresowanie dziełem Nietzschego było tak wielkie, że domagano się wydania krytycznego, to znaczy zawierającego jedynie teksty, których autentyczność została naukowo stwierdzona. Dr Schlechta, który miał wziąć udział w tej pracy, tak o tym pisze: „Odnalazłem siostrę Nietzschego i prosiłem ją, aby mi dała wszystkie będące w jej posiadaniu listy Nietzschego, jako też materiały uzupełniające. Prośba ta została odrzucona bez ogródek. Mieliśmy na ten temat kilka bardzo gwałtownych dyskusji. Ponieważ pani Foerster oświadczyła mi na końcu, że tylko ona może zapewnić wydanie listów, które Nietzsche pisał do matki i siostry, wycofałem się z tej historii... mogłem do niej powrócić dopiero po śmierci pani Foerster, dzięki fundacji pewnego towarzystwa naukowego".

Wyniki badań archiwalnych ogłosił Schlechta dopiero w dwadzieścia lat później. Jak pisze, były one „dosyć zaskakujące". Na około 30 listów, które Elżbieta Foerster ogłosiła jako „listy Nietzschego do matki i siostry", nie było ani jednego tekstu oryginalnego. Wszystkie pisane były jej ręką. Każdy list opatrzony został napisem „tekst autentyczny i oryginalny", na marginesie zaś tą samą ręką wpisana była uwaga: „Oryginał tego listu został spalony przez naszą drogą matkę".

Zaintrygowany Schlechta zaczął badać treść tych listów. Wszystkie zawierały myśli i idee, na których pani Foerster oparła swoją osobistą interpretację Nietzschego. Ani Overbeck, ani filozofowie Bernouille i Podach, ludzie mu najbliżsi, nigdy nie mogli się na nią zgodzić. Zwroty te zresztą nigdy nie występują w listach pisanych ręką Nietzschego. „Nawet nieuprzedzonego czytelnika — pisze Schlechta — musiało uderzyć, że ta seria listów została zredagowana z określoną intencją przedstawienia w podejrzanym świetle Lou von Salome i Paula Ree, małżeństwa Overbecków (zwłaszcza pani Overbeck), matki Nietzschego w związku ze sprawą Lou, z drugiej zaś strony naświetlenia intryg Elżbiety jako akcji dobroczynnej, wreszcie zaś utwierdzenia przekonania, że Elżbieta Foerster cieszyła się pełnym zaufaniem swego brata. Chodziło też o stwierdzenie na piśmie, że Lama zna najwierniej dzieła swego brata."

Oto kilka próbek: „Jest godne pożałowania, że nie mam przy sobie nikogo, kto by potrafił mnie tak dobrze pielęgnować, jak Ty... zresztą nikt tego nigdy nie potrafił. Ach! Dobre, stare czasy! Jak mi wtedy było dobrze, nic nie może być dla mnie lepszego niż być pielęgnowanym przez moją dobrą Lamę." „Jesteś tak dobrą przyjaciółką i towarzyszką, że im będziesz starsza, tym lepiej potrafisz zapewne przeniknąć moje poglądy i sens mego wysiłku." „Wiem dobrze, że od lat różne osoby strają się wmówić we mnie i Ciebie, że moja filozofia Cię przerasta. Biedni!

Jak bardzo ulegamy wpływom! Ale wierz mi. Twój dziecinny sposób bycia nie oszukał mnie. To tylko pozory i wiem, że za nimi kryje się charakter zdolny do najlepszych i najbardziej bohaterskich czynów." Elżbieta wie, że kropla drąży skałę. W jakiś czas potem czytamy znowu: „To, co mówisz, to najlepsza rzecz, jaką powiedziano o moich ideach, i piszesz to w swój własny sposób, jakbyś je sama przeżywała, a nie dowiadywała się o nich z moich książek. Odczuwam głęboko Twoje słowa, należymy do tej samej rasy. Rozumiesz mnie lepiej niż ktokolwiek, ponieważ ta sama krew płynie w naszych żyłach". List z końca października 1888: „Jesteś jedyną istotą, której mogę instynktownie i bez zastrzeżeń zaufać". I wreszcie: „Nasz nowy cesarz (Wilhelm II) podoba mi się coraz bardziej". A oto liryczna apostrofa innego listu: „Piszę złotą jesienią, najpiękniejszą ze wszystkich, jakie przeżyłem, i spoglądam wstecz na moje minione życie. Piszę tylko dla siebie samego. Nikt nie powinien czytać tych stron, z wyjątkiem pewnej dobrej Lamy, kiedy przybędzie zza morza, aby odwiedzić swego brata".

Ponieważ w 1905 umiera jeden z najważniejszych świadków, mogących zakwestionować tę bratersko-siostrzaną idyllę (Overbeck), począwszy od 1909 Elżbieta zaczyna publikować sfingowane listy. Chociaż późniejszych badaczy uderzał fakt, że wyrażane w nich myśli odbiegały od tego, co głosił Nietzsche, ton i rytm zdań wydawały się autentyczne. Pierwszy Schlechta odkrył, że postępowanie Elżbiety było zwyczajną uzurpacją. „Schlechta i jego współpracownicy wzięli sobie za punkt honoru odcyfrowanie najdrobniejszych zapisków pozostawionych przez Nietzschego. Odkryli, że prawie wszystkie listy skopiowane przez Elżbietę Foerster zostały przynajmniej częściowo napisane przez samego Nietzschego, lecz były to listy adresowane do kogoś innego, nigdy nie wysłane. Z różnych fragmentów cudzych listów Lama zrobiła kompilację, dla pewności wymazując lub zalewając atramentem miejsca, które mogłyby ją zdradzić."

Tak się tworzy legendy.

„Kto wie — pisał Nietzsche do swojej przyjaciółki, Malwidy von Meysenburg — ile przetoczy się generacji, zanim znajdzie się paru ludzi zdolnych zrozumieć w całej głębi to, co napisałem. A nawet wtedy ze strachem myślę, ile rzeczy niesłusznych i niesprawiedliwych będzie się dokonywało, powołując się na mój autorytet." Obawy te okazały się w pełni uzasadnione.

ab

NIESPOKOJNE WIOSNY IVANA GALEBA

„Myśliciele, jeżeli w ogóle coś znaczą, znaczą jako przebrani poeci." — „Co począć, skoro prawdy tak krótko trwają? A może prawdy stanowią zaledwie młodość idei?" — „Bałamucenie środkami prawdy jest bez porównania bardziej podłe niż oszukiwanie przy pomocy kłamstwa." — „Nie wystarczy swą myśl jeden raz podać w wątpliwość, raz ją przewietrzyć i na tym poprzestać. Miast w wodzie, trzeba się codziennie myć w wątpliwościach." — „Dopiero we śnie, gdy wyłączone zostaną sprężyny woli, widać, jak nędznie wygląda ludzka maszyna. Toteż twarze śpiących należałoby przez pietyzm miłosiernym ruchem zakrywać, jak twarze umarłych." — „Jedyną pewną prawdą jest człowiek zdjęty lękiem i przepełniony cierpieniem; jedyną prawdziwą realnością jest realność naszego cierpienia." — „Tak, śmierć jest dobra. Powinna tylko zostawiać nam cieniutką smużkę świadomości — taką, abyśmy mogli przekonać się, czy w nicości istnieje dobroć."

Są to na chybił trafił wypisane dyskursywne zagęszczenia wydanego w 1957 r. utworu pisarza jugosłowiańskiego, Vladana Desnicy, pt. *Wiosny Ivana Galeba*. Autor ten dał się dotąd poznać jako prozaik, którego uwagę w opowieści *Zimowe wczasy* przyciągnęli małomiasteczkowi ludzie o wąziutkich widnokręgach, zaś w powieści *Wraki na słońcu* zwichrowane tęsknoty istot

skrzywdzonych przez los. W tej samej, choć wzbogaconej o nowe tony gamie napisany był i tom nowel *Wiosna w Badrovacu*, natomiast w wydanej po nim księżce *Tu, obok nas* prócz dotychczasowych autor wprowadza i wielkomiejskie żywioły. Ale nie na tym polegała nowość w jego ewolucji; zahaczając o miejskie żywioły — Desnica ze spokojnej deskrypcji przeszedł tu do nerwowej narracji, przerywanej często strzępami refleksyj. W *Wiosnach Ivana Galeba* proces ten poszedł jeszcze dalej: fabuła rozsypała się niemal zupełnie, a najeżone filozoficzno-psychologicznymi problemami wynurzenia narratora zawarowały rolę dominującą.

Ewolucja od tradycyjnej do amorficznej prozy jest faktem o tyle bardziej ciekawym, że autor ten uważany był poprzednio za kontynuatora „piewcy Dalmacji", Symy Matavulia (1852—1908), który, łącząc cechy włoskiego weryzmu i osiągnięcia francuskich realistów, w oryginalnej prozie dał galerię typów z jugosłowiańskiego przymorza. Co prawda uważny czytelnik mógł dostrzec, iż Desnica, jak i jego poprzednik, doskonały obserwator i psycholog — był jednak i we wcześniejszych utworach w rysunku postaci bardziej wyrafinowany, jakiś pajęczy, zaś w ogólnej wymowie swej prozy zaprawiony sceptycyzmem; od początku zdradzał poprzednika przedkładaniem uroków nastroju ponad uroki anegdoty. Później nastrój przedzierzgnął się w kontemplację i refleksję — w problematykę filozoficzno-moralną. W ten sposób Desnica doszlusował do pisarzy, których twórczość daje świadectwo temu, co zwykło się nazywać kryzysem dziewiętnastowiecznych konwencyj narracyjnych.

Aby uzmysłowić czytelnikowi, na czym polega ewolucja tego na wskroś oryginalnego prozaika, można by — *mutatis mutandis* — porównać go z Adolfem Rudnickim. Po *Żołnierzach, Niekochanej, Koniu, Złotych oknach* napisał on, jak wiadomo, *Pałeczkę* i dwa tomy *Niebieskich kartek*. Pamiętamy, że Rudnicki, rezygnując z fabuły w swoich dwóch ostatnich utworach, korzysta jednak z beletryzowanych fragmentów, nawet z czegoś w rodzaju opowiadań. To samo czyni Desnica w *Wiosnach Ivana Galeba;* ponadto nie rezygnuje on z postaci głównego bohatera.

Utwór jego składa się z kilkudziesięciu rozdziałów. Są to albo opowiadania mające mocno pokiereszowany szkielet fabularny, albo rozmyślania układające się nieraz we wcale zgrabny esej na tematy z zakresu estetyki, filozofii, etyki itd.

W beletryzowanych partiach „powieści" Desnica pozostał wierny swojej dawnej tematyce — demaskuje małomiasteczkowych mieszczuchów, pokazuje zwichnięte i przez to podatne na różne działania kreaturki, pochyla się nad ludźmi, z którymi los obszedł się po macoszemu, i jakby od niechcenia rzuca garść realiów zaczerpniętych z nagrzanych słońcem i słonych od morskiego wiatru miasteczek dalmatyńskich. Rysuje postaci oszczędnie, ale celnie; czasem zakpi z nich, skarci ich, by się zaraz po tym przebaczająco uśmiechnąć. Lecz nawet te zmodyfikowane opowiadania nie stanowią tradycyjnie pojętego wycinka literacko transponowanej rzeczywistości. Każde z nich autor inkrustuje rodzynkami myślowymi, a jeżeli tak nie postępuje, jeżeli pozwoli nam smakować w niezmąconych niczym beletrystycznych fragmentach — czyni to na krótko, po to, by nabrać oddechu i czmychnąć zaraz w rozważania o charakterze filozoficznym czy moralnym.

Spoiwem wiążącym dyskursywne i fabularyzowane cegiełki jest postać Ivana Galeba, dawniej renomowanego skrzypka, który obecnie (jest rok 1936) dogorywa w pewnym szpitalu. Z perspektywy człowieka przykutego do łóżka patrzy on na swoje dzieciństwo, wiek chłopięcy i młodość, spędzone w drobnomieszczańskim środowisku nadadriatyckiego miasteczka, oraz na lata wieku męskiego, rozmienione na drobnicę gorzkich tułaczek po bezdrożach świata. Galeb, oglądając się za siebie i zanurzając w sobie, przeprowadza rozrachunek z życiem, ludźmi — z antynomiami naszego skomplikowanego wieku.

Dwie podstawowe płaszczyzny utworu — narracyjna i eseistyczna — jak również ich poszczególne warstewki (dotyczące dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego) zlewają się lub nakładają na siebie, przeplatają, dzieją się niejako jednocześnie; to, co zachodzi aktualnie, miesza się z tym, co było albo co być może. Rytm tych elementów jest zmienny — raz powolny, innym razem szybszy; ucicha, by po pewnym czasie wybuchnąć i znów przejść w inną gamę.

W ten sposób kompozycja utworu przypomina układ dzieł muzycznych. Jest to ciekawa próba zrekompensowania brakujących elementów fabuły czy akcji, elementów integralizujących dzieło literackie. Z tą sprawą łączy się ściśle jednolita, pełna słońca tonacja całego utworu. O tym jednak przy końcu.

Ale nie są to jedyne próby zrównoważenia ubytków powstałych na skutek rezygnacji z tradycyjnych chwytów kompozycyjnych. Jest jeszcze jedna, bodaj ważniejsza i istotniejsza — chodzi o postać Galeba. Nie spełnia on tutaj roli mechanicznego, na siłę doczepionego i nudnego narratora. Z beletryzowanych fragmentów, w których stoi jakby z boku, z rozmyślań wynurza się jego postać, obrysowana bardzo wyraźnie. Zdawałoby się, że zbeletryzowany esej daje nikłe możliwości ukształtowania w jego ramach pełnokrwistych, wrzynających się w pamięć postaci bohaterów. Okazuje się, że to złudzenie. Szukając równoważników elementów konstrukcyjnych, stosowanych w tradycyjnej powieści, Desnica przeprowadza eksperyment, w którego wyniku powstaje bohater podobny i niepodobny do dawnych, istniejący i równocześnie nieistniejący (bo zatomizowany i porozrzucany po całym utworze), lecz żywy i dziwnie skądś nam znany.

Ivan Galeb jest artystą, intelektualistą. Zrodził go nasz wiek, wiek sprzeczności; przeszedł on przez niejeden krąg współczesnego piekła, pełen jest kontrowersyj, wątpliwości, nagryzają go różne pytania, kompleksy. Szukał schronienia w systemach filozoficznych. Doszedł do wniosku, że „...filozofie mają jakiś sens i wartości jedynie wtedy, gdy bierzemy je jako określone sposoby czucia. Każda filozofia to tylko wyraz określonego sposobu odczuwania. Filozofowie, jeżeli w ogóle coś znaczą, znaczą jako przebrani poeci. A ich poezja jest jedyną prawdziwą, szczerze naiwną — ową właściwą poezją". Kosztował też idei, prawd tego świata. Oto, co o nich sądzi: „No cóż robić, księże proboszczu — zwraca się Galeb do jednego ze swoich interlokutorów — co począć, skoro prawdy tak krótko trwają, skoro tak szybko się strzępią, zużywają; skoro są tak niestałe, filuterne niejako. A może prawda stanowi zaledwie młodość idei? Może idee zachowują walory prawd tylko za czasów swej młodości?...".

Bohater Desnicy żyje, ale w każdej chwili czuje obecność spraw ostatecznych, dana mu jest świadomość metafizycznej podszewki życia. „Śmierć jest czymś, co wszystko uświęca. Dodaje wszystkiemu znamion realności, powagi właściwej faktom prawdziwym. Zdarzają się bezsensowne, czcze życia. Śmierci bezsensownych nie ma. Żyć można i niepoważnie, i nieodpowiedzialnie. Całe nasze życie może stanowić taką sobie fikcję, namiętną grę w objęciach maligny, rozżarzone złudzenie, doświadczane na rubieży rzeczywistości. Jedynie śmierć jest realna."

Dla dogorywającego w szpitalu Galeba życie sprowadza się do *meditatio mortis*. Patrzy on na wszystko z tej jednej perspektywy i w każdej chwili niejako antycypuje śmierć. Nie dziw więc, że jego egzystowanie zabarwione jest rezygnacją. Dla niego wszystko relatywizuje się, może i nie musi istnieć (a najczęściej istnieje jedynie jako układ wrażeń), jest jednocześnie dobre i złe, uczciwe i podłe. Na dnie dobroci leży egoizm, piękno podszyte jest brzydotą, miłość zobojętnieniem itd. Spojrzenie Galeba wolne jest od społecznego krytycyzmu, a jego rozprawa ze światem przeprowadzana jest wyłącznie w płaszczyźnie psychologicznej. Świat obiektywny dociera do jego świadomości niemal wyłącznie w postaci określonych konsekwencji moralnych.

Sprawa ukrywania swego właściwego ja, sprawa wykoszlawiania najwartościowszych cech człowieka przez otoczenie, zwyczaje, przez konwenans obłudy — oto ważna sfera problemów, pochłaniających tęskniącego za dziecięcą szczerością uczuć i zachowań Galeba. W jego wynurzeniach napotykamy iście Gombrowiczowskie stwierdzenia na temat osławionej „gęby". Są tu dalmatyńskie odpowiedniki Miętusa, Syfona i Ferdydurke.

Przykuty do łóżka Galeb zwierza się nam, że próbował schować się w kontemplacji. Niestety i tam natknął się na metafizykę: „Siedzieliśmy na kamiennej ławie sieni kościelnej i rozmawiali. Sień wędrowała wokół nas statecznym rytmem swoich łuków, zapadając się wytrwale sama w siebie, niby pierścień. Niby wieczność". Kontemplował również ciszę, lecz ludzką koleją rzeczy nastąpiło pragnienie jej zaprzeczenia: „Niedziela ma jakiś szczególny, specyficzny charakter. Jak gdy-

by to nie był dowolnie, na mocy ludzkiego porozumienia ustalony dzień. W niedzielę słońce jest bardziej słońcem, cisza bardziej ciszą niż w inne dnie. Lecz szczególnie powolne, kleisto powolne jest niedzielne popołudnie. Gdy bowiem minie południe, niedziela stężeje — dojrzeje. Popołudnie niedzielne to ustokrotniona niedziela. Wszystko wokół nas jest zakute, wszystko sapie i tęskni, i krzyczy zgęstniałą ciszą, prosząc o jakiś ruch, dźwięk, zew, jazgot. Och, gdyby ktoś chciał gdzieś krzyknąć...".

Próbował i opiekuńczych skrzydeł sztuki, religii, miłości. Ale okazało się, że i one mają swoją odwrotność, a najczęściej są jednym ze złudzeń, które — jeśli nam ich świat nie dostarcza — sami wytwarzamy. Zdaniem Galeba pozostaje nam tylko czyste trwanie. „To nie życia pragniemy. Życie, to coś przeogromnego, potężnego. A także coś, co wymaga nadludzkich wysiłków. Nawet sama chęć życia jest męcząca. Pragniemy tylko trwania. I to nie własnego, lecz trwania w ogóle, jako takiego." „Czuję tylko, że nie ma bardziej konkretnego dobra aniżeli przymierze z radością, z cierpieniem — i zanurzenie się w słońcu."

Otóż to! Słońce. Tę w niecodzienny sposób piękną książkę, zafascynowaną śmiercią i sprawami ostatecznymi, oryginalny talent Desnicy prześwietlił nie owym oślepiającym słońcem, przed którym mrużymy oczy czytając *Obcego* Camusa, ale łagodnymi, przywracającymi wiarę w świat i życie promieniami wiosny. Zalana wiosennym słońcem przyroda raz do roku pokazuje swoją niezniszczalną prawdziwość. Ona, przyroda, w swojej oczyszczająco bezbronnej naiwności jest naprawdę prawdziwa. Trwa regularnością powrotów pełnych słońca wiosen. Przyrodzie — wiosnom i słońcu — trzeba zaufać; w nich można ulokować niepokój ludzkiego bytowania pod gwiazdami.

Tak sądzi Galeb, taką zostawia nam nadzieję. Czy to dużo, czy mało? — Zależy, z której strony patrzymy. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że mówiła do nas stuoka istota o stu sercach i rozumach — artysta, iż mówił człowiek, którego zrodził najeżony kontrowersjami wiek, który brał udział w rozmaitych biesiadach serca i rozumu, kosztował wielu prawd i który pamięta różne kataklizmy — wówczas to bardzo dużo. Trzeba zawierzyć renesansowym Włochom, którzy twierdzili: *Il poco è molto a chi non ha che il poco.*

Alija Dukanović

„CZĘŚCIOWY ŁAD W CAŁKOWITYM CHAOSIE"

J. ROBERT OPPENHEIMER O ZWIĄZKACH SZTUKI I NAUKI

Jednym z objawów, jedną z form rozdarcia dzisiejszego świata jest coraz większy, coraz bardziej niemożliwy do wyrównania dystans rosnący między zdrowym rozsądkiem a nowoczesną myślą naukową, między nawykami wrażliwości a nowoczesną sztuką. Jakżeż tu porozumieć się co do spraw najbardziej zasadniczych, jeśli powstały bariery, wysokie, nieprzekraczalne, bariery pojęciowe, formalne, językowe w obrębie każdego społeczeństwa. W każdym społeczeństwie coraz bardziej się wyodrębniają grupy nie rozumiejące się i to nie rozumiejące się bez urazy, programowo, ze wzajemnym szacunkiem, i coraz bardziej się nie rozumiejące. Nowoczesne nauki, matematyka, fizyka, astronomia z jednej, a z drugiej nowoczesne przejawy sztuki, ekstremizmy malarskie i muzyczne, laboratoryjne postacie powieści, poematów, ciągną każde w swoją stronę pojęcie i formę świata, każdym nowym odkryciem deprecjonując jego pojmowanie i odczuwanie żywiołowe, potoczne, przypadkowe. A dokoła tych wysiłków poznawczych i prób kreacyjnych olbrzymie masy wszystkich narodów, olbrzymia większość ludzkości ironizuje, złości się i po prostu ziewa i nie zwraca uwagi.

Oczywiście — dlaczego oczywiście, to Bóg raczy wiedzieć, ale tak już jest — trudno dostępne formy poematu czy

utworu muzycznego wywołują tradycyjnie nieporównywalnie gwałtowniejszą reakcję niż niepojęty wzór matematyczny. Dystans nowoczesnej nauki zdumiewa, ale nie oburza. Einsteina nie rozumie się bardziej niż Newtona, lecz Newtona też się nie rozumiało. Ale spokojnie, bez nerwów. Natomiast od niepamiętnych czasów zawsze jednakowo oburza trudna sztuka. Nowemu poematowi zawsze się wygarnie jako kontrargument jakiś wiersz sprzed stu czy stu pięćdziesięciu laty, który bez najmniejszego już trudu (oczywiście) wzrusza, nowoczesnej powieści eksperymentalnej (ot takiemu *Ulissesowi* Joyce'a np.) przeciwstawi się *Quo vadis* i spór rozstrzygnięty. Publikowany niedawno (u nas) szkic Ortegi y Gasseta był próbą jakiegoś ułożenia się ze sztuką nowoczesną w kategoriach zdrowego rozsądku. Wobec przeobrażeń jednak, które w ostatnich latach wszystkie dystanse pogłębiły, ta próba jest już bardzo zdezaktualizowana. Nie dlatego, aby dzisiejsza sztuka w porównaniu z tą sprzed dwudziestu-trzydziestu laty była niepojęta. To jeszcze nie. Ale nastąpił gwałtowny rozkład utrzymującej się jeszcze przed dwudziestu-trzydziestu laty jedności świata. Dzisiaj naiwne byłyby wszystkie pretensje. Wiek atomowy i tak się dość skromnie wyraża jak na swoje możliwości. Ale rzecz zdumiewająca, pretensje zgłasza się nadal, takie same pretensje, tak samo naiwne. Maniakalnie żąda się od sztuki „bliższego związku z człowiekiem", współczucia dla jego troski, pociechy dla jego bólu. Przecież od początku swojego istnienia sztuka nie zajmuje się niczym innym, jak utrwalaniem tych związków, współczuwaniem i pocieszaniem. Tylko pozwólcie, kochani, aby już sama określała człowieka, strefę jego trosk i bólów. Nie musi przecież wciąż wyrażać tych samych, przedpotopowych, a w najlepszym wypadku zrodzonych tuż, tuż po potopie wzruszeń, doświadczeń, co się jej nieustannie proponuje. Troski i bóle człowieka dotyczą — jakżeż mogłoby być inaczej? — spraw najistotniejszych dla czasu ich przeżywania. A przeżywać wiek atomowy, świadomie, bez prób uchylania się, to nie jest sprawa prosta, z pewnością. Więc chyba nic dziwnego, że sztuka wyrażająca to przeżywanie odbiega od prostoduszności, prostolinijności i wszystkich innych ideałów prostoty, i odbiega dość daleko. Pewnie, kwiaty kwitną wciąż jeszcze, serca biją, rzeki płyną, orna gleba naszej planety rodzi zawsze na nowo zdumiewające płody, ale pejzaż ludzkiej samotności ma naturalność innego już, nie tylko botanicznego rzędu. Granice natury zostały rozszerzone, więc pojęcie naturalności także.

Wzrastający dystans między nawykami wrażliwości a nowymi formami sztuki to jedna nieunikniona strona dzisiejszego, jutrzejszego świata. Drugą, równie nieuniknioną stroną jest także wzrastający dystans między zdrowym rozsądkiem a myślą naukową. Czyżby te dwie nieuniknione strony dzisiejszego świata były po prostu faktem, zjawiskiem obiektywnym, istniejącym i tylko samym swoim istnieniem komentującym rozdarcie? Wszystko zdaje się to potwierdzać. Rozwój nauk ścisłych, zdobywcze wyprawy w głąb istnienia zdystansowały nie tylko zdrowy rozsądek, ale także środki organizujące wzruszenie. Sztuka i nauka oddalające się, jedna wyrafinowaniem, druga specjalizacją, od swoich baz społecznych zdają się także tracić poczucie związków wzajemnych. — Rzeczą pierwszej wagi jest więc to wszystko, co to poczucie utrzymuje. Wzajemne stosunki nowoczesnej wyobraźni i nowoczesnej myśli, wzajemne rozczarowania i wzajemne nadzieje to dzisiaj najważniejszy, może jedyny problem humanistyki. Tutaj jest przecież źródło jedności świata. Do uratowania.

Dwie książki fizyka atomowego, uważanego za ojca bomby A — J. Roberta Oppenheimera, które właśnie do mnie dotarły (*Science and the Common Understanding* i *The Open Mind*), ukazują ten problem od strony najbardziej autorytatywnej. Nie teoretyk kultury, nie filozofujący popularyzator, a więc nie ktoś, kto jest zawodowym objaśniaczem świata, mediatorem stron jasnych i ciemnych, ale przedstawiciel dyscypliny skrajnej, bezpośrednio zaangażowanej w rozszerzanie granic natury, w dodatku przedstawiciel firmowy — zabiera głos w sprawach wyznaczających perspektywy dzisiejszego świata.

Trzeba powiedzieć od razu, że J. R. Oppenheimer jeszcze bardziej komplikuje wizję świata, komplikuje, tzn. nie usiłuje ze swoich pozycji znaleźć drogi do wszystkiego, nie zamierza wnętrza atomu ukazywać jako centrum dyspozycyjne świata. A tak byłoby prościej.

stanowisko Oppenheimera jest zastanawiające: ukazuje nauki ścisłe, bagatela — fizykę nuklearną, od takiej strony, jakiej nam nawet humanistyka, a więc dyscyplina nie obciążona rzyzykiem nie odsłania: jej stan moralnego i intelektualnego zagrożenia. Nie wszystko jest w tym nowe. Odpowiedzialność za świat, to znamy; poczucie winy, grzechu, tego się domyślamy; zależność (przeradzająca się w antagonizm) od technologii, to sobie wyobrażamy. Ale ustawiczne poczucie błędu, poczucie nieustające i nieuniknione, które nie paraliżuje, ale dodaje sił, energii odkrywczej, które jest jakby zaostrzonym, sprowadzonym do metody nadawczej poczuciem śmiertelności intelektu — jest zdumiewajce. „(W fizyce) bardzo wcześnie musimy się liczyć z możliwością błędu... Gdyż fizyka nie jest dziedziną, gdzie błąd może przetrwać do śmierci badacza i czekać, aż go przyszłe pokolenia odkryją; wyrok znajdzie się już w najbliższych numerach periodyków." Ukazanie drogi fizyki, tej drogi prowadzącej przecież od zwycięstwa do zwycięstwa, jako sumy etapów od błędu do błędu, jest dla nas, humanistów — czy tylko humanistów? rewelacją antydogmatyzmu. Zresztą dr Oppenheimer pewne kropki stawia sam. „Przypomnijmy, na odwrót, jeden z aspektów tych zasad, które uczniowie Freuda wywiedli ze znakomitych odkryć swojego mistrza: musi budzić podejrzenie ze względu na tendencje do przeobrażania doktryny w system hermetyczny, tzn. taki system, który automatycznie odrzuca wszystkie dowody mogące świadczyć przeciwko doktrynie. Ambicja nauki jest właśnie odwrotna: ona zachęca do poszukiwania błędu i domaga się uznania dla swoich badań śledczych."

J. Robert Oppenheimer komplikuje także wizję nauki, ukazuje jej złożoność, jej rozbicie, wzajemne rozdarcie dyscyplin. „Chciałbym mocno podkreślić fakt, że nie istnieje jedność techniki, hierarchii wartości i metody między różnymi dziedzinami, które łączymy mianem nauki."

Lecz przede wszystkim Oppenheimer ukazuje granice nauki. Nie chodzi o granice postępu wiedzy, wyczerpanie się energii zdobywczej, zakończenie okresu odkryć. (Chociaż nie jest bez znaczenia takie stwierdzenie fizyka atomowego: „Jeśli można mówić o dobrodziejstwach energii atomowej, myślę, że zastosowanie jej w bardzo słabym stopniu zrealizuje nadzieje, które wzbudziła".) J. R. Oppenheimer ukazuje dziedziny ludzkiego ducha, których nauka nie zorganizuje, gdzie nie wtargnie. W tych dziedzinach właśnie operuje sztuka.

Trudno tego przekonania o niezagrożonej autonomii sztuki, które wypowiada fizyk atomowy, nie przeciwstawić powtarzającym się tu i ówdzie, pamiętanym jeszcze z okresu dwudziestolecia wyznaniom artystów, ich wyznaniom wiary w nieograniczoną suwerenność nauki. Tym artystom wierzącym — i prymitywnie, i naiwnie jednocześnie — w przyszłe, nieomylne matematyczne wzory na wzruszenie, owe wzory-poematy, wzory-symfonie, wzory-malarskie wizje Oppenheimer mówi o autonomii duchowego życia, a więc o nieosłabionych wciąż szansach sztuki.

„Pomimo postępu osiągniętego w fizjologii narządów odczuwania i mózgu, chociaż coraz lepiej znamy strukturę i funkcjonowanie tych skomplikowanych mechanizmów, wydaje się mało prawdopodobne, abyśmy mogli kiedykolwiek językiem fizyko-chemicznym opisać zjawiska fizjologiczne, towarzyszące świadomej myśli, uczuciu, woli. Dzisiaj w każdym razie należy w to wątpić. Wiemy, że choćby udało się wyświetlić zjawiska fizyczne związane z określonymi elementami świadomości, ich ukazanie nie dałoby wiernego obrazu człowieka, który myśli, nie ukazałoby jasności jego myśli, precyzji jego woli ani przyjemności odczuwanej przez jego oczy i ducha w obecności dzieła sztuki."

Oppenheimer ze swojej wizji świata wyklucza wszelką hegemonię. Nauka, ta nauka nie zatrzymująca się w swoim pochodzie, sięgająca wciąż dalej i dalej, jednak nie ogarnie świata. Pozostaną tajemnice niewydarte, niemożliwe do wydarcia. Nauka je będzie oblegać, będzie zacieśniać pierścień swojego rozumienia, ale nie dotrze do nich nigdy. Więc? Sztuka je wyrazi.

„Człowiek nauki i człowiek sztuki obaj żyją na samym brzegu otaczającej ich tajemnicy. Na miarę swoich możliwości twórczych i jeden, i drugi będą harmonizować to, co nowe, z tym, co zastane (...) Będą walczyć o to, aby zaprowadzić częściowy ład w całkowitym chaosie."

Jeżeli jedność świata jest niemożliwa,

jeżeli rozdarcie, chaos jest stanem naturalnym, to zadaniem i nauki, i sztuki jest łagodzić to rozdarcie, polerować kanty, zacierać gwałtowne różnice. Oppenheimer tą samą miarą mierzy rzeczy prawdziwe i rzeczy piękne, i taką samą anatemę rzuca na ignorancję i na niewrażliwość.

„Kiedy przyjaciel mówi nam o nowym odkryciu, możemy go nie zrozumieć; mamy prawo nie słuchać go z troski o bezpieczeństwo naszej własnej pracy, bo ta nam jest bliższa. Ale ani w księgach, ani w systemach nie mamy prawa szukać usprawiedliwienia, gloryfikacji naszej niewiedzy. Jeśli mówi nam ktoś, że inaczej patrzy na rzeczy, niż my patrzymy, że za piękno uważa to, co my uważamy za brzydotę, możemy z irytacji czy ambarasu wyjść z pokoju. Ale to będzie błąd i objaw słabości. Jeżeli musimy żyć z ustawicznym uczuciem przytłoczenia przez ogrom świata i ludzi, umiejmy wartości własne dostosować do wielkości tego uczucia i nie szukajmy pocieszenia. Ale, ale przede wszystkim z ograniczoności naszych możliwości nie wyciągajmy jako wniosku jakiejś rzekomej mądrości specjalnej, która by się miała objawiać w naszym sposobie życia, w naszych umiejętnościach czy naszym pojmowaniu piękna."

J. Robert Oppenheimer ma więcej niż kto inny danych, aby widzieć zagrożenie świata. Zna zapewne także lepiej niż kto inny szanse ocalenia. Nauka ukazała mu piekło możliwości. W sztuce chce widzieć nadzieję równowagi. Nie do pogardzenia są te perspektywy.

zb

WALKOWER

A więc spór Boy — Irzykowski rozgorzał na nowo. Jan Kott w dyskusji *Nowej Kultury* tutaj właśnie zobaczył sedno sprawy (dzisiejszych błędów i wypaczeń literatury), tutaj, w nieprzezwyciężeniu starych, pokutujących, odgrzebanych postulatów, prawd, myśli, metody autora *Walki o treść*. Nie pamiętam, czy on to wszystko wyliczył. On jednak tak często cytuje z pamięci, niechże pozwoli, że ja także nie będę każdego słowa sprawdzał. W każdym razie, jeśli nawet nie wyliczył, to miał co wyliczyć. Tak, Irzykowski zostawił nam w schedzie i myśli, i prawdy, i metodę. Niewielu pisarzy tak wiele nam zostawiło. Niekiedy w całej schedzie trudno jedną myśl znaleźć, a metodę, o, zaraz metodę, słyszę zewsząd. Chodzi więc o Irzykowskiego. Jan Kott oskarża go o wszystko złe, co się w dzisiejszej krytyce literackiej dzieje. Ostrość polemiki, nieuznawanie autorytetów, szarganie świętych i błogosławionych... To wszystko ma na myśli. A przede wszystkim oskarża się powszechnie Irzykowskiego o to, że przeżył, przetrwał i wpływa!

Wpływ Irzykowskiego na krytykę współczesną oczywiście istnieje, więcej, ma tendencję wzrostu, dziwne by było, gdyby Irzykowski wpływu nie miał, ma przecież czym wpływać, ma idee, metodę, no więc wpływa. Po owocach poznacie go, słusznie. Każdy mistrz odpowiedzialny jest za swoich uczniów, odpowiada za nich zawsze, nawet wtedy, kiedy ich nie wybierał. Tylko w tropieniu tej odpowiedzialności uprasza się o lojalność. Dzieło krytyczne to nie jest teatralna premiera, a więc nie jest benefisem lotności i dowcipu recenzenta. (Irzykowski także był recenzentem teatralnym i gdy trzeba będzie, to się wywlecze do boyu odpowiednie cytaciki, przeważnie miażdżące.) A więc nie jest chwytem lojalnym w stosunku do dzieła Irzykowskiego wskazywać na Artura Sandauera (jako autora pamfletów literackich) i krzyczeć: oto owoce! Przyznam, że spodziewałem się odpowiedniego sprostowania ze strony samego Artura Sandauera. Sandauer-pamflecista bowiem, jeśli jest kontynuatorem Irzykowskiego, to kontynuatorem ubocznych, drugorzędnych zainteresowań starego krytyka. Autor *Słonia wśród porcelany* o tego typu działalności literackiej wyraził się dosłownie: „Jest to czynność raczej policyjna niż krytyczna". W ogóle „wydawanie sądów" uważał za coś nieistotnego, obniżającego godność krytyki (pisał o tym w studium pt. *Godność krytyki*), za „dziedzinę polityki literackiej". Tę czynność policyjną aprobował zresztą, ale nie przypisywał jej znaczenia ani nie wyznaczał rangi. Pisał: „Kto ma na to ochotę, temu nawet przyklasnę. Za dużo pobłażamy, przymykamy oczy — przez solidarność literacką, bo literatura musi dziś skupiać się w pewną mafię wobec sportu, filmu i innych zajęć, które jej wyrywają czytelników. I raz na rok można by urządzić sobie wzajemnie sądny dzień — dla honoru". I humor, i intencje są tutaj dostatecznie czytelne. Trudno w permanentnym sądnym dniu (w dodatku jednostronnym, bez życzliwego nadstawiania się na zabiegi wzajemne; o, Sandauer nie lubi tutaj wzajemności. Widzieliśmy wszyscy, jak so-

bie wyinterpretował — w liście przesłanym do *Życia Literackiego* — bardzo celny, przy tym niebolesny, owinięty w watę kurtuazyjną amortyzującą cios, zarzut Jerzego Kwiatkowskiego, który podważył koncepcję „bylejakości" Leśmiana. Sandauer po prostu łaskawie pominął istotny sens zarzutu i zajął się równie łaskawie chwalbą swojej przenikliwej erudycji) widzieć wpływ Irzykowskiego, każdy przyzna. Typ polemiki, którzy uprawiał Irzykowski, był agresywny w ideach, zmuszał przeciwnika do walki na myśli, a nie na gęby.

Natchnieniem Kotta w ataku na dzieło Irzykowskiego było, jak wiemy, stanowisko Hieronima Michalskiego, który w dyskutowanej sprawie ujrzał zwycięstwo talentyzmu. Tutaj jest istotnie świadome i pełne zastosowanie idei i kryteriów Irzykowskiego. Cóż to jednak oznacza? Bądźmy nie tylko lojalni, bądźmy także rozsądni! Czyż to nie jest jedyne stanowisko po stronie przeciwnej umotywowane, podparte argumentacją czysto literacką, bez przedłużeń demagogicznych? Demagogia wciska się wszędzie, może być po tej i po tamtej stronie, patrzmy więc uważnie na wysuwane argumenty. Po stronie przeciwnej padły najrozmaitsze zarzuty, pornografia, zdziczenie, demoralizacja itp., itd. Jedyne stanowisko negatywne, ale nie deprecjonujące zjawiska zostało właśnie podparte autorytetem Irzykowskiego. Już w samym powołaniu się na starego krytyka widać odcięcie się od interpretacji moralizatorskich, bo przecież nie kto inny, ale Irzykowski w związku ze zjawiskiem o wiele bardziej drastycznym, o, o wiele, pisał w 1905 roku: „Przybyszewski wniósł tę pewną zdrową porcję »niemoralności«, która jest potrzebna każdej porządnej literaturze".

Obawiam się, że te argumenty, które przytaczam, są spóźnione, bowiem wyrok chyba już zapadł. Irzykowski został skazany na spór z Boyem, skazany, gdyż przewidziano jeden tylko rezultat — zwycięstwo Boya. Warunki sporu są bowiem takie: Boy jak zawsze ma wszystkie szanse. Więc trybunę przede wszystkim. 30-tomowe pełne wydanie pism daje mu co najmniej klasyczną pozycję. Monografie (Stawara, Zimanda) ustawiają go we wszystkich pozach pod szkłem bardzo życzliwym i bardzo powiększającym. Najlepsze pióra kraju interpretują i cytują g przy każdej okazji. Jest zwycięską ep ką i opoką zarazem. Zwycięskiego f lietonu.

A przeciwko niemu jąka się Irzykow ski. Jąka się, niestety. Ta wada wymo wy, która go ośmieszała w publicznyc dyskusjach, stała się przekleństwem j go dzieła. Jakże on może przekonywa dyskutować, kiedy co drugą myśl m wydarto? Stoi z otwartymi ustam z niedokończonym wywodem, z poł wą swojej prawdy zaledwie. Wydaw nie pism (krytycznych) Irzykowskieg przybrało bowiem formy nierozsądn i krzywdzące. Myśli krytycznej nie mo żna i nie wolno kwitować wyborem Wyboru dokonywać można z odmian je dnego zjawiska. Wybór recenzji teatra nych, wybór kartek z podróży, jedny słowem wybór felietonów. Wybór moż potęgować lub osłabiać wrażenie, t pewne, ale w tym wypadku nie zubo myśli autora. Inaczej jest jednak z pi mami myśliciela, jakim był Irzykowsk Każde studium, każdy rozdział studiu jest krokiem dalej, głębiej w dziedzin myśli, każde studium posuwa naprzó poznanie systemu i metody krytyk Dokonywać tutaj wyboru, to znacz ciąć, kaleczyć, tutaj eliminacja zubo a zubożając fałszuje. Wydany tom, *Cię szy i lżejszy kaliber*, jest właśnie taki wyborem zubożającym. A przy tym ni powinien go był dokonywać Andrze Stawar, krytyk zaangażowany sa w spór o literaturę, strona w tym spo rze, krytyk-indywidualność, widząc Irzykowskiego bardzo polemicznie. Ju proporcje Stawarowskiego wyboru mó wią o tym jego stanowisku. Okres *Czę nu i słowa* — interesujący Stawara z względu na polemikę z Brzozowskim – dla nas historyczny, został niewspó miernie potraktowany w porównani z okresem *Walki o treść* i *Słonia*. Bra polemiki z Chwistkiem, Peiperem; z sporu z Witkacym pozostał schema Obecnie mówi się w „Czytelniku" o to mie rozproszonych, nie zebranych prze samego Irzykowskiego szkiców. Bardz dobrze, ale wciąż brak tych zebranych

W tym odgrzanym (przez dzisiejsz namiętności) sporze Boy oczywiści zwycięży. Nie może być inaczej. Ale bę dzie to zwycięstwo niezbyt honorowe Niemal walkower. Jedyna nadzieja, ż wielbiciele Boya do tego nie dopuszcz Gdybym jednym z nich był, pierwsz bym gardłował o pełne wydanie Irzy

kowskiego. Po to oczywiście, aby tryumf Boya był całkowity. A więc nadzieja moja w Janie Kotcie. Tym większa, że wyznał przecież, iż w dwudziestym roku życia przekładał Irzykowskiego nad Boya. Ma więc coś do odrobienia wobec dzisiejszego bożyszcza. Niechże więc przez sympatię dla swojej przenikliwej młodości domaga się pełnego Irzykowskiego. Będzie miał satysfakcję, bo jego usłuchają!

zb

DZIEJE NAJNOWSZE

Wciąż niezaspokojony jest nasz głód wiedzy o najnowszej historii Polski. Socjologowie kultury będą musieli kiedyś wytłumaczyć fakt ogromnego powodzenia pamiętników i dokumentów odnoszących się do dziejów drugiej wojny światowej. Zdaje się, że tajemnica tkwi nie tyle w przemianach świadomości, co w przedmiocie. Wojna ostatnia nie była podobna do żadnej innej — przynajmniej w tej części świata. Miała charakter totalny, angażowała wszystkich, nie było w niej aktorów i widzów. Każdy warszawiak, czytając o Powstaniu, czyta o sobie. Tak trudna do osiągnięcia w literaturze „funkcja jaźniowa", zespolenie czytelnika z opisywanym światem, tu osiągalna jest bez wysiłku, w sposób naturalny.

Kiedy ta nota ukaże się w druku, *Najnowsze dzieje Polski (Materiały i studia)*, tom I, będą już na pewno wyczerpane, chociaż jest to książka, po którą sięgać powinien raczej historyk i socjolog niż tzw. szerokie rzesze społeczeństwa.

Wydawnictwo powstało z inicjatywy Instytutu Historii PAN i wydawcy pragną ogłaszać „materiały z kampanii wrześniowej, z historii politycznej i gospodarczej naszego narodu w okresie okupacji, z dziejów jego ruchu oporu w latach 1939—1945, udziału Polaków w ruchu oporu innych narodów, z problematyki polityki zagranicznej, a równocześnie informować o literaturze obcej z tego zakresu, zaznajamiając czytelników ze stanem badań nad dziejami innych narodów w okresie drugiej wojny światowej".

Pierwszy tom zawiera między innymi: źródłowy szkic na temat obrony wybrzeża w roku 1939, porywającą, jak powieść detektywistyczna, pracę na temat dziejów złota polskiego w czasie drugiej wojny światowej, relacje niemieckie o powstaniu warszawskim, wspomnienia z walk partyzanckich i akcji na Bürckla.

Rewelacyjne materiały odnajdujemy w szkicu Tadeusza Kułakowskiego *Dokumenty dotyczące eksterminacji kultury polskiej*.

Wyższy dowódca SS i policji na wschodzie, pełnomocnik komisarza Rzeszy dla umocnienia Niemczyzny, pisze:

...uważam za pożądane, aby szczególnie wartościowi spośród polskich artystów w Warszawie zostali stamtąd zabrani i jeżeli się do tego nadają — zniemczeni, a to z dwóch przyczyn:

1. Poziom artystów niemieckich nie był dotychczas specjalnie wysoki. Przewyższający ich na ogół artyści polscy przyczyniają się do wzmacniania uczuć narodowych Polaków.

2. Włączenie wartościowych i odpowiednich pod każdym względem ludzi do niemieckiego narodu oznacza wzmocnienie narodu niemieckiego...

Propozycjom tym przeciwstawia się dr Wolfram, SS-Untersturmführer:

...Nie mogę się z tą myślą pogodzić, gdyż od samego początku trudno mi uwierzyć w pomyślne rezultaty tego przedsięwzięcia. Dlatego uważam z góry za nie mające sensu już same próby w tym kierunku, jako skazane na niepowodzenie. W zupełnie innym zakresie aniżeli niemieccy artyści, którzy wraz z włoskimi i francuskimi od dawna wykazują wybitną skłonność do internacjonalizmu — artyści polscy od dawna byli wyraźnymi przedstawicielami narodowego szowinizmu. Własność to wspólna jest większości artystów wszystkich narodów słowiańskich... Zarówno w Republice Polskiej, jak i przed rokiem 1914, artyści polscy stali zawsze na czele walk narodowych. Chęć zniemczenia teraz tych właśnie ludzi jest, moim zdaniem, czynieniem próby na obiekcie nieodpowiednim...

Tępy dr Wolfram tym swoim bezdusznym terminem „obiekt nieodpowiedni" wystawił artystom polskim czasu wojny — piękny pomnik.

zh

HENRYK GRUNWALD

Kilka miesięcy temu ukazały się w *Twórczości* wiersze Henryka Grunwalda. Wiersze malarza? Jest to tylko pozorny paradoks. Myślę, że prawie każdy prawdziwy artysta odczuwa tęsknotę za inną formą, za innym materiałem, w którym — jak sądzi — wypowiedziałby się pełniej.

Gdy drukowano wiersze Henryka Grunwalda, był on już skazany na śmierć. Nieuleczalna choroba przykuła do łóżka silnego człowieka i artystę „w pełni sił twórczych" — jak się to banalnie mówi stylem oracji pogrzebowych. Wtedy to właśnie sięgnął po rzecz bezważką — po słowo.

Pierwsze moje zetknięcie z rysunkami Henryka Grunwalda nie przyniosło olśnienia. Były to, zdaje się, ilustracje do *Martwych dusz*, w których podziwiałem nie tyle artyzm, ile wiedzę kostiumologiczną, ostry zmysł satyryczny i jubilerską precyzję kreski, jakby nie kładzionej na papierze, ale rytej w twardym materiale. Nie, nie był to współczesny rysunek — wrażeniowy, „nieporządnie" malarski, w którym domyślasz się raczej koloru niż kształtów. Ta sucha Holbeinowska czy Dürerowska linia wydobywająca bryłę przywodziła na myśl dawnych renesansowych mistrzów, wyrafinowanych i brutalnych zarazem.

Po skończeniu warszawskiej akademii z dyplomem malarza Grunwald poświęcił się zdobnictwu i grafice. „Użytkowiec" z temperamentu i z rudymentarnej uczciwości, przez z górą trzydzieści lat tworzył świetne cykle ilustracji do dzieł klasyków rosyjskich, będąc równocześnie jednym z najlepszych naszych metaloplastyków, twórcą krat przy pomniku Nieznanego Żołnierza, w Radzie Państwa, a ostatnio w Ambasadzie Polskiej w Pekinie.

Myślę, że należałoby, i to nie zwlekając, wydać teki jego rysunków. Ponieważ są to ilustracje powieści Dostojewskiego i Gogola — można by sporządzić piękny album, w którym grafika „poparta" jest dobrze dobranymi fragmentami tekstu. Oszczędnych wydawców można zapewnić, że nikt na tej „luksusowej" imprezie wydawniczej nie straci.

Kiedy Józef Brodzki — przyjaciel zmarłego artysty — po raz pierwszy przeczytał mi wiersze Grunwalda, utkwił mi w pamięci fragment, który jest jakby lirycznym skrótem martwych natur Soutine'a:

> Cynowy śledź
> z okiem zapadłym
> błyszczy wśród
> skamieniałego chleba.

I jeszcze ten urywek:

> pod lasem
> czarny kowal
> różę w ogniu
> kuje.

Gasną róże.

zh

WYSTĘPY TEATRU SERBSKIEGO

Himmelkommando. Ze wszystkich okrutnych eksperymentów, jakim hitleryzm poddał ludzi, ten właśnie wydaje się najbardziej hitlerowski. Grupie więźniów, skazanych na nieuchronną śmierć, komenda obozu wyznacza osobliwe „ułaskawienie": o ile się zgodzą na współpracę w gazowaniu innych skazańców i paleniu ich zwłok, będą żyli jako tako przez trzy miesiące. Potem zostaną zlikwidowani.

Trzy miesiące! Caligula w sztuce Camusa też eksperymentował z ludźmi i starał się aż do granic absurdu doprowadzić logikę okrucieństwa. Dwaj młodzi autorzy jugosłowiańscy, urodzeni w roku 1928, D. Lebović i A. Obrenović, napisali świetną sztukę na temat strasznego oświęcimskiego eksperymentu. Co można zrobić z ludźmi? Jak daleko można się posunąć grając na instynkcie i przywiązaniu do życia? Wartością tej sztuki wydaje mi się jej bogactwo psychologiczne. Z siedmiu bohaterów utworu każdy po swojemu przeżywa swój los. Każdy zna drogę upodleń i cynizmu; w każdym upodleniu jest jednak jakaś cząstka człowieczej szlachetności. Ledwo weszli półżywi, głodni jak zwierzęta i potwornie, nieludzko zaszczuci — zaczynają walkę o to, by w możliwie najmniejszym stopniu uczestniczyć w narzuconym im mordzie. Taki ma sens gra o to, kto będzie „gazował", a kto tylko palił trupy. Zważmy, iż ci ludzie znajdują się (i rozumiem tu intencje autorów) na dolnej granicy po-

taw moralnych. Nie są bohaterami; nie tać ich na całkowitą odmowę uczestniczenia w zbrodni, jak to czyni heroiczie idący na śmierć ich kolega z prologu. Przeszłość postaci *Himmelkommando* nie jest heroiczna; Prominent należał na pewno do niezaangażowanych w walkę; Niemiec znalazł się tu jako kryminalista, nie antyfaszysta; Żyd majstrowaniem przy zegarku okupuje głos swego religijnie nastrojonego sumienia; Grek-kapo histerycznym zrywem końcowym próbuje okupić swe winy wobec współwięźniów. Ale w tym ponurym eksperymentowaniu okazuje się, że „nie wszystko można zrobić z człowiekiem", że więc nie mają racji pesymiści. Są jakieś granice, jest demarkacyjna linia. Ofiarą straszliwej zabawy pada SS-owski oficer, na równi z więźniami, których przed ich zniszczeniem chciał do ostatecznych granic upodlić.

Zespół Serbskiego Teatru Narodowego w Nowym Sadzie wspaniale zagrał *Himmelkommando*. Ten teatr, który za 5 lata będzie obchodził stulecie nieprzerwanego istnienia, umie grać awangardowe i nowoczesne sztuki młodych pisarzy. Długoletnie tradycje stały się kapitałem bezcennym; znać wiekową tradycję w grze aktorów, w ich umiejętności poruszania się i mówienia, a szczególnie — milczenia.

Jakaż kultura aktorska w tym kraju, jakie bogactwo talentów! Następnego dnia po *Himmelkommando* ujrzeliśmy *Maskaradę na poddaszu* Vojnović'a. W tej sztuce (w przeciwieństwie do *Himmelkommando*, gdzie oczywiście grają sami mężczyźni) pole do popisu mają aktorki. Prostota, wdzięk, subtelność środków aktorskich grającej główną rolę Andjeliji Vesnić rywalizowały z talentami kolegów. *Maskarada na poddaszu* przypominała naszej publiczności chorwackiego pisarza, Ivo Vojnović'a (1857—1929), którego *Matka Ingović'ów*, grana w r. 1923 w Krakowie, z Wysocką i Sosnowskim, pozostawiła wrażenie niezapomniane i wstrząsające. Sztukę tę grano w Katowicach w roku 1935. Ale już w 1913 r. w krakowskim teatrze Irena Solska zachwycała publiczność inną sztuką Vojnović'a, *Panią ze słonecznikiem*. *Maskarada na poddaszu* należy do rzadziej grywanych sztuk chorwackiego klasyka; jest to opowieść o okrucieństwie natury, nieodwołalnie skazującej prześliczną, 17-letnią dziewczynę, kochającą i kochaną, pełną radości życia, wsłuchaną w rytm beztroskiej karnawałowej zabawy w chorwackiej Wenecji, jakim jest stare miasto Dubrownik.

Oglądaliśmy też klasyczną sztukę serbską Iovana Sterije Popović'a (1806—1856). To znów popis pań: charakterystycznej aktorki (ale bez tendencji do wyjaskrawień) Ljubici Ravasi, młodziutkiej Mirjany Bonjać (jej córki), Darinki Cabnić (subretki Anczycy). Chodzi tu o walkę przeciw snobizmowi obyczajów — nurt dobrze znany naszej komedii Oświecenia. Rzecz zupełnie naturalna, że teatr serbski, wyjeżdżając do nas (a jest to ich pierwszy wypad za granicę) przywiózł trzy utwory narodowe: jeden współczesny i dwa klasyczne...

Przyjechał do nas teatr wartościowy i godny poznania. W zamian teatr Dejmka zawiózł do Nowego Sadu trzy sztuki polskie. Wymiana ta jest kontynuacją pięknej tradycji. Już bowiem w 1864 roku teatr w Nowym Sadzie zagrał *Damy i huzary* Aleksandra Fredry, a potem wystawił utwory Fredry-syna, Lutosławskiego, Perzyńskiego, Przybyszewskiego, Zapolskiej, Kiedrzyńskiego, Nałkowskiej, Lekszyckiego, Morozewicz-Szczepkowskiej. Jedna z aktorek tego teatru przed 25 laty obchodziła swój jubileusz w sztuce polskiej.

W. N.

SETNY NUMER „ZWROTU"

21 marca 1958 r. ukazał się w czeskim Cieszynie jubileuszowy, setny numer literackiego miesięcznika *Zwrot*, wydawanego od grudnia 1949 r. jako organ Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji.

W numerze jubileuszowym zamieszczono kilka wierszy, nagrodzonych w styczniu br. na konkursie PZKO. Są tu m. in. *Praskie mosty* Józefa Krzywonia, *Są ludzie* Wilhelma Przeczka, *Kamizelka* Danuty Siwkówny-Kniżetowej, *Amor i ja* Janusza Gaudyna, *Goralsko bido* Karola Piegzy. Tylko Krzywoń i Piegza są już pisarzami znanymi. Danuta Siwkówna-Kniżetowa, Wilhelm Przeczek i Janusz Gaudyn — to nowe talenty. W tym numerze *Zwrotu* zamieszczono także bardzo ciekawy artykuł Jana

Korzennego o korespondencji Arnosta Schwab-Polabsky'ego z Polakami. Schwab-Polabsky urodzony 11.III.1860 r. w mieście Brandys nad Łabą, był skromnym urzędnikiem tamtejszej kasy oszczędnościowej. Z własnej inicjatywy nauczył się szybko po polsku, zaczyna tłumaczyć i nawiązuje korespondencję z wybitnymi pisarzami polskimi. Już w listopadzie 1877 siedemnastoletni chłopak umieszcza w czeskim piśmie *Lumir* artykuł pośmiertny o Lucjanie Siemieńskim. Dwa lata później pisze list do komediopisarza Zygmunta Przybylskiego z prośbą o zgodę na przełożenie sztuki *Poświęcenie*. Przybylski, mający wtedy 23 lata, odpowiada skromnie — i nie bez wzruszenia — że *Poświęcenie* napisał mając lat 18 i radzi raczej *Gałązkę jaśminu*. Schwab-Polansky przełożył i wydrukował obie sztuki.

Wkrótce potem młodziutki entuzjasta polskiej literatury, zasiadający w urzędniczym krześle małego czeskiego miasteczka, sięga po rzeczy większej wagi. W roku 1880 tłumaczy *Janka muzykanta* i *Starego sługę* Sienkiewicza, potem Orzeszkową, Asnyka i *Pana Damazego* Blizińskiego (1886) oraz Konopnicką. W lutym roku 1883 kończy Konopnicka swój list do młodego tłumacza „serdecznymi pozdrowieniami... bratu po piórze i po krwi słowiańskiej. Niech żyją Czechy!", a w czerwcu tego roku, po zapoznaniu się z przekładem, pisze: „Dla mnie to zaszczyt być poznaną przez miły naród czeski i owszem, chciałabym, aby się znalazł kto, co by te wiejskie piosenki, jakich ja tu »na fujarce« próbuję, pokazał Wam w waszej pięknej mowie. Da Bóg, zobaczymy się jeszcze kiedy w waszej Pradze starej!".

Już Miłkowski przysyłał swemu czeskiemu tłumaczowi utwory, wraz z miejscami wykreślonymi przez cenzurę carską. W roku 1883 zostaje młody tłumacz redaktorem *Slovanskeho Obzoru* w Pardubicach i natychmiast pisze do Bronisława Grabowskiego z prośbą o współpracę w dziedzinie literatury polskiej.

Bardzo żywe były kontakty Schwab-Polabsky'ego z Michałem Bałuckim. W powiatowym archiwum miasta Brandys nad Łabą znajduje się ponad 40 listów autora *Grubych ryb* z lat 1879—1898 do jego czeskiego przyjaciela. W bibliotece Schwab-Polabsky'ego było 150 polskich książek, m. in. Fredro, Narzymski, Konopnicka, Asnyk, Grabowski Bałucki, Biziński. Schwab-Polabsky przełożył kilkanaście powieści, m. in. *Burmistrza z Pipidówki*, i utworów scenicznych Bałuckiego; wprowadził naszego komediopisarza na czeskie sceny.

Ciekawe, że w roku 1890 Schwab-Polabsky zapisał się do Sekcji Literackiej Stowarzyszenia Polskiego w Pradze, zwanego potem „Kołem Polskim". Prezesem tej organizacji był Jeske-Choiński.

Schwab-Polabsky umarł 10.X.1937 r. W dwudziestą rocznicę zgonu warto przypomnieć postać gorącego przyjaciela naszej kultury, naszego piśmiennictwa i naszego teatru.

W. N.

CHAGALL O SZTUCE I ŻYCIU

Marc Chagall ma w tej chwili 71 lat. Od 1949 roku (kiedy powrócił z wojennej emigracji do Stanów Zjednoczonych) mieszka w Vence, na francuskiej Riwierze, pracując z werwą i pasją niewiele mniejszą niż jego niedaleki sąsiad spod Cannes, Picasso. Chagall urodził się w Witebsku jako syn drobnego kupca kolonialnego, a najbardziej niezwykłym okresem jego życia były lata 1918—1922, kiedy pełnił funkcję komisarza do spraw sztuki w rodzinnym okręgu, organizując zarazem akademię plastyczną. Zrezygnował ze stanowiska na skutek starć z mniej od niego liberalnym Kazimierzem Malewiczem. Obecnie raczej niechętnie udziela się publiczności i nie lubi mówić. „Moim językiem jest oko."

1 marca wygłosił jednak Chagall w uniwersytecie chicagowskim, na zaproszenie miejscowego Komitetu Myśli Społecznej, odczyt o *Sztuce i życiu*. Myślą przewodnią prelekcji wygłoszonej przez małego, różowego na twarzy człowieczka, o głowie pokrytej niesfornymi kępkami włosów i w okularach zsuniętych na czoło, było twierdzenie o jedności życia i sztuki. Obie te dziedziny wymagają jednego: miłości. „Bez miłości sztuka nie jest sztuką, a życie nie jest życiem." Te ogólnikowe i banalnie brzmiące słowa nabierają szczególnego sensu w ustach człowieka, który życie poświęcił sztuce, a tak znaczną część swojej sztuki związał z postacią uko-

chanej żony i nieodłącznej towarzyszki, zmarłej w 1944 r. Belli Chagall.

Stary malarz, którego surrealiści uważają za jednego z patronów, wystąpił przeciw ocenianiu artystów wedle ich programowych i krytycznych wypowiedzi. „Lepiej, aby publiczność starała się oceniać artystę według jego dzieła, ponieważ artyści nie znają samych siebie. Zwierciadłem artysty jest jego dzieło." Opowiadając o własnej metodzie pracy, Chagall streścił ją w zdaniach. „Codziennie, gdy wstaję, nie mam pojęcia, co będę robił. Męczę się bardzo. Później pracuję. Później idę do łóżka i męczę się dalej i myślę, że za mało pracowałem. I ciągle jest tak samo". Chagall pracuje obecnie nad scenografią do baletu *Dafnis i Chloe*, ilustracjami do wydania książkowego tej opowieści, a przede wszystkim nad witrażami do gotyckiej katedry w Metzu, zniszczonej przez bomby niemieckie podczas wojny. Powiedział w Chicago: „Wydaje mi się, że dopiero zaczynam. Wydaje mi się, że bardzo mało w życiu zrobiłem".

Najbardziej nieoczekiwanie, zdumiewająco zabrzmiały jednak słowa Chagalla, wybiegające już poza temat odczytu: „Gdybym był młodym człowiekiem i zaczynał życie na nowo, zapewne osiedliłbym się w Ameryce, bo wierzę w jej przyszłość i kocham ten kraj".

zn

„WIE STARK SIND DIE HALBSTARKEN"

Ogromnie nas interesuje wszystko, co się dzieje w Niemczech. Szczególnie dotyczy to nastrojów wśród najmłodszej generacji. I dlatego warto przytoczyć fakty, które Cesar Santelli podaje na ten temat w reportażu zamieszczonym w paryskim *Le Monde* z 14 marca br.

Santelli opiera się zarówno na własnych informacjach, jak i na danych, których dostarczył niemiecki instytut badania opinii, tzw. „Emnid". Wszystkie te wiadomości potwierdzają zdanie, iż większość młodzieży niemieckiej, opuszczającej szkoły i uniwersytet, przeżywa nastroje dość znacznego zobojętnienia i sceptycyzmu. W roku 1954 liczba młodzieńców całkowicie obojętnych na najważniejsze zagadnienia epoki wynosiła według „Emnidu" — 57%. W roku 1955 cyfra ta wzrosła do 62% i odtąd stale się zwiększa, z roku na rok. Owa grupa sceptyków dzieli się na dwa rodzaje: jedni powołują się na swoją niekompetencję w sprawach politycznych czy filozoficznych, inni twierdzą, że „wszystko jest oszustwem" (*„Alles ist Schwindel!"*). Niemal połowa młodych nie zna (lub twierdzi, że nie zna) faktów dotyczących Hitlera i hitleryzmu. Niektórzy skarżą się, że profesorowie szkół średnich czy wyższych nie zajmują się wcale studentami, ich sumieniem i świadomością moralną. Profesorowie sami się skarżą na zupełny brak czasu i możność nawiązania bliższego kontaktu z młodzieżą. Specjalizacja zawodowa i rozwój techniki zabijają szersze zainteresowania. Nieśmiała próba wprowadzenia „Studium generale" na uniwersytecie — skończyła się niepowodzeniem. Jeden z młodych pisze: „Opuściliśmy liceum przygnębieni, z nie rozwiązanymi problemami: czuliśmy, że musimy wszystko rozstrzygać na podstawie własnej opinii. Czekaliśmy więc niecierpliwie na uniwersytet, podobnie jak oczekiwaliśmy życia. Wchodziliśmy na tę nową drogę z pragnieniem prawdy tym namiętniejszym, że szkoła średnia nas nie zadowoliła. Lecz nasze rozczarowanie jeszcze rosło w miarę upływu semestrów. Mimo znacznej liczby świetnych wykładów i dobrze zorganizowanych grup programowych— pozostawał w nas osad obcej naszym usposobieniom goryczy". Inny student pisze wręcz, że w tych nastrojach można się lękać powtórnego ataku nazizmu, którego przygotowaniem zajmują się wskrzeszone korporacje. „Czuliśmy, że uniwersytet nie będzie się mógł przeciwstawić, gdyż nie ma w nim żadnej siły żywotnej. Znaliśmy już od liceum przyjęte tutaj formy myślenia. Wartość przedstawiało dla nas tylko to, co zdobyliśmy własnym myślowym wysiłkiem." A oto trzecia opinia: „Byliśmy przygnębieni płytkością i obojętnością. Jakżeby mogło być inaczej, skoro żadne z palących zagadnień, leżących nam na sercu, nie było omawiane na wykładach". Nie wolno jednak niczego upraszczać. Ciekawy jest następujący fakt, przytoczony przez francuskiego publicystę. Podczas odbudowywania zbombardowanego gmachu uniwersytetu w Monachium postanowiono odtwo-

rzyć na jednym z frontonów napis Horacjański: *Dulce et decorum est pro patria mori.* Zaledwie jednak ukończono roboty, nieznani sprawcy zamazali go i zastąpili nowym „hasłem": *Turpe et insanum est pro amentia mori!*

Być może, iż ironicznej tej trawestacji dokonał jeden z synów tych żołnierzy, którzy polegli pod Stalingradem. Głośnym bowiem echem odbiła się w Niemczech publikacja dokumentów wykazujących, iż podczas walk 1942—1943 roku generałowie Wehrmachtu ze strachu i bierności wykonywali strategiczne polecenia Hitlera, polecenia, o których wiedzieli, że są bezsensowne!

Innym objawem rozstroju i nastrojów anarchistycznych wśród najmłodszej generacji niemieckiej są grupy tzw. „Halbstarken". Wywołują oni awantury, rozbijają szyby, przewracają auta, czasem nawet dopuszczają się podpaleń. O zaniepokojeniu opinii niemieckiej świadczy książkowa ankieta wydana przez firmę Stackelberg w Bielefeld pod tytułem *Wie stark sind die Halbstarken?* Słychać w NRF głosy przypominające, że starsi od tej młodzieży chłopcy w innych celach wychodzili na ulice przed 5—6, czy nawet przed 3—4 laty: na przykład, by nie dopuścić do powrotu hitlerowskiego reżysera filmowego, Veit Harlana, czy dla obrony pięknego filmu francuskiego Alaina Resnais, poświęconego obozom koncentradycyjnym: *Noc i mgła...*

W. N.

PISARZE ŻYDOWSCY

Czytelnik otrzymuje w tym numerze *Twórczości* szereg utworów współczesnej literatury żydowskiej. Pozwolą one w jakimś stopniu zapoznać się z tą literaturą, z jej niektórymi problemami, zapewne. Nie dadzą jednak, rzecz prosta, obrazu tej literatury. Dać obraz literatury żydowskiej, nie mówię obraz pełny, ale choćby przybliżony, to jedno z najtrudniejszych dzisiaj przedsięwzięć. A więc przede wszystkim sama ilość i zróżnicowanie środowisk żydowskich. Każde środowisko wnosi własny, swoisty koloryt obyczajowy, językowy, własne problemy. Inaczej rozwija się literatura żydowska w Polsce, inaczej w Związku Radzieckim, inaczej w skupiskach zachodnio-europejskich czy amerykańskich. (Pojęcie współczesności rozciąga się oczywiście na bieżące stulecie.) Jest wreszcie literatura żydowska najmniej znana w świecie, literatura powstająca w Izraelu, literatura — trudno ją chyba nazwać inaczej — izraelska. Do tej i tak nie małej złożoności problemu dochodzi jeszcze komplikacja językowa.

Literatura żydowska pisana jest w języku hebrajskim i w języku *yidisch.* Literatura w języku hebrajskim była w ubiegłym stuleciu arystokratyczna, zawężona do oddziaływania na warstwy wykształcone, była sztuczna, konwencjonalna. Literatura żydowska ludowa, a więc wyrażająca żywe sprawy tego narodu, powstawała w języku *yidisch.* Najwięksi nowożytni pisarze żydowscy w tym języku tworzyli. Dodać trzeba niejednolitość, zróżnicowanie samego języka *yidisch.* Literatura izraelska powstaje, jak wiemy, w języku hebrajskim. Współczesny język hebrajski to całe zagadnienie. Przystosowano go do dzisiejszego życia, wzbogacono o nowe pojęcia, samo życie dało mu giętkość. Język hebrajski stał się naturalnym narzędziem literatury, i to literatury skomplikowanej formalnie i problemowo.

W tym numerze *Twórczości* publikujemy utwory należące do różnych odmian literatury żydowskiej. Są więc przede wszystkim przedstawiciele literatury *yidisch.*

Lew Kwitko to bardzo wybitny, nie żyjący już dzisiaj poeta, który należał do rosyjskiego środowiska Żydów. Żył i tworzył w Związku Radzieckim.

M. L. Halpern jest wybitnym przedstawicielem amerykańskiego (USA) środowiska Żydów.

Żydów polskich reprezentuje znany prozaik Szalom Asz i interesujący poeta Izrael Emiot. Szalom Asz, którego szkic autobiograficzny publikujemy, wyemigrował jeszcze przed pierwszą wojną światową do Stanów Zjednoczonych, gdzie niedawno umarł. Izrael Emiot po powrocie z ZSRR żyje i tworzy w Polsce (jest redaktorem działu literackiego wychodzącej w Warszawie *Folksztyme).*

Wreszcie — utwory Meira Persiko. One formalnie nie należą do żadnej z literatur żydowskich. Autor, choć od lat mieszka w Izraelu, pisze po polsku. Wiersze Meira Persiko to są po prostu

wiersze polskie. I jako takie je publikujemy.

Niechże Meir Persiko, Żyd i polski poeta żyjący w Izraelu, będzie więzią łączącą te odległe, a przecież bliskie wzruszenia i sprawy.

P. S.

W wydawnictwie paryskiej *Kultury* ukazała się antologia *Izrael w poezji polskiej*. We wstępie wydawnictwo podnosi grozę nastrojów antysemickich i pisze: „...każdy głos protestu przeciwko fali sarmatyzmu i ciemnoty ma znaczenie". Bardzo słusznie. Ale dodaje ono: „Głosów takich z Polski słyszymy niewiele, są one ostrożne i lękliwe. Dlatego postanowiliśmy wydać antologię, która przypomina, że w dorobku polskich poetów na przestrzeni dziejów nigdy nie brakło utworów poświęconych troskom, problemom, tragediom żydowskich współobywateli".

Otóż chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników tej antologii na fakt, który może ujść ich uwagi: większość współczesnych głosów poetyckich poświęconych „troskom, problemom, tragediom żydowskich współobywateli" odzywa się w k r a j u. Układacz antologii, Jan Winczakiewicz, wie o tym najlepiej, bo przecież on, a nie kto inny, wybrał utwory następujących poetów: Brandstaetter, Broniewski, Ficowski, Iłłakowiczówna, Jastrun, Kołoniecki, Kubiak, Lec, Minkiewicz, Piechal, Piętak, Różewicz, Słobodnik, Słonimski, Staff, Swinarski, Tuwim, Vogler, Wielowieyska, Wygodzki, Zagórski, Zechenter. A więc? Jak wygląda teraz owo ustawienie wydawnictwa? A czyż trzeba jeszcze przypominać, że twórczość takich pisarzy, jak Andrzejewski, Iwaszkiewicz, Adolf Rudnicki i Stryjkowski, powstaje w kraju?

Antologie to bardzo przydatne instrumenty do pracy. Ale nie przesadzajmy, nie one tworzą kulturę. Tworzą ją ci, których się w antologiach umieszcza.

b

DO REDAKCJI „TWÓRCZOŚCI"

Od 1945 roku przechowuję numery *Twórczości*. Jako jedyny u nas społeczno-literacki miesięcznik *Twórczość* jest poniekąd d o k u m e n t e m rozwoju polskiej kultury za okres ostatnich 13-lat.

Niestety, lutowy numer 1958 r. świadczy o gwałtownym obniżeniu się naszego kulturalnego poziomu.

Bo jak wytłumaczyć inaczej pojawienie się na łamach *Twórczości* takiego utworu, jak *Czarne ściany* Ścibora-Rylskiego?

Podobne „wypowiedzi" widywaliśmy dotąd jedynie na p a r k a n a c h i to na peryferiach miasta. Skąd więc ta wulgarna pornografia na łamach *Twórczości?*

Nie broni jej talent. T a l e n t t o u m i a r. Właśnie całkowity b r a k t a l e n t u płodzi podobne „dzieła", kwalifikujące się na parkany.

Do kogo więc mamy żywić pretensje o wydrukowanie w *Twórczości Czarnych ścian?*

Chyba do Redakcji?

Warszawa dn. 2.IV. 1958 r.

Helena Bobińska

Od Redakcji

Dziękujemy za słowa uznania dla naszego pisma, jednakże trudno nam się zgodzić z taką metodą polemiki. Jesteśmy zdania, że dyskusja nad utworem literackim — choćby się o nim miało jak najgorsze mniemanie — winna się posługiwać rzeczowymi argumentami, a nie kilkoma słowami oburzenia. Dla merytorycznej polemiki łamy naszego pisma stoją zawsze otworem.

ERRATA

W spisie autorów na okładce Nr 4/58 wydrukowano omyłkowo Tadeusz Nowakowski zamiast M a r e k Nowakowski.

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Berent Wacław — *DZIEŁA WYBRANE. Ozimina.* Powieść. Tłoczenia na oprawę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 285, 3 nl.

Krasiński Zygmunt — *Nieboska komedia.* Opracował Juliusz Kleiner. Wydanie czwarte zmienione. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 24.). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie IV; str. L, 153, 1 nl.

Mickiewicz Adam — *Pan Tadeusz.* Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 413, 3 nl.

Polska epika ludowa. Opracował Stanisław Czernik. (Biblioteka Narodowa. Seria I. Nr 167). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. XCVIII, 368, 2 nl.

Prus Bolesław — *Wybór nowel.* Posłowie Janiny Kulczyckiej-Saloni. (Biblioteka Szkolna). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958; str. 218, 2 nl.

Strug Andrzej — *Fortuna kasjera Śpiewankiewicza.* Powieść. Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 246, 2 nl.

— *Ojcowie nasi.* Nowele. Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 308, 4 nl.

— *Pokolenie Marka Świdy.* Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 358, 2 nl.

— *Ze wspomnień starego sympatyka. Ludzi podziemnych* — Seria druga. Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 205, 3 nl.

— *Kronika świeciechowska.* Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 198, 2 nl.

— *Ludzie podziemni.* Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; str. 218, 6 nl.

— *Portret.* Powieść. Tłoczenia projektował Andrzej Radziejowski. Warszawa, „Czytelnik", 1597; str. 245, 3 nl.

Syrokomla Władysław (Ludwik Kondratowicz) — *Wiersze i gawędy.* Wybór i opracowanie: Izabella Korsak. Wstęp: Juliusz W. Gomulicki. Ilustrował Bohdan Butenko. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1957, wydanie I; str. 224, 2 nl.

Wasylewski Stanisław — *O miłości romantycznej.* Obwolutę projektowała Zofia Włodarczyk. Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1958; str. 221, 3 nl.

Żeromski Stefan — *DZIEŁA.* Pod redakcją Stanisława Pigonia. Wstęp Henryka Markiewicza. Nowele i opowiadania. Tom 2. *Opowiadania. Utwory powieściowe.* Tom 5. *Wiatr od morza. Wisła. Międzymorze.* Ilustracje Moniki Żeromskiej. Opracowanie graficzne: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1957; tom 2, str. 325, 3 nl; tom 5, str. 373, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Aretino Pietro — *Jak Nanna swą córeczkę Pippę na kurtyzanę kształciła.* Przełożył i przypisami opatrzył Edward Boyé. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 102, 2 nl.

— *Żywoty kurtyzan.* Przełożył, wstępem i przypisami opatrzył Edward Boyé. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 118, 2 nl.

Balzac Honoriusz — *KOMEDIA LUDZKA.* IV. Studia obyczajowe. Sceny z życia prywatnego. *Kobieta porzucona. Honoryna. Beatrix.* Przełożyli: Tadeusz Żeleński-Boy, Julian Rogoziński. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 457, 3 nl.

— *KOMEDIA LUDZKA*. V. Studia obyczajowe. Sceny z życia prywatnego. *Gobseck. Kobieta trzydziestoletnia. Ojciec Goriot*. Przełożył Tadeusz Żeleński-Boy. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 506, 4 nl.

Conrad Joseph — *Korsarz*. Przełożył Bohdan Rychliński. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 297, 3 nl.

— *Szaleństwo Almayera*. Przełożyła Aniela Zagórska. Posłowiem opatrzył Zdzisław Najder. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie II; str. 226, 2 nl.

Diderot Denis — *Paradoks o aktorze i inne utwory*. Przełożył i wstępem opatrzył Jan Kott. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie II; str. 240, 4 nl.

Gide André — *Fałszerze*. Tłumaczyli: Helena i Jarosław Iwaszkiewiczowie. Wstępem opatrzył Julian Rogoziński. Dziennik „Fałszerzy" tłumaczył Julian Rogoziński. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 599, 1 nl.

La Fayette Maria, de — *Księżna de Clèves*. Przełożył i wstępem opatrzył Tadeusz Żeleński (Boy). Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 189, 3 nl.

Manzoni Alessandro — *Narzeczeni*. Przełożyła Barbara Sieroszewska. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Lubelska. (Biblioteka Arcydzieł). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 659, 5 nl.

Maupassant Guy, de — *Iwetta i inne opowiadania*. Przełożyła Eligia Bąkowska. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 276, 4 nl.

Molier — *Skąpiec*. Komedia w pięciu aktach. Przełożył i opracował Tadeusz Żeleński (Boy). (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 6). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie VII; str. XXXII, 138, 4 nl.

— *Świętoszek. (Tartufe)*. Komedia w pięciu aktach. Przełożył i opracował Tadeusz Boy-Żeleński. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 40). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie V; str. XLII, 166, 4 nl.

Ostrowski Aleksander — *Burza*. Dramat w 5 aktach. Przełożył Jerzy Jędrzejewicz. Opracowała Jadwiga Urbańska. (Biblioteka Narodowa. Seria II. Nr 99). Wrocław, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1958, wydanie I; str. 130, 4 nl.

Sand George — *Eseje*. Przełożyły: Stanisława Kożuchowska i Maria Dramińska-Joczowa. Wybór i wstęp Stanisławy Kożuchowskiej. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 213, 3 nl.

Tukidydes — *Wojna peloponeska*. Z języka greckiego przełożył i przedmową opatrzył Kazimierz Kumaniecki. Tłoczenia projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie II; str. 559, 1 nl.

Zola Emil — *ROUGON-MACQUARTOWIE. W matni*. Przełożył Roman Kołoniecki. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 494, 2 nl.

Poezja

Mariańska Ludmiła — *Chmurne okna*. Okładkę projektowała Ewa Lubelska-Frysztak. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1958, wydanie I; str. 67, 1 nl.

Pasternak Leon — *Czas próby*. Obwolutę projektował Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 90, 6 nl.

Rymkiewicz Aleksander — *Himalajskie namioty*. Opracowanie graficzne: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 82, 2 nl.

Stu trzydziestu poetów. Wybór poezji narodów radzieckich. Wybrał i opracował Seweryn Pollak. Okładkę i obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1957; str. 746, 2 nl.

Wyka Jan — *O północy*. Poemat dramatyczny w sześciu obrazach. Okładkę projektował Tomasz Rumiński. Warszawa, „Czytelnik", 1957, wydanie I; str. 109, 3 nl.

Proza poetycka

Kucharski Jan Edward — *Leśne godziny*. Opracowanie graficzne: S. Rozwadowski. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 110, 2 nl.

Proza

Alexis Jacques Stephen — *Generał Słońce*. Tłumaczyła Małgorzata Hołyńska. Warszawa, „Czytelnik", 1958, wydanie I; str. 423, 1 nl.

Ambler Eric — *Epitafium dla szpiega*. Tłumaczył Kazimierz Kwaśniewski. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 226, 6 nl.

Anderson Sherwood — *Miasteczko Winesburg*. Obrazki z życia w stanie Ohio. Tłumaczył Jerzy Krzysztoń. Ilustracje i obwoluta: Andrzej Heidrich. Warszawa, „Czytelnik", 1958; str. 280, 4 nl.

Bellonci Maria — *Lukrecja Borgia*. Jej życie i czasy. Tom I i II. Przełożyła Barbara Sieroszewska. Obwolutę i okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy 1958, wydanie I; tom I, str. 354, 2 nl; tom II, str. 557, 3 nl, 1 kni.

Cena 10 zł

1374700

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Roman Karst—Franz Kafka · Stanisław Jerzy Lec—Wiersze · Jerzy Lisowski—Henry Miller · Henry Miller—Via Dieppe — Newhaven · Marcel Proust — Jean Santeuil · Janusz Sławiński — Poetyka i poezja Tadeusza Peipera